TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

U.I.C.C.
APR 24 1979
LIBRARY

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA CZYTELNIK

WRZESIEŃ 1945

ROK I ZESZYT 2

TWÓRCZOŚĆ

WRZESIEŃ

1945

TREŚĆ ZESZYTU

WOJCIECH ŻUKROWSKI: LOTNA
STEFAN KISIELEWSKI: OD LUBLINA PO BUG
TADEUSZ HOŁUJ: NOC LISTOPADOWA
CZESŁAW MIŁOSZ: ŚWIAT
PAUL VALÉRY: PRZĄDKA/PŁOCHE TANCERKI/EPIZOD/
FRAGMENTY NARCYZA
TADEUSZ PEIPER: W JAKUCKU (C. D.)
JAN KOTT: O LAICKIM TRAGIZMIE
SPRAWY I TROSKI: TRZY STOLICE
SPRAWOZDANIA

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

ROK I ZESZYT 2

WRZESIEŃ 1945

10.000 EGZEMPLARZY

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 02970

LOTNA

Jest już wieczór. Reszta światła pyli się na izbę przez zakurzone okienko, zamknięte szczelnie. W powietrzu zmętniałym, sennym, brzęczą dokuczliwie muchy, przeczuwając chłodną noc. Raz po raz łamie się czerwony odblask przecięty sylwetą przeprowadzanych koni. Słychać parskania, powolny stukot kopyt i pokrzykiwanie ułanów, ciągnących wodę ze studni.

Czuję, jak w butach z cholewami nogi pęcznieją i palą. Siedzę rozwalony, w rozpiętej bluzie, oparty plecami o bieloną ścianę. Ten długotrwały, szybki marsz i ciągła walka wyniszcza siły ludziom i koniom. Chce się pić. Muchy natrętnie łażą po lepkim czole. Widzę jak rotmistrz, którego chwyciła nagła drzemka, kręci ciężkim łbem, zwalonym na ręce z nabrzmiałymi żyłami. Wzdycha napierając piersią, widoczną spod siatkowej koszuli, porosłą świecącym od potu, siwym, borsuczym włosem, aż stół w krzyżakach skrzypi. Duży niklowy zegarek tyka głośno pod zdjętym hełmem.

Jerzy marszcząc czoło wsuwa kartkę w blask, dotyka w zamyśleniu ołówkiem warg. Pisze znowu jeden z tych listów, które nigdy nie odejdą. Lubię tego podchorążego. Już dawno jesteśmy „na ty". Władka nie widać. Teraz w gęstniejącym zmierzchu łamie na kolanie patyki. Skorupy jajek bieleją i płomień pod blachą pryska.

— Daj spokój tym czułościom — mruczy, przecierając oczy załzawione od dymu — grunt bracie, to jajecznica...

Jerzy pokazuje na rotmistrza:

— Bądźże cicho.

Władek Wodnicki macha ręką, jakby mówił — ja wiem, ja to znam. Nachyla się nad skwierczącymi menażkami.

— Jak poczuje kolację, zaraz go spanie odejdzie. A ty też dałbyś spokój tej swojej lilijce. Coś był z nią to twoje, na więcej nie masz co liczyć... Tęskni za tobą, myślisz...

Jerzy niecierpliwie składa kartkę. Już czuje, że się zanosi na dłuższą opowieść.

Za oknem krótki, urwany galop i kwik wierzgających koni.

— Psiakrew, jak trzymasz — ryczy plutonowy Latoń — chcesz konia okulawić?

I znowu szereg posuwa się sprawnie do poidła.

— Ech, bracie, nie będzie ciebie, będzie inny, tyleś pewny co pod tobą... Wiesz, miałem raz narzeczoną, było to w Przemyślu, powiadam ci, ta umiała kochać!

— Toś ty kalekę uwiódł! — przerywa mu z szyderczą zgrozą Jerzy.

— Jak to kalekę? — staje zdumiony Wodnicki. Ze skorupek rozłamanego jajka cienkie nitki białka, grające w płomieniu, ściekają mu na spodnie.

— Bo musiała być ślepa, żeby się w takim obliczu zakochać, albo ślepa, albo bez mózgu — a to bądź co bądź kalectwo...

Skorupka przelatuje przez izbę, rozpryskując się na ścianie. Nie mam siły śmiać się. Taki bezwład w mięśniach, ławka gniecie i mundur pali.

— Możeby tak któryś z was wyszedł konie obejrzeć...

— Nie bój się. Latoń to za nas zrobi — mruczy Jerzy, przeciągając się.

Tak od śmierci wachmistrza obaj plutonowi starają się na wyścigi. A jednak trzeba wyjść, trzeba zobaczyć czy konie nie mają odparzeń, trzeba dopilnować karmienia, sprawdzić jak zniosły ten forsowny marsz.

Znam je na pamięć. Kochane koniska. Przesuwają się w gęstniejącym mroku. Moja Wrona w białych pończoszkach, ze strzałką na rozumnym czole. Wodnickiego Tabor, z nadciętym jeszcze w podchorążówce uchem, które zwisa, jak u muła, nadając wyraz uparty i przebiegły. Mocna, zwięzła kasztanka Jerzego Grabowskiego — no i Lotna — rotmistrza Chodakiewicza. Boże, co to za koń! Klacz raczej drobna, o cudnie wygiętej szyi, oku ognistym i ogonie pełnym fantazji. A jak nosi! Gdy siądzie na niej ciężki, zwalisty, z nogami jak na fotelu, na pozór niedbale i ani drgnie. Płytki francuski hełm zsunięty na bakier, wydęta dolna warga, w pięści trzcinka. Pytałbyś wtedy — jakeś się wydrapał na to cudo, gdy grzebie palcami w strugach srebrzystej grzywy. Rotmistrz, podobno sam z Tatarów... Ten szeroki zad, raczej za biurko, włosy już mu siwiały, więc golił skronie wysoko, nieraz myślałem — cóż ty jeszcze robisz w linii? Trzymał się od nas z daleka. Nawet jadał osobno. No i spał też. Gdy był alarm pułkowy, zawsze zjawiał się pierwszy, już w mundurze.

— Nic tak nie podrywa autorytetu — mówił, gdy nadbiegałem dopinając rzemienie — nic tak nie spoufala, jak widok oficera w gaciach — tu wskazywał na obu podchorążych. Miał mi za złe, że się z nimi pokumałem. Trzymać dystans i słuchać, to była jego zasada.

Raz tylko założył się, było to jeszcze w maju, w czasie tej próbnej mobilizacji. Wodnicki obtarł sobie kolana przy kłusie. Rotmistrz drwił z niego i wyśmiewał. Wtedy Wodnicki, było to w kasynie, i już trochę pod gazem, odpowiedział: — Jak pan rotmistrz nie trzyma konia kolanami, tylko ledwie raczy dupę na siodle obwozić to i kolan nie obetrze!

Wtedy rotmistrz kazał podać konia. Włożono mu pięciozłotówkę między kolano a siodło. Kłusował i galopował. Potem podjechał. Moneta siedziała pod kolanem jak wmurowana. To był rasowy jeździec.

Wodnicki stawiał kolejkę za kolejką, popiliśmy do późna w noc. Teraz już nikt nie poważył się go krytykować.

Myśl o miłości Jerzego, o tych listach, które zostawia na każdym postoju, prosząc, by po przejściu Niemców przesłano je dalej, obrazy koni, potyczek i niepokój o ciebie Mario, splatały się ciasno. Czyż i ty jesteś taka jak inne? Czy znajdę cię za powrotem taką, jak wtedy na dworcu, gdy pod suchymi wargami czułem twarz twoją słoną od łez? Miłość, uczucie którego moc dopiero teraz pojmowałem, dziwnie łagodziło mą gwałtowność. Byłem o wiele wyrozumialszy, chciałem, kochając ciebie, by wszyscy wiedzieli, że to ty, właśnie ty otwierasz moje oschłe serce. Czasem chciałem im powiedzieć o tobie, ale słysząc ich płytkie wspomnienia, ich szczenięce przechwałki, lękałem się, że nie pojmą mych wyznań i będę musiał im grozić pięścią, by ich wreszcie uciszyć. Więc kiedy tak ścigając cię myślą, wyszeptałem — nie ma drugiej takiej... zwrócili obaj ku mnie twarze, wtedy ocknąłem się z marzenia — nie ma drugiej takiej klaczy, jak Lotna — dokończyłem szczęśliwie.

— Żadna dziewczyna nie jest jej warta — przytaknął Wodnicki skwapliwie — a ta pierś, ten włos! Bracie, daj grabę, niech ci ścisnę, masz taki smak, jak i ja.

Podszedł i uścisnął mi rękę.

— Widziałeś u jakiej kobiety takie nogi, smukłe i mocne, taką cudną kostkę, a ta lekkość, ta gracja... Do diabła z babami!

Teraz się i Jerzy zapalił.

— Raz iść do szarży na takim koniu — westchnął — to by mi grało...

Nagle rotmistrz drgnął, wyprężył się, wyciągając ręce na stole potoczył głową. Poruszał bezsilnie palcami.

— Śni mu się coś — szepnął Jerzy, a Władek dorzucił patyków. Ale on już nie spał. Podniósł się ciężko, dźwigając nabrzmiałe powieki, popatrzył na nas zmętniałą źrenicą. Przesunął ręką po piersi.

— Jezu, tu dostałem — potem przytomniejąc potrząsnął głową — pod serce, pod samo serce...

— Sen mara, Bóg wiara, panie rotmistrzu — odezwał się przesadnie głośno Wodnicki. Otworzył drzwiczki od pieca. Czerwony żar bluznął na izbę i od razu zrobiła się noc.

— Czułem najwyraźniej jak mi przez płuca idzie — mruczał. Potem zapalił latarkę.

— Patrzcie — zawołał — jest znak!

Nachyliliśmy głowy, poniżej brunatnej sutki widniała czerwona cętka.

— To pchła musiała uciąć pana rotmistrza!

Buchało od niego gorąco i ostry, czosnkowy zapach samca.

— Pewnie, że pchła — zgodził się gasząc światło.

Słyszałem, jak się drapie, paznokcie zgrzytały po gęstym włosie.

— A co będzie z Lotną, jakby tak naprawdę pana trafiło — zapytał brutalnie Wodnicki.

Nie obruszył się, widziałem, że był przejęty majakiem.

— Ano weźcie ją sobie, komu przypadnie...

I wyjął papierosa, zapalił. Potem ukrył w dłoni trzy zapałki. Było dziwnie

uroczyste milczenie. Zrobiło mi się nieprzyjemnie, gdy dotykałem jego zaciśniętych palców, sięgając po nadpalone drewienko.

— Ja mam najkrótszą — krzyknął z triumfem Jerzy.

— Ja drugi — odezwałem się.

— Psiakrew, że też ja zawsze mam pecha — jęknął Wodnicki — jestem ostatni. — Panowie, postarajcie się, żebym na wasze wykitowanie długo nie czekał...

Jakoś nikt nie roześmiał się.

Milcząc zaczęliśmy skrobać łyżkami w menażkach. Było zupełnie ciemno.

Gdy wyszedłem na podwórze, konie już stały w stodole. Stada szpaków przelatywały w sadzie, układając się do snu wśród niefrasobliwej wrzawy. Niebo na chwilę złagodniało. Odetchnąłem parę razy głęboko. Myśl o tobie, Mario, nie dawała mi spokoju.

Nie lubię spać po chałupach. Wlazłem do sąsieka, na warstwie nieomłóconych jeszcze snopów, ubitej twardo, było wygodnie. Nie rozbierałem się, tylko rozluźniłem pas i zzułem buty.

Jerzy już leżał obok. Kawałek dalej Wodnicki szamotał się z kocem. Leżałem z pięścią pod skronią. Zegarek na przegubie niepokojąco prószył pośpiechem.

— Śpisz! — zaczął Jerzy. Nie chciało mi się gadać, coś zamruczałem. — Słuchaj! — przewrócił się na bok dysząc mi w ucho. — Pamiętasz, jakeśmy odjeżdżali, te kwiaty i orkiestry... To aż dławi... I Ewka była... Musiałem ją widzieć, żegnała nas... Była w takiej kolorowej sukience. Ach te letnie sukienki, które tyle obiecują i ten zapach, pamiętasz, ciepłych dziewcząt, zbrązowiałych od sierpnia — szeptał z lubością. Potem widząc, że milczę, zawahał się. Ale zbyt mocno go osaczały wspomnienia, więc uznał to za aprobatę i ciągnął dalej. — Dlaczego jej wtedy nie wziąłem...

Gdy mówił to i we mnie wybuchały obrazy spotkań z tobą — Mario! Czułem taki głód pocałunków i dotknięcia twego ramienia. Zdawało mi się, że słyszę twój strofujący głos: — Ach ty kocie, tylko byś się łasił...

A Jerzy ciągnął:

— Przed samym odjazdem byłem z nią w kinie, dawali — „Francja czuwa..." wiesz, o Maginocie, tak dla pokrzepienia. Pochyliłem się i dotknąłem ręką jej kostki. Powolutku sunąłem w górę, nie cofnęła się. Drżałem, by jej nie spłoszyć, delikatnie pieściłem jej łydkę i kolano, aż dotarłem ponad pończochę, do paska nagiego ciała, pomyśl trwało to coś kwadrans, takie cudownie długie nogi...

— To wcale nie świadczy o długości nóg, tylko o ślamazarnym tempie posuwania — mruknął niespodziewanie Władek, który coś dosłyszał. Nawet nie zauważyliśmy, że już się wykokosił i leżał teraz niewidoczny w wygrzebanym gnieździe.

Umilkliśmy obrażeni. Jerzy siadł na słomie, przeżegnał się i westchnąwszy ciężko legł na wznak. Wiedziałem, że ma oczy otwarte. Choć to jego wzdy-

chanie wywoływało u mnie uśmiech politowania, czułem przewrotne zadowolenie, że i on cierpi.

Nie wiem kiedy usnąłem.

Nawet nie słyszałem, że oni kłócili się jeszcze.

Ułan szarpał mnie za nogę. Zakopcona lampka stajenna ledwie dobywała grzbiety końskie w dole.

— Panie poruczniku, do pana rotmistrza.

Leżałem bez siły, cały obolały, pobity znużeniem.

— Ale zaraz — przynaglał, widząc, że się układam.

Mocowałem się z butami. Teraz musiałem się spieszyć. Jerzy gwizdał przez sen. Chciałem go na złość trącić i zbudzić. Zsunąłem się między konie. Leżały powyciągane, dziwnie pokraczne. Nie czekając na meldunek, uchyliłem wrota. Było zimno. Gwiazdy błyskały wilgocią.

W izbie było mroczno.

— Pan rotmistrz poszedł już do pana majora — wybełkotał drzemiący na stołku ordynans.

— Żeby cię cholera wzięła, nie mogłeś czekać! — klątem pod nosem, wlokąc się na wieś. Powłóczyłem nogami sztywnymi ze snu. Jakieś psy przebiegały ujadając. Potem, słysząc brzęk ostróg, cichły.

Kazali siadać. Lampa naftowa rzucała jasny krąg na mapę. Rotmistrz popatrzył na mnie tak, że od razu straciłem olimpijską obojętność.

— O czwartej, to jest za półtorej godziny, weźmie pan oba plutony, ja biorę trzeci. Posuwamy się, droga na Siemiatyn, Kowalówka. Jest? — pytał ostro. Trzy kilometry na północ — gromada Topień, jest? Podjechać od strony lasu. Poczekać aż nadejdę szosą. Zaczniemy po nawiązaniu łączności.

Śledziłem za jego palcem. Jakaś zabłąkana ćma mąciła widok. Odsuwałem ją ręką, ale uparcie przyfruwała, bijąc miękko o szkło.

— Jasne już, co? — Rozgniótł ćmę palcem, strząsnął z planów. — Trzecia piętnaście pobudka.

— Rozkaz — odpowiedziałem. Jeszcze miałem dla siebie godzinę z okładem. Uścisnąłem im ręce. Potem zasalutowałem, ziewając bezczelnie.

Na północnym niebie tryskały czerwone smugi. Czasem nawet dolatywał głęboki pomruk ciężkich dział. Zimno było przejmujące. Rozespany patrzyłem tępo na ciemną ławicę chmur gniotących gwiazdy. Ziewając rozpaczliwie wydawałem służbowym rozkazy.

Ze złośliwą satysfakcją kazałem zaraz zbudzić obu podchorążych.

Było już zupełnie jasno, choć słońce jeszcze nie wzeszło. Mgła słała się po ziemi osiadając grubą rosą. Dudnienie armat wzmagało się. Wyjechałem na czoło zwiadu. Ostrym kłusem odsadziłem się od razu od plutonów, ledwie majaczących za nami czarną, ruchliwą smugą. Konie wypoczęte szły raźno, parskając, rzucając łbami, aż się serce radowało od tej ochoty. Żołnierze teraz zaczynali się rozgrzewać. Zatoczyliśmy szeroki łuk i dalej szliśmy skrajem sosnowego starodrzewu, przejrzystego, prawie bez podszycia.

Po gwarze wymarszu cisza lasu działała na moich ludzi. Przestali gadać. Ciężkie krople cykały z drzew. Nasycone niebieskością gałęzie, nieobciążone żadnym ptakiem, sterczały drętwo w siwym powietrzu. Klaskanie kopyt oddawało od drzew echo.

Nagle ugodziła mnie świadomość dotkliwego osamotnienia. Gdyby nie mgła, pyląca się na pachnący namokniętą wełną rękaw płaszcza, uznałbym swe istnienie za sen. Kreśląc ukradkiem krzyżyk na piersi, zacząłem się modlić, jeśli modlitwą nazwać można tę dziwną gotowość i poddanie. Zdawało mi się, gdy powierzałem się ufnie wiodącej nas ku walce Mocy, że słyszę żałosny głos oddziałów, które tu przez wieki przeciągały — przeminiesz, jako i my przeminiesz...

Pomimo tego ściszenia i zadumy prowadziłem ich prosto, jakby kierowany nieomylnym instynktem ptasim. Przez lornetkę widziałem, jak na ostatnim horyzoncie posuwa się równolegle z nami tamten pluton. Teraz przelatywali gromadami przez odkryte miejsca, to wyciągali się w łańcuszki w niebieskim cieniu przydrożnych wierzb. Poznawałem nawet w czołowej grupie gładki kłus Lotnej i niedbałą sylwetkę rotmistrza.

O gdybym was miał tylko dla siebie, marzyłem z drapieżną miłością. Opuściłem lornetkę. Zabrać ich i pójść zagonem, głęboko na tyły Niemcom. Błyskały mi plany dróg, zasadzki i szarże, jakby z furkotem ułańskiego proporczyka krążyło nade mną coś, co nazwałbym natchnieniem. Ale gdy pluton zniknął z pola widzenia, cisza omglonych pól, daleki błękit nierozbudzony jeszcze światłem, kazały sercu milczeć. Dopiero teraz pojąłem, że modląc się o posiadanie tych ludzi, skazuję tamtego. — Nie, nie — szepnąłem i przytomniejąc, kazałem zjechać w las.

Tu było ciemniej. Kopyta nie stukały. Czasem koń zachrapał, trzasła gałązka i brzęknęło żelazo. Nie trwało to długo. Przystanęliśmy. Plutony dołączały. Wioska była przed nami, odsłonięta, trochę w dole, jak na dłoni. Czekałem chwilę, rotmistrz miał dłuższą drogę. W przodzie rzadkie, krzaczaste sosny, osnute do szarości namokłą pajęczyną, osłaniały nas pozwalając podjechać nieledwie do ściernisk, które wąskimi pasmami spływały ku opłotkom. Tam był spokój. Nie wyglądano nas. Z poczerwieniałego sadu bił pierwszy dym.

Czułem za sobą gęstwę jezdnych. Latoń nie pozwolił im wychylać nosa, ale i tak naginając gałęzie wpatrywali się chciwie w uśpioną wieś.

Podchorążowie przypadli do mnie.

— Szarża, tylko szarża, — napierali końmi z oczami pełnymi niecierpliwości.

— Witek, rany boskie, widziałeś gdzie taką sposobność? — machał ręką Wodnicki — ani się obejrzą jak ich dopadniemy!

Gładkie pola i kartofliska kusiły. Ich gorączka zaczęła się i mnie udzielać. Nagle od strony drogi zagrała chrapliwie trąbka, stłumiona zaraz wrzawą i dudnieniem idących ławą koni. To pluton rotmistrza grzmiał po szosie, wachlarzem idąc od czoła.

— Szable w dłoń — krzyknąłem, i nawet nie sformowawszy szyku, wypadliśmy z zagajnika. Czułem smaganie po udach ciężkich, sprężystych gałęzi,

roztrącanych piersią końską. Pojaśniało od dobytych szabel. W przodzie karabin maszynowy zaklekotał krótko i zgasł. Tamci wlewali się w wieś. Widziałem jak rotmistrz parł wprost na plecione płoty, jak Lotna bez wysiłku wzbija się i podkuliwszy przednie nogi — wynosi go skokiem, pełnym dławiącego piękna.

Podałem wodze. Ułani kładąc się na karkach wyli wysokimi głosami, bliskimi pęknięcia. Konie kuliły uszy. Szły coraz ostrzej. Kopyta, bijąc w suche zagony kartoflisk wybuchały w kurzawie jak pianą. Pochyliłem się. Nim tknąłem ją ostrogą, klacz skoczyła nagle. Nie dała się wyprzedzić. Trzewia grały. Ziemia poczęła się mocno kołysać, nachylona wściekłą falą galopu.

Ręka ściskająca szablę zwilgotniała. Wysoki gwizd kuli nad hełmem przydawał tylko piękna temu lotowi ponad jesiennym polem, ledwie powleczonym szklanym blaskiem wstającego słońca. Twarz mi stygła od bolesnego zachwytu. Nie żałowałem niczego. Cóż młodość, miłość, gdy miałem nozdrza pełne zapachu konia, wystrzałów i krwi gorącej, którą za chwilę rozleję.

Ostra ścierń, miażdżona podkową, pryskała aż na twarz kroplami rosy, które staczały się powoli — jak łzy.

Klacz rzucała łbem chcąc się spod mej ręki oswobodzić. Poniosła przez rów ku zabudowaniom. Tu już wysypywali się Niemcy. Wypadali porozbierani, w koszulach, zaczepiając się bronią. Ten, który już dwa razy strzelał, stał przede mną kręcąc lufą, nie wiedząc w kogo zmierzyć. Trzeszczały obalone opłotki. Skręciłem konia, by go z prawej zajechać. Widział to. Przez mgnienie spotkaliśmy się oczami. Nie zabijaj, przemknęło mi przez myśl. Ale nim odchyliłem szablę, ostrze przeniknęło go lekko. Zniesiony dalej, widziałem jak zwalił się, a ze straszliwej rany zakipiała pienista krew.

Bokami wystrzały tryskały w siwym cieniu jak ceglane drzazgi. Nie uderzałem, obalałem samym przelotem. Za mną napływali ułani. Czasami w kilku zajeżdżali gromadę i przyparłszy Niemców do stodół, zaczynali wściekłą rąbaninę, z chłopska, z tęgim stękaniem.

— Nie brać jeńca — słyszałem ochrypły głos plutonowego Latonia.

Czasami wyprzedzali mnie.

Wtedy widziałem ciała leżące, dziwnie poskręcane, tuż za progiem, jeszcze po zgonie osłaniające głowy pociętymi ramionami. Jakiś oficer ukryty za sągiem drzewa strzelał do nas z małokalibrowego pistoletu. Pociski szły ku nam z jakimś złośliwym — ffssss...

Przeleciałem przez wieś. Minąłem kościół i staw siwy, bez odbicia, jak zdmuchnięte oddechem zwierciadło. Właściwie było już po wszystkim. Wsunąłem szablę i przełożyłem Visa, by go schować do pochwy. Zachrzęścił żwir.

Przede mną był mroczny tunel alei, zamkniętej białą ścianą dworu. Trzej Niemcy, którzy teraz spod kolumn wybiegli, nie próbowali oporu. Doganiałem ich łatwo. Dwa auta stały porzucone między drzewami. Jakaś dziewczyna w koszuli mocowała się z oknem. Niedowierzająco przystanęła z ręką wzniesioną, z piersią zarysowaną wyraźnie, bo jedwab przenikał blask i wpatrywała

się jak przesadzałem rabatki. Ścisnąłem klacz. Stęknęła skacząc ciężko. Bryzgi piany leciały jej z pyska.

Oficer odwrócił się i wygarnął do mnie nagle... Kula zaśpiewała w konary. Wdrapał się na brzozowy płotek. Wtedy strzeliłem. Noga mu się osunęła. Zginał się powoli i tak przewieszony pozostał z palcami zaciśniętymi na żerdkach.

Tamci dwaj podnieśli ręce. Gdy zrzucili ciężkie hełmy, twarze mieli chłopięce, a wargi wykrzywione strachem, skore do płaczu.

— Nie strzelać! Nie strzelać — prosili.

Stanąłem zaskoczony ciszą. Jakiś ptak pogwizdując przeleciał. Uniosłem oczy. Ogarniałem teraz stare drzewa prześwietlone od spodu, wznoszące woskowe kopuły na tle płowego błękitu. Wielkie zielone jabłka przyginały gałęzie.

— Zdejmcie buty.

Wzdrygnęli się, coś zaskomlili, myśląc, że chcę z nimi skończyć. Ale pogroziłem im lufą i zaraz scichli. Wtedy kazałem im wleźć i natrząść owocu. Wspinali się łatwo. Ciężkie jabłka zachrzęściły w trawie. Zleźli, zebrali je w płaszcz. Jeden podniósł najładniejsze i otarłszy o bluzę podał. Teraz, prawie śmiejąc się, obciążeni dziwnym łupem, dźwigając zapięty kadłub pełen owocu i hełmy kołysząc za podpinkę jak kosze, szli przede mną, zadowoleni, że walka, ból i zgon, są już za nimi, a przed nami...

I tak gryząc jabłko, z ustami pełnymi soku, wspominałem twe imię, Mario, jak talizman, który wracał mnie temu światu pełnemu spokojnej jesieni, temu dniowi spóźnionego lata, tej godzinie pełnej strzelistej miłości. Ku tobie? Nie wiem...

Teraz wieś wyroiła się. Pokazało się, że w chałupach ukrywały się całe gromady uchodźców. Stado gęsi nad stawem budziło wodę białymi skrzydłami. Prowadzono dymiące konie.

Plutonowy Latoń podszedł do mnie. Z przesadną precyzją trzasnął ostrogami i salutując meldował:

— Mamy tylko dwóch zabitych i paru lżej rannych.

— Kto zginął — zapytałem zdziwiony jego powagą.

— Pan rotmistrz Chodakiewicz, dostał kulę w same usta.

Popatrzyliśmy sobie mocno w oczy.

— Skończyliście sami szarżę?

— Tak — odpowiedział prosto.

Cywile teraz obstąpili nas ciasno. Wynosili przechwalającym się ułanom gary mleka i wielkie pajdy chleba. Z tego wybuchu radości korzystali nawet jeńcy, których teraz wyławiano z kryjówek, spędzając na drogę. Jacyś gospodarze kłaniali się nam, a dzieci piszcząc dopraszały się, by im dano konie potrzymać.

Zsiadłem z Wrony. Ksiądz w wyświeconej sutannie biegał od plebanii ku kościołowi, znosząc bandaże. Zwłoki leżały pod murem na wilgotnej darni, nieocienione, wydane na wszystkie spojrzenia. Dla Niemców kopano już wspólny dół. Kazałem księdzu spisać poległych. Przyklęknąłem, nie mogłem się modlić. Teraz dopadł mnie lęk. Rotmistrz raził już martwotą. Na ręce, którą otarł usta, ciemniała odrobina krwi. To wszystko. Przeszukałem mu kieszenie. Nie było

listów. Jakieś fotografie młodego chłopca, wizytówki. Zabrałem zegarek. Dałem go na przechowanie księdzu. Tam był bezpieczniejszy. Rozumiałem teraz całą swoją niedojrzałość. Przecież to mogłem być ja, przecież to ja... Unikając go wzrokiem, kazałem nakryć kocem. Uchodząc, wypierając te myśli, widziałem z przeraźliwą ostrością więdnącą, zdeptaną trawę, pęki astrów, które złożyła kulejąca dziewczynka i świece, powtykane w ziemię przez rozczochrane baby, świece pełgające w słońcu niewidocznym płomieniem.

— Księże proboszczu, proszę o Mszę żałobną za nich — szepnąłem, wciskając mu kilkanaście złotych.

— Wiem, wiem — przytaknął. A potem — nie trzeba, to ja sam, od siebie — powiedział, odpychając pieniądze.

Choć objawiałem teraz niepokojącą ruchliwość, wyznaczałem kwatery, oglądałem zdobyty sprzęt, wyjaśniałem coś i rozkazywałem, miałem ciągle na dnie oka ten zesztywniały kształt, nakryty narzuconym kocem. Zaciskałem pięści by nie wybuchnąć bezsensownym, ale jakże głęboko tkwiącym we mnie krzykiem.

Wtedy zobaczyłem, że jeden z ułanów prowadzi ku mnie Lotną. Klacz stąpała powoli, ostrożnym krokiem. Odebrałem wodze. Popatrzyła na mnie rozumnymi oczami, jakby pojmowała utratę. Dotknęła mnie kilka razy nozdrzami niedowierzająco i odwracając kształtny łeb, zarżała smutno.

Nagły żal ścisnął mi serce.

— Lotna! Lotna! — zawołałem, gładząc jej sierść wilgotną i zmierzwioną.

Gdy twardniałem tak w postanowieniu, całą wolę oddać żołnierzom, całą myśl i całe uczucie, dłoń moja błądziła po śliskim karku, po skórze wstrząsanej nerwowym dreszczem. I nagle złapałem się na myśli, że Lotna jest moja, że jej nikomu nie oddam. Nie, szarpnąłem się. Ach, to przeklęte losowanie. Zaraz ci ją odprowadzę, szeptałem, zmagając się.

— Tak Jerzy, Lotna jest twoja...

— Do czasu... do czasu... — syczało mi przy uchu — dlatego tak łatwo ci przychodzi ten gest wyrzeczenia.

Wtedy przeniknąłem siebie. Czyżbym i na to liczył? — O Boże — modliłem się z największą szczerością — pragnę tego konia, ale Ty wiesz, Ty przecież wiesz, że nie za tę cenę...

Wodnicki objął mnie ramieniem i przyglądając się Lotnej zamruczał.

— No braciszku, jestem o jeden stopień bliżej.

— Zamknij mordę — rzuciłem się wściekły.

— A cóż ty myślisz, — wybuchnął — że tylko ty masz serce? Ja też byłem u niego. Leży... No i cóż? Tylko bez sentymentów. Dziś żyjemy, a jutro do doła...

— Piłeś? — zapytałem, hamując wzburzenie.

— Na autach jest do diabła flaszek. Pokaż no ją.

Wyszarpnął mi rzemienie i prowadził powoli, posmutniały.

— Mój Boże, raz dwa to idzie...

A klacz szła za nim posłuszna jak pies.

Na podwórzu przed szkołą, gdzie obrałem kwaterę, stał Jerzy tłumacząc coś uciekinierom. Nagle jakaś dziewczyna przebiegła przez drogę. Uderzyła obejmując Jerzego, jak fala wbiegająca na brzeg. Zdawało mi się, że przez płaszcz żołnierski i jej rudawy dżemper spotykają się tylko ciała sprężyste i gorące. Poznawałem ją. Czarne włosy, zczesane z czoła odważnie i śniada cera.

Ukłuło mię w piersi. Co byłbym dał, by ciebie, Mario, tak na chwilę wyłowić z tego tłumu uchodzących, na jeden mocny uścisk, na jedną krótką rozmowę pełną uśmiechów i pocałunków. O jakżebym świadomie umiał te minuty wykorzystać! Zazdrościłem mu.

— No to zgadzasz się, kochana, zgadzasz się, — powtarzał pijany radością.

— Ale to już, bo jak mam długo czekać, to mi twoje słowo wystarczy.

— Wituś — wołał na mnie — chodźże... Jesteś mi strasznie potrzebny. Ewo, to nasz porucznik.

— Ależ pamiętam pana, — uśmiechnęła się, podając mi rękę.

Musiała w moich oczach dojrzeć sympatię, może coś więcej, co zawsze zalśni w zdrowym, tęskniącym mężczyźnie na widok młodej dziewczyny.

— Chcielibyśmy pana na świadka, chcemy ślub zaraz...

I ujmując nas pod ramiona, opowiadała o wyjeździe z matką, o tym jak się wczoraj zgubiły. Jak matka odjechała obcym autem. Nawet o tym, że w woreczku na szyi ma połowę jej pieniędzy i skromną, pamiątkową biżuterię.

— Kiedy tak, to masz tu prezent — powiedział ponuro Wodnicki, podprowadzając mu Lotną.

— Co, rotmistrz?

— A tak.

— Dziś on, jutro ja, co komu sądzone. — Ale już otrząsnął się ze smutku.

— Ewo, czyś widziała kiedy takie cudo? Jestem taki szczęśliwy! Taki koń i ty, taki koń i ty — szalał, plącząc palce w suchej grzywie.

Spojrzała na mnie porozumiewawczo. Była trochę dotknięta tą kolejnością.

— Nie znam się bardzo na koniach — zaczęła ostrożnie.

— Ależ tu nie trzeba znawcy — wybuchnął, ściskając ją za przegub — wystarczy mieć oczy otwarte i trochę poczucia piękna.

— Idziesz z nami? — zwróciłem się do Władka.

— Chyba dacie sobie radę beze mnie, muszę się Lotną zająć — wykręcał się, odprowadzając klacz ku kwaterom.

Bałem się, by im nastroju nie zamącił widok poległych, ale zwłoki już były uprzątnięte. Rotmistrz leżał w kaplicy, w potężnym trumnisku, rekwizycie nabożeństw żałobnych. Ta sama kulawa dziewczynka układała naręcza astrów, które jej podawał plutonowy Latoń.

Ksiądz nie robił trudności. Spowiadali się króciutko i nie wiem czy bardzo byli przytomni, gdy wiązał im dłonie stułą i kazał powtarzać słowa przysięgi. Potem przeszliśmy do zakrystii. Zawołałem Latonia. Kazałem mu podpisać akt.

Przekrzywiając głowę, uważnie kładł po chłopsku litery swego nazwiska. — Franciszek Latoń.

Dotknąłem go dłonią.

— Niech pan napisze — wachmistrz, zamiast — plutonowy.

— Ale czy mam prawo?

— Zostawcie to mnie — obruszyłem się. — Ja się tym zajmę.

— O tak, to dużo lepiej wygląda — powiedział, czule podnosząc dokument.

— Dużo szczęścia — życzyłem im, ale było we mnie bolesne zapytanie — dlaczego to wam się tak po myśli ściele, dlaczego wam...

— No, teraz pocałujcie się — szczodrze nawoływał Jerzy. — Witek jest moim przyjacielem, chciałbym, żebyś go też pozyskała...

Nachyliłem się by dotknąć wargami jej policzka, ale ona wykręciła się przekornie i pocałowała mnie w usta.

Przed kościołem zadudniły jaszczyki i poczęła walić piechota. Wzywano mnie do sztabu. Jeszcze raz szepnąłem — dużo szczęścia — tak, jakbym się i swego wyrzekał, jakbym im to swoje dokładał. Powoli odchodziłem, pełen nierozumnego żalu.

Dzień był upalny i krótki. Piechota płynęła nieprzerwanie. Lasy okoliczne wyrzucały z siebie całe pułki, aż nie do wiary było, by taka masa mogła ulegać. Kazało to przeczuwać jakieś złowrogie potęgi, jakieś straszliwe moce, które zmuszały te tysiące do spływania na wschód.

Wieśniacy stali wzdłuż drogi, podawali chleb, wodę w cebrach, gotowane ziemniaki. Nie było czasu na spoczynek. Oficerowie przynaglali. Huczące bokami działa i niebo zaćmione od pożarów, wskazywały przesilającą się bitwę. Już o czwartej słońce osunęło się, powietrze złagodniało, ale zmierzch był długi i ciepły. Studnie były wyczerpane do dna. Żołnierze łamiąc szeregi wbiegali w staw po kolana, czerpali wodę hełmami, pijąc chciwie. Zdawało się, że jakiś nieugaszony płomień ich przepala, bo woda opadała w oczach, aż się pokazał krajami czarny szlam, woniejący zbutwiałymi liśćmi.

Baby wynosiły im teraz ledwo otartą z ziemi marchew i chrzęszczące w zębach karpiele.

Jakaś kompania przechodziła śpiewając. Ludzie, kobiety, które tu na próżno szukały schronienia, a zgodnie z rozkazem jeszcze przed nocą miały być usunięte głębiej na tyły, teraz wybuchały płaczem. Zdawało się, że ze śpiewem powraca nadzieja i wiara w naszą moc.

— Wystarczy tak ze dwie kompanie, niech chodzą po wsiach i śpiewają, a wszyscy będą pewni, że zwyciężamy — powiedział rezerwista z ręką na temblaku, któremu oddałem resztkę papierosów.

Cały dzień trzymano mnie przy sztabie. Chciałem, by za wszelką cenę konie wypoczęły. Zostawaliśmy więc, by od tej chwili obejmując działania opóźniające — zatrzymywać następującego wroga, który na pewno nocą, a najdalej rano będzie próbował przeszkodzić temu wielkiemu manewrowi.

Jerzy przysyłał po mnie kilka razy. Gdy wreszcie złapałem chwilę dla sie-

bie, zapadał już zmierzch senny i cichy. Harmonia niosła się daleko, krzykliwy śpiew i wiwaty wybuchały raz po raz. Ogolony, ze świeżym żabotem, z włosami ulizanymi gładko — czułem jakieś odświętne odprężenie.

Kierownik szkoły przejęty nalewał wódkę do szklaneczek. Goście siedzieli gęsto, dużo było mundurów. Jeszcze nie rozpoznawałem ich w powietrzu pełnym dymu przesyconego czerwonym oparem zachodu. Na mój widok podniosła się radosna wrzawa i Wodnicki podbiegł do mnie z butelką.

— Dawać tu większą — wołał — no nie wykręcaj się, musisz nas doganiać! No, łykaj zdrowo!

Wcale nie miałem zamiaru odmawiać.

— Zdrowie państwa młodych — zawołałem, wychylając do dna.

Wódka paliła gardło. Posadzili mnie na honorowym miejscu, gdzie rozwalał się jakiś major w rozpiętej bluzie. Uderzał pięścią w stół, bo nie bardzo chciano słuchać jego horoskopów. Mnóstwo medali brzękało, zwisając mu z piersi. Ewa była już udręczona brakiem samotności, tym gwarem, zwłaszcza, że wódki było w bród, a zagryźć nie bardzo czym, więc twarze się świeciły i mętniały spojrzenia. Zabawa się robiła coraz bardziej demokratyczna, bo i podoficerowie, potem ułani wciskali się do izby, zwabieni poczęstunkiem i harmonią. Drugą salę uprzątnięto w mig, spiętrzając ławki, zaraz znalazły się dziewuchy i zahuczała wściekła, porywista poleczka.

— Warta grzechu dziewczynka — nachylił się nade mną Wodnicki — ma szczęście chłopak...

— Jestem taka zmęczona — szeptała Ewa, próbując się wydostać zza stołu.

— Niechże nas pani samych nie zostawia — skomlił major, obejmując ją poufale.

— Pani kierowniczka już ściele łóżeczko — zaczął konfidencjonalnie Wodnicki — czyste prześcieradełka... Nie wiem, czy to nie będzie dla was krępujące.

— O nie — roześmiała się zuchwale, ale czułem, że jakoś zewnętrznie stwardniała.

— Jak widzę, to macie panowie przed nocą większą tremę ode mnie.

Potem: — Pomóż mi się wydostać — rzekła prawie rozkazująco, więc uwolniłem ją, wyprowadzając przed dom. Chałupy były bez świateł. Jeszcze szczyty drzew różowiały i krzyże na wieży migotały jak z płomienia. W dole, u stóp, w gęstej kurzawie chrzęściła ciągle rzeka zbrojnej piechoty.

Ani się obejrzałem jak mi ją Jerzy zabrał. Byłem sam. Jacyś żołnierze wpadali do sieni, prosząc o chleb i mleko, ale nic już nie było, dostawali tylko szklaneczkę wódki i znowu powracali w czarne zwoje zsuwających się kolumn.

— Panie poruczniku, jest miód — wrzasnął ktoś z sadu radośnie. To dwaj ułani, włożywszy maski gazowe, okręciwszy głowy kocami, rozbili pasiekę za domem.

— Miód! Miód! — usłyszeli ci w izbie. Okno otwarło się z trzaskiem, czułem prąd gorącego powietrza — ostrą woń spoconych ciał, mundurów, rzemieni i zgrzanych tańcem dziewcząt.

— Dawać go tu, dawać ten miód — krzyczano.

Kierownik skoczył do piwnicy i wyniósł całą konew. Tłoczyli się wszyscy wokół niego, niecierpliwie brzękając w menażki.

— Do ogonka panowie, za porządkiem — pobekiwał zataczając się major.

— Nie przejmuj się nim. To jeden z tych co włożyli mundur, żeby im było łatwiej wyrywać, legionista, ma hurtownię tytoniu w Krakowie.

Spadała ciężka noc. Od wódki mi w głowie pojaśniało. Siadłem pod oknem. Zachłystywała się harmonia. Teraz po wyjściu państwa młodych nie liczono się z niczym. Wysokie piski tłamszonych dziewcząt tylko rozjuszyły ułanów. W ciemności gęstej, jakby nasyconej pyłem, przewalały się całe kłęby w tej izbie wśród ciężkiego szurania butów i brzęku ostróg. Czasami jakieś pary wymykały się w sad.

Wniesiono lampę. Mało rozjaśniała, złotawym, lepkim światłem kołysząc pod sufitem.

W dole dudniło ciężko stąpanie uchodzącej piechoty.

Jakiś żołnierz wynurzył się z ciemności.

— Jeść! — zawołał — dajcie jeść!

Stał tak oparty na karabinie; widząc, że w wichurze tańca nikt jego głosu nie słyszy, postąpił krok naprzód, zawahał się, nie miał naczynia, więc zawinąwszy rękaw zanurzył dłoń po łokieć w konwi i oblizując lepką słodycz, zapadł się w bełkocącej dołem fali odwrotu.

Noc nie dawała orzeźwienia. Objąłem głowę ramionami. Turkot i marsz, bieg ostateczny tego olbrzymiego stada, rżenie koni i tępe głosy zduszonych kurzawą stąpań — napełniały mnie smutkiem. Tu obok, okryci zmierzchem, po krzewach, te szepty i chichoty. Czułem jak pod dłonią serce pulsuje równiutko, jakby nigdy nie miało ustać.

Nie widziałem czy ktoś koło mnie przechodził. Nie pojmowałem bezmiaru spraw, byłem okruchem, pełnym tęsknoty i cierpienia, unoszonym wraz ze wszystkimi w tę burzliwą, wojenną noc.

Śpiewka buchała pijacką rzewnością. Zawodziła harmonia. Ściskałem skronie rękami, prawie prosząc — nie myśl, no nie myśl... Nachodziły mnie tkliwe obrazy spotkań z tobą, Mario. Twoje oczy chłodne, zielonawe, jak wiosenna woda pełna tającego śniegu. O jakże czułem się samotny i opuszczony. Na próżno mówiłem sobie — przecie czeka... Rotmistrz sztywny pod kocem, konie, bieg, gałęzie i ciemna smuga w łubinie, szlak zgaszonej rosy... I nagle dzikie pragnienie posiadania cię raz jeszcze, zanim się zamknie nade mną zamierająca darń. Skoczyć między ten trący się w półmroku tłum, wybrać którąś z tych dziw bujnych, gorących... Wszystko jedno którą, wszystko jedno... Ta noc, ta parna noc... O Mario pragnąłem cię tak, jakby w białym ciele kobiecym było wybawienie i osłona.

A jednak nawet nie podniosłem głowy. Światło mazało się jak złota oliwa po twarzach. Piechota w dole cichła, mrucząc powoli. Płomienie we mnie opadały,

skręciłem głowę, opierając skroń o ścianę. Byłem pełny gorzkości, jak skrywanego płaczu.

Gdy jednak dźwignąłem czoło zobaczyłem, że na drugim końcu ławki siedzi dziewczyna. Tak, była to ta sama kulawa dziewczynka, która astrami nakrywała zwłoki rotmistrza. Siedziała zasłuchana, z rozchylonymi ustami. I nagle poczułem dla niej ogromną czułość. Młodziutki księżyc zasrebrzył się nad dachem. Dotknąłem jej policzka. Lśnił cały. Płakała. Wtedy podniosłem ją lekko. Oparłem sobie o piersi. Och, nie mogła mieć więcej jak piętnaście lat. Nachyliłem się ku niej. Podała mi usta poważnie, w skupieniu, z przymkniętymi oczami.

— Bądź spokojna — szeptałem — nie masz im czego zazdrościć. Nie wiem czy rozumiała, ale w tej samej chwili uwalniałem się sam. Serce miałem pojaśniałe nagle i uciszone. Staliśmy tak chwilę oparci o siebie. Miesiączek nad dachem pomigotał i zgasł. Na ustach miałem jej dziecinne wargi, pełne gorzkawej świeżości.

Nagle w izbie zaczął się tumult i major ryknął basem: — Won! — potem jeszcze raz, głośniej — poszedł won!

Puściłem ją powoli. — Idź spać — szepnąłem, a potem, by choć w tym jednym sercu zostawić jakiś ślad, dodałem — pamiętaj o mnie...

Skinęła głową posłusznie.

— Będę pamiętała — westchnęła, w oddechu jej drżały niedawne łzy. — Będę pamiętała — powtórzyła odchodząc, jak przysięgę.

Wszedłem do izby. Major szamotał się z jakimś cywilem.

— Tylko licz się ze słowami — krzyczał tamten — ja też jestem oficerem!

— Co wyrabiacie — zawołałem. — Zaduch był gniotący, działał na zmysły. Zapulsowało mi w skroniach. — No co chcesz?

Puścili go. Harmonia sapnęła i zgasła.

— Czy jest tu jakiś dowódca, — wołał w tej pełnej napięć ciszy — jakiś trzeźwy dowódca?

— Jestem.

— To czy pan wie, że mi tam walą pod konie szczery, nieomłócony owies, na ściółkę im trza... Jakem im grzecznie uwagę zwrócił, to mnie za drzwi wykopali, z własnej stodoły! Cóż to jest? Zwycięska armia w podbitym kraju?

— Milczeć! — huknął major — dobrze robią. Trzeba za sobą wszystko palić, żeby Niemcom w łapy nie wpadło.

— Prowadź pan, ja ich uspokoję.

Przypatrzył mi się nieufnie.

— Czy oni pana usłuchają? Rany Boskie, tyle dobra zmarnować, to tak jakby już po was nie miało Polski być!

W dole wciąż szła piechota. Skrzypiały rzemienie, zgrzytał piach pod taborowymi wozami, dudniły kuchnie prószące czerwonym żarem. Gdy jakiś koń zarżał, odpowiadały mu wszystkie nasze, rozlokowane po stodołach. Poskromiłem ułanów. Noc już była głęboka, choć godzina niepóźna. Sprawdziłem służbowych. Byli na miejscach.

Konie nasze stały niespokojne. Skubały pełne kłosy z sąsieków. Chciałem się wdrapać na legowisko, ale ułan mnie ostrzegł, że już tam leży pan podchorąży z żoną i zakazał tam więcej ludzi wpuszczać.

Więc wyszedłem na ogród i siadłem na kieracie. W tym kręgu wydeptanym ze słomy i mierzwy odgrodzony od świata, splatałem ciasno dłonie — próbując się modlić. Ale niski głos podtrzymywany harmonią, niósł się zadzierżyście:

— Stara bába, chyc, chyc!
kazała se wystrzyc,
kazała se wygolić,
by się lepiej — hej! hej!

I nagle przemożny żal zdławił mi gardło. — Czy ty będziesz czekała? Czy będziesz pamiętać? Tam ci bohaterscy obrońcy Warszawy także pragną przed zgonem, jak każdy z nas pragną...

Czemże była ta chwila pełna szyderczej muzyki? Ku czemu mnie ta ciemna noc, pełna aromatów jesieni, wiodła?

Piechota wciąż staczała się w dole.

— A jednak — błysnęło mi — poszli spać do stodoły...

— Virgo intacta — coś szepnęło koło mnie.

— A jednak leżą teraz na derkach pełnych zdrowego końskiego odoru...

— Virgo intacta — szeptało, — Virgo intacta...

— Dasz ty mi spokój — tupnąłem nogą. Ustąpił. Ucisk na sercu zmalał. Zaciągnąłem rzemienie, przesunąłem rewolwer.

— Dlaczego bym się nie miał przespać w waszym ślubnym łożu? — uśmiechnąłem się do tej myśli. Przeciąłem podwórze. Ułani siedzieli pod domem z dziewczętami, ręce mieli posplatane. Jak umówieni nie wstawali, udając że mnie w ciemności nie poznają.

Zdawało mi się, że to coś stąpa za mną, aż się obejrzałem.

Ten z harmonią grał jeszcze, ale tak sam sobie, sciszony, bo taniec ustał.

Poruszyłem klamką. Było zamknięte.

— A bo my to tak — wykładał major. Łaził po pokoju rozbierając się zwolna. Słyszałem jak ciskał resztkami rynsztunku. — A bo my to tak... jak tylko Polska nastała, to kto był cwany, to jak ją chycił za cycki, to mu przez dwadzieścia lat mleko do gęby ciekło... A jak się kto na miłość dał nabrać, od dupy strony zachodził, to mu i gówno w garści zostało!

Stanąłem nagle w płomieniu. Naparłem na drzwi. Nie puszczały. Gadał dalej z pijacką powagą. Chciałem wedrzeć się tam i skuć mu mordę, skuć tak, żeby...

Zdawało mi się, że tej nocy oprowadza mnie coś, co chce mię nasycić trucizną smutku, ukazując straszliwą płonność każdego czynu, porywu, każdej myśli i ofiary.

— Idź, broń dla nich, — szeptał, — warto, za taką Polskę warto...

— O Jezu — jęknąłem zaciskając pięści — o Jezu, ulituj się!

Powoli zawróciłem. Na progu zatrzymałem się zaskoczony ciszą. Żołnierze wtopieni w noc milczeli, nadsłuchując. Chrzęst w dole ustał. Piechota przestała przepływać. Tylko wzburzony kurz wisiał pod migotaniem gwiazd. Było cicho aż dzwoniło w uszach. Zeszedłem ku drodze, powietrze było jeszcze pełne woni uznojonych ciał, rzemieni i koni.

Skręciłem ku sąsiedniej stodole. Jakiś ciężki od rosy chwast obijał mi się o nogi. Tu była kwatera Wodnickiego. Upadłem nie rozbierając się. Zapadałem w gorączkowy sen z twarzą zanurzoną w zapachu słomy i zeschłych zbóż. Byłem nareszcie wolny. Próba była poza mną.

Rano, zgodnie z rozkazem, opuściłem wieś. Gdy w świeżości poranku poczułem między udami twarde rzemienie siodła i sprężyste boki klaczy, przepadły wszystkie nocne strachy.

Podchorąży Wodnicki z podejrzliwą ciekawością przyglądał się Ewie.

— Ty, — trącił mnie butem w strzemię — nic po niej nie znać...

— A co byś chciał, żeby miała na czole napisane — wzruszyłem ramionami, kłusując naprzód. Uchodźcy stali przed chatami. Powiewali rękami, kobiety znaczyły krzyże błogosławiąc nam. Ta mała, kulawa dziewczynka podeszła z pękiem astrów. Chciała mi je podać, ale Jerzy oddzielił ją Lotną i odebrał kwiaty.

— To nie dla ciebie! — krzyknęła. Potem widząc jak salutuję, jej — właśnie tylko jej, pojaśniała od szczęśliwego uśmiechu.

Przypinaliśmy do mundurów te astry, amarantowe ze złotymi okami, a cały pęk Wodnicki rzucił na wóz Ewie. Płonęły tak bezwonne, jesienne, póki nie zgasił ich kurz dymiący spod kopyt.

Po pierwszych kilometrach stanęliśmy. Zeskoczyłem z konia, podciągnąłem popręg, — wtedy moja Wrona wyskubnęła mi kwiat i zmięła w aksamitnych, chwytnych wargach.

Odwróciłem się. Wioski nie było już widać. Niebo nad nami wysokie i spopielone.

— Moja mała — pomyślałem — nawet nie znam twego imienia.

Okolica robiła się coraz bardziej falista, a ciemne plamy lasów zbiegały ku drodze. Samoloty krążyły gdzieś na niezmiernych wysokościach, budząc niepokój powolnym, uporczywym bzykaniem. Daleko, bardzo daleko gadały armaty.

— Witku, mam do ciebie prośbę — powiedziała Ewa, odciągając mnie na bok.

— No, co chcesz?

— Proszę, zrób to dla mnie, oszczędzaj Jurka

Widząc, że się śmieję, też się uśmiechnęła. — Czy powiedziałem co głupiego — zapytała — przecież to tylko od ciebie zależy...

Jak teraz pomyślę o tej rozmowie w gorące popołudnie, gdy niepojone konie niechętnie skubały siano, a z krzaków dolatywał brzęk menażek i swąd przy-

palonej kaszy... O mój Boże, gdybym był mógł przewidzieć, gdybym wiedział...

— O towarzysze walk! Kochałem was przecie, nie możecie się teraz wyprzeć...

O godzinie czwartej „skończyła" mi się mapa. Dalej posuwaliśmy się wyraźnymi śladami uchodzącej dywizji. Dokoła był spokój pełen oczekiwania. Byliśmy ostatni. Motocyklista, który przywiózł nam rozkazy, dorzucił oglądając się niespokojnie, że w sztabie mówiono o wielkim oskrzydlającym nas uderzeniu, dlatego mamy porzucić główną oś marszu i przesunąć się polnymi drogami bardziej na południe. Goniec też był bez map. Podał mi tylko nazwy wiosek, przez które mieliśmy przeciągać, wypisane ołówkiem na odwrotnej stronie pudełka papierosów. Pożegnał nas z wyraźną ulgą. Gdy skręciliśmy kłusując po zrudziałych, wypalonych upałami miedzach, widziałem jak wyskakiwał, to staczał się po garbach szosy. Czy było znowu gorzej? Zadzierżystą pewność siebie mąciło mi zwątpienie, że nie ogarniam całej sytuacji, że podano mi jedynie tylko część wiadomości, przemilczając to wszystko, co mogło nas zaniepokoić.

— Cóż się tak smęcisz — zawołał Jerzy, podjeżdżając blisko i łaskocząc mi astrem koniec nosa. — Nie wiesz, wodzu, dokąd nas prowadzić — szydził dobrodusznie. — Może zrobimy triumwirat?

— Właśnie, że wiem, — odpowiedziałem wskazując ręką kierunek, potem podsuwając mu pudełko dodałem — do gromady Sobótki. Zapalisz?

Bezmyślnie sięgnął po papierosa. Oczami błądził daleko. Szczęśliwy uśmiech jak u śpiącego dziecka tlił mu w kącikach warg. I takim go zapamiętałem.

Żar mimo popołudnia tężał. Wstawał powoli wzburzony kopytami pył gęsty a niewysoki. Konie szły opieszale, ich boki spotniałe grzały nam uda. Milczeliśmy senni, chrzęścił tylko rynsztunek i skrzypiały wozy.

Dwa pociski przeniosło nad nami. Kończyły lot sciszonym szumem. Ciepłe tchnienie przeszło po czołach i dopiero czarne kłęby dymu, iglaste od pękającego żelaziwa obudziły niepokój. Drugie dwa poszły trzysta metrów dalej, ale jakiś odłamek poniósł aż ku nam grając jak fletnia. Konie zaczęły się płoszyć, zrywały się w drobnym, nerwowym kłusie. Obejrzałem się. Ułani widząc, że się uśmiecham, ściągali wodze. Byłem pewny, że to nie nas miano na celu. Daleko na prawo z zarosłych rowów wylatywały w górę całe krzewy. Ogień niepokoił zmianami.

Pasmo wzgórz wydało mi się niezłym ukryciem, bo droga schodziła w wąwozik, a dalej dźwigała się fałda porosła wysokimi sosnami.

Teraz zobaczyliśmy biegnących. Machali zgiętymi ramionami jak marionetki. Gnali porozpinani, z twarzami fioletowymi i obrzękłymi. Jakiś podoficer sadził przez kartofliska, ciężko pracując ramionami, jakby powietrze stawiało mu specjalny opór.

— Dokądże ci tak pilno chłopczyku, — zapytał niedbale Wodnicki zajeżdżając mu drogę. Ale tamten pokręcił tylko głową, błysnął wybałuszonymi oczami i leciał ślepo dalej.

Nie było żadnego widocznego niebezpieczeństwa.

— Stój, kapral stać! — wrzasnął Władek, prawie przewracając go koniem. Podoficer złapał go za cholewę, oparłszy czoło o bok klaczy, dyszał ze świstem. Mimo śliny ciekącej z ust, nie mógł dobyć głosu z wyschniętego gardła.

— Co wam się stało? Czego wiejecie? — zapytałem podjeżdżając.

— Niemcy! — chrypiał. — Niemcy idą... Próbował się teraz odepchnąć i wymknąć pod końskimi łbami. Kilku ułanów zaśmiało się. Ale już Wodnicki cucił go, przykładając mu lufę do karku. Kapral zesztywniał. Teraz raczej udawał jeszcze strach, przewlekał pozorną niepamięć — czułem, że ma już dosyć walki. On chciał tylko uciekać.

— Otoczyli nas, — bełkotał, — bili z armat, wszyscy się rozlecieli...

— Puśćcie... — prosił krzywiąc wargi podobne do sinych gąsienic.

Pociski armatnie wybuchały zrzadka, ale któryś mógł wreszcie trafić. Nie było sensu tkwić tak gromadą na środku ścierniska.

Ruszyliśmy kłusem. Szło to, czego obawiano się w dowództwie grupy, uderzenie oskrzydlające.

— Jerzy, — powiedziałem zeskakując z Wrony na skraju wzgórz. — Bierzcie oba plutony i walcie według rozkazów. Ja tu spróbuję ich przyhamować. Potem cofam się za wami.

— Nie odstawiaj bohatera, — obruszył się Wodnicki — zostaniemy z tobą.

— Podchorąży zapomina, że to ja wydaję rozkazy — powiedziałem twardo. Był wyraźnie dotknięty, więc próbowałem załagodzić. — Jak już wy nie będziecie słuchać, to wszystko się rozlezie, zresztą macie tabor i Ewę. Natarcie idzie szerokim frontem, tam może będziecie potrzebniejsi.

Oddałem mu pudełko z nazwami wiosek. Obaj byli urażeni.

— Jazda! — powiedział Jerzy, — rozkaz, to rozkaz, niema o czym gadać. Niemców i dla nas wystarczy...

Rozwinąłem pluton na skraju między krzewami w festonach szkarłatnych jeżyn, zwarzonych upalnym wrześniem. Górą rzadkie sosny świeciły jak strzeliste, łagodne płomienie. Konie już odprowadzono do tyłu. Coraz nowi żołnierze nadbiegali, witani przez zaczajonych ułanów drwinami i gwizdaniem. Ogień armatni niedbale, skokami rwał ścierniska.

Piechurzy dopadali z ulgą naszej linii. Dysząc walili się w suchą, zjesieniałą trawę. Dopiero po długiej chwili wyrzucali ze siebie przeżytą trwogę i wściekłość. Powoli odtwarzałem z tych strzępów obraz rozbicia. Byli zapóźnieni, kompania, zlepek maruderów, pod dowództwem oficera, który się skądś przybłąkał. W chwili ataku oddziałów szturmowych rozproszeni kradli po chałupach i otrząsali w sadach ostatnie owoce.

Żołnierz utrudzony marszem, głodny, zgnębiony przewagą ognia, właściwie pozbawiony dowództwa, bo po pierwszych strzałach oficer zgubił im się między zabudowaniami — nie mógł się oprzeć sytym, wypoczętym, podwożonym autami SS-manom. Po pierwszych granatach, błądząc w dymie płonących chałup — zaczęli dziką, bezładną ucieczkę, która trwała dotąd.

Żołnierze jeszcze nadbiegali.

Było to prawie zabawne leżeć tak wypoczywając w ukryciu, gdy rzadkie wybuchy wichrzyły dymami miedze. Jakiś piechur wyskoczył z rowu, obejrzał się dokoła, przystając na moment. Nie widział nas. Jednym ruchem strząsnął z ramion plecak z przytroczonymi kurami, odrzucił karabin — i witany głośnym śmiechem, zatrzymał się przed krzakami. Potem z ulgą, słysząc głosy polskie, przelazł ku nam. Musieli mu tam moi chłopcy coś przyłożyć, bo po chwili chyłkiem zawrócił po zrzucony rynsztunek.

Wreszcie ogień ustał. Daleko dopalała się wioska. Dymy w nieruchomym powietrzu tkwiły czarne, materialne, jak dźwignięte w groźbie pięści. Pomimo bliskości wroga ogarniała mię senność. Nie byłem pewny, czy postąpiłem słusznie rozdzielając szwadron. Mimo, że rozkaz wytyczył drogę wyraźnie, nie mogłem uciszyć wątpliwości. Tak, byłem gotów zapadając w zasadzkę walczyć, nawet ginąć za towarzyszy, a jednak u dna mych poczynań tkwiła pycha. Obaj podchorążowie byli dotknięci tym, że ich usuwam, osłaniam przed niebezpieczeństwem. Chciałem pokazać im, ujawnić, oprócz przywiązania, którego się wstydziłem, całą swą siłę i pewność. Przez walkę podjętą samodzielnie, próbowałem odzyskać autorytet i przewagę nad nimi, którą przez koleżeńskie zżycie utraciłem. Bez dystansu nie można mieć bezwzględnego posłuszeństwa, a bez tego niema dowódcy, pomyślałem, powtarzając słowa rotmistrza. Potem westchnąwszy głęboko, przymknąłem oczy.

Ale nim uniosłem je, minęło blisko pół godziny. W ustach miałem smak metalu, głowa chyliła mi się pod ciężarem rozpalonego hełmu. Otarłem ziarna piasku i kilka igieł sosnowych przylepionych do policzka. Zielone, pawie blaski topniały powoli w źrenicach.

— Leją tam zdrowo, — zamruczał nie bez podziwu Latoń. Teraz zobaczyłem, że wszyscy posiadali, wpatrując się w wyrąb między dwoma ścianami lasu. Trzy, cztery, liczyłem samoloty, w miarę jak wyskakiwały zza konarów i zatoczywszy koło pod siwym obłokiem, spadały na niewidoczną zdobycz. Gdy błyskały skrzydłem z jasnego metalu pikując ostro, zaczynały terkotać karabinami maszynowymi, długie serie pocisków wjeżały się w ziemię jak miedziane druty.

— Musieli jakieś tabory wymacać, — odpowiedziałem. — Żadnej obrony nie słychać.

Daleko spopielałe niebo kipiało od ognia. Nagle pomyślałem o naszych. Przez mgnienie mdłe uczucie strachu ścisnęło mi trzewia. Ale nie, pojechali przecież prosto na wschód. Jesteś stanowczo za wrażliwy, zbyt dużo w siebie się wgłębiasz, to musi rozkładać, myślałem. Dowódca powinien być prosty. Nie dane mi było długo się zastanawiać.

— Niemcy! — krzyknął ktoś w krzakach.

Pierwsze motocykle pokazały się przed nami.

— Muszę ich od siebie odsunąć, — pomyślałem o obu podchorążych. Potem, głośno, spokojnie jak na wykładzie objaśniałem żołnierzom plan zasadzki.

Niema tu co dużo gadać. Wyglądałoby to na przechwałki. Po prostu udało nam się. Kule strzępiły płachty na obu porzuconych autach. Kilkunastu Niemców leżało w zbielałej od kurzu przydrożnej trawie. Ścigani naszym ogniem, wycofywali się szybko, nie próbując oporu. Patrol został zniesiony.

Ułani nie mogli pojąć, dlaczego każę im podprowadzić konie. Głośno, burzliwie gestykulując, przechwalali się celnością strzałów. Kilku odważniejszych skoczyło, by przeszukać auta. Ale już nad nami wykwitał różowy goździk rakiety. Wiedziałem co po tym nastąpi. Słońce przechyliło się, pnie ociekały czerwonawym złotem. Z pierwszym granatem rwącym korony drzew, odjeżdżaliśmy. Zadanie było spełnione bez strat.

Teraz radość walki, chełpliwe poczucie siły rozbudzone zwycięską potyczką, zapieniło się na wargach piosenką. — „Ułani, ułani malowane dzieci..." — niosło się daleko, choć grzmot armatni uderzał w opuszczone wzgórza ciężkim dudnieniem, jakby za nami padały wywalane bramy.

Słyszałem, żołnierze chwalili mnie, rzucali półgłosem uwagi, z wyraźną intencją, by do mnie dotarły. Zadowolenie błyskało w oczach i odsłoniętych w uśmiechu zębach. Syte, otępiające zadowolenie było i we mnie. Czułem rosnącą przewagę. Postanowiłem nic nie wspominać o sukcesie, raczej go zbagatelizować. Gdy się od podoficerów dowiedzą, to zrobi większe wrażenie. Umacniałem się w masce programowej, wyrachowanej skromności.

Gdyśmy wyjechali z kotlinki, droga skręciła ostro na południe, prowadząc skrajem lasu. Potem zatoczywszy półkole, wbijała się w następną fałdę porosłą brzozami.

Nie chcąc zostawiać samych niedobitków zebranej piechoty, musiałem wlec się noga za nogą. Dla pewności kazałem zabrać Latoniowi paru ludzi i skoczyć przodem. Mieli rozejrzeć się i zatrzymać resztę szwadronu.

— Rozkaz panie poruczniku — odpowiedział, zwracając ku mnie wygoloną, brunatną twarz. Spojrzenie miał ufne i skupione, tak jakby się żegnał z rotmistrzem.

Wyprostowałem się zarozumiale.

Wlekliśmy się dalej. Powietrze było gniotące. Upał zamiast słabnąć wzmagał się. Śpiew powoli dogasł. Jeźdźcy porozpinani, z kaskami przytroczonymi do pasa, ocierali, dysząc ciężko, pot ściekający z czół. Kurz wzbity przejściem piechoty pudrował twarze.

W milczeniu doszliśmy do wąwozu. Konie zwieszały spragnione łby. Powietrze było duszne i oleiste. Zdawało się, że skwar południowych godzin miał tu swe nienaruszone żadnym powiewem zlewisko. Niskie słońce kładło rozpalone blachy. Konie niechętnie zanurzały się w płonące luki między drzewami. Upragniony cień nie dawał ulgi. Brnęliśmy w gęstej woni żywicy, zakurzonych traw i igieł.

Latoń zjawił się nagle przede mną. Nie odpowiedział na mój uśmiech. Twarz miał jak z kamienia, twardą, zżółkłą i zamkniętą.

— Cóż to wam za tę chwilę wąsy wyrosły — zażartowałem, widząc jak na górnej wardze ciemne krople rozwijają mu się powoli.

Odruchowo otarł twarz dłonią, rozmazując smugę aż na policzek. To była krew.

— Lotna mnie obaliła — powiedział. Potem podnosząc głowę krzyknął mi w twarz:

— Szwadron rozbity!

— Co gadasz — zawołałem nachylając się w siodle, ale gdy wyszeptał — samoloty — uderzyłem Wronę ostrogą, ruszając z miejsca galopem.

Od zakrętu las wspinał się w górę, droga spadała ku wiosce głębokim wykopem, którego strome ściany świeciły rudym piachem i żwirowymi osypiskami. Górą płonęły w zachodzie sosny. Odsłonięte korzenie jak miedziane węże wisiały wyprężone wśród łachmanów osuwającej się darni. Wszędzie było pełno nieckowatych dołów po wybuchach bomb. Niżej leżały konie. Nasze konie. Kupami. Wzdęte kadłuby, z których nie zdjęto nawet rzemieni, walały się w kałużach czarnej juchy. Dalej jak okiem sięgnąć przewalone, splątane wozy taborowe, potrzaskane skrzynie, papiery, koce i iskry ładunków karabinowych rozmiecione eksplozjami.

Chciałem lecieć ratować. Czułem własną bezradność i słabość. Co mogłem? Czy tak gwałtownie dojrzałem? Czy uległem głębokiej przemianie od chwili, gdy usta jeszcze piekące od twych pocałunków, Mario, otwarłem do krzyku komendy? Przecież pierwszy zabity mą ręką, walka, bezsenność i trud, i zwłoki rotmistrza drewniejące pod derką, i ta chwila, ta jedyna chwila burząca wszystko, gdy ostatnie krople krwi wyciekającej z poległych, martwieją na lak — nie mogłem tego zetrzeć z czoła jak złego snu. Nie, nie znałem sam siebie. Stałem w miejscu, a we mnie biły falą coraz nowe obrazy i każdy otwierał mnie głębiej, każdy uchodząc obmywał mnie i wydzierał coś z serca, aż splatałem dłonie błagalnie. Jakże mocno kochałem siebie, tego, którego każdej godziny grzebałem i odstępowałem w głębokim żalu.

Zwłoki Jerzego złożono pod szopą. Nie miał żadnych widocznych obrażeń. Klęknąłem przy nim na słomie, ująłem martwą głowę w obie ręce. Giąłem się pod przemożnym poczuciem winy. Szeptałem mu prawie w usta.

— Ty wiesz, nie mogłem tego przewidzieć...

Wtedy pod palcami wsuniętymi w jego włosy, wyczułem okruch metalu tkwiący poza uchem.

Ewa nawet nie mogła na chwilę przy nim zostać. Inni ranni wołali. A Wodnicki z przestrzelonym udem, na wpół leżąc na wywleczonych pierzynach, pilnował w sadzie kopania mogił.

Siedemnastu zabitych leżało jeden przy drugim, jak snopy wywleczone do omłotu. Płaszczami osłonięto im głowy.

— Władek — zawołałem, chwytając go za ramię.

— Daj mi spokój — odtrącił mnie szorstko. Zaczął śmigać długą wierzbową witką, odpędzając zielone, błyszczące muchy, które ze wściekłym bzykaniem miotały się nad trupami. — Trzeba pilnować, i tak już puchną... — dodał, unosząc płaszczy.

Ułani porozbierani wyrzucali gwałtownie ziemię łopatami. Słońce czerwonymi cętkami przez gałęzie jabłoni spadało na przepocone koszule.

Cofnąłem się.

— Jedenaście koni nam zostało — meldował Latoń — jedenaście koni i Lotna. Jak pana podchorążego zraniło, zestraszyła się, poniosła, dobrze, że nóg nie połamała, bo jakem nadjechał, miała tylną zaplątaną we szprychach. Żeby im ten tabor drogi nie zastąpił, mogliby się wyrwać...

Lotna. Od tego konia rozpętało się wszystko. Prawie uciekając wszedłem do stodoły. Wierzeje zamknęły się same. Siano leżało nietknięte. Klacz drżała jeszcze. Dotknąłem wilgotnej sierści.

— Lotna — zawołałem — Lotna... Poczułem nagle niezasłużoną gorycz odtrącenia. Ciężar był ponad siły. Z właściwą sobie zmiennością uległem rozpaczy i wściekłemu buntowi. Cóż ja w tym zawiniłem... Czyż jedno zazdrosne spojrzenie mogło przywołać śmierć. Jakże mocno pragnąłem rozgrzeszenia. — Tylko tybyś mnie zrozumiała, Marysiu — szeptałem z czołem opartym o szyję klaczy. Potem pragnienie wydarcia się, uwolnienia od koszmaru tej całej wojny wybuchnęło ze zdwojoną mocą. — A bodajby już raz was wszystkich ziemia nakryła — jęczałem — uciekać, ach uciekać...

Trwało chwilę nim się uspokoiłem. Ucisk w krtani pozostał. Gdy odwracałem się powoli, wrota skrzypnęły.

— Kto tam? — zawołałem.

Nie było odpowiedzi.

Byłem wzburzony, że ktoś mnie podsłuchuje. Pchnąłem drąg wychodząc na drugą stronę stodoły. Czerwono było od zachodu. Wielkie zakurzone łopuchy sterczały nieruchomo. Za drzewami szczękały łopaty. Wtem dojrzałem go. Zza stosu zmurszałych cegieł wystawały buty.

— Czego się kryjesz — krzyknąłem — wyłazić!

Podchodziłem powoli.

Siedział rozparty, plecami na belkach, z głową przechyloną. W ręce ściskał manierkę. Z otwartych ust, z manierki ulatywały brzęcząc pszczoły. Widziałem w zbliżeniu, jak trzepocząc skrzydełkami wspinały się po krzywiźnie języka, nim zapaliwszy się rudą iskrą nie zginęły w ciemniejącym sadzie.

Tak, inne pszczoły odbierały zrabowany wczoraj miód. Oto szydercza zapowiedź sprawiedliwości. Wzdrygnąłem się. Słysząc wołanie, dwóch ułanów podeszło.

— Zabierzcie go — zawołałem. Miałem czad w głowie. — Czy ten umarły podsłuchiwał mnie?

Gdy grzebano poległych, siedziałem w izbie z głową ukrytą w dłoniach. Już nie czułem bólu, tylko ogromne znużenie. Latoń, śliniąc ołówek w skupieniu, wypisywał na kawale tektury nazwiska. Nie miałem odwagi spotkać się z Ewą.

W nocy przyszły rozkazy. Pijany Wodnicki śpiewał półgłosem. Ten chłopak miał przedziwny dar, gdzie tknął palcem, tam tryskała wódka. Gdy wszedłem, by się pożegnać, przerwał na chwilę. Żółta naftowa lampa oświetlała jego mo-

krą od potu twarz. Płonął gorączką i wódką. Przyglądał mi się chwilę, potem wyciągniętej do niego ręce.

— No toś już doszedł swego, już ją masz — zaczął. Dopiero po chwili zrozumiałem, że mówi o Lotnej. Potem przykręcił knot.

— Jedziecie, co?

— Tak stary.

Wtedy odwracając się, bym nie widział jego twarzy, po której spływały łzy, zawołał niesprawiedliwie:

— Zmarnowałeś nas!

Gdyśmy odjeżdżali, zostawiając wszystkich rannych, bo nie było ich dokąd wlec, słyszałem jak śpiewał głośno, coraz głośniej, kneblując sobie tym śpiewem wargi, by nie żebrać — zabierzcie mnie! Ten śpiew żałosny, pełen dziecinnego uporu, ten głos łamiący się, zdławiony żalem, ścigał nas długo, gdyśmy ruszali, dosiadłszy cichaczem wyprowadzonych koni.

Nie wiedziałem kto burzył żołnierzy, ale była dokoła mnie wyraźna zmowa. Nie zbliżano się do mnie. Nie o takiej samotności marzyłem. Teraz już nie oszczędzałem siebie. Spychani na południe wpadaliśmy raz po raz na Niemców i tylko szarżami wyrębywaliśmy drogę piechocie. Wiedziałem, że śmierć mnie nie może minąć. Nierozumne poczucie winy drążyło mnie uparcie. Z desperacką odwagą napadałem i gdy z walki, spod ognia wychodziłem orzeźwiony, z lekkim zdziwieniem drżałem, myśląc, — cóż gorszego mnie może spotkać. Lotna, której teraz dosiadłem, była mi nieustannym wyrzutem. Ale nie był to już ten sam koń, który tak lekko nosił rotmistrza. Cały spokój jej znikł, stała się nerwowa, szum samolotu wywoływał w niej paroksyzmy szalonej trwogi. Ponosiła mimo piłowania munsztukiem, lub stawała zdębiona, bluzgając zrozpaczonym rżeniem, cała w pianach. Wtedy tylko można jej było narzucić koc na łeb, objąć ramieniem, klepiąc i przemawiając, osłaniać jak przelęknione dziecko przed szumem znienawidzonego śmigła.

Wreszcie stało się to, co musiało się stać.

Dalej już nie było się dokąd przebijać. 27 września wystrzeliłem ostatni nabój. Konie były wychudzone i poodparzane, ludzie u kresu sił. Przyparto nas do samej granicy.

Łeb bolał mnie, więc łyknąłem kilka proszków. Czułem łagodne zamącenie. Kiedy spojrzałem wstecz, kiedy pomyślałem o szczęśliwych dniach z tobą, o miłości, uśmiechałem się pobłażliwie. Czasami szeptałem jeszcze — Mario, Mario, ale nie koiło to pustki, jaka była we mnie. Imię twoje brzękało jak talizman, który utracił swą moc.

I to był kres.

Zapaliliśmy ogniska. Żołnierze siedzieli bez pasów, porozpinani, z odrzuconą bronią. Samoloty krążyły nad nami, ale żaden nie zrzucił bomb. Wyglądało to na zniewagę. Już nie liczyli się z nami. Las był dokoła wysoki, świerkowy, mroczny, ziemia zasłana zeschłym igliwiem, sucha i śliska.

Poczucie odpowiedzialności rozrosło się we mnie do rozmiarów apokaliptycznych. Byłem gotów wziąć na siebie winę za całą klęskę wrześniową. Chodziłem ze spustoszonym sercem. Te zazdrosne westchnienia stawały się w mej wzburzonej wyobraźni strzałami w plecy, prawie wewnętrzną zdradą. Nie było nikogo bliskiego, przed kim mógłbym się zwierzyć. Może wystarczyło sformułować w zdaniach, wydobyć słowami na jaw całe to samooskarżenie, by odkryć jego dziwaczną bezsensowność.

Jeden Latoń nie odstępował mnie na krok. Siedział i teraz w pobliżu, milcząc ponuro.

— Idzie pan tam — wskazał na góry — czy wraca?

— Wracam — odpowiedziałem, myśląc jeszcze o tobie, Mario.

— To dajże mi pan Lotną, teraz już panu na nic, panie poruczniku — mówił żarliwie. — To jedyny zdrowy koń...

Przystałem. Nie wiem czy minuta minęła, a już był na siodle. Rozumiałem doskonale jego miłość do tej wspaniałej klaczy. Zakłusował po ścieżce, potem skręcił na trawiasty pagórek. Radość go ponosiła. Gdy tak lekkimi rzutami wnosiła go na pochyłość, poczułem ukłucie żalu, ale je zdławiłem zaraz, szepcząc:

— Może tobie szczęście przyniesie.

Nagle klacz skoczyła szczupakiem. Latoń pochylił się, ściągając wodze. Jeszcze nie pojmowałem co ją płoszy. Rzuciła łbem, skacząc w górę czterema nogami. Potem dźwignęła się. Latoń siedział jak wmurowany. Patrzyłem bez tchu, jak przez chwilę ważyła się nieruchoma, spięta, podobna posągowi, nim zwaliła się po stromiźnie w trzasku łamanych gałęzi i hurgocie toczonego piargu.

Gnałem. Przedemną po ziemi sunął długi cień patrolującego nad drzewami samolotu. Nim dobiegłem, zeszli się zewsząd żołnierze. Wachmistrz stał nad leżącym koniem z twarzą zamkniętą i nieprzeniknioną. Lotna z oczami pełnymi jeszcze niedawnego szaleństwa, rozpaczliwie próbowała się podnieść, ale tylna noga była złamana.

— Latoń — krzyknąłem wściekły — no i coście z koniem zrobili?

Nie dał mi się nachylić, odepchnął nieprzytomnie. Twarz mu wykrzywiła nienawiść. O, musiała zbierać w nim długo, od dawna, nim ukazała się jawnie.

— Toś ty mi ją sukinsynie urzekł — ryczał. — Won, bo ubiję jak psa, — groził mi wyszarpniętym z pochwy rewolwerm. — Myślisz, że nikt nie słyszał? Wszystkich nas chciałeś się pozbyć, radbyś nas do Chrystusa wysłać!

— Latoń, coście zamroczeni — mówiłem już spokojniej, widząc, że jest bliski obłędu. — Przecież sam ją wam dałem!

— Won od konia, bo zastrzelę — ryczał. — Dałeś? Dałeś, bo ci do twojej dziwki pilno. Wyście wszyscy do dawania skorzy! A koń był już popsuty! Dobrześ chwilę upatrzył, wiedziałeś kiedy ją dać, ty, ty... — charczał, trącając mnie lufą w piersi.

Stałem jak skamieniały. Ale już poskoczyli żołnierze, ujęli go mocno pod ramiona, wykręcili mu rękę i wyłuskali rewolwer. Szamotał się ze straszną siłą furiata, potrząsając wiszących na nim ze wszystkich stron.

— Puśćcie mnie do niego, ja skończę z tym paniczykiem... Tylem ci razy skonania życzył, aleś ty mądrzejszy, nie spieszno ci pod trawnik! Miałeś dać konia... Bo koń mój! Jeszcze jakeśmy z koszar szli, to mi ją nieboszczyk rotmistrz obiecał. Ale wyście między sobą, swoje siacher, macher...

Pojaśniało mi w głowie. Więc i mnie ktoś zgonu życzył. Na zimno i świadomie. Był przy mnie, czyhał. Brałem za wierność to, co było tylko nienawiścią i żądzą posiadania.

Żołnierze stali dokoła nas ciasnym, milczącym kręgiem, nie bardzo nawet rozumiejąc. Gorycz klęski, nieufność do oficerów, kazała im wierzyć w te oskarżenia. Bali się go jednak puścić. Z wyłamanymi rękami, żyłami nabiegłymi na spalonym czole, wyglądał na dojrzałego do mordu.

Teraz klacz przestraszona krzykiem spróbowała wstać. Ostra kość przebiła skórę, błyskając bielą wśród sierści. Upadła znowu i odchylając łeb rżała żałośnie.

— Trzaby ją zastrzelić — odezwał się któryś — niech się nie męczy.

Wyciągnąłem dłoń z rewolwerem. Ale nie mogłem się na to zdobyć. Lotna znała swój los. Rżenie dobywające się z jej aksamitnych warg było pełne udręki. Wtedy dojrzałem błaganie w oczach Latonia.

— Puśćcie go — rozkazałem.

Puścili.

— Niech pan porucznik da go tu — powiedział ponuro.

Nie zawahałem się ani na mgnienie. Podałem mu. Przyklęknął i zasłoniwszy jej błagające oczy, przyłożył lufę do ucha.

Rąbałem z wściekłością gałęzie. Latoń odbierał je całymi naręczami. Osłaniał jedliną stygnące zwłoki. Żołnierze rozchodzili się powoli. Pracowaliśmy tak długo w gniewnym milczeniu. Wreszcie cała zniknęła pod zielonym żywicznym całunem.

Wtedy wsunąłem szablę między dwa kamienie i złamałem niepotrzebne ostrze. Latoń stał pochylony i pierwszy raz dojrzałem w jego twarzy ludzkie uczucie, cierpienie głębokie, płynące z ugodzonego serca. Nie wstydził się tego obnażenia przede mną.

— Latoń — powiedziałem, postępując krok.

Ale on, zawzięty do końca, odwrócił się niechętnie i zaczął wstępować za innymi żołnierzami ścieżką w stronę bliskiej granicy. Żołnierze ukazywali się, to nikli między drzewami.

Dopiero na skraju obejrzał się raz jeszcze. Wyprostowany służbiście zasalutował — nie wiem — mnie, czy Lotnej.

— Szczęść Boże — zawołałem za nim, biorąc to za znak pojednania. Ze stromizny widziałem pagóry pokryte lasem, gęstą i ciemną, balsamiczną zieloność. Dymy dogasających ognisk wzbijały się powoli, rysując jakby nachylające się tafle błękitnego jeziora.

Zacząłem zstępować w dół spokojny, wolny, prawie szczęśliwy, jak pływak, który utraciwszy siły, poczuje niespodzianie pod stopami skraj przyjaznego wybrzeża.

OD LUBLINA PO BUG

(FRAGMENT POWIEŚCI „SPRZYSIĘŻENIE")

I.

Rano obudził go alarm. Gospodarstwo całkowicie ubrani domagali się, aby zejść na dół do piwnicy czy choćby do bramy. Zygmunt udawał zucha i namawiał do pozostania, choć w istocie, zbudzony z głębokiego snu, czuł się nieświetnie. Ojciec i Irka wahali się, lecz nagle potężna detonacja, która wstrząsnęła domem od podstaw przecięła dyskusję; rzucili się do drzwi, Zygmunt na pół ubrany; w tej chwili nastąpił drugi wybuch, jeszcze bliższy — towarzyszył mu brzęk wylatujących szyb i spadających z szafy wazonów. Zbiegli na dół — w bramie było pełno ludzi o wystraszonych, zdenerwowanych twarzach. Wybuchy spadały jeden po drugim, poprzedzane złowrogim świstem: zamknięta brama dygotała z hukiem a przez jej szpary przelatywał przy detonacji silny prąd powietrza, zdolny — zdawało się — przewrócić człowieka. Jakiś staruszek modlił się głośno; Zygmunt był rozdygotany i wściekły, że oto wciąż jest w sytuacji ściganego szczura i zamiast odprężenia duchowego, którego oczekiwał od wojny i wojska, udziałem jego są stale przeżycia zapędzonego w kąt nerwowca. A może właśnie należało stawić czoło takim przeżyciom, nie ugiąć się przed nimi, może to było istotne zadanie, istotny problem, może w ten sposób trzeba zadokumentować swoją samodzielną męskość, nie zaś idąc po linii najmniejszego oporu, zgłaszać się do wojska, gdzie rutyna i dyscyplina zastępują indywidualną inicjatywę i odwagę? To była myśl do rozważenia, lecz Zygmunt odrzucił ją *a priori:* w swojej sytuacji psychicznej musiał iść do wojska — choćby nawet był to dowód słabości.

Alarm zakończył się nareszcie; powrócili na górę do zasypanego odłamkami szkła mieszkania. Wszystkie szyby wyleciały, cenne wazony i doniczki z kaktusami leżały porozbijane; ojciec spoglądał w milczeniu na tę ruinę — gospodarstwo wydawali się mocno przygnębieni; Zygmunt zresztą obserwował to wszystko kątem oka zaledwie, jak niepotrzebną dekorację; ubierał się w gorączkowym pośpiechu owładnięty swoją maniacką wprost myślą: jak najprędzej iść do wojska. Ubrany nie chciał nawet zjeść śniadania, umówił się z ojcem we wczorajszej kawiarni, zdawkowo podziękował adwokatowi za nocleg i wybiegł z domu, kierując się w stronę urzędu wojskowego. Miał tam być o 12-tej, ale

postanowił nie zwlekać ani chwili i wymóc na „rybiookim" natychmiastowe wcielenie do szeregów. Pędził naprzód roztrącając ludzi, których wyroiło się na ulicach jeszcze więcej niż wczoraj. Na niebie czerwieniły się jakieś łuny, kilka aut pędziło jak szalone, podobno paliło się wiele domów — podobno zwożono rannych, lecz Zygmunt nie zwracał na to wszystko uwagi. Wreszcie dotarł do urzędu i wbiegł na schody; tu dopiero opanowała go trema: a jeśli znowu fiasko?

Lecz tym razem szczęście mu sprzyjało; „pan porucznik", wyglądający raczej na biurokratycznego, zimnego urzędnika policji, był w biurze; przenikliwym okiem sondował Zygmunta, słuchając jego pośpiesznych wywodów, po czym bez słowa wziął jego „niebieską kartę" i zniknął z nią w przyległym pokoju. Po dziesięciu minutach, w czasie których serce Zygmunta biło jak szalone, oficer powrócił i wręczył mu kartę, na której Zygmunt ujrzał nową pieczęć i napis atramentem: „Przydzielono do 9 p. p. leg. w Zamościu dnia 8. IX. 39 r." O mało nie podskoczył z radości a zarazem z przypływu niespodziewanej tremy: a więc marzenie stawało się rzeczywistością, był już prawie żołnierzem. Zapytał o pociąg do Zamościa, lecz porucznik najwidoczniej uznał to pytanie za niewłaściwe. W czasie wojny nie ma cywilnego rozkładu pociągów — objaśnił przez zęby — pójdzie pan na dworzec i pojedzie najbliższym pociągiem do Zamościa — nic więcej pana nie obchodzi. Powiedziane to było bardzo niechętnie, lecz uszczęśliwiony Zygmunt nie przejął się zbytnio złym humorem swego dobroczyńcy. Ukłonił się, zbiegł po schodach i wybiegł na ulicę chcąc jak najprędzej podzielić się wiadomością z ojcem i Irką; biegł lekki i beztroski jak we śnie, choć na dnie tego wszystkiego czuł wyraźną, nie dającą się oszukać tremę; lecz w tremie tej było coś również atrakcyjnie podniecającego — była to jakby trema przed egzaminem — a nie byle jaki to będzie egzamin. Nad wszystkim jednak górowała radość z wyjaśnienia swojej sytuacji. Zygmunt nie znosił niepewności, a tutaj wszystko było proste i jednoznaczne — jestem żołnierzem — oto definicja.

Ojciec z Irką byli już w kawiarni, oczywiście w gronie znajomych. Po ożywionej twarzy Zygmunta poznali, że coś się stało. Gdy starając się pohamować i ukryć podniecenie, udzielił im nowiny — zmiękli wyraźnie. Ojciec spojrzał mu serdecznie w oczy i uścisnął rękę, Irka po raz pierwszy chyba od śmierci Bronka uśmiechnęła się, ponura jej twarz rozjaśniła się pełnym zainteresowania a zarazem siostrzanego niepokoju uśmiechem. Zygmunt stał się bohaterem chwili — wszyscy ściskali mu rękę, na gwałt pojono go kawą i napychano bułkami, bo, jak powiedział ktoś — droga do Zamościa może być długa i niełatwa. Wreszcie, trawiony niecierpliwością, skończył śniadanie; ucałował się z ojcem (a może zginę pomyślał nagle) i żegnany serdecznie przez starszych panów z ministerstwa wyruszył wraz z Irką, która uparła się odprowadzić go na dworzec — na razie do mieszkania adwokata po swój plecak.

Droga na dworzec okazała się niełatwa: alarm następował za alarmem, potężne detonacje wstrząsały miastem — kilkakrotnie musieli obchodzić bocznymi ulicami, gdyż nie przepuszczano obok trafionych bombami płonących

domów. Zygmunt chciał jak najprędzej pozbyć się Irki i zostać sam na sam ze swoim niedługim już „żołnierstwem", ale nie wypadało tego jej powiedzieć, tym bardziej, że była specjalnie miła i serdeczna, co bardzo podobało się Zygmuntowi, zmrożonemu jej groźną, nieustępliwą żałobą po śmierci Bronka. Wreszcie doszli do dworca — akurat ogłoszono alarm i wszyscy rzucili się do pierwszego, jaki Zygmunt w tej dziwacznej wojnie zobaczył, prawdziwego schronu przeciwlotniczego; było to obszerne, sklepione, oświetlone podziemie, gdzie mogło się pomieścić kilkuset ludzi. Zygmunt z Irką stali trzymając się za ręce; po odwołaniu alarmu, Irka niespokojna o ojca poszła sobie nareszcie, ucałowawszy brata w oba policzki (może to rozstanie na długo, bardzo długo — pisz, jaki adres itd.), a Zygmunt ruszył na peron.

Na dworcu kręciło się masę ludzi, lecz jakoś nie widać było określonego celu, w jakim tam przebywali. Tu i ówdzie stało kilka pociągów bez lokomotyw, lub manewrowały same lokomotywy bez pociągów, ale niesposób było dowiedzieć się nic konkretnego co do godziny i kierunku ich odjazdu. Wszyscy pytani o to przez Zygmunta kolejarze patrzyli dziwnie i odpowiadali wymijająco i nieokreślenie; wreszcie postanowił poprosić o informacje służbowego żandarma, który z bagnetem na karabinie, majestatycznie przechadzał się po peronie. Na zapytanie o pociąg do Zamościa żandarm spojrzał nań groźnie i zażądał okazania dokumentów; przeglądnąwszy papiery Zygmunta z kartą wojskową włącznie, przyjrzał mu się jeszcze raz bardzo niechętnym wzrokiem (wzrok ten przypominał spojrzenie oficera w urzędzie ewidencyjnym) po czym powoli odszedł, nie udzieliwszy żadnej odpowiedzi na zadane pytanie. Jeden z przypadkowych świadków tej sceny objaśnił wreszcie zdziwionemu Zygmuntowi, że wobec obecności wokoło szpiegów i dywersantów, wszelkie zapytania o kierunek pociągów lub godzinę ich odjazdu uważane są niemal za zdradę. — I tak ma pan szczęście, mógł pana z punktu aresztować — dodał ów przygodny informator. Zygmunt popadł w otchłań zdumienia — więc jakimże sposobem można wyjechać gdziekolwiek, jeśli rozkłady jazdy nie obowiązują, a nie wolno o nic się zapytać? Przygodny rozmówca wzruszył ramionami i odszedł. Zygmunt postał chwilę, wreszcie doszedł do wniosku, że w tej paradoksalnej sytuacji musi sobie jakoś sam poradzić.

Z daleka, o jakieś dwieście metrów od stacji, stał długi pociąg, do którego zaprzęgano właśnie sapiącą lokomotywę. Zygmunt pospieszył tam, starając się jednak ujść wzroku obserwującego go zdaleka żandarma. W pociągu było sporo ludzi, lecz nikt z nich nie potrafił lub nie chciał udzielić objaśnienia czy, kiedy i dokąd pojadą. Zygmunt niezdecydowany szedł wzdłuż wagonów, gdy nagle rozległy się urywane gwizdki: alarm. Jednocześnie rozebrzmiał z góry ciężki warkot motorów; bombowce! — krzyknął ktoś. Wszyscy zaczęli wyskakiwać z pociągu — tłum rzucił się do schronu — Zygmunt chciał zostać sam na peronie, lecz jacyś energiczni kolejarze zmusili go do podążenia za resztą ludzi. Gdy w dwadzieścia minut później po odwołaniu alarmu powrócił, ujrzał ze zdumieniem, że ów długi pociąg pusty niemal — odjeżdżał. Zygmunt stał i patrzył, nie wiedząc co o tym myśleć, gdy naraz wyrósł przed nim

żandarm. — Dlaczego nie pojechaliście tym pociągiem? — zapytał — to był pociąg do Zamościa. — Nie wiedziałem — wybełkotał Zygmunt. — Ach, *nie wiedzieliście* — powtórzył znacząco żandarm i znowu przyjrzał mu się bacznie. Po chwili odszedł.

— Toż to prawdziwy dom wariatów — pomyślał Zygmunt. Istotnie, sytuacja, w której człowiek przydzielony do wojska nie może się zapytać o swój pociąg była zupełnie nieoczekiwana — sądził, że jako jadący do wojska, ochotnik w dodatku, spotka się z ogólną pomocą i poparciem — tymczasem brano go za szpiega. — To tylko mnie spotykają zawsze takie idiotyczne, wyjątkowe wypadki — nie słyszałem, żeby w jakiejkolwiek wojnie na świecie komuś przydarzyło się coś takiego — myślał. Lecz co robić? Wszystko stawało się po prostu głupie, wyprawa do wojska z męskiego decydującego kroku życiowego mogła przekształcić się łatwo w niedorzeczną burleskę. Zanim Zygmunt domaca się swego pociągu, Niemcy mogą zbombardować dworzec, przerwać linię, a wtedy wszelkie nadzieje na heroizm przepadną, pozostanie cywilnym łazikiem, uciekinierem obnoszącym po świecie swoje nieciekawe perypetie. Należało więc za wszelką cenę pojechać pierwszym nadarzającym się pociągiem.

Płynęły długie godziny, przerywane tylko alarmami, co trzy kwadranse mniej więcej. Zygmunt rozpaczliwie znudzony, głodny i zdezorientowany plątał się wśród niezrozumiałego, nie wiadomo w jakim celu gromadzącego się tłumu. Chciał pójść do miasta coś zjeść, lecz zrezygnował z tego, bojąc się przegapić pociąg. Zaczęło już robić się szaro, wreszcie zupełnie ściemniało — na dworcu oczywiście nie było żadnego światła — a pociągu ani śladu. Zygmunt na serio zaczął przemyśliwać o powrocie do miasta — może dało by się pojechać do Zamościa samochodem czy autobusem — gdy nagle w zupełnej czarności — mogło już być koło dziesiątej — usłyszał głosy — pociąg! Istotnie na stację wtaczał się wyłoniony z ciemności, nieoświetlony niczym wąż wagonów. Zygmunt rzucił się naprzód desperacko — „Zamość" — usłyszał jakiś głos w tłumie i to zdopingowało go jeszcze bardziej. Udało mu się wreszcie dostać na stopień — przecisnął się przez drzwiczki i nareszcie wpadł do wagonu. Były to długie „Pullmany"; Zygmunt rozsunął drzwi jednego z przedziałów, który okazał się niemal pusty. Szybko rzucił się na miejsce przy oknie — w tej chwili wpadła do przedziału skłębiona gromada ludzi i momentalnie zrobił się nieznośny tłok. Nagle pociąg ruszył bez gwizdka, z niezwykłym pośpiechem. Jechali.

Było duszno, ciasno i nieprawdopodobnie czarno, lecz mimo to Zygmunt czuł się jak w raju. Jakiś niewidzialny towarzysz podróży — głos z ciemności — poinformował go, że pociąg idzie rzeczywiście w kierunku Zamościa, lecz że należy się przesiąść na węzłowej stacji Rejowiec, gdzie będą około 5-tej, 6-tej rano. A więc wszystko w porządku. W przedziale wybuchła nagle gwałtowna kłótnia o palenie papierosów; jakiemuś palaczowi zabroniono tej przyjemności ze względu na zaciemnienie: żarzący się papieros mógł zdradzić pociąg przed Niemcami, wiele pociągów ostrzeliwano już w ten sposób. Zygmuntowi wydało się to przesadą, ale ponieważ nie lubił dymu więc milczał. Po paru

minutach kłótnia ucichła; Zygmunt namacał swój plecak, przycisnął go do siebie, oparł się wygodnie i przymknął oczy. Teraz nareszcie mógł uporządkować myśli.

Myśli tych było sporo, lecz nie tworzyły wcale tak skłębionego wiru, jak się spodziewał: płynęły raczej leniwie. Było to bardzo dziwne — tyle przecież rzeczy stało się w ciągu ostatnich dni, całe spokojne, od dwudziestu lat unormowane życie polskie wywracało się na lewą stronę, a mimo to Zygmunt nie odczuwał wielkiego zdziwienia — już, nie wiedzieć kiedy, zdążył się przyzwyczaić do tych wypadków, jakby je przeczuwał, lub oczekiwał ich: wydawały mu się zupełnie naturalne. A przecież były fantastyczne. Zdumiewająca rzecz, jak szybko człowiek asymiluje, wchłania w siebie nieoczekiwane i niezwykłe przeżycia, jak szybko stają się one dlań jedyną możliwą rzeczywistością: właściwie nie można go niczym zdziwić — cóż za okrucieństwo natury, że dała nam tylko ograniczoną wrażliwość — okrucieństwo albo dobrodziejstwo. To, co stało się wczoraj, przedwczoraj jeszcze Zygmunt uważałby za fantastyczne niedorzeczności, bajkę z Tysiąca i Jednej Nocy — dziś wydawało mu się rzeczą zupełnie oczywistą, że nie mogło być inaczej, że tak się stać musiało — wypadki te były już zaksięgowane, wliczone do jego kapitału psychicznego, były już przeszłością — a więc już stanowiły cząstkę jego duszy, nieodłączny składnik jego życia. To na pozór banalny proces: przyszłość staje się teraźniejszością, a ta już po chwili przekształca się w przeszłość — w istocie to najdziwniejszy proces, jaki znamy, mechanizm nieugięty i okrutny — absolutna władza czasu nad nami; marzenie Zygmunta o raju to było marzenie o życiu wyjętym spod tej władzy, zwolnionym od kolejnego następstwa wypadków — o życiu, którego poszczególne zdarzenia można by przeżywać wzięte z osobna, nie po kolei, utrwalone poza, na przekór czasowi i kolejnemu mijaniu. Bo ten proces przetwarzania się przyszłości w przeszłość, to ciągłe, mechaniczne mijanie i cofanie się wypadków do tyłu, to było w istocie nudne, odbierało życiu urok, — cudowną rzeczą byłoby zatrzymać ten proces w odpowiedniej chwili i przyjrzeć mu się, uchwycić moment, gdy przyszłość staje się teraźniejszością, zbadać go, poznać na czym on polega, od czego zależy kierunek wydarzeń — utrwalić tę przełomową chwilę, gdy rzeczywistość się tworzy i nie posuwać się dalej — dalej będzie już wszystko według szablonu — ciekawa jest tylko przyszłość nieznana. Często przy grze w karty, najczęściej przy pokerze nawiedzała Zygmunta myśl, że karty nieodkryte, leżące jeszcze na stole nie są na razie czymś określonym — określają się dopiero, gdy padnie na nie wzrok gracza, lecz po obejrzeniu ich nie można na pewno powiedzieć, że układ ich, zanim zostały odsłonięte był taki lub inny; układ decyduje się dopiero w samym momencie ich odkrywania, co było chwilę przedtem — nie wiemy; wychodząc z tego punktu widzenia Zygmunt podzielał rozpowszechniony przesąd graczy, którzy „filują" kartę — odsłaniają ją powoli, ukradkiem — jakby nie chcąc jej straszyć — dają jej jeszcze możliwości zmiany, przedłużają moment wahania się wypadków. Ale życia niestety nie da się „filować".

Tak więc myśląc o wydarzeniach ostatnich dni, Zygmunt stwierdził, że

właściwie już się do nich przywiązał, że nie chciałby aby miały inny przebieg. Tu działała siła psychiczna, która asymiluje wspomnienia, oplata je urokiem — wypadki, które przeszły, któreśmy przeżyli są już cząstką nas, kochamy je — bez nich nie bylibyśmy sobą. Kocham już nawet ten chaotyczny, bezmyślnie natłoczony Lublin — pomyślał: „bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił". Ale przecież te wypadki obalały dawniejsze życie, które też już było cząstką jego duszy; — to prawda — obalały je — ale tylko w świecie zewnętrznym: w pamięci Zygmunta i te i tamte wspomnienia gromadziły się i sumowały jako równorzędny dorobek niezniszczalny; w ten sposób cokolwiek by się działo z człowiekiem, życie jego jest ciągłym bogaceniem się wewnętrznym, wytrwałym gromadzeniem skarbów. Lecz z drugiej strony to jest okrutne, okrutne dla mijającej, obalanej rzeczywistości. Zygmunta uderzało, że obecny wybuch, który przecież wywracał, a w każdym razie groził wywróceniem tego, dwadzieścia lat trwającego, spokojnego, skrystalizowanego życia — nikomu nie wydawał się tak bardzo niespodziewany — tak jakby go wszyscy przeczuwali — widocznie spokój tych lat to był spokój pozorny, krył w sobie zarodki burzy, żyli na wulkanie, w przeczuciu katastrofy. I tak było wszędzie — ktoś w redakcji opowiadał o niespokojnych przeczuciach, w jakich żyje Francja — to cisza przed burzą panowała w całej Europie i tylko Zygmunt zamykał oczy na ten fakt, nie lubił bowiem modnego u nas prorokowania nieszczęść i życia ideowego na koszt przyszłych kataklizmów. Nagle jak żywy stanął mu w oczach Bronek; co znaczyła ta posępna historia o którą się otarł? Z ciemności wyłoniły się inne postacie „tamtych czasów": Henryk, Geysztor, Stefan, Lewandowski, Joanna — co się z nimi działo, w jaki sposób rozproszy ich wojna, czy przeżyją ją? Byli wszyscy aktorami tej kunsztownej sztuki, zwanej życiem Zygmunta, sztuki, której punktem kulminacyjnym stała się — dziwnym trafem — zagadkowa, niezrozumiała zbrodnia. Lecz w obecnej chwili to wszystko zdawało się dalekie, to były „tamte czasy", które oto, choć minęło zaledwie niecałe, dziesięć dni — chylą się do upadku — nowe czasy, czasy wojenne — czuł to — przyniosą wyjaśnienie, przyniosą rozwiązanie — takie lub inne — może będzie to ogólne zniszczenie, krew, ofiara, śmierć — lecz będzie to nareszcie rozwiązanie zupełne, przecięcie węzła; jeśli przeżyje to — wiedział na pewno — będzie mógł zacząć na nowo — los jego, tak jak los milionów mieszkańców tej ziemi jest rzucony jako stawka w kolosalnej grze — a teraz trwa jeszcze przez chwilę ów zagadkowy moment, gdy karty nie zostały odsłonięte.

W wagonie było duszno; rozlegało się chóralne chrapanie; Zygmunt też zapadał już w drzemkę, gdy nagle na tle chrapania dał się słyszeć jakiś głos, jak solista na tle chóru. Głos ten pochodził najwyraźniej od sąsiada z naprzeciwka — niewidocznego zupełnie z powodu dotykalnej niemal ciemności; niematerialny ten głos mówił dziwnie, zabawnie, szeroko rozwlekając słowa — właściciel jego był zapewne z Pomorza albo z Poznańskiego, Zygmunt wiedział, że dzielnice te zajęte już są przez Niemców — pewno uciekinier. Długą chwilę nie można było zrozumieć o co mu chodzi, wreszcie Zygmunt zorientował się: było to coś w rodzaju patetycznego kazania czy przemówienia o charakterze religijnym, wygła-

szanego nie wiedzieć dla kogo. Nieznany głos przepowiadał różne klęski, wzywał do kajania się za grzechy, cytował gęsto Biblię i Apokalipsę. Wymowa jego i budowa zdań były tak groteskowe, że Zygmunt długi czas zastanawiał się czy nie są to przypadkiem żarty. Lecz nie — tajemniczy kaznodzieja mówił z wyraźnym namaszczeniem i powagą; mówił długo, powtarzając w kółko to samo, aż wreszcie zaczął powoli milknąć, poddając się widocznie usypiającemu rytmowi pociągu; od czasu do czasu jeszcze pomrukiwał z cicha, chwilami podnosił głos nagle, jakby zbudzony i zaraz opadał z powrotem. Zygmunt również czuł, jak mimo siedzącej pozycji morzy go sen głęboki, nieodparty. Resztką świadomości zdał sobie sprawę, że dziwaczny głos umilkł już nareszcie — i jednocześnie prawie zasnął.

Zbudziła go niezwykła cisza i nieruchomość panująca wokoło; był już piękny słoneczny dzień: w przedziale prócz Zygmunta znajdował się tylko jeden człowiek siedzący naprzeciwko, o dziwacznej, spiczasto sklepionej, łysej jak strusie jajo czaszce. Od razu po pierwszych słowach Zygmunt zorientował się, że był to wczorajszy kaznodzieja, lecz co się stało z resztą pasażerów? dlaczego pociąg stał? — Uciekli, nędzni ludzie — powiedział tamten — a przecież nikt nie ujdzie karzącej ręki Pana. — Ale dlaczego uciekli? — usiłował zrozumieć sytuację Zygmunt; za oknem słychać było daleki warkot samolotów. Nagle dziwny podróżny wstał z ławki: wyjrzę — powiedział zupełnie innym, normalnym tonem i wyszedł na korytarz. Zygmunt półsenny jeszcze i jakiś ogłuszony przeciągał się na ławce, gdy nagle tamten zjawił się znowu. Był zmieniony, blady jak papier; bez słowa chwycił jakiś tobołek i jak piorun wypadł z pociągu. Zygmunt zaalarmowany zerwał się z ławki; złapał plecak i wyskoczył również. Warkot stawał się głośniejszy: trzy wielkie samoloty leciały nisko w stronę pociągu, jeden z nich obniżał się wyraźnie. Nagle Zygmunt usłyszał jakieś krzyki i spojrzał w tamtym kierunku: o dwieście metrów mniej więcej od pociągu był las — w tamtą stronę pędził łysy śmiesznymi, wielkimi susami. Zygmunt poszedł w jego ślady — gdy tylko dopadł lasu i runął na ziemię wyczerpany — w zbawczy cień wielkich drzew — usłyszał oprócz coraz bardziej potężniejącego huku motoru inny dźwięk — długi, metaliczny terkot, jakby ktoś przeciągał podkutym kijem po żelaznych sztachetach. — Ostrzeliwują pociąg — zawołał ktoś. W tej chwili dopiero Zygmunt zobaczył, że w lesie znajdowało się sporo osób z paczkami i tobołkami — byli to najwidoczniej pasażerowie pociągu.

Całe wydarzenie było tak nagłe i dziwaczne, że Zygmunt uderzony jego niezwykłością nie zdążył nawet poczuć obawy. Samoloty odleciały — w lesie zapanował gwar; pasażerowie szykowali się do dalszej drogi i — co dziwniejsze — na piechotę. Nikt nie miał zamiaru wracać do pociągu — zaręczano, że nie ruszy on w dalszą drogę, bo podobno „maszynista uciekł". Zygmunt proponował jednak zbadać sprawę i sam ruszył w stronę lokomotywy. Nagle o dziwo — jak na złość wszystkim — pociąg ruszył. Zygmunt puścił się biegiem, lecz nie zdążył — ostatnie wagony całkiem puste — mignęły mu przed nosem. Wściekły powrócił do lasku, lecz tam nie zastał już nikogo — tylko śpiew ptaków

rozbrzmiewał w powietrzu. Wszystko to zakrawało na halucynację lub dziwaczny sen: ludzie i ich bagaż jakby się zapadli pod ziemię.

Zygmunt usiadł wśród wielkich paproci i zaczął się zastanawiać; najgorsze, że nie wiedział, gdzie się znajduje. Potężny głód dawał znać o sobie — jedyną bułkę jaką mu włożyła do plecaka Irka zjadł wczoraj na stacji w Lublinie. Sytuacja była fatalna, lecz siedzenie i zwlekanie mogło ją tylko jeszcze pogorszyć. Zmęczony, głodny i zły Zygmunt nałożył ciężki jak kamień plecak i ruszył brzegiem lasu, biegnącego mniej więcej równolegle do toru. Ziemia była mokra, grząska, słońce zaczynało palić — co gorsza zegarek Zygmunta stanął już od dawna. Cała wyprawa do wojska stawała się jakąś groteskową, przymusową majówką. Mimowolna, ale niezaprzeczona śmieszność położenia denerwowała go coraz bardziej: w dodatku spokój i cisza lasu zdawały się naigrawać z niego i z całej wojny. Gdzież właściwie u licha była ta wojna? — gdzie polskie wojsko, gdzie wreszcie się bili — gdzie nasze samoloty, dlaczego Niemcy hulają po kraju jak po swoim domu, dlaczego nie ma powszechnej mobilizacji? Wszystko to było dziwaczne ale i przestraszające — coś tu jest nie w porządku, to nie była wojna jak należy, normalna i „uczciwa" — to znowu jakieś wielkie hochsztaplerstwo. Dlaczego ja zawsze muszę zobaczyć wszystko od strony wyjątkowej i dwuznacznej? — pomyślał — dlaczego ta rehabilitacja przez wojnę i trudy, która mnie właśnie jest najpotrzebniejsza, mnie właśnie się wymyka; dlaczego muszę przeżywać te idiotyczne perypetie i ja właśnie musiałem dostać ową przeklętą „niebieską kartę", zamiast pójść do wojska normalnie jak Henryk czy inni?

Oczywiście pytania te były czysto retoryczne. Po godzinie marszu wśród lasu i mokradeł Zygmunt nie dojrzał jeszcze ani śladu człowieka. Był potwornie głodny i wiedział, że bez jedzenia długo już takiego tempa nie wytrzyma. Wtem, jak na skinienie przysłowiowej "różdżki czarodziejskiej", z grupy drzew. do której się zbliżał, wyłonił się dom, za nim drugi, trzeci — po prostu wieś.

Zygmunt aż wykrzyknął z radości; niedługo już wchodził w główną ulicę dużej wioski. Lecz w miarę, jak się w nią zagłębiał, zaczął naprawdę przypuszczać, że ma jakieś halucynacje; po prostu rzeczywistość uwzięła się dzisiaj na niego, aby prezentować mu same wydarzenia niezwykłe i pozbawione normalnego, przyrodzonego sensu i znaczenia. Oto — we wsi nie było nikogo; okna chat zasłonięte, drzwi zabite — żadnego śladu życia — nawet psy nie szczekały. Zygmunt minął już wiele domów, zbliżał się chyba do końca wsi, a jeszcze nie dojrzał nikogo: najwidoczniej wieś była opuszczona — marzenia o najedzeniu się i poinformowaniu co do dalszej drogi — prysły.

Nagle usłyszał przed sobą jakieś kroki; naprzeciwko szedł stary chłop w baraniej czapie. W ręku miał strzelbę a na ramieniu jakąś opaskę; uradowany Zygmunt szedł prosto na niego, gdy nagle usłyszał szmer z boku; spojrzał: drugi chłop, młodszy, skradał się ku niemu zza rogu chałupy — w tej chwili dojrzał dwóch innych, którzy usiłowali zajść mu drogę z tyłu. Zdetonowany Zygmunt zatrzymał się — cóż to za kpiny? W tej chwili chłopi z groźnymi minami otoczyli go ze wszystkich stron. Po chwili zrozumiał: brali go za dezertera, szpiega, dywersanta czy innego wojennego przestępcę. Stary sołtys miał zdaje

się po raz pierwszy okazję do przesłuchiwania podobnego łazika, toteż dobre dwadzieścia minut minęło, zanim Zygmunt pokazując po dziesięć razy swoje papiery zdołał go przekonać, że naprawdę nie jest żadnym zbirem ani Niemcem, lecz po prostu idzie do wojska. Od nich dowiedział się zato, że cała wieś uciekła do lasu, bo podobno zbliżają się niemieckie czołgi (miały one nadjeżdżać właśnie od strony z której nadszedł Zygmunt) oraz, że o 10 kilometrów znajduje się węzłowa stacja Rejowiec, ta sama, gdzie miał się przesiąść do Zamościa. Ta wiadomość była najcenniejsza; usiłował jeszcze skłonić chłopów, aby mu dali coś zjeść, lecz oni, nie mogąc się widocznie wyzbyć resztek nieufności do cywilnego łazika, który wędruje po kraju w czasie wojny, chcieli teraz pozbyć się go jak najprędzej. Pokazali mu krótszą drogę do owego Rejowca i dali do zrozumienia, żeby sobie poszedł i był rad, że go nic złego nie spotkało. Głodny, lecz nieco rozbawiony tym wypadkiem ruszył dalej; teraz miał przynajmniej przed sobą konkretny cel marszu: w Rejowcu na pewno uda mu się coś zjeść i wreszcie wyruszy do tego swojego Zamościa.

Po pół godzinie marszu usłyszał nagle potężny, z każdą chwilą się zbliżający warkot samolotów. Upadł plackiem na brzegu rowu pod pochyloną wierzbą i patrzył w nieskazitelnie błękitne niebo. Powoli, majestatycznie, nisko leciały trzy wielkie bombowce — a o kilkaset metrów za nimi jeszcze dwa. Zygmunt widział wyraźnie czarne swastyki na czerwonym tle: ten wyjątkowo brzydki, groźny, złowróżbny znak przejął go dreszczem; tak więc Niemcy latali nad Polską jak chcieli i gdzie chcieli, ich czołgi pełzły po naszych drogach — byli tu w środku kraju i nie znaleziono na to widocznie żadnej rady — mieli już Kraków, Katowice, Poznań, pełzli dalej i dalej. A co z Warszawą? Na myśl o opuszczonej „stolicy swej młodości" ukłuło go coś w sercu — w ciągu paru dni wszystko się waliło i usuwało spod nóg; lecz widocznie — tak być musi; musi się w tym kryć jakiś sens, wierzył w to, a przynajmniej chciał wierzyć. Przemógł chwilowe osłabienie i podniósł się z ziemi — w tej chwili jednak opadł z powrotem: znowu trzy wielkie, czarne ptaki leciały ku niemu. Skulił się pod drzewem jak mógł: gdyby go zobaczyli, mogli do niego strzelać — wypadków takich było podobno wiele.

Gdy warkot samolotów ucichł, Zygmunt wyruszył w dalszą drogę, długim krokiem — należało przemóc się i zachować „formę" — przy tym może naprawdę jadą za nim niemieckie czołgi. — W gruncie rzeczy przecież to wszystko nie przestaje być ciekawe — mówił sobie, lecz głód paraliżował satysfakcję, którą zazwyczaj przynosiła mu ta refleksja. — Materializm dziejowy ma jednak trochę racji — pomyślał.

Po godzinie doszedł do rozwidlenia dróg; na szczęście spotkał tam jakiegoś człeczynę, który objaśnił mu, że jedna z tych dróg idzie do stacji Rejowiec — druga do miasta tejże nazwy. Zygmunt ruszył na stację; nie była ona ani wielka, ani okazała, jak na ważny węzłowy punkt. Tory kolejowe biegły stąd w kilku kierunkach, widać było wielkie nasypy. Zbliżając się ujrzał nagle olbrzymie doły tuż koło budynku stacyjnego — były to leje głębokości najmniej po piętnaście metrów każdy; niebawem domyślił się wszystkiego: na stacji nie było ani

jednej szyby i — co gorsze — ani jednego człowieka. Zygmunt próbował znaleźć bufet czy coś w tym rodzaju — ale oczywiście bez najmniejszego powodzenia. Stacja była najwidoczniej po jakimś nalocie kompletnie opuszczona — te dziury to były leje po bombach. Zygmunt zdesperowany usiadł na małej ławeczce bez oparcia; po chwili zdjął plecak i rzucił go w trawę — sam położył się obok. To wszystko stawało się już mało zabawne; najwidoczniej nie było żadnej wojny, ani żadnej organizacji, ani nic w ogóle — pozostał tylko nonsens bezcelowej włóczęgi po dziwacznych, pustych równinach nawiedzanych jedynie przez samoloty z czarnymi znakami. Walka, heroizm, życie okopowe, marsze, dyscyplina, awanse, koleżeństwo, rozkoszne urlopy z frontu — wszystko to było najwidoczniej jakąś konwencjonalną bajką wobec tej, odartej z cienia uroku, wrogiej pustki, jaka oto prezentowała się uparcie oczom Zygmunta. Czyż wojna zawsze tak wygląda, czy tamto wszystko było blagą, czy też może ta wojna tylko ma przebieg tak idiotycznie nieciekawy? A może to tylko on, Zygmunt, trafia zawsze na wypadki wyjątkowe, beznadziejnie puste, jałowe i zimne — jałowe jak moje ciało — pomyślał gorzko, bez związku. Leżał tak na trawie długo; zapomniał już nawet o głodzie, gdy nagle jakiś niewiarogodny dźwięk pobudził jego uwagę. Jak odrodzony zerwał się z ziemi — nadjeżdżał pociąg — najwidoczniej osobowy pociąg. Zygmunt zaczął machać chustką, rękami — bał się, że pociąg się nie zatrzyma. Ale pociąg stanął: był niemal pusty. Zygmunt z plecakiem w ręku wskoczył do wagonu — eleganckie, pullmanowskie przedziały zupełnie puste. Jakiś znudzony kolejarz upewnił go: tak jadą do Zamościa. Było już koło drugiej — będą w Zamościu za półtorej godziny. Zygmunt rozciągnął się na ławce — nareszcie.

Opanowała go jakaś omdlałość, odrętwienie. Leżał na twardej ławce z godzinę przeszło, może nawet zdrzemnął się lekko. Nagle ocknął się, wstał i wyjrzał oknem. Na niebie czerwieniły się potężne łuny — jakieś widoczne już wyraźnie miasto paliło się. — Co to jest — zapytał kolejarza, choć domyślał się prawdy. Zamość — odparł tamten flegmatycznie. A więc wypadki w dalszym ciągu uporczywie wymykały się wszelkim ludzkim rachubom.

II.

Gdy zajechali na stację okazało się, że nie jest jeszcze tak źle. Niedawno wprawdzie był nalot, paliło się kilka domów w dość odległym od dworca mieście, lecz dworzec był na razie nieuszkodzony i — co najważniejsze dla Zygmunta — ujrzał wreszcie na peronie wielu młodych ludzi z tobołkami i plecakami; młodzieńcy ci najwidoczniej również przyjechali tu do wojska. A więc w swoich niefortunnych perypetiach nie był osamotniony, widocznie wszystko szło jednak normalnym wojennym trybem i oto za pół godziny już może, włożywszy mundur Zygmunt stanie się — jak ci wszyscy — małą, lecz potrzebną cząstką celowo i konsekwentnie działającego mechanizmu armii. Na razie jednak musiał jeszcze uzbroić się w cierpliwość, gdyż nikogo nie wypuszczano z dworca — alarm trwał. Zygmuntowi nie wydawało się to zbyt sensowne, aby trzy-

mać kupę ludzi właśnie na dworcu, który najbardziej ze wszystkch miejsc narażony był na ataki lotnicze; ale nie było rady — groźnie wyglądający żandarmi z karabinami i rewolwerami nie byliby na pewno skłonni do wysłuchiwania czyichkolwiek rad. Zygmunt położył się więc jak wielu innych jego towarzyszy na trawniku przed dworcem i zamknął oczy, wystawiając twarz na rozkoszne działanie promieni słonecznych; w tej chwili — u celu niemal — poczuł nagle leniwą obojętność na wszystko.

Alarm trwał i trwał — gdy wreszcie go odwołano, ruszyli wszyscy hurmem w stronę koszar. Było to dość daleko, szło się szerokimi, brukowanymi szosami, ocienionymi przez równe szeregi ogromnych drzew, szumiących falą różnobarwnych już liści. Zygmunt usiłował przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszał o Zamościu, lecz nie było tego wiele. Tymczasem doszli do koszar; przed bramą panował nieopisany rwetes: masę ludzi umundurowanych i cywilnych kręciło się tu i tam, jakieś wozy przejeżdżały z trzaskiem, huk, hałas, krzyki i śmiechy — trochę wyglądało to niezbyt po wojskowemu, nie widać było żadnego zwierzchnictwa, ale Zygmunt pocieszał się, że przecież jego zdanie nie było miarodajne — widział dotąd wojsko tylko w czasie pokoju.

Długą chwilę trwało, zanim, po okazaniu papierów, wpuszczono ich na teren koszar. Znajomy, wszędzie ten sam widok: niskie, długie, ceglane baraki, wielkie, puste place musztry, trawniki, wysadzane drzewami aleje—koszary, ten symbol nudy, rutyny i jednostajności były dziś dla Zygmunta krainą marzeń: tutaj nareszcie jego chaotyczne perypetie nabiorą celu i sensu, tu jakiś chłodny, daleko widzący mózg weźmie odpowiedzialność za jego los, za jego działania, za wartość jego postępków. Na razie jednak wydawało się, że w koszarach panuje również zamęt; nikt jakoś nie kwapił się ze wskazaniem im co mają dalej robić, wszyscy przechodzący podoficerowie wydawali się zajęci swymi sprawami i zdenerwowani. Jak się okazało, ostatni nalot uszkodził małą wartownię, bomba zabiła tam dwóch podchorążych; — to jeszcze nie powód, aby wojsko traciło równowagę — pomyślał Zygmunt.

Wreszcie wskazano im budynek, gdzie mieściły się biura mobilizacyjne pułku, ewidencja i inne upragnione instytucje. Lecz jak na złość okazało się, że z powodu przerwy obiadowej biura są jeszcze nieczynne. Zygmunt, w którym obudziła się nowa, nieznośna fala głodu osunął się ciężko na trawę przed wejściem do budynku obok swego przeklęcie ciężkiego plecaka. Kilku jego przygodnych towarzyszy niedoli zrobiło to samo. Nagle Zygmunt ujrzał niedaleko jakąś znajomą sylwetkę; niedługiej chwili potrzebował, aby zidentyfikować twarz przystojnego młodego człowieka w szarym garniturze. Był to Kowalski, jego szkolny kolega, z którym zresztą nie doszli razem do ósmej klasy, bo tamten odpadł gdzieś po drodze, zostawiony na drugi rok. Od czasów szkolnych Zygmunt widział go zaledwie kilka razy na ulicy, teraz jednak przywitali się serdecznie — jak dobrzy znajomi. Kowalski był, jak się okazało, podporucznikiem rezerwy (Zygmunt jakoś nie mógł dochrapać się nominacji i pozostał skromnym kapralem podchorążym) i przybywał

z Warszawy, również przez Lublin, skąd przyjechał dziś rano. Tkwił tu już ze sześć godzin i dotąd nie mógł jeszcze uzyskać audiencji u oficera mobilizacyjnego. To było niepokojące; co w ogóle się działo, jaki był przebieg wojny? Kowalski miał nieco wiadomości: podobno pod Kutnem toczyła się kolosalna bitwa z główną siłą niemiecką; Warszawa szykowała się do obrony; niemieckie kliny pancerne weszły daleko w głąb kraju, ale jak się zdaje, główne ich siły zostały powstrzymane. Zygmunt odetchnął: a więc wojna toczyła się normalnie, odbywały się bitwy, broniono się — podświadomie zwątpił już był o tym w czasie swoich kilkudniowych, nieoczekiwanych perypetii. Zaczął patrzeć na Kowalskiego z sympatią, jako na towarzysza przyszłych przygód i walk. Tymczasem wśród oczekujących zrobił się ruch: biura zaczynały funkcjonować. Zygmunt wziął plecak i stanął za innymi w długiej kolejce do drzwi, na których widniała zachęcająca tabliczka: „oficer mob."

„Oficer mob." był wielkim, tęgim, niechętnym a właściwie zgoła chamowatym mężczyzną. Na widok „niebieskiej karty" Zygmunta zaczął go łajać i wyrzekać, że „cywile" utrudniają mu robotę nie czytając rozporządzeń itd. Zygmunt wskazał mu na pieczęć i dopisek urzędu lubelskiego, lecz tamten zaczął miotać się jeszcze bardziej twierdząc, że to napisał bezprawnie „jakiś dureń" i nie ma „to" żadnego, najmniejszego znaczenia — my tu nie mamy miejsca dla każdego, komu spodoba się iść do wojska. Zygmunt poczuł formalne przerażenie — jeśliby teraz, tu, u celu miano go odrzucić, to dalsze jego losy mogły się stać najnędzniejszą, najmizerniejszą historią jaką sobie można wyobrazić: opuścił gotującą się do obrony Warszawę, opuścił swoje prace i obowiązki, porzucił ojca i siostrę po to, aby bez celu wałęsać się po kraju jako przez wszystkich popychany, podejrzany cywil — to byłby po prostu koniec, sytuacja nie do zniesienia dla jego i tak już dostatecznie zmaltretowanej psychiki. Z energią rozpaczy zaczął domagać się swych praw, lecz to jeszcze bardziej rozjątrzyło „oficera mob.", który najwyraźniej szykował się do wyrzucenia go za drzwi. Zygmunt był w najczarniejszej rozpaczy — wyjść stąd, znaczyło pogrzebać się na stałe — gdy nagle w drzwiach stanął jakiś szpakowaty, o inteligentnej twarzy kapitan, zapytując o powód awantury. Krzykacz zmitygowany znacznie tłumaczył opryskliwym głosem o co chodzi. Zygmunt, korzystając z tego że był jeszcze cywilem, wpadł mu w słowa przedstawiając się jako dziennikarz i syn wysokiego urzędnika z Warszawy. Obaj oficerowie pomruczeli coś do siebie, wreszcie kapitan, obrzuciwszy jeszcze Zygmunta życzliwym spojrzeniem, opuścił pokój; „wielki" zasiadł przy biurku, wziął papiery Zygmunta i zaczął wpisywać coś do długiej księgi, leżącej przed nim na stole. Skończywszy wywarczał, nie patrząc na Zygmunta, że przydzielono go do czwartej kompanii strzeleckiej, gdzie ma się zameldować jutro rano, dziś zakwateruje się z przybyłymi oficerami rezerwy na sali wykładowej kompanii II-ej. Zygmunt oczekiwał jeszcze chwilę, że otrzyma jakąś legitymację, lecz uderzony jak maczugą groźnym wzrokiem tamtego wyszedł szybko, uradowany, zapominając na progu o całym zajściu i o tym, że przed chwilą był już niemal w rozpaczy.

Kowalski oczekiwał go przed budynkiem; jako oficer rezerwy, mający w dodatku normalną kartę powołania, przyjęty został bez trudu. Poszli powoli wraz z grupką innych „cywilów" z walizkami w stronę owej kompanii II-ej, gdzie mieli nocować. Głodni aż do absurdu oddawali się marzeniom o „wyfasowanej" kolacji, lecz na miejscu spotkało ich dotkliwe rozczarowanie. Kompania druga była całkowicie wyludniona — najwidoczniej od dawna opustoszała; na sali wykładowej, gdzie mieli nocować, stały wprawdzie łóżka, lecz nie było tam nikogo, kto mógłby poinformować ich o czymkolwiek — nie mówiąc już o jakiejś kuchni, czy kotle. Grupa wygłodzonych młodzieńców z walizkami stłoczyła się na środku sali debatując zajadle — podnosiły się zapalczywe głosy, że należy iść od dowództwa pułku z awanturą, gdy wreszcie zjawił się jakiś odrapany sierżancina, który objaśnił „panom porucznikom", że zaprowiantowani będą w kompaniach od jutra, a dzisiaj muszą sobie radzić jak kto może. Na oburzone głosy („co za bałagan") sierżancina wyjaśnił, że pierwszy garnitur pułku wyruszył już „w pole", a drugi był obecnie dopiero w stadium organizacji — stąd pewne niedociągnięcia. Unikając dalszej dyskusji „pan szef" ulotnił się, zostawiając ich z walizkami pośrodku sali.

Sytuacja była arcygłupia: na dworze zapadał już zmierzch — o pójściu spać na głodno nie było mowy; ponieważ kasyno oficerskie, również uszkodzone w czasie nalotu, było nieczynne, nie pozostawało nic innego, jak iść na kolację do miasta. Zygmunt wprawdzie obawiał się wydalać poza bramę koszar w cywilnym ubraniu i bez dowodu, że jest żołnierzem — jako podchorążemu nie zwrócono mu jego książeczki wojskowej, podczas gdy tamci mieli przy sobie książeczki oficerskie — Kowalski jednak uspokoił go zapewnieniem, że zaręczą za niego, lub też wezmą go między siebie. Było już zupełnie ciemno, gdy, roztasowawszy się na łóżkach, wyszli zwartą gromadą, kierując się w stronę bramy.

Wszystko układało się zupełnie inaczej, niż to sobie Zygmunt wyobrażał; sądził, że gdy tylko znajdzie się za murami koszar, ujmie go jak w kleszcze czyjaś nieustępliwa, świadoma, konsekwentna wola, że poczuje się częścią tego sprawnego, wspaniałego mechanizmu, jakim jest wojsko: tymczasem oto wlókł się z bandą inteligentów „cywilów" do nieznanego miasta na kolację, jak za najlepszych cygańskich czasów. W koszarach panowały ciemności rzeczywiście nieprzeniknione — zaciemnienie było idealne. Z trudem dobrnęli do bramy, przy której kłębiło się i kotłowało istne piekło — jeżeli w piekle może być tak ciemno. Masa ludzi biwakowała przed koszarami — byli to żołnierze, lecz często bez broni, w podartych mundurach, w dziwacznie pogniecionych czapkach, bez pasów — podobno uciekinierzy z różnych rozbitych, rozproszonych formacji i pułków, którzy ściągnęli do Zamościa jako do istniejącego jeszcze i działającego ośrodka organizacji armii, lecz których dowództwo, jak się zdaje, nie miało wcale zamiaru przyjąć, ani w ogóle zaprzątać sobie nimi głowy. Bractwo to rezydowało pod bramą na ziemi, niechętnie dając miejsce wjeżdżającym od czasu do czasu wozom lub samochodom; nastrój ogólny był dosyć paniczny, podobno przed chwilą złapano jakiegoś szpiega — po czym go poznano — nie wiadomo — Zygmunt miał wrażenie,

że w tej ciemności nawet autentyczny Niemiec w mundurze z łatwością dostałby się do koszar. Zygmunt z towarzyszami przepchnąwszy się z trudem przez ten cały zamęt ruszyli rączym krokiem — głód dodał im skrzydeł — do miasta. Prowadził ich ktoś, znający drogę — w egipskich ciemnościach nie sposób było nic rozróżnić — Zygmunt wyobrażał sobie, że gdyby zgubił kolegów, znalazłby się w sytuacji głupszej jeszcze, niż wszystko, co mu się dotąd w tej niby wojnie zdarzyło. Jakim cudem w absolutnej ciemności znaleźli wreszcie jakiś zamaskowany lokal „gastronomiczny" — to pozostawało dlań zagadką. W lokalu tym panował niesłychany ścisk, pełno cywilów i wojskowych, którzy pili i jedli jak szaleni; Zygmunt zaczął się obawiać, czy jeszcze coś zostało, lecz szczęściem, po godzinnym przeszło oczekiwaniu udało się im z Kowalskim dostać dwa, ostatnie podobno, kotlety wieprzowe i dwie olbrzymie bomby piwa. Piwo, wlane do pustego żołądka, podziałało zbawiennie na zdezorientowaną, zgubioną psychikę Zygmunta: z każdym łykiem niemal czuł jak rozpływa mu się po żyłach miłe ciepło psychiczne, zbawczy opar, w którym świat wydał się znowu ciekawy i przyjemnie emocjonujący: czekały go przecież niebylejakie przygody, był żołnierzem — szkoda tylko, że jeszcze nie w mundurze — ale jutro już będzie miał na sobie ten wymarzony strój — a i dziś ostatecznie był w sytuacji nieprzeciętnej — w nocy, w nieznanym mieście zagrożonym nalotami, poza bramą koszar — to przecież nie było zwykłe. Właściwie dokuczliwa była tylko jedna, na dnie głęboko ukryta myśl, a raczej podejrzenie, niejasne podejrzenie, że to wszystko jednak nie jest normalne, że coś jest nie w porządku, że nie tak wyglądać powinna prawdziwa „zdrowa" wojna. Lecz i to podejrzenie udało mu się na pewien czas utopić — w piwie.

Wrócili do koszar późną nocą w niewiarygodnych ciemnościach. Zamęt przed bramą, zamiast uciszyć się, wzmógł się do rozmiarów niepokojących; tłumy „dzikich" żołnierzy bez przydziału falowały tam i z powrotem, ciężkie wozy i jaszcze wjeżdżały co chwila wśród krzyków i przekleństw, najeżdżając niemal na ludzi; nie było nic widać, lecz po zapaleniu najmniejszego światełka wybuchały wrzaskliwe awantury, dowodzące wysokiego stopnia zdenerwowania, jakim objęta była ta cała ciżba. Zygmunt, Kowalski i kilku inych z trudem dopchnęli się do bramy, gdzie wartownik, młody, gapiowaty chłopak, pomimo okazania książeczek wzdragał się ich wpuścić i kazał im czekać na zjawienie się podoficera służbowego, który gdzieś zaginął. Zygmunt miał już potężnego stracha o siebie, ale na szczęście do legitymowania się przed owym oficerem nie doszło, gdyż zniecierpliwiony Kowalski „oficerskim" głosem zwymyślał wartownika, po czym odepchnąwszy go weszli triumfalnie w głąb nieprzeniknionej ciemnej czeluści, jaką była teraz aleja, prowadząca na koszarowy dziedziniec. Wreszcie, pytając wciąż o drogę, dobrnęli do owej utęsknionej kompanii drugiej i jak kto stał, po omacku i na oślep runęli na łóżka, aby zapaść momentalnie w beztroski, głęboki sen młodości.

Na drugi dzień zerwali się o świcie; Zygmunt, który spędził noc w ubraniu, z gorączkowym pośpiechem mył się i golił, chcąc jak najprędzej znaleźć się w swojej kompanii, wśród przyszłych „towarzyszy broni". Gdy wreszcie po

obtłuczonych, brudnych, wcale nie wojskowych schodach wszedł do wielkiej sali kompanijnej, okazało się, że nie ma tam nikogo, strzelcy bowiem zatrudnieni byli na terenie koszar przy kopaniu rowów przeciwlotniczych; poinformował o tym Zygmunta strzelec służbowy, który zresztą traktował go, jako cywila — wybitnie z góry. Zygmunt nie wiedział co ma dalej począć, gdyż strzelec nie chciał pozwolić mu na oczekiwanie w rejonie kompanii i kazał mu w ogóle wyjść, gdy na szczęście zjawił się szef, — starszy sierżant. Był to człowiek o typie południowca, ciemny brunet z oliwkową cerą i czarnym wąsikiem „a la Chaplin", minę miał groźną, obojętną i pogarliwą. Zygmunt zameldował mu się jako przydzielony do kompanii podchorąży, co w tamtym nie wzbudziło cienia entuzjazmu. Stwierdził krótko głuchym basem, że w kompanii nie ma już wolnych łóżek, więc Zygmunt będzie musiał chyba sypiać na kwaterze ogólnej rezerwistów, a co do umundurowania i broni, to niech się o to troszczy dowództwo pułku, bo tu już również nic nie ma. Zresztą „poczekajcie na dowódcę kompanii" — dodał i bez dalszych rozmów zniknął w drzwiach kancelarii. Zgnębiony Zygmunt, nie niepokojony już na szczęście przez służbowego, usiadł ciężko na ławce i popadł w bezmyślną zadumę. Po godzinnym blisko oczekiwaniu zjawił się wreszcie „pan porucznik" — dowódca kompani. Był to młodziutki, młokosowaty podporucznik z rudawym wąsikiem — niedawno widocznie wypuszczony z zawodowej podchorążówki, bo zachowywał się krzykliwie, z robionym wigorem, jak na placu musztry; ale pod pokrywką tej hałaśliwej „służbowej" krzepy czuć w nim było jakieś wewnętrzne zdenerwowanie — zwłaszcza uderzyło to Zygmunta, gdy przyjrzał się przez chwilę jego oczom, w których jarzył się obłędny wyraz podniecenia i niepokoju. Potraktował on Zygmunta również bardzo z góry, nie omieszkał zrobić uszczypliwej uwagi na temat jego niskiego stopnia („w tym wieku jeszcze podchorąży") — stwierdził też, że w kompanii nie ma już miejsc ani mundurów, wreszcie jednak okazał bardzo wyniośle swą łaskę i wciągnął Zygmunta do służbowej książki kompanii — krzywiąc się wyzywająco i pogardliwie przy wpisywaniu zawodu — dziennikarz. Potem kazał mu dowiedzieć się o umundurowanie w komendzie pułku i demonstracyjnie przestał się nim zajmować. Zygmunt wyszedł z kancelarii upokorzony — tłumaczył sobie wprawdzie, że to jest wojsko i że tak być musi, lecz w głębi duszy czuł, iż w czasie wojny ów szczeniakowaty podporucznik mógł był zrezygnować nieco ze stosowania tak rygorystycznie służbowego „drylu". Zresztą mniejsza z tym. Zygmunt miał zamiar udać się do komendy pułku w sprawie munduru, gdy na schodach zadzwoniły i zachrzęściły kroki wielu podkutych butów — kompania wracała. Pierwszy wkroczył na salę zgarbiony podporucznik — na pierwszy rzut oka rozpoznać w nim było można rezerwistę; jak się okazało, dowódca kompanii (ów niegrzeczny szczeniak) i szef byli tutaj jedynymi przedstawicielami kadry zawodowej — obok nich było dwóch podporuczników rezerwy — w cywilu nauczycieli ludowych z Lubelszczyzny — obaj nadęci i „ważni", lecz nie umiejący dać sobie rady z najdrobniejszą rzeczą. Zyg-

munt przedstawił im się i wreszcie poszedł do komendy pułku wykłócać się o umundurowanie.

Upłynęło parę dni beznadziejnego życia. W koszarach panowało wyraźne bezkrólewie, chaos, zamęt i ogólna bezradność, ukryte pod pokrywką służbowych, rygorystycznych manier; Zygmunt zaczął żałować, że tu przyjechał. O wymarszu „w pole" nic się jakoś nie słyszało, co parę godzin za to następował alarm lotniczy, przed którym chronili się do zupełnie niewystarczających, płytkich rowów, wykopanych koło koszarowego muru. Bomby nie padały wprawdzie, lecz strachu było dużo. Zygmunt po długich targach i rozhoworach został wreszcie umundurowany w składnicy pułkowej, dostał tam również karabin i maskę — przy okazji stwierdził ze zdumieniem, że mundurów i broni było tam mnóstwo — niepojęte więc, po co robiono z tym tyle trudności; w mundurze ale bez odznak (nie można ich było bowiem nigdzie dostać) Zygmunt plątał się bez celu po kompanii, nie mając tam żadnej funkcji, narażony stale na różne uszczypliwości ze strony szczeniaka-dowódcy. Czas dłużył się beznadziejnie — strzelcy, przeważnie rodem z kresów, nie uznawali Zygmunta w ogóle, widząc go w zwykłym strzeleckim, w dodatku źle dopasowanym mundurze, kołaczącego się z kąta w kąt bez celu i sensu; jedynym człowiekiem, z którym Zygmunt trochę się zaprzyjaźnił był pewien kapral, nazwiskiem Opałek, Warszawianin, pełen sprytu, werwy i humoru, tak typowego dla mieszkańców nadwiślańskiej stolicy. Gawędami z nim skracał sobie Zygmunt nieco szare i bezczynne dni oczekiwania — na co — nie wiadomo.

Najprzyjemniejsze jeszcze były wieczory, gdy udawał się na „kwaterę rezerwistów" do drugiej kompanii. Spotykał się tam z „porucznikiem" Kowalskim — spali na sąsiednich łóżkach i często rozmawiali do późna o Warszawie, o wojnie, o perspektywach politycznych. Kowalski, opozycjonista z przekonania i z natury, był usposobiony dość zgryźliwie i pesymistycznie, Zygmunt starał się temu przeciwstawiać, lecz w głębi duszy również chował coraz wyraźniej krystalizujące się wątpliwości co do wszystkiego, co się działo naokoło; czy przypadkiem wojna nie była już przegrana? Ale co robi Francja i Anglia — pamiętał przecież, jak 3-go września radio nadawało wiadomość o wypowiedzeniu przez te państwa wojny Niemcom — toż to sojusznicy nie byle jacy — — trudno sobie wyobrazić, aby zaatakowane od zachodu Niemcy mogły wytrzymać walkę na dwóch frontach. Lecz co się właściwie działo? kiedy i dokąd pułk wyruszy wreszcie z koszar? — wszystko to osłonięte było nieprzeniknioną zasłoną „tajemnicy wojskowej". A za zasłoną — czuli to wszyscy — działo się coś niepokojącego.

Tego wieczora Zygmunt jak zwykle miał udać się z kompanii na „kwaterę rezerwistów", gdy zawiadomiono go, że otrzymał na dzisiejszą noc służbę podoficera przy głównej bramie koszar. Służba miała trwać od 6-ej wieczór do pierwszej w nocy, bliższych informacji udzieli mu zdający funkcję podchorąży. Nie zwlekając (było już po 6-tej) Zygmunt udał się do bramy, gdzie na wartowni zastał spieszącego się bardzo młodziutkiego podchorążaka, który w kilku słowach zapewnił go, że służba jest bardzo łatwa, polega po prostu na

kontrolowaniu przepustek wchodzących i wychodzących przez bramę osób — w razie stwierdzenia czegoś podejrzanego należy oddać odnośną osobę w ręce dowódcy warty, lub jego zastępcy — oto wszystko — zupełnie proste i łatwe; wyłuszczywszy to młodzieniec ów pożegnał Zygmunta i wybiegł, jakby go ktoś gonił. Pewno głodny i spieszy się na kolację pomyślał naiwnie Zygmunt i wyszedł z wartowni, aby objąć swój posterunek. Było już prawie ciemno; Zygmunt stwierdził ze zdziwieniem, że brama jest otwarta i że płynie przez nią niekończąca się fala wozów, koni i ludzi; czy ci wszyscy mieli przepustki? Zygmunt zatrzymał się zdezorientowany — było coraz ciemniej — stał z boku w zwykłym strzeleckim mundurze bez odznak — nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi — nie widać było również żadnych wartowników. Przez chwilę obserwował sytuację zupełnie bezradny, lecz należało przecież zaznaczyć czymś swoją obecność, musiał coś robić. W ciemności słychać było chrzęsty i tupoty, jacyś ludzie wchodzili i wychodzili — ruch był ożywiony jak na Marszałkowskiej. Zygmunt zagadnął wreszcie kogoś z wchodzących o przepustkę, lecz ten spojrzał nań jak na wariata i poszedł dalej; ktoś inny wyciągnął w jego stronę jakiś papier, lecz przy panujących ciemnościach niesposób było stwierdzić, co to za dokument; chcąc skontrolować przepustkę należało pójść na wartownię, gdzie było światło — przez ten czas mogło wejść przez bramę dziesiątki innych. A najgorsza rzecz była z wozami — co to były za naładowane po brzegi, okryte brezentem landary, które, pewne siebie i niewzruszalne wtaczały się powoli przez bramę w głąb koszar? Zygmunt próbował legitymować woźniców, lecz ci wybuchali śmiechem lub grubiaństwami; mówili do niego per „ty" biorąc go za zwykłego strzelca. Grupa obandażowanych, obdartych żołnierzy wlokła się za jednym z wielkich wozów — zaczęli pytać Zygmunta o garnizonową izbę chorych, twierdząc, że przybywają spod Wilna z „rozbitego pułku". Zygmunt zdumiał się — więc pod Wilnem też byli już Niemcy? Lecz zdumienie jego dwoiło się, troiło, rosło jak na drożdżach, gdy przez bramę wpełzały coraz to nowe grupy bezpańskich rannych lub wygłodzonych żołnierzy — ci byli z Grodna, ci z Białegostoku, tamci z Pomorza, z Częstochowy, z Gdyni, z Krakowa. Co to wszystko znaczyło? — czyż cała Polska wyznaczyła tu sobie spotkanie? gdzie są jacyś oficerowie, gdzie dowódca warty — czyż wszyscy uciekli? Na jednym z wozów jechał nakryty płachtą namiotową ranny oficer, który zażądał od Zygmunta skierowania go do dowództwa pułku; gdy Zygmunt zrobił bezradny gest ręką, tamten zażądał widzenia z oficerem kontrolnym garnizonu. Zygmunt pierwszy raz słyszał o takim stanowisku i nie miał pojęcia, gdzieby ów oficer mógł przebywać; stał z miną zdezorientowaną i niezbyt mądrą, co rozjątrzyło rannego; zaczął krzyczeć i miotać się histerycznie, na ustach wystąpiła mu piana; jednocześnie przez bramę wciąż wchodzono i wychodzono, zza bramy dochodziły niecierpliwe okrzyki powożących dalszymi wozami, które musiały zatrzymać się przez przydługą rozmowę Zygmunta z rannym; w ciemności słychać było jakieś podejrzane dźwięki, charczenie, tupot, szamotanie się. Ranny na wozie zdawał się bliski szału. Jeszcze mnie gotów zastrzelić — pomyślał Zygmunt

i, jak najsłużbiściej potrafił, zameldował, że przywoła zaraz dowódcę warty, który udzieli wszelkich informacji. Ze strachem w sercu udał się na wartownię, gdzie oczywiście nikogo nie było; po długich poszukiwaniach w mdłym blasku latarki Zygmunt odnalazł wreszcie dwóch beznadziejnie zaspanych strzelców, którzy jednak nie mogli go poinformować o miejscu pobytu dowódcy warty. Sytuacja stawała się groźna: zaraz tu po mnie przyślą, pomyślał Zygmunt i postanowił ukryć się. Wślizgnął się w gęste haszcze, rosnące tuż za wartownią — w samą porę, gdyż od bramy rozlegały się dzikie krzyki: podoficer służbowy, he! podoficer służbowy — ryczano tam. Zygmunt nie dawał znaku życia — w tej chwili gotów był nawet na dezercję: leżał w zaroślach jak nieżywy, póki nie usłyszał, że wozy przy bramie ruszyły znowu; odczekał chwilę, aż wóz wiozący rannego oficera odjechał w ciemność i ukradkiem powrócił na swój „posterunek".

To niezrozumiałe, pozbawione krzty realności i sensu ciemne piekło kłębiło się i trwało długie godziny — Zygmunt po raz pierwszy w życiu zaczął zastanawiać się na serio, czy przypadkiem nie zwariował i nie jest ofiarą obłędnych halucynacji, natrętnych wizji. W miarę zapadania nocy ruch nie tylko że nie malał, lecz przeciwnie — stawał się coraz bardziej nieokiełzany i opętańczy. Rannych i zgubionych żołnierzy było coraz więcej, z coraz bardziej oddalonych miejscowości Polski; wszyscy żądali kwater, lekarza, kolacji, wszyscy wymyślali Zygmuntowi, lub w najlepszym wypadku nie zwracali na niego uwagi. Po dwóch godzinach zjawił się wreszcie kapral, dowódca warty, który zaczął od tego, że jak wszyscy „objechał" Zygmunta nielitościwie, biorąc go za zwykłego strzelca. Tym razem jednak źle trafił, bo nagromadzone w Zygmuncie zdenerwowanie znalazło wreszcie gwałtowne ujście; zwymyślał dowódcę warty jak najbrutalniej potrafił, grożąc mu raportem i sądem wojennym. Tamten zmiękł zupełnie, tłumaczył się i przepraszał jąkając, wreszcie wycofał się na wartownię, skąd nie ruszył się ani na pół kroku. Zygmunt pozostał przy bramie nadal, w dotykalnej już niemal, grubej ciemności, kontentując się tylko nasłuchiwaniem zmieszanej wrzawy najróżniejszych podejrzanych dźwięków, dochodzących od bramy. Podobnych stosunków w wojsku nie wyobrażał sobie nigdy; toż to nonsens, idiotyczny chaos, absurd, po prostu dom wariatów. Chociaż — może właśnie na tym polegała wojna? — wszak nie miał dotąd w tym kierunku żadnego doświadczenia. Ale przecież nie było mowy o spełnianiu tutaj jakiejkolwiek służby — przez bramę mógł wejść, kto chciał, dywersanci — to Zygmunt mógł, wraz z tym kretyńskim dowódcą warty znaleźć się przed sądem wojennym. Należało jak najprędzej zdać tę przeklętą funkcję.

Następca Zygmunta zjawił się po północy. Zygmunt słyszał tylko jego głos — głos człowieka inteligentnego i uprzejmego. Był to również starszy podchorąży, który, jak się okazało, przyjechał do pułku dopiero wczoraj i był pełen najlepszych chęci i specjalnie obmyślonej „angielskiej" flegmy, z jaką szykował się na przyjęcie przygód wojennych. Typowy inteligent — Zygmunt przeniknął go od razu, choć w ciemności nie widział jego twarzy. Podchorąży ów miał zamiar uciąć sobie z Zygmuntem pogawędkę, lecz Zygmunt rozumiał teraz, dlaczego

poprzednik jego tak się dziwnie spieszył. Tłumacząc się niewyspaniem i zmęczeniem zdał tamtemu szybko służbę, zapewniając go, że jest łatwa i prosta, uścisnął mu serdecznie dłoń i rozradowany, jak sztubak na swobodzie, puścił się pędem w ciemność.

Na dziedzińcu koszar przystanął chwilę, nie mogąc zorientować się, co do kierunku — nigdzie nie było najmniejszego nawet światełka; Zygmunt stał z wyciągniętymi rękami jak niewidomy; w głowie huczał mu jeszcze niepojęty gwar i hałas, dolatujący od bramy. Nagle pomiędzy te dźwięki wpadł jakiś inny, bliższy, jakby tętent rytmiczny, głuchy, zbliżający się z każdą chwilą, rosnący z przerażającą szybkością. Zanim Zygmunt zdążył zorientować się, co ten dźwięk oznacza, owionął go ostry zapach rozgrzanych koni, usłyszał chrapanie, przeraźliwy turkot i coś ciężkiego przemknęło obok niego, uderzając go w kolana. Zapalona nie wiadomo przez kogo latarka oświetliła Zygmuntowi niebezpieczeństwo, którego uniknął; dwa zdziczałe, przerażone konie unosiły galopem ciężki, dwukołowy wózek amunicyjny — sekunda i Zygmunt byłby stratowany.

Otarł kroplisty pot z czoła; nagle zapalone światełko równie nagle zgasło i stał znowu w ciemnościach. Czyż równie głupie przygody zdarzają się komukolwiek jeszcze dzisiejszej nocy? — pomyślał. Kowalski i inni śpią spokojnie, a tylko on plącze się po koszarach jak pokutująca dusza, sam wśród nieznanych budynków, pół-żołnierz, pół-cywil — niedorzeczna figura w samym środku wojny. Było w tym wszystkim coś filmowego — przypomniał mu się film „Buster na froncie" z ulubionym Buster Keatonem, bezradny naiwniak pętający się pośród tragiczno-groteskowych kataklizmów wojny i przypadkiem, o włos unikający niebezpieczeństw. Znów jakiś turkot rozległ się od strony bramy — Zygmunt uskoczył pod mur, należało jak najprędzej znaleźć się w łóżku.

Po długich poszukiwaniach odnalazł wreszcie kompanię II-gą, a tam w rytmicznie rozchrapanej, rozgrzanej wieloma oddechami sali — swoje łóżko. Długo nie mógł zasnąć, gnębiła go myśl o żołnierzach z Wilna, Grodna, Białegostoku, Łęczycy, Radomia, Częstochowy. Wszędzie były rozbite pułki — czyżby więc — ale to niemożliwe — wojna trwa dopiero niecałe dwa tygodnie! Lepiej było zasnąć i narazie o niczym nie myśleć. Lecz sen nie przychodził jakoś; a gdy przyszedł — nie trwał długo.

Zbudził Zygmunta hałas, gwar i ruch panujący dookoła; wszyscy biegali w ciemności, jak oszalałe stado szczurów. Co się stało? — spytał Zygmunt. — Alarm — powiedział ktoś. Rozmawiano gorączkowym, głośnym szeptem — Zygmunt zerwał się z łóżka i zaczął się pospiesznie ubierać. Skoczył po buty — w rozmachu stuknęli się z kimś głowami, lecz nie było czasu zwracać na to uwagi. — Nie zapalać światła — charczał ktoś gwałtownym szeptem — alarm, alarm! Niemcy w Zamościu. Zygmunt dwoił się i troił z pośpiechu — jak najprędzej znaleźć się w swojej kompanii, nie rozminąć się z nią, nie zgubić się — to był cel najważniejszy.

Wreszcie, ledwo ubrany, wybiegł na dziedziniec. Było jeszcze ciemno, lecz na wschodzie szarzało; całe koszary tętniły głuchym, pospiesznym życiem. Zygmunt popędził do kompanii; skacząc po trzy stopnie wbiegł na schody i wpadł

jak bomba do sali. Stój! — ryknął służbowy, nie poznając go w ciemności. — Swój, podchorąży — warknął Zygmunt i ruszył naprzód. Na sali było zupełnie ciemno — wrzało tam jak w kotle, czarne postacie kłębiły się, jak stado szatanów, brzęk i trzask uderzających o siebie karabinów mieszał się z pospiesznym tupotem ciężkich buciarów i przytłumionym gwarem przekleństw i wymyślań. Nad wszystkim zagórował nagle przenikliwy, załamujący się krzyk szczeniakowatego porucznika, dowódcy kompanii: schodzić na dół, zbiórka przed koszarami! Czarne postacie rzuciły się ku drzwiom, Zygmunt pospieszył za innymi. Zepchnięty niemal po stromych schodach znalazł się na dole.

Na dziedzińcu kompanijnym było już szaro; od wschodu czerwieniała różana, rzeźwa jutrzenka. Kompania dosyć sprawnie zebrała się w dwuszeregu — Zygmunt, jako członek „kadry", stanął na lewym skrzydle. Obaj ofermiści podporucznicy rezerwy człapali z boku przed frontem z minami schodzonych koni. Wreszcie po schodach zeszedł w towarzystwie szefa „szczeniak". Elegancki polowy mundur uwydatniał jego zręczną figurę, na nogach miał wysokie kawaleryjskie buty — wyglądał „fasonowo", jak na defiladzie, lecz wyraz twarzy miał jakiś roztargniony i nieobecny.

Zygmunt spodziewał się, że o ile Niemcy byli już w mieście, nastąpi natychmiastowy wymarsz i może — nareszcie — bitwa, potyczka, strzelanina. Czuł emocję, strach, lecz zarazem było w tym coś kuszącego. Tymczasem jednak nie zanosiło się na nic podobnego — widocznie wiadomość o Niemcach była nieprawdziwa, a w każdym razie przedwczesna. „Szczeniak" kazał sobie złożyć raport (przy czym żaden z oficerów rezerwy nie wiedział na pewno ilu w kompanii jest ludzi) po czym stanął przed frontem, podparł się w bok i — nieoczekiwanie — zaczął przemawiać.

Mówił, a raczej krzyczał wysokim, histerycznie załamującym się tenorem. Z początku były to grzmiące frazesy o bohaterstwie i miłości ojczyzny, frazesy podane w formie tak obiegowej i wytartej, że aż Zygmunt zawstydził się; czyż porucznik nie potrafi nadać tym hasłom jakiejś własnej, osobistej nuty? Potem zaczął od innej strony — niby chytrze — tak widocznie — sądził — należy przemawiać do tłumu prostodusznych chłopków, dla których słowo „ojczyzna" jest już zbyt dalekie i abstrakcyjne. Obiecywał im różne korzyści, nagrody, zdobycze, jakie przyniesie im wygrana wojna, opisywał słabość Niemców, którzy rzekomo byli już zaatakowani przez Francję i Anglię — przegrana Niemiec była kwestią tygodni, lada dzień wybuchnie tam rewolucja. Hitler będzie powieszony, a armia pójdzie w rozsypkę. Zygmunt słuchał tych banialuk ze zdumieniem — czyż ten człowiek oszalał? Nagle porucznik przeszedł znów do konieczności bohaterstwa i poświęcenia się, lecz nie umiejąc widocznie wytłumaczyć, czy obawiając się, że nie dość dobitnie przedstawił moralną wartość takiej postawy, nagle zaczął grozić: on nie znosi tchórzów, nie ścierpi tchórzów u siebie w kompanii, pierwszemu, który stchórzy, sam strzeli w łeb bez litości — krzyczał zachłystującym się, wysokim falsetem; wydobył przy tym z pochwy rewolwer i teatralnym gestem podniósł go do góry. — Histeryk i błazen — pomyślał Zygmunt — gdy nagle

padł strzał; efekt był piorunujący: szeregi złamały się, kilkunastu lękliwych rzuciło się do tyłu. Porucznik był niewiarygodnie zdumiony: kto strzelał? — wycharczał zduszonym głosem. Wskazano mu winowajcę: był to stary szeregowiec, rezerwista, który zapominając widocznie, że ma nabity i niezabezpieczony karabin, pociągnął iglicę i wystrzelił w górę — w ochraniaczu na lufie — oczywiście z ochraniacza nie pozostało ani śladu. Groteskowo — makabryczny ten wypadek wprowadził porucznika w histeryczną wściekłość — rzucał gromy na nieszczęśnika, wymachiwał mu przed nosem rewolwerem, groził sądem wojennym. Nagle uspokoił się, jakby zapomniał o całym zajściu i zaczął mówić dalej z coraz większym rozpędem i niby zapałem, przechodząc od odświętnych frazesów o bohaterstwie do demagogicznych bredni i bezsensownych pogróżek. — To dopiero piękny dowódca — pomyślał Zygmunt — ale co za diabeł nim włada? — bo jasne jest przecież, że on tych wszystkich rzeczy nie mówi z przekonania ani z uczucia, tylko tak to sobie obmyślił — ale o co mu chodzi, jaki zapał go popycha — cóż to za fajerwerkowaty, sztuczny ogień mieszka w jego mózgu? Później, gdy Zygmunt poznał bliżej nieco porucznika, zrozumiał, że człowiek ten miał w sobie jedną myśl, jedną ambicję, jedną żądzę: wybić się na wojnie, zdobyć awans, stanowisko, dowodzenie, rozgłos. Żołnierzy uważał za narzędzie do tego celu i przemowy jego miały właśnie zaostrzyć to narzędzie, nagiąć je i przygotować do użycia — w gruncie rzeczy nic go jego kompania nie obchodziła poza tym, że miała mu posłużyć do wypłynięcia w górę. Słowem był to Napoleon w miniaturze, ale bez zdolności, bez inteligencji i bez opanowania jakie miał Napoleon; porucznik był tak dalece owładnięty jedną myślą, którą wykołysał sobie widocznie w głowie w czasie długich lat, spędzonych na placach ćwiczeń i salach wykładowych zawodowej podchorążówki, że sprawiał na otoczeniu wrażenie wariata, maniaka, obłąkańca — a na bystrzejszym obserwatorze — zimnego histeryka i komedianta. Co prawda Zygmunt stwierdził, że strzelcy na ogół chętnie i uważnie słuchali przemówień porucznika — może więc uderzał on we właściwy ton — umiał przemówić do „ludu" — może tylko Zygmunt jako „zblazowany inteligent" nie umiał przejąć się tym jego ogniem i uważał go za sztuczny — sądząc wszystkich po sobie?

Tak czy owak, ta przemowa o świcie trwała stanowczo za długo. Było zimno, Zygmunt niecierpliwił się i przestępował z nogi na nogę: jeśli mieli iść walczyć, to po co tyle gadania, cóż to za opętane gadulstwo. Porucznik mówił właśnie o defetyzmie i wzywał do zastrzelenia każdego, kto by poddawał w wątpliwość bliskie zwycięstwo, gdy zjawił się kapral z rozkazem: przygotować kompanię do wymarszu i podprowadzić pod magazyn. Porucznik urwał w pół słowa i za chwilę już maszerowali w stronę magazynów. Zygmunt stwierdził ze zdumieniem, że magazyny były otwarte na przestrzał, a wszystko co w nich się znajdowało, leży wywalone na ziemię przed schodami: olbrzymia kupa mundurów, spodni, butów, bielizny walała się po ziemi, rozciągana na wszystkie strony przez strzelców z innych kompanii. Zygmunt przypomniał sobie zajadłe walki o mundur, jakie musiał toczyć parę dni temu — to wszystko zakrawało na jakąś groteskę — złośliwa karykatura wojny. Nie-

bawem sam wziął również udział w legalnym zresztą ataku na owe stosy mundurów. Głównie polował na buty, miał bowiem niezbyt wygodne, a jako zawołany piechur i turysta wiedział, czym są niewygodne buty w dalekich marszach. Złapał właśnie piękną parę potężnych, nowiutkich z żółtej skóry, gdy zakomenderowano odmarsz. Zygmunt postanowił jednak nie darować swego: nie zważając na histeryczne krzyki komendy wydawane przez „małego Napoleona" usiadł na ziemi, zmienił buty i zostawiając swoje tam gdzie leżały, obok kupy mundurów i czapek, pobiegł za kompanią. Po chwili maszerował już w pierwszej czwórce. Za taborową bramą koszar bieliła się piękna, kręta szosa, ginąca hen na horyzoncie w ciemno fioletowej ścianie boru. Po szosie wił się długi, ruchomy wąż pułkowych taborów. Gdy wkroczyli na tę szosę, zostawiając za sobą ceglane mury koszar, powiał im w oczy chłodny, rzeźwy, swobodny wiatr szerokich pól. Zygmunt odetchnął nim głęboko, aż się zachłysnął: tym razem naprawdę już szli na wojnę.

III.

Niedługo jednak dane mu było cieszyć się tym pięknym wymarszem; uszli może zaledwie 300 metrów od bramy koszar, gdy rozległy się nerwowe gwizdki i trąbki: alarm lotniczy. Całe wojsko momentalnie rozbiegło się na obie strony drogi — jedni popadali do rowów, inni ukryli się pod drzewami — w parę minut na szosie nie było już nikogo — z daleka widać było popłoch i zamęt wśród taborów — wozy posczepiały się, konie stawały dęba, albo rzucały się na wszystkie strony jak szalone. Gdzieś daleko na niebie ukazały się czarne punkty — samoloty — warkot zbliżał się i rósł. — Zygmunt z częścią swego plutonu leżeli pod jabłoniami w jakimś przydrożnym sadzie — mocno przywarli do ziemi i nasłuchiwali z napięciem; samoloty były już nad nimi, zniżały się — warkot potężniał z każdą chwilą. Był moment, gdy zdawało się, że huk motorów jest już nie do wytrzymania — koncentrował się niemal w samej głowie, uszy były go pełne — za chwilę coś się stanie. Lecz nie — huk zaczął słabnąć, oddalać się, maleć; teraz dopiero usłyszeli kilka głuchych, tępych uderzeń, a potem szybkie stukania karabinów maszynowych; bombardują tabory — powiedział ktoś. Zygmunt chciał się podnieść, aby to zobaczyć, lecz jakiś sierżant ofuknął go ostro: — leżcie i bądźcie zadowoleni, że wam dobrze — szczeknął. Zygmunt przywarł więc z powrotem do wilgotnej ziemi.

Leżeli tak ze dwie godziny; dawno już ucichł warkot motorów i odgłosy strzelaniny, kiedy wreszcie padła komenda: powstań! Zebrali się z powrotem na szosie i ruszyli; taborów nie było nigdzie widać, przed nimi rysowała się bezkresna perspektywa pól; ledwo jednak uszli kilkaset metrów, znów powtórzyła się ta sama scena: alarm — żołnierze pryskają w obie strony, warkot motorów faluje nad leżącymi, dalekie strzały i detonacje — potem długa, niepokojąca cisza — cisza pól i ogrodów, z których odeszło życie.

Tak mniej więcej działo się aż do wieczora — uszli może zaledwie dwa kilometry od koszar, gdy liliowy zmierzch i gęste mleczne mgły osłoniły wreszcie

równinę. Wtedy dopiero ruszyli naprzód na dobre i od tej chwili zaczęły się owe monotonne, dziwne dni spędzane przez Zygmunta i jego towarzyszy na ciężkim, jednostajnym, nieustępliwym marszu przez lasy, pola i puste równiny. Szli wytrwale, długimi godzinami, nie wiedzieć dokąd, godziny zaś składały się na pozornie również długie, lecz zarazem niepostrzeżenie szybko, jeden po drugim mijające dni — jak paciorki różańca. Zatracili zupełnie poczucie czasu, szli tylko nocami — we dnie spali na ziemi, zagrzebani w gęstych podszyciach wielkich liściastych lasów, spali owinięci w koce, skuleni w kłębek na mokrej ziemi, z głowami opartymi na plecakach i tornistrach. Nad wieczorem wydawano obiad ze zjawiających się nie wiadomo skąd wozów kuchennych i potem znowu szli; unikali teraz większych szos — szli dwójkami, długim, nieskończonym wężem, jak pochód duchów, po leśnych dróżkach, mijali księżycowe polanki, bagniska, haszcze, wychodzili na brzeg lasów i kołysali się wyboistymi, chłopskimi drogami, aby znów zaszyć się w młody, iglasty gąszcz, gdzie gałązki trzeszczały pod nogami, a rozchylane, prężne młode świerki uderzały ich ostrymi igłami po twarzy; takie laski ciągnęły się kilometrami, aby potem zamienić się znowu w wielki bór, a potem znów pola, łąki, wsie, śpiące w blasku księżyca — wszystko migało przed oczyma jak taśma filmowa. Strudzone ale coraz silniejsze i sprawniejsze nogi przywykały do miękkiej ziemi, do bagien, gałęzi, wybojów, kamieni, rowów; Zygmunt dziwił się, że to on, tak niedawno jeszcze wędrujący po warszawskich brukach jest teraz tu w tych lasach, z nieznanymi ludźmi, idzie oto nocami w nieznanym kierunku — idzie wytrwale, uporczywie, miarowo, niezbyt szybko ale stale; ten rytm marszu upajał go — puszczał wodze myślom, które płynęły swobodnie, łagodnie przechodziły jedna w drugą — i mijały, przynosząc jedynie w krótkich migotach odblaski dawnego życia. Z „dawnych" wspomnień najczęściej nawiedzało go jedno — wspomnienie o Bronku. Zygmunt nie lubił tego wspomnienia, lecz dlatego właśnie postanowił go nie odpychać, przeciwnie — rozmyślnie przypominał sobie Bronka i zastanawiał się nad nim; dziwna rzecz — we wspomnieniach o Bronku zatarły się obecnie wszystkie jego śmieszności i braki. Bronek za życia wydawał się Zygmuntowi postacią irytującą, karykaturalną — teraz zapominał o tym i widział tylko Bronka zabitego, Bronka — ofiarę, Bronka — ginącego „na posterunku". Śmierć wywyższa nawet bałwana — myślał nielitościwie — śmierć to jedyny naprawdę ważny i doniosły wypadek w życiu każdego człowieka — przez śmierć wszyscy stajemy się wielkimi. Stajemy się — i może staniemy się już niedługo — przecież jesteśmy na wojnie, dokąd to maszerujemy tak uporczywie nocami? — w bój, prowadzą nas do walki o sprawę naszą, o sprawę słuszną. Tylko kiedy to wreszcie będzie, kiedy dojdzie do tej upragnionej, wszystko okupującej walki?

To ostatnie pytanie niepokoiło Zygmunta coraz bardziej; motyw przewodni jego pobytu w wojsku — niejasna obawa, że coś jest nie w porządku, że sprawy wojny nie idą dobrze — nie opuszczał go i teraz, a nawet wzmógł się jeszcze. W ich wiele nocy trwającym marszu, przeczuwał coś nieracjonalnego, przypadkowego i bezradnego. Nie było czuć kleszczy dyscypliny wojskowej, nie

widziało się oficerów — nie wyczuwało się dominującej woli, celowo kierującej tą wielką masą ludzi. A przede wszystkim — gdzie był nieprzyjaciel? Szli ciągle na wschód, w stronę Bugu i raz tylko zetknęli się z Niemcami; zetknięcie to również było — dziwne. Wynurzyli się właśnie z lasu i mieli przeciąć widoczną w blasku księżyca gładką szosę, gdy rozeszła się z ust do ust podawana komenda: padnij, kryj się — niemieckie czołgi na szosie. Część żołnierzy cofnęła się do lasu, inni padli w krzakach gdzie kto stał, wytężając w napiętym milczeniu wzrok ku szosie. Po chwili ukazał się pierwszy czołg — za nim drugi, trzeci — kilkanaście wielkich cielsk przejechało przed nimi, powoli, majestatycznie, z cichym chrzęstem. Zygmunt był zdumiony: Niemcy byli tuż pod ręką — dlaczego ukrywano się przed nimi, dlaczego nie doszło do walki, jakież więc były cele tego marszu? Lecz starał się uspokoić: są przecież jakieś plany operacyjne, są manewry na wielką skalę — ich marsz jest zapewne cząstką jakiegoś manewru, obejmującego wiele dywizyj; widocznie trzeba jeszcze uzbroić się w cierpliwość.

Tego wieczoru, po dziwacznym spotkaniu z czołgami, tempo marszu stało się szybsze niż zwykle. Szli pospiesznie po wyboistych, zarosłych korzeniami leśnych drogach biegnących to w górę to w dół; potykali się w ciemności, wpadali na siebie, co chwila słychać było głuchy, tępy łoskot czyjegoś upadku; Zygmunt czuł na plecach zdyszane oddechy sąsiadów, sam był zdyszany, spocony, nogi w wielkich butach piekły go dotkliwie. Po kilku godzinach takiego marszu, gdy forsowali długą, wąską, stromo w górę biegnącą drogę, tempo nagle się zahamowało; świerki rozsunęły się jak kurtyna w teatrze i znaleźli się na wielkiej, wyżynnej polanie leśnej, otoczonej zewsząd strzelistymi, nieruchomymi sosnami. Pośrodku polany paliło się olbrzymie ognisko, przy nim czerniały zarysy wozów taborowych, nie wiedzieć jakim cudem tu wciągniętych. Cała polana natłoczona była wojskiem: kompania Zygmunta roztasowała się we wskazanym miejscu — kazano wydobyć menażki. W oczekiwaniu na kolację, która miała być zarazem obiadem, Zygmunt rozglądał się wokoło: panował stłumiony, ale przejmujący gwar — na polanie było najwidoczniej za dużo wojska — coraz to nowe kompanie wtłaczały się, a nie mogąc znaleźć sobie miejsca stały, powiększając ogólny zamęt; nad całym tym mrowiem unosiły się kłęby dymu z ogniska, układając się jakby w jakieś kolosalne, dziwaczne, groźne postacie. Zygmunt doznał naraz osobliwego, dotkliwego, przejmującego wrażenia — wydało mu się, że widzi wyrok, wiszący nad tą całą ogromną, skłębioną masą ludzką: to wszystko skazane było na zagładę, jakaś nieuchwytna lecz tragiczna groźba kryła się w obrazie wielkiej, natłoczonej ludźmi i końmi polany.

Nagle jak spod ziemi — jak diablik z pudełka — powiedział kapral Opałek — wyrósł przed nimi „szczeniak — Napoleon". Ściszonym ale przenikliwym tenorem naszkicował znowu coś w rodzaju przemówki do zebranych z menażkami żołnierzy. Zygmunt słyszał piąte przez dziesiąte — dobiegły go tylko słowa — jutro i — walka. A więc tak — jutro już walka — ale może to wylęgło się tylko w mętnym mózgu porucznika? W każdym razie — zobaczymy.

Po długich, pełnych zamętu, przekleństw i wymyślań manewrach otrzymali wreszcie swoją kolację. Natychmiast po zjedzeniu rozległa się cicha komenda: przygotować się do odmarszu. Opuszczali polanę kompaniami: jedna po drugiej nikła w leśnym gąszczu — wreszcie ruszyli i oni. Był to jeden z najbardziej wariackich marszów, jakie Zygmunt przeżył kiedykolwiek — przypomniał mu wielkie pokazowe manewry, w których brał udział służąc w wojsku. Ale tamto było „na niby" — a tu — prawdziwa wojna. Pędzili w ciemność na złamanie karku — gałęzie biły ich po twarzy, co chwila ktoś potykał się na śliskich leśnych wykrotach i padał do tyłu, zawadzając lufą karabinu o twarze idących za nim; klęto go w żywy kamień, ale nieustanne tempo, konieczność ciągłego wysiłku i uwagi topiła te incydenty w niepamięci. Szli dalej i tyle.

Ten diabelski marsz trwał aż do świtu; dzień wschodził mglisty i szary, gdy wreszcie tempo zelżało trochę. Byli teraz w rzadkim, liściastym, pagórkowatym lesie, szli bez drogi, wspinając się na łagodne zbocza po stosach różnobarwnych, na pół zgniłych liści, zaścielających ziemię. Czwórki pomieszały się, szli właściwie luźną, rozciągniętą gromadą — na czele człapali dwaj podporucznicy rezerwiści. Zygmunt wyszedł z szeregów i wlókł się z boku; zdjął czapkę, z czoła spływał mu gęsty, kroplisty pot. Nagle poczuł, że ktoś się doń zbliża — był to jeden z dwóch podporuczników. Przez chwilę szedł obok Zygmunta, potem nagle powiedział z cicha: — czy pan wie, panie podchorąży, że jesteśmy otoczeni? Jakto — spytał zaskoczony Zygmunt. Po prostu — mówił tamten — Niemcy są ze wszystkich stron — nasze tabory przepadły. Lada chwila zjawią się tutaj niemieckie czołgi a wtedy — już po nas; jatka i tyle. — Będziemy się przecież bronić, powiedział nie wierząc swym uszom Zygmunt. — Pan żartuje chyba — skrzywił się tamten — piechota na czołgi? — nie mamy nawet karabinów maszynowych ani amunicji przeciwpancernej. Jesteśmy skazani — już po nas — to jasne. Chwilę szedł dalej w milczeniu przy boku Zygmunta, potem oddalił się. Byli już prawie na szczycie szerokiego leśnego wzgórza. Zygmunt rozejrzał się wokoło z wyostrzoną wrażliwością, pełen śliskiej, paraliżującej trwogi — czuł jak serce podchodziło mu do gardła; śmierć — za chwilę — ależ to było niemożliwe. Podejrzliwie, z zabobonną bojaźnią przyglądał się grupom drzew, zza których miały lada chwila wyjechać owe czołgi; usiłował przebić wzrokiem gęstą zieleń, sondował las od końca do końca — ale nic nie było widać — lesista głusza, dęby i buki stojące rzadko w swym stroju z jesiennych liści. A więc tutaj mam ginąć — pomyślał Zygmunt; rozejrzał się po swych towarzyszach — wszyscy wlekli się przygarbieni, twarze blade, spocone, oczy gorączkowo biegające wokoło, usiłujące przebić leśną zieleń, pełne wewnętrznego napięcia. Zygmunt zrozumiał; oni wszyscy już wiedzieli. Poszukał wzrokiem kaprala Opałka, z którym zaprzyjaźnili się od dawna: warszawski łobuz wyczuł w Zygmuncie warszawskiego inteligenta i przylgnął doń z ową nieodpartą solidarnością, jaka łączy Warszawian, rzuconych przez los poza rodzinne miasto. Kapral z czapką nałożoną na bok, tak, że róg jej zasłaniał mu niemal jedno oko, z karabinem przewieszonym przez plecy wlókł się ponuro naprzód, co chwila spluwając przez zęby. Widząc zbliżającego się Zygmunta

przestał pluć i zagadał półgłosem: no i co panie podchorąży — ginąć nam przyjdzie marnie, wykierowali nas — tu dodał dłuższe soczyste określenie tych, którzy ich wykierowali. Zygmunta pokrzepiła nieco iście rabelaisowska jędrność wysłowienia kaprala; chciał powiedzieć coś w tym samym tonie, gdy nagle od przodu podano komendę — stój! — Zaczyna się — mruknął pogardliwie Opałek, Zygmunt uczuł ukłucie w sercu, lecz okazało się, że alarm był przedwczesny — po prostu zarządzono odpoczynek. Zygmunt rozciągnął się na ziemi obok kaprala, opierając wygodnie nogi na kupie zwiędłych liści. Nagle ujrzał szczeniaka-Napoleona, który zbliżał się ku nim swoim zwykłym, energicznym krokiem. Twarz miał zgaszoną — usiadł niedaleko na starym pniaku i siedział w ponurym zamyśleniu. I jemu zamknęło gębę — zauważył sarkastycznie Opałek.

Odpoczynek trwał pół godziny. Ludzie parowali z potu; dziwna omdlałość i zobojętnienie ogarnęło wszystkich — leżeli bez ruchu, nie oglądając się już za owymi, mającymi się zjawić czołgami. Zygmunt także leżał w milczeniu — czuł pustkę w głowie, ale nie chciało mu się przywoływać myśli — ta pustka była jeszcze najznośniejsza.

Po pół godzinie ruszyli dalej. Marsz zamienił się w jakiś bezładny pochód — wlekli się jak kto mógł, w zupełnym milczeniu. Las obniżał się — weszli teraz na kobierzec ze wspaniałych mchów — Zygmunt zaczął myśleć że może to wszystko było przesadnym alarmem — czyż niebezpieczeństwo groziło rzeczywiście tak bezpośrednio? — czołgi przecież nie będą ich atakować w lesie — zresztą można by chyba dojrzeć je z daleka. Otucha wstąpiła mu w serce — kapral Opałek również poweselał wyraźnie.

Z gęstwiny wynurzać się zaczęły coraz to nowe kompanie — było już po południu — wszystko wskazywało na zbliżanie się obiadu. Istotnie — niedługo zatrzymano ich — rozlokowali się luksusowo na wspaniałym mchu; nagle rozeszła się wiadomość, że przybył dowódca pułku, pułkownik Czajkowski; — panowie oficerowie na odprawę — podano z ust do ust. Zygmunt odetchnął lżej — a więc jest jeszcze jakieś dowództwo — nie byli porzuceni ani zagubieni.

Odpoczywali już na mchu po wcale niezłym obiedzie, gdy „mały Napoleon" i dwaj rezerwiści powrócili z odprawy. Oczywiście nastąpiła zbiórka kompanii i w zapadającym już zmroku dowódca (pierwszy tenor — pomyślał Zygmunt) — wygłosił mowę. „Mały" był zupełnie odrodzony — widocznie chwilowa depresja, zaobserwowana przez Zygmunta tam w lesie, minęła mu zupełnie. Po wstępnych ognistych apostrofach, oraz poinformowawszy kompanię o kompletnym zniszczeniu przez lotnictwo francuskie Berlina porucznik zawiadomił swych żołnierzy, że na odprawie postanowiono wysłać pułk już jutro do walki. Ponieważ jednak „nie mamy chwilowo łączności z naszymi taborami", a broni i ekwipunku nie jest wiele (Zygmunt pomyślał o masach mundurów, zostawionych w Zamościu) więc stan ilościowy pułku musi być zmniejszony: zorganizuje się „batalion bojowy", a ci którzy są chorzy, zmęczeni, lub słabi odmaszerują na razie do tyłu (gdzie teraz jest tył? — pomyślał Zygmunt). Porucznik wezwał ogniście, aby zgłaszać się do owego „batalionu bojowego" —

istotnie zgłosiło się około trzech czwartych ludzi, między nimi — oczywiście — Zygmunt. Wcale sprawnie zorganizowano z nich nową kompanię, rozdano amunicję i trochę sucharów; Zygmunt został dowódcą trzeciego plutonu, kapral Opałek — w braku kadry podoficerskiej — jego zastępcą. Wieczór już zapadał, gdy żegnany przez pozostających batalion „bojowy" wyruszył szybkim pochodem w głąb lasu.

Po dwugodzinnym ostrym marszu wyszli z lasu na równinę. Rozeszła się wiadomość, że niedalego już znajduje się Bug. Istotnie po paru minutach, w zupełnej niemal ciemności zatrzymano ich na wysokim brzegu rzeki. Woda, płynąca w dole, wyglądała czarno i groźnie; noc była głęboka, nieprzenikniona — na wzgórzach po drugiej stronie co chwila zapalały się jakieś dziwne, podejrzane światła — krótkotrwałe ognie, przerywające swym blaskiem grubą ciemność. Kompanie stłoczone ciasno, w milczeniu obserwowały te zagadkowe znaki. Nagle zjawił się „mały Napoleon"; ściszonym, lecz wibrującym od tłumionego podniecenia głosem wytłumaczył, że te ognie, to sygnały niemieckie — po tamtej stronie Bugu są już Niemcy. Będziemy zaraz przechodzić rzekę, lecz ostrzegam, że musi być absolutna cisza — kto narobi hałasu — pójdzie pod sąd wojenny — skrzeczał mały. Na razie miały przeprawiać się tabory — tymczasem padł już rozkaz zdjęcia spodni i dolnej bielizny — całe wojsko w mundurach, spod których powiewały białe poły koszul wyglądało jak banda groteskowych duchów — Zygmuntowi przypomnieli się widziani na fotografiach żołnierze abisyńscy. Usiadł z Opałkiem na mokrej ziemi — pluton skupił się koło nich; wsłuchiwano się w dźwięki, płynące z nad rzeki, gdzie przeprawiały się tabory. Dźwięki te nie były specjalnie stłumione, w zestawieniu z niedawnymi pogróżkami „szczeniaka" brzmiały nawet wprost prowokująco: dzikie hałasy, najrozmaitsze brzęki i szczęki, krzyki, przekleństwa, rżenie koni, pluskotanie wody pod kopytami olbrzymich perszeronów — wszystko to, produkowane na tle idealnie cichej nocy mogło było przywołać Niemców z odległości dziesięciu kilometrów — widocznie jednak nie było ich w pobliżu — słowa porucznika to zapewne tylko wyraz pobożnych życzeń jego rozigranej, ambitnej wyobraźni. Co prawda zagadkowe światła za rzeką przeczyły temu przypuszczeniu. ktoś przecież musiał być ich sprawcą.

Wreszcie po dwugodzinnym marznięciu w koszulach na mokrej ziemi, rozdygotani i drżący ruszyli do przeprawy. Plutony tłoczyły się jeden za drugim — woda czarna i zimna pluskała cicho; Zygmunt zanurzony po pas pomyślał o przeprawach i nocnych marszach z „Trylogii" — lecz tam było romantycznie a tu — nudno i nieprzyjemnie. Chociaż kiedyś we wspomnieniach na pewno i obecne przeżycia wydadzą mu się romantyczne: zapomni o mokrej koszuli a zapamięta sam fakt — przeprawę przez rzekę — w stronę wroga.

W nieopisanym zamęcie ubrali się — Zygmunt nie mógł doszukać się połowy swego plutonu, wreszcie jakoś szczęśliwie zebrał ludzi i poprowadził ich pod górę do wioski, gdzie mieli się zakwaterować. Zagadkowe światła raz po raz zapalały się na sąsiednich wzgórzach — ludzie drżeli z zimna i z emocji — podobno to była robota niemieckich dywersantów. We wsi panował nieopisany

bałagan — stłoczone wozy, konie, wszystko kotłujące się w absolutnej, nieprzeniknionej ciemności. Wszędzie plątało się masę żołnierzy, którzy w czasie przeprawy pogubili swoje oddziały — znalezienie w tych warunkach kompanijnej kuchni wydawało się zadaniem zupełnie utopijnym; niespodziewanie jednak znalazł się ów czarnooki, hiszpanowaty szef, którego Zygmunt od czasu wymarszu z Zamościa nie widział ani razu. Szef poprowadził ich dwójkami w głąb wsi, gdzie na jakimś zagrodzonym podwórku stała kuchnia polowa. Kolacja okazała się nędzna — potem zainstalowano ich w wielkiej stodole; zakwaterowanie kompanii w owej szopie, przy akompaniamencie przekleństw, brzęku broni, w absolutnej ciemności przypominało kłębienie się węży, w jakichś niedocieczonych piekielnych czeluściach. Ustawianie wart trwało chyba dwie godziny, wreszcie jednak zbawczy sen uspokoił wszystko.

Na drugi dzień ruszyli o świcie. Pogoda zapowiadała się, w przeciwieństwie do wczorajszej — przepiękna — niebo bez chmurki; wszyscy czuli się rzeźwo — zniknęły gdzieś nocne strachy, przygnębiające poczucie obecności niewidzialnego wroga — Zygmunt ogolony i umyty wymyślał sobie za wczoraj od tchórzów — był jak odrodzony; to samo kapral Opałek, popisujący się z brawurą pluciem przez zęby na odległość kilku metrów. Służyli przecież do licha w wojsku, a wojsko to — mimo wszystko — beztroska i junactwo. Dzień robił się gorący — według informacji jednego z podporuczników rezerwy szli do miasteczka Uściług (co za dziwna nazwa) położonego również nad Bugiem — o miasteczko to bezpośrednio już toczyły się walki z napierającymi z zachodniego brzegu Bugu Niemcami. Jakby na potwierdzenie tych wiadomości dały się słyszeć dalekie, głuche grzmoty — artyleria. Grzmoty trwały bez przerwy — czasem były to osobne stęknięcia, czasem długi, tępy pomruk — wszystko stawało się coraz głośniejsze — nareszcie zbliżali się naprawdę do linii frontu.

Weszli właśnie na wielką, równą, ubitą łąkę, coś w rodzaju przestronnego pastwiska — gdy nagle zjawił się „mały Napoleon". Zajmujemy pozycje — wołał — czwarta kompania na skraju tego lasku — okopać się, frontem tam i pokazał kierunek, z którego właśnie przyszli. Zygmunt nic z tego nie rozumiał, lecz trudno — rozkaz był rozkazem; po chwili plutony rozsypały się tyralierką wzdłuż lasku; strzelcy wydobyli łopatki — Zygmunt przypominając sobie swoje wyszkolenie z podchorążówki zaczął badać „pole ostrzału". Po chwili już okopywali się; twarda, gliniasta ziemia ustępowała niechętnie, toteż zanim udało się wykopać „wnęki strzeleckie", ludzie zaleli się ciężkim potem. Gdy robota była skończona i Zygmunt miał zamiar posłać gońca do dowódcy kompanii z raportem, że wszystko w porządku — nagle przyszedł rozkaz dalszego marszu. Zygmunt zacisnął usta — ta wojna była jednak uporczywie karykaturalna — nawet tu, w obliczu bez przerwy dolatujących, głuchych grzmotów armatnich ludzie zachowywali się operetkowo. Zziajani i spoceni, zmęczeni kopaniem strzelcy nie wierzyli swoim uszom — kapral Opałek pluł przed siebie z furią. Ale rozkaz był rozkazem: plutony zebrawszy się i pozostawiając wykopane rowy ruszyły w kierunku szosy. Niebawem cały batalion maszerował już dalej w złocistych blaskach wcale nie wrześniowo palącego słońca; szli w kie-

runku owego rozlewającego się po horyzoncie głuchego pomruku — to jednak było coś.

Po godzinie marszu zatrzymano ich znowu, również z rozkazem okopania się — tym razem frontem w kierunku przeciwnym niż poprzednio. Były to wyraźne bzdury; Zygmunt wydał strzelcom przez Opałka poufny rozkaz, żeby wstrzymać się z kopaniem, gdy przed pozycjami zjawił się „szczeniak-Napoleon" i zwymyślał kaprala od ostatnich, grożąc mu rozstrzelaniem na miejscu. Dzielny Opałek nie zdradził jednak Zygmunta; za chwilę już, chociaż bez zapału kopano rowy w równie gliniastym i niewdzięcznym gruncie. W połowie roboty przyszedł jednak nowy rozkaz do marszu; strzelcy sarkali głośno, a Zygmunt zaprzysiągł sobie nie słuchać już wcale zarządzeń „małego".

Słońce paliło bezlitośnie; ludzie pomęczeni słaniali się na nogach — tymczasem nie było widać końca marszu; w dodatku kierunek pochodu nie wydawał się bardzo określony — szli to prosto, to w bok, to dla odmiany trochę w tył, huk armat zbliżał się i oddalał; Zygmunt klął w duszy — więc ta wojna w dalszym ciągu była karykaturą wojny — nic się nie zmieniło od czasu Zamościa. A może tak właśnie dzieje się na każdej wojnie? Wymęczeni do ostatnich granic zatrzymali się wreszcie w jakiejś opuszczonej wiosce; strzały armatnie brzmiały tu jak głuche stęknięcia — po każdym takim stęknięciu następował nierówny, łopocący szum, jakby coś wielkiego, jak niezgrabna, płaska piłka cyrkowa przelatywało po horyzoncie. Kompania rozsiadła się po obu bokach drogi, gdy nagle zjawił się na rowerze dowódca — „szczeniak". Był tak podniecony, że mimo zmęczenia udzieliło się to wszystkim; załamującym się, zdyszanym głosem oznajmił, że kompania nareszcie dostała specjalne zadanie — bardzo trudne, niebezpieczne, odpowiedzialne i ważne — teraz dopiero pokażemy co umiemy — piał niemal z zachwytu. Dostaniecie obiad, potem odpoczynek, a na wieczór pójdziemy do Uściługu, gdzie broni się nasze wojsko — tam powiem wam o co chodzi — zobaczycie! Intrygował ich, jak zaciekawia się dzieci jakimś niezwykłym prezentem — ale sam miał w sobie w tej chwili coś dziecinnego, to ujęło trochę Zygmunta — może ten idiota naprawdę wreszcie coś zdziała — pomyślał.

Obiad był niezły, odpoczynek po nim dość długi; było już dobrze po południu, gdy „szczeniak" zjawił się znowu, aby poprowadzić ich wreszcie do owego Uściługu. Był teraz inny — „ważny", milczący, zdecydowany i energiczny — tylko nieustanne zaciskanie warg wskazywało na jego wewnętrzny niepokój. Szli dość długo; zaczęło się już zmierzchać; na niebie w stronie Uściługu rozpaliła się olbrzymia łuna — strzały armatnie stały się rzadsze, lecz teraz bardzo bliskie: co pewien czas następował silny wstrząs, głuche jakby wyrwane z głębi lwiej paszczy stęknięcie i oto po niebie przelatywało coś z szumem, jak niewidzialny meteor; odzywały się też karabiny maszynowe. W miarę zbliżania się do Uściługu krajobraz nabierał wyglądu coraz bardziej złowrogiego: zmierzch zapadał, lecz potężne łuny oświetlały całą okolicę, czyniąc z niej jakieś przedpole piekła. W tym przerażającym, ciemno-czerwonym blasku (przypomniał on Zygmuntowi oświetlenie do „Nocy Walpurgii") szli — czarny mil-

czący wąż ludzki — szli w milczeniu, bo każdy na swój sposób przeżywał — tremę.

Kiedy byli już tak blisko miasteczka, że widać było wyraźnie płonące domy, „mały" zatrzymał kompanię. Stanął przed frontem, najpierw milczał długą chwilę, jak aktor w teatrze, który pozwala widzom podziwiać swoją maskę, wreszcie zaczął mówić. Słuchano go z napięciem, Zygmunt nawet ciekaw był co powie — lecz na razie rozczarował się; przez pierwsze piętnaście minut „mały" mówił wciąż o nieuchronnej, lada dzień mającej nastąpić klęsce Niemiec, przez drugie — o potrzebie bohaterstwa i obrony ojczyzny, po pół godzinie dopiero zaczął się zbliżać do tematu, to jest do dzisiejszego zadania kompanii. — Lecz zanim wam powiem — mówił wibrującym głosem — musicie mi przysiąc na wszystko co najświętsze, że nie cofniecie się pod żadnym pozorem, że zginiemy razem — musimy sobie to przysiąc wszyscy, a kto nie zechce, temu kula w łeb — tu w tej chwili zabiję go — zabiję!! Wydobył znów rewolwer i stał na tle nieba w patetycznej i groźnej pozie — z piersi dobywało mu się coś w rodzaju rzężenia czy szlochu. Wariat zupełny — pomyślał Zygmunt — co on tu gotów nawyrabiać — o co mu chodzi do licha? Porucznik zaczął wreszcie wyłuszczać owo zadanie. Oto w Uściługu broni się bohatersko polska załoga, a po tamtej stronie Bugu stoją Niemcy i bombardują miasto artylerią, — jakby na potwierdzenie jego słów znowu głuchy huk rozdarł powietrze i długi przeciągły łopot przebiegł po niebie, nad głowami zasłuchanej kompanii. — Stoją tam także niemieckie czołgi, które szykują się do jutrzejszego natarcia przez rzekę; — oto ci ludzie, prawdziwi Polacy — tu wskazał na dwóch cywilów, których Zygmunt nie zauważył dotąd — poprowadzą nas dzisiaj, teraz, w nocy na tamtą stronę Bugu i my — kompania straceńców, gotowych na wszystko (po co te błazeńskie słowa — pomyślał Zygmunt) — pójdziemy zniszczyć granatami owe czołgi. Oto nasze zadanie!

Projekt wydawał się dobry — ale czy wszystko to przypadkiem nie wylęgło się tylko w fantazji porucznika? Chociaż nie, obaj cywile (jeden z nich zdaje się był Żydem) mieli miny zdecydowane i ponure. Rozdano po trzy granaty i Zygmunt spodziewał się, że odmarsz nastąpi natychmiast — lecz mylił się grubo. Teraz dopiero „Napoleon" rozgadał się na dobre; w czerwonym blasku pożarów, wśród zapadającej już głębokiej nocy, w ciszy z rzadka przerywanej stęknięciami niemieckiej artylerii zza Bugu, porucznik gadał i gadał; gadał z coraz większym rozpędem i przejęciem, zachłystywał się swoimi słowami, wzywał do bohaterstwa, do śmierci za ojczyznę, do przysięgi, głos mu się załamywał, po prostu łkał niemal — był w jakimś histerycznym transie. Zygmunt słuchał, opanowany dziwnym, beznamiętnym, powstałym — wiedział to — z przerostu tremy, spokojem i chłodnym rozsądkiem. Ten człowiek doprowadzi się do ataku nerwowego — myślał — jeśli mamy iść to chodźmy już, bo ludzie pod wpływem jego gadulstwa załamią się w końcu i pouciekają; usiłował okazać swą niecierpliwość, chrząkał, przestępował z nogi na nogę — lecz nikt nie zwracał na niego uwagi — strzelcy chłonęli tyradę „szczeniaka" jak przysłowiową mannę z nieba — jeden tylko Opałek miał minę nieco krytyczną. Zygmunt

podszedł doń z tyłu: — w gębie to on mocny — mruknął tamten. Zygmunt ucieszył się, że nie jest tu całkiem osamotniony — dusza z Warszawy zrozumiała go.

Porucznik mówił z półtorej godziny; strzelcy słuchali wciąż z równym napięciem; Zygmunt stracił już nadzieję, żeby tej nocy gdzieś jeszcze mieli iść — artyleria zza Bugu ucichła całkiem — cała scena gadulstwa w blasku dogasających pożarów była zdecydowanie sceną z domu wariatów; nareszcie jednak przemowa jęła dobiegać końca i to z powodów od mówcy niezależnych — mianowicie „Napoleon" wyraźnie chrypnął; początkowo głos jego uległ lekkiemu skażeniu, jakby zaszedł mgłą, stopniowo jednak zaczął przechodzić w wynaturzony, wściekły, coraz mniej słyszalny szept czy charkot — porucznik zdarł sobie gardło — Zygmunt skonstatował to ze szczerą radością. Nareszcie! Rzeczywiście — popadłszy w przymusowe milczenie „mały" rozwinął wielką energię — rozstawił plutony, wydał szeptem kilka rozkazów i w końcu — poprzedzani przez dwóch przewodników — ruszyli.

W zupełnym milczeniu weszli do Uściługu; miasteczko pół spalone przedstawiało okropny widok; w powietrzu unosił się jakiś ohydny, słodki zapach — żadnego wojska nigdzie nie było widać — miasto robiło wrażenie wyraźnie trupie. W umyśle Zygmunta kiełkowały podejrzenia, że „mały Napoleon" wymyślił sam całą historię — lecz — nie — gdy minąwszy miasteczko zeszli nad rzekę, zastali tam wcale silny patrol z karabinem maszynowym, pilnujący brodu. Ustalili swoje hasło („Staszek") i — nie zdejmując mundurów — ruszyli przez rzekę.

Było tu rzeczywiście dość płytko, zamoczyli się niewiele powyżej kolan. Po paru minutach plusku i chlapania stali już na drugim brzegu — niebawem — z przewodnikiem na czele — ruszyli długim wężem naprzód po stromym, wznoszącym się w górę brzegu. A więc byli już — jeśli wierzyć szczeniakowi — o krok od nieprzyjaciela! Zygmunt skupił się w sobie i skoncentrował: przecież za chwilę ma wybuchnąć bitwa — za wszelką cenę chciał się okazać odważnym; z początku nie patrzał wcale naokoło, lecz po chwili dziwaczna konfiguracja terenu przykuła jego uwagę: szybko zorientował się — ziemia była tu potwornie poryta pociskami, olbrzymie wyrwy i dziury bardzo utrudniały marsz. Zygmunt popędzał swój pluton — nagle wzdrygnął się — jakiś wielki, ohydny kształt leżał na ziemi; ktoś poświecił maleńką latarką — ów kształt, to była krowa z rozdartym brzuchem i rozgniecioną głową. Brr!

Przykry widok — powiedział nagle ktoś obok Zygmunta; był to jeden z podporuczników rezerwy, ten sam, który wczoraj rano nastraszył go niemieckimi czołgami. Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu, potem tamten zaczął mówić cichym głosem. Uważa całe przedsięwzięcie za bardzo ryzykowne — niejeden może przypłacić to życiem — na wszelki wypadek chciałem podać panu adres — nazywam się... Nagle z przodu rozległ się strzał i jakieś krzyki — Zygmunt rozpoznał głos „Napoleona"; rzuć, padnij — ognia! Upadli na ziemię, a jednocześnie rozległa się seria wybuchów i strzałów, zmieszanych z krzykiem: hurra. Ze wszystkich stron rozjarzyły się krótkie błyski — kule zaświ-

stały Zygmuntowi nad głową — najpierw puknięcie, potem ostry bzyk, zakończony przeciągłym, jakby przekornym czy ironicznym gwizdem — co gorsza szły one z tyłu — to strzelali strzelcy leżący za nimi. Zygmunt przywarł do ziemi — mógł go postrzelić ktoś ze swoich. Kanonada nie ustawała — Zygmunt strzelał również, choć nic w ciemności nie widział — nagle karabin zaciął mu się; szarpał się z nim, krzycząc z całych sił, gdy nagle ponad wszystko uniosło się coś łopoczącego: to coś rozświetliło się w górze i rozsypało w rój niewiarogodnie kolorowych gwiazdek, a potem długo opadało, oświetlając okolicę upiornym, zielonym światłem, w blasku którego Zygmunt ujrzał kilkadziesiąt czarnych postaci, skulonych na ziemi a przed nimi jakieś baraki czy namioty. Rakieta. Przez ogólny hałas przebił się znów niewiarogodnie zmieniony chrypą głos małego: wycofywać się! Porwali się do tyłu, a w tej chwili cała ciemność przed nimi zaludniła się zbiorowym, terkoczącym stukotem karabinów maszynowych i wstrząsami jakichś silnych detonacji. Pędzili w dół, skacząc po wyrwach i rowach — kule goniły ich ze wszystkich stron; Zygmunt czuł jedną tylko, zapamiętałą, paniczną myśl — nie dać się zranić, tylko nie dać się teraz zranić — nie wiedzieć dlaczego myślał tylko o zranieniu, nie przychodziła mu do głowy myśl o śmierci. Wreszcie dopadli brzegu i z pluskiem rzucili się do wody. Nagle stała się rzecz najgorsza — z polskiej strony, jakby zbudzony przez całe ścigające ich z tamtej strony piekło zaczął również grać karabin maszynowy, wyraźnie celując w nich: czyżby o nich zapomnieli? — pewno brali ich za Niemców. Strzelec biegnący obok Zygmunta trzepnął nagle rękami i z pluskiem upadł w wodę. Hasło — trzeba zawołać hasło — pomyślał rozpaczliwie Zygmunt. „Staszek", „Staszek" cholero!! —zaryczał nagle ktoś obok — Zygmunt poznał głos kaprala Opałka. Lecz tamci nie przestawali strzelać — kule padały w wodę naokoło. „Staszek!" ryczeli teraz wszyscy chórem — i nareszcie przeklęta maszyna ucichła. Po chwili zmoczeni po szyję dotarli do zbawczego brzegu i ze szlochem niemal rzucili się na przeklęty patrol. — Nie poznajesz „Staszka" byku cholerny! — ryczał basem Opałek. Nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem, śmiali się jak dzieci, jak nieprzytomni — żyli przecież — żyli!!

Po chwili kompania zebrała się w zwartą gromadę — był również „mały Napoleon", który — jak przystało — wylazł z wody ostatni. Obliczył ludzi — brakło blisko jednej trzeciej, między nimi owego porucznika, który nie zdążył podać Zygmuntowi swego nazwiska. — Trudno — wojna — powiedział zdawkowo szczeniak — w tej chwili nie miał w sobie nic z histeryka — wyglądał trzeźwo i zwyczajnie — dziwny typ, pomyślał Zygmunt, zaczynając orientować się w naturze swego dowódcy. Luźnym szykiem, wymieniając spostrzeżenia jak po meczu, ruszyła ociekająca wodą kompania w stronę miasta. Napięcie rozładowało się już. Strzelanina po niemieckiej stronie również ucichła niemal zupełnie.

W miasteczku owionął ich znowu ohydny, trupi zapach. Stanęli przed domkiem z dużym gankiem — tu mieściło się dowództwo. Po chwili wyszedł jakiś gruby major i obrzucił ich przenikliwym wzrokiem. „Szczeniak" podał „bacz-

ność" i służbiście zameldował powrót kompanii „z wypadu" za Bug. Jako rezultat wyprawy podał „zniszczenie granatami około piętnastu czołgów". Zygmunt zdumiał się — jak mógł mały dojrzeć w ciemności ile było czołgów? — i czy w ogóle były tam jakieś czołgi? Najwyraźniejsza bajka, zmyślona na poczekaniu, aby zwiększyć swoją zasługę. Major podziękował im za dzielność i oświadczył, że w nagrodę kompania otrzyma pudło smalcu. Istotnie za chwilę dwóch żołnierzy przyniosło wielkie blaszane pudło tego smakołyku. — A gdzie będą spali? — spytał nagle major. Na wikarówce, panie majorze — odpowiedział szczeniak. Major zdziwił się wyraźnie — Zygmuntowi wydało się, że chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Za chwilę wlekli się wśród zgliszcz i pełnych słodkiego smrodu ogrodów na ową „wikarówkę". Był to domek na wpół zrujnowany — kompania otrzymała w nim dwa parterowe pokoiki. Zygmunt zmoczony i drżący spodziewał się jakiejś kolacji, lecz okazało się, że nic z tego. Była już godzina trzecia w nocy — nawet podział smalcu odłożono do dnia następnego (nie mieli już tego smalcu oglądać nigdy) i niebawem, stłoczeni niewiarogodnie, ułożyli się do snu na podłodze, nie zdejmując z braku miejsca butów ani mundurów. Zygmunt ułożył się pod oknem obok kaprala Opałka; po chwili namysłu zdjął przemoczone owijacze i buty. Długo nie mógł zasnąć, rozpamiętując w myśli swój „debiut" bojowy — w zasadzie chyba udany; w izbie było gorąco i duszno nie do wytrzymania. Sam nie wiedział kiedy zmorzył go ciężki, gorączkowy sen.

Zdawało mu się, że spał zaledwie chwilę, gdy usłyszał znane, ciężkie, dziwnie bliskie stęknięcie. Znowu artyleria — pomyślał niechętnie, z trudem otwierając oczy. Zdziwił go gwar i ruch panujące w pokoju: wszyscy wyraźnie szykowali się do wyjścia. Zygmuntowi niewiarogodnie nie chciało się podnieść — leżąc dalej usłyszał głos kaprala Opałka: panie podchorąży, śpimy dalej — pies ich tam... W tej chwili potworny huk wstrząsnął domem, podłoga zakołysała się, z sufitu posypał się tynk. Zygmunt i Opałek zerwali się na równe nogi: w pokoju nie było już nikogo. Zygmunt trzęsącymi się rękami wciągał buty, gdy nowy, jeszcze bliższy wstrząs i ryk wytrącił mu but z ręki. Chwycił but, plecak, karabin i wybiegł z domu. Ledwo znalazł się na dworze, huk i pęd powietrza przewróciły go na ziemię. Zerwał się z miejsca i jak szalony pobiegł naprzód; ze wszystkich stron biegli ludzie, oficerowie i żołnierze, niektórzy w kalesonach, z twarzami wykrzywionymi śmiertelnym strachem. Bezlitosne uderzenia powtarzały się co kilkadziesiąt sekund, to bliżej to dalej: Zygmunt kątem oka zauważył, że dom z którego wybiegł, przedtem pół zburzony, teraz leży rozwalony całkiem — po prostu kupa desek i gruzu; lecz to już nie było ważne — biegł teraz pędem wraz z innymi, kurczowo zaciskając trzymany w ręku but; w drugim ręku trzymał plecak, karabin przełożony przez ramię dusił go niemiłosiernie, ale wszystko to były drobiazgi wobec potwornych wybuchów, uderzających co chwila w różnych miejscach naokoło Zygmunta; nie ma — zdawało się — przed nimi ucieczki.

Napotkał po drodze płot; gdy w panicznym pośpiechu usiłował przepchnąć się między sztachetami, usłyszał znów blisko to ohydne stęknięcie — jednocze-

śnie ujrzał dwa konie, wylatujące wraz z kupą ziemi w górę wszystkimi czterema kopytami. Nagle zatrajkotał skądś z bliska karabin maszynowy, kule zagwizdały koło uszu. — Niemcy w mieście, walą ze szkoły — ryknął ktoś. Zygmunt wyrwał się wreszcie z przeklętego płotu i ruszył biegiem — kule dzwoniły i wyły ze wszystkich stron, jednocześnie stęknięcia artylerii nie ustawały ani na chwilę. Wszyscy uciekali w kierunku przeciwnym do rzeki. — Zygmunt również popędził w tę stronę. Był jednym kłębkiem bólu — uraził się kamieniem w bosą nogę, karabin dusił go i ściskał swym rzemieniem, przy przełażeniu przez płot rozkrwawił sobie rękę, wreszcie czuł głuchy ból w boku, spowodowany nadmiernym biegiem. Plecaka nie miał już dawno — lecz to i lepiej. Zwiększając szaleńczo tempo puścił się w ślad za innymi szerokim zboczem, prowadzącym w dół do zasłoniętej kotliny — tam przecież nie zmaca ich już chyba ta przeklęta artyleria. Przebiegł pewno ze dwa kilometry, czuł mdłości i zawrót głowy, a jednocześnie wiedział, że mógłby tak biec nawet do śmierci, niczym maratończyk, aby tylko wyjść z zasięgu przeklętych armat. Lecz oto stęknięcia były już coraz cichsze: Zygmunt i kilku innych zbiegli na dno zielonej kotlinki, gdzie znajdowało się małe jeziorko. Tu byli bezpieczni; Zygmunt bez tchu i bez jednej myśli w głowie runął na ziemię jak kłoda i w tej pozycji mocował się z oddechem, który wydzierał się zeń spazmatycznie, jak skurcz czy szloch, rozsadzając boleśnie klatkę piersiową.

NOC LISTOPADOWA

(FRAGMENT POWIEŚCI „TUŁACZE")

Oto dziś dzień krwi i chwały — Słońcem lipca podniecany
Oby dniem wskrzeszenia był. — Woła do nas z górnych stron:
W tęczę Franków Orzeł Biały — Powstań Polsko, skrusz kajdany,
Patrząc, lot swój w niebo wzbił. — Dziś Twój tryumf, albo zgon.

I.

Jesiennym, łagodnym wieczorem, szeleszczącym rudawymi już liśćmi, podrywanymi lekkim wietrzykiem, niosącym od szerokiej szarej Wisły chłód, klaskały wolno kopyta końskie ulicą Freta. Kapitan Krupski Jan rozsiadł się wygodnie w powozie, wcisnął głęboko na czoło kapelusz, utkwiwszy w rękojeść szpady czarne, mongolskie oczy, nadające kościstej, szczupłej acz czerwonej twarzy znamię zawziętości i uporu. Nie chciał myśleć. O czym tylko próbował przypomnieć sobie — przecież nie można tak tłuc się bezmyślnie ulicami Warszawy — zaraz pojawiał się przed oczyma obraz krępej postaci w zielonym mundurze kirasjerów lejbgwardii, małpia twarz o wklęsłym, kiłowatym nosie i rudych faworytach, wyłysiały łeb wciśnięty w szerokie ramiona, jak u garbatego, słowem obraz Wielkiego Księcia, taki, jaki namalował przed nim wczoraj gorzkimi słowami podporucznik Jurzyna, przesłuchiwany na okoliczność wcale nie dziwną w tych niespokojnych czasach. Szpicle przyłapali byli Bonawenturę Jurzynę na zebraniu akademików, podejrzanych przez zauszników Wielkiego Księcia Konstantego o spisek przeciwko niemu. Ba, o dybanie na jego życie. Młokosy! Żeby w takie brednie mieszać oficera czwartego pułku, oficera Bogusławskiego regimentu. Z prawdziwą przyjemnością przypomniał sobie Krupski, jak to ciskała się ta kreatura szpiegowska, Marnot, dobrze się zwie, kiedy on kapitan Krupski cisnął mu w przebrzydłą gębę, że oficerów Wielkiego Księcia prowokować próbuje i nikczemnie oczerniać, aby w łaski jego wkraść się i trochę złota zarobić. Marnot i jemu podobni, albo to mało w Warszawie takich kręci się mydłków, drapichrustów na złoto policyjne lepkie łapy mających!... Młodzi oficerowie, wiadomo, mają swoich bliskich i krewniaków po szkołach, nie dziwota więc, że z nimi przestają, dość mając parad, musztry i obrotów. Przestawać, to nie znaczy od razu znosić się. Gdzie tam. Oficerowie młodzi znają honor i obowiązek.

Kapitan Krupski należał do gorliwych służbistów, na jednym punkcie szczególnie drażliwych i nietykalnych, na punkcie swych podwładnych. Mieć naj-

lepszych oficerów — było honorem Krupskiego. Nie zajmował się żadną polityką, ani — od upadku Cesarza Napoleona — żadnymi innymi sprawami świata prócz wyszkolenia młodych oficerów, przelewania w nich wszystkich swoich i cudzych wiadomości, zebranych pod sztandarami Wielkiego Francuza. Chciał oderwać ich myśli od bali, teatrów, skierować ku zrozumieniu twardej służby, w której on znajdował zagłuszenie największego zawodu Polaka, upadku orłów Napoleońskich.

„Znam każdego prawie żołnierza batalionu" — myślał kapitan — będąc święcie przekonany, że tak było w istocie. „To proste natury, wierne, oddane, niezdradliwe. Cóż z tego, że tam jacyś zapaleńcy spiski czynią, ojczyznę narażając na niebezpieczeństwo. Na kimże się opierają? Wojsko jest wierne, wojsko nie pójdzie za agitacją jakobińską, wojsko złożyło przysięgę Najjaśniejszemu Panu Królowi Polskiemu i dotrzyma jej zawsze i wszędzie. Oficerowie znają potęgę Cesarstwa rosyjskiego. Jeśli ona powaliła Napoleona, to któż się jej oprze? Pierwszym przecie obowiązkiem żołnierza jest posłuszeństwo przełożonym. Przełożonym był Wielki Książę... „No, zapewne Konstanty nie był ideałem...". Do wczoraj jeszcze nie dopuszczał Krupski żadnej myśli, która by mogła osłabić narzucony samemu sobie szacunek dla faktycznego rządcy Królestwa Polskiego, naczelnego wodza wojska polskiego i Korpusu Litewskiego, brata cesarskiego. Do wczoraj. Jurzyna, młody oficer, potrafił wstrząsnąć jednak niewzruszonym rzekomo stanowiskiem Konstantego w hierarchii pojęć kapitanowych. Krupski pojął nagle całą obcość tej postaci i ogrom nienawiści, jaki zebrał się przez lata w stosunku do Konstantego. Plac Saski, miejsce ustawicznych parad, był dla oficerów i żołnierzy miejscem katuszy. Krupski sądził dotychczas, że tak być powinno. Dla dobra służby, dla dobra dyscypliny. Teraz wiedział, że te bicia po twarzy, te katowania za byle co, pranie przed frontem za najmniejsze uchybienie, fałszywy ruch bronią, wznieciły niechęć do Wielkiego Księcia. „O tak, taka niechęć jest niebezpieczna w młodych głowach. Swoją drogą najlepiej uspokoiła by wszystkich jakaś wojna. Marnują się po koszarach. Co za wojsko, które nie wąchało prochu".

Tak rozważając dojechał już prawie pod swą kwaterę, mieszczącą się opodal koszar Sapieżyńskich. Zatrzymał, łaskawie użyczony mu przez pułkownikową Skibicką powóz i wysiadł, pragnąc pieszo dojść do mieszkania, a po drodze wstąpić do koszar. Wieczór zresztą, mimo chłodu i lekkiej mgły, był przyjemny. Taki sam był pod Arcis-sur-Aube. Zmierzch zaścielał ulice gęstniejącym mrokiem. Bystry jednak wzrok kapitana dostrzegł na rogu przed koszarami, na Franciszkańskiej, małe zbiegowisko. Spora gromada ludzi skupiła się przed jakimś plakatem, w milczeniu wydawającym się kapitanowi podejrzanym. Przyspieszył kroku. Po brzęku ostróg poznano oficera. Jeden z gromady krzyknął coś, czego kapitan nie mógł zrozumieć i czmychnął w boczną ulicę a za nim reszta ludzi.

Zanim Krupski doszedł do muru narożnika, nie było już nikogo. Tylko ostry, gryzący zapach dymu fajkowego potwierdzał, że był tu przed chwilą ktoś z miejskiej hołoty. Kapitan spojrzał na mur. Bielił się na nim kwadratowy plakat pokryty drobnym, gazetowym drukiem. Na pierwszy rzut oka poznał

Krupski czyja ręka go wydrukowała. Młokosy! Czarne, tłuste litery w środku afisza ułożyła zbrodnicza ręka w napis: Vivat Rewolucja. Dalej odczytał Krupski z lekkim dreszczykiem emocji i oburzenia: ... Wojsko winno chwycić za broń... za danym znakiem...

— Ach psiekrwie, wojsko chcą buntować, zaklął naprawdę urażony, zrywając afisz i mnąc go w rękach. Wygładził go jednak starannie, złożył w czworo i szybko, machając ramionami jak na paradzie, podążył do dowódcy.

Pułkownik Bogusławski wychodził właśnie do teatru, gdy zaszedł mu drogę wzburzony kapitan Krupski. Pełna, okrągła i muskularna twarz pułkownika zdradzała wyraźne nieukontentowanie z tego niespodziewanego najścia.

— Panie pułkowniku, przynoszę to, — krzyknął prawie Krupski, rozkładając przed Bogusławskim zerwany przez siebie plakat. — Proszę, proszę, zerwałem to paskudztwo prawie ze ściany koszar. Nasz pułk...

— Co, nasz pułk, kapitanie? Naszego pułku byle ścierka nie narazi na szwank. Myślę jednak, że tego wszystkiego rzeczywiście jest za wiele. — Wąskie usta pułkownika, zawsze zaciśnięte w desperacki grymas, wypowiedziały dosadne przekleństwo... — Co?! Wojsko winno chwycić za broń! Ja im pokażę, tym chłopysiom co znaczy wojsko, co znaczy pułk! Czwarty liniowy w rebelie mieszać. Wczoraj ten Jurzyna, dzisiaj odezwy, jutro może przyjdą mi kompanie buntować. Kapitan powiadomisz oficerów, że stawić się mają jutro po apelu. Już ja im powiem, co o tym myślę.

— Wielki Książę...

— Co, Wielki Książę?...

— Wielki Książę zły jest na pułk.

— Wiem, wiem, chciał na prowincję dyslokować. Ale zmiarkował się i poprzestał na burzy nam udzielonej. Konstanty ufa nam, a to wielka rzecz.

— Młodzi jednak oficerowie, kompanijni...

— Ach, młodzi oficerowie. To nie ma znaczenia. Wielki Książę nie będzie się przecież lękał oficerów kompanijnych. Chodź pan ze mną, kapitanie, na teatr, to pogadamy obszernie. Ma być dzisiaj Chłopicki generał.

— Generał Chłopicki będzie? Doprawdy — podchwycił kapitan Krupski i nagle zawstydził się. Nie wypadało przecie entuzjazmować się jak pacholę generałem, niewdzięcznym dla Konstantego, w niełasce będącym Chłopickim.

— Chodź kapitanie. Dają dziś „Cudzoziemszczyznę". Wyborna ponoć sztuka.

II.

Na zegarze koszar Sapieżyńskich wybiła wolno i dźwięcznie szósta godzina. Było już po apelu, żołnierze siedzieli po kompanijnych izbach, po pawilonach, przecierając jeszcze broń. Oficerowie wyszli na miasto lub na kwatery, na których dla szczupłości pomieszczeń mieszkali również żonaci i starsi żołnierze. Służbowym oficerem był podporucznik Bonawentura Jurzyna. Jego donośny bas rozlegał się po korytarzach, słabo oświetlonych kopcącymi lampkami. Obcisły, długopoły, z granatowego sukna frak opinał wyniosłą, zgrabną postać, nikłe

światło uwypuklało wysokie, gładkie jak marmur czoło i miękkie młodzieńcze rysy twarzy okolonej puklami falistych włosów. Na piersiach błyszczał służbowy żółty ryngraf z białym orłem.

Przed oficerem stał niemłody już żołnierz w ćwiczebnym lejbiku z oznakami sierżanta. Mówili coś cicho ze sobą, przerywając natychmiast skoro tylko pojawiał się ktoś na korytarzu. Po chwili i sierżant odszedł od Jurzyny wchodząc do jednej z izb.

Porucznik został sam. Obszedł cały rejon sprawdzając przepisany porządek, głośno rozkazując, nadając swym nie nazbyt pewnym rozkazom szczególną wagę, przyzwyczajonym do komendy głosem. Skończywszy obchód wyszedł na dziedziniec, gdzie oczekiwali go dwaj wojskowi, szczelnie otuleni w płaszcze. Nad nimi skrzyło się gwiaździste niebo listopada niby olbrzymi, granatowy głaz obsypany lśniącą miką. Była cisza, rozścielająca na dziedzińcu, oczywiście dla chcących widzieć — draperię tajemniczości. Tajemniczość ta kryła się w fałdach płaszczy oficerskich, w stłumionym szepcie, w monotonnym śpiewie żołnierzy, dochodzącym z sąsiednich koszar Sierakowskich. Skoro przycichał, odzywała się Wisła bulgocąca wezbranymi od chlap jesiennych wodami.

Tymczasem sierżant Stanisław Mucha, zamknąwszy się w izbie, rozłożył przed sobą mały, przybrudzony mocno plakat i twardymi, sękatymi palcami począł go przepisywać, sylabizując literę po literze, oblizując ledwo pod wąsem widoczne wargi. Świeca paskudnie dymiła, skwiercząc, jak sperka na patelni. Mozolna robota męczyła szybko Muchę. „Taki to i los. Biło się tu i tam, no i co? Przepisywać, cholera, takie świstki, choć dobre i to. Przynajmniej wie się, że jest ktoś, komu obmierzło z kretesem moskiewskie świństwo. Moskale, Moskale dali radę Napoleonowi, takie ładne wojsko poszło na nic, tyle krwi, mordęgi. No przyjdzie kryska na Matyska". Skończywszy robotę odsapnął z ulgą, poślinił przecięty kozacką szablą kciuk, przyduszając knot świecy.

Po pawilonach spokój. Żołnierze zmęczeni całodzienną musztrą układali się do snu na pryczach. Ciężkie, kwaśne powietrze snuło się wszędzie po budynku, mimo nieszczelnych okien i powybijanych szyb.

Mucha stał na kwaterze w drewnianym domu za koszarami, mistrza krawieckiego, Hieronima Szydłowskiego własność stanowiącym. Kwatera ta dobrze była znana w kompanii, choćby tylko z opowiadań służącego w czwartym pułku Pyzy, byłego czeladnika Hieronimowego.

Szydłowski tak jak co wieczór oczekiwał swego lokatora w drzwiach domu, pozierając przyjaźnie na kroczącego spiesznie Muchę.

— Dobry wieczór Saskiemu Placowi.

— Dobry wieczór. A dlaczego to Saskiemu Placowi panie Szydłowski?

— Hu, hu, obywatel nie wie niby, co? Każdy pętak mówi, że wy jesteście wojskiem z Saskiego Placu. Wojsko od parad. Jakby przyszło do czego, to nie wiem cobyście robili, wy wszyscy od Konstantego...

Sierżant Mucha zaśmiał się krótko, nieprzyjemnie. Nie należał do facecjonistów, a tu co wieczór witano go tym samym żartem, na który trzeba było stale, w ten sam sposób odpowiadać, udając, że słyszy się te słowa po raz pierwszy.

Trudno, krępa postać Szydłowskiego należała do życia Muchy, jak przedtem cesarz, dozorca jeńców w Prusiech, młodo zmarła żona Agnieszka i tylu innych.

— Co panie majster, roboty dalej nie ma — zagadnął Szydłowskiego, mając na względzie jego wyśmienitą gdańską wódkę.

— Roboty? — oburzył się Szydłowski — roboty? Kpiny tylko czyste. Co mam teraz szyć, gdy co innego mi na myśli, niż igła i żelazko. Ja tam nie umrę jeszcze jak nie uszyję jakiegoś fraka czy portek. Łatki, owszem, łatki przydałoby się przyszyć poniektórym panom oficerom.

— Ciszej, ciszej, jeszcze nas kto posłyszy. Szpiegów nie brak. Wczoraj wzięli naszego porucznika Jurzynę do Konstantego, ale wykpił się swymi znajomościami i pokrewieństwami. Dzisiaj mogą nas wziąć, ale, jak mi wiadomo, żadnych paranteli panie Szydłowski nie mamy.

— Otóż to. Siedzi człek pod korcem, cichutko, grzecznie siedź, to cię wreszcie zapędzą na wojnę, pod armaty, na Belgium czy Francuza. Wejdźmy do mnie, tam nas nikt nie podsłucha. A jakże u was w pułku...

— Mówią i u nas o wojnie. Ale pułk cieszy się Konstantynowym poważaniem, więc starają się panowie oficerowie kryć się ze wszystkim, a żołnierzy mieć pewnych. Aha, ten mój plakat, com go nalepił sam na murze pod koszarami, zdarł, jak powiadają, jakiś od nas kapitan, tylko że ciemno było na ulicy, to nie zauważyli, co za jeden. A i tu u was nie jasno panie Szydłowski. Moglibyście zapalić światło.

Szydłowski zaśmiał się. — O, takiś bracie, a w niewoli światło miałeś?

— Tu nie niewola — mruknął Mucha, zły, że mu przypominają przykre czasy niewoli. — Tu jest polskie miasto i polska wiara...

....i polski Konstanty i polski król i polscy panowie. Są, ale niedługo już będą, jakem Szydłowski.

— Młodyś jeszcze — odparł Mucha — młodyś i głupstwa pleciesz człowieku. Jak to, panowie muszą być, bo by nijakiego porządku na świecie nie było, choćby w wojsku. Ktoby był oficerem, generałem, hę? Musi ktoś dowodzić w wojsku, musi i w narodzie. Politykeś, a nie rozumiesz, jakobińska głowo? Z Cesarzem też tak było, młody był, myślał, że wszystko jest pięknie, ładnie, że wszyscy są grzeczni obywatele, a jak chcieli mu łeb urwać, to się opamiętał, wziął wszystkich za mordę i gotowe. Spokój był, wojsko jakiego świat nie widział, wojsko psiakrew, wojsko, które prało wszystkich na lewo i na prawo.

...i tak diabli wzięli i jego i wojsko. A chcesz wiedzieć dlaczego? Dlatego bracie właśnie, że zdradził lud, że samowładcą pragnął być.

...nie dlatego pobili go Moskale, nie. Miał silną łapę, daj Boże nam takiego, ale tych wszystkich parszywców było za wiele. Tak i pobili go. Mucha zadumał się, oczy zaszły mu szklącą mgiełką. — Ja tam wiem tylko tyle, że teraz musimy, za Niego, za legiony, za wszystko, rozumiesz Szydłowski, to jest najważniejsze, a nie jakaś polityka.

— Jakbyś był tam z nami... ale nie byłeś, nie możesz wiedzieć. Młodyś.

Szydłowskiemu daleko było do młodości. Piąty krzyżyk pomarszczył mu twarz jak stare jabłko i wyplenił wszystkie prawie włosy jajowatej, długiej czaszki.

Stanisław Mucha był od niego tylko o trzy lata młodszy, lecz nawet trudy wojenne, tarapaty, nie postarzały go, przeciwnie, trzymały go w krzepkości i akuratności. Mimo to czuł się starym. Siwe wąsy i włosy zdradzały, że sierżant nie jest pierwszej młodości.

Szydłowski przysunął się ze stołkiem do Stanisława. — Widzisz, obywatel, rzecz jest w tym, żeby było sprawiedliwie. Nie, szlachta to szlachta, a chłop i mieszczanin to plewy, gnój. Tak przecież nie może być, w Ameryce, we Francji bili się, aby było inaczej. I my będziemy się o to bić.

— Ja tam panie majster jestem żołnierzem i te tam wasze sprawy nie tego, nie biorą mnie. Pewno, sprawiedliwie to już nie jest na tym świecie. Mój ojciec brał baty od ekonoma, ziemi nie miał, ale nikt z narodu nie ma jej. Ja też nie mam. Ja tam jestem żołnierzem i ziemi nie potrzebuję. U nas w pułku same chłopy prawie, biedota, komorniki biedne lub nędzne gospodarze na nieswoim. Prawda. Tak już widać Pan Bóg przeznaczył i tak ma być. Gdzie nam zmieniać Pana Boga. Bić się będziemy, pewno. Ale z Moskalami, a nie ze swoimi.

— A nie gadam zawsze. Wojsko z Placu Saskiego. A ojczyzna, a lud?

— Widzi mi się, że to co innego. Trudno języczyć się człowiekowi nie zwyczajnemu gadać. Dajno lepiej panie Szydłowski wódeczki.

Stuknęli się kieliszkami i wypili. Po trzeciej kolejce mówili już śmielej, bezładnie wyrzucając z siebie cudze po największej części myśli. Szydłowski, radykał-patriota i Mucha wojak-patriota nie bardzo się ze sobą zgadzali, co nie przeszkadzało im bynajmniej, nie nawracali się też. Wystarczyło im, że każdy z nich wierzy. A wiara, prosta wiara nie znosi argumentacji i przekonywań. Wiara jest uczepieniem się rzeczy i spraw, nie dających się wytłumaczyć. Przynajmniej wiara religijna. A taką właśnie była wiara Muchy i Szydłowskiego.

Kiedy sen już ogarnął sierżanta, Szydłowski wyciągnął z kuferka poplamioną książkę, ułożył się wygodnie na wysokim łóżku, przysunął bliżej świecę, przerzucając kartki. Dobrze się zapowiadał ów listopad roku 1830. W pierwszym tygodniu Warszawa poruszona była nabożeństwem, jakie odprawiono u Kapucynów i w Lorecie, kiedy akademicy znieważyli czynnie po mszy żandarmskiego kapitana. Na murach pojawiały się coraz częściej plakaty, do skromnego mieszkania Szydłowskiego przychodzili wojskowi w cywilu i cywile w mundurach na wpół wojskowych. Serce rosło po każdej takiej wizycie.

Książka w rękach Szydłowskiego zachwiała się i opadła wraz z trzymającą ją ręką na posłanie. Nad Wisłą ostrym wiatrem szumiało ciemne przepaściste niebo.

III.

W szeregu obok Mateusza Borka stali zawsze ci sami: pucołowaty, dobroduszny Pyza Wojtek, ospowaty o ptasiej twarzy Domagała, Adam Mróz, składający się cały z potężnych mięśni, były hutnik Filip Pronobis zwany Kobylarzem dla wielkiej miłości koni, Taszniuk, Łabudziak, Wypych i Kuczaba. Borek wysoki, chudy, zawsze czysto umyty, wyszorowany i uśmiechnięty o każdej porze — co nie mało złościło nieraz panów feldfeblów, zabrany był do wojska

na podstawie ustaw poborowych. Swe 26 lat obnosił w szarych oczach, głęboko osadzonych, dużych i połyskliwych metalicznym poblaskiem. Krzaczaste brwi zbiegały się nad prostym grubym nosem, spod kaszkieta wyglądały kasztanowate, twarde włosy.

Przed frontem przechadzał się zasępiony kapitan Krupski z grupą młodych oficerów, patrząc spode łba na szeregowych, stojących obojętnie i tępo na dziedzińcu. Czekano na pułkownika, spodziewając się wszystkiego najgorszego po zawziętej minie Krupskiego. Kapitan spędził nieszczególnie noc na rozpamiętywaniu teatru, podniecony niemożnością skrzeszenia w sobie oburzenia na aktora, który podczas przedstawienia „Cudzoziemszczyzny", przypasując sobie karabelę, wyrzekł ze szczególnym naciskiem: Jest i za co chwycić. Publiczność biła zapamiętale brawo, klaszcząc do bólu w dłonie i patrząc w stronę generała Chłopickiego.

Podporucznik Łubiszewski też był na teatrze. Sine worki pod oczyma świadczyły o nocy spędzonej z panną Magdaleną, znaną pięknością kawiarń warszawskich, umiejącą jak żadna inna przyciągnąć ku sobie znudzonych tępą służbą podporuczników, aby w niebieskiej sypialni na Nowym Mieście darzyć ich wysysającymi szpik z kości pieszczotami, niszczącymi najgorsze humory. Łubiszewski żył szeroko, nie wiele robiąc sobie ze złej sławy, jaką cieszył się nie tylko w korpusie oficerskim, ale i wśród prostych żołnierzy, nie lubiących tej natarczywości wypytywania się stale o swych kolegów, czym oznaczało się przestawanie Łubiszewskiego z szeregowymi.

Mateusz Borek czuł do niego wielką niechęć od czasu, kiedy nalegał na niego, aby dostarczał mu wiadomości o oficerach kompanijnych, o tym, co mówią żołnierzom i między sobą. Mateusz nie był szpiegiem, co mu tam było do spraw panów oficerów. Unikał też wszelkiej rozmowy z Łubiszewskim. Teraz patrzył, uśmiechając się z tej miny pokornego psiaka, z jaką zwracał się Łubiszewski do Jurzyny.

Zjawił się nareszcie pułkownik Bogusławski konno, w towarzystwie adjutanta. Rozległa się komenda. Dłonie klasnęły o kolby karabinów. Bogusławski odebrawszy raport, krzyknął donośnym głosem: „jak się macie dzieci" i kazał rozpuścić kompanie do izb.

Służbę przed izbą kancelaryjną miał Borek. Przez otwarte drzwi widział zgromadzonych oficerów, oczekujących pułkownika. Bogusławski rozmawiał z kapitanami przed drzwiami, po czym wszedł do izby, zatrzaskując je za sobą. Borek przysunął się bliżej, przykładając ucho do futryny.

— „Panowie, doszły mnie słuchy o niezadowoleniu i jakowychś poruszeniach, nurtujących młode wasze umysły"... Głos pułkownika brzmiał łagodnie, nalegająco... „Żołnierzami jesteśmy przede wszystkim moi drodzy i pamięć winniśmy sumienną naszym obowiązkom, przysięgą uświęconym. Wódz nasz naczelny, Wielki Książę Konstanty tyle dobrodziejstw wyświadczył pułkowi, że na szczególną wdzięczność zasłużył sobie, nie wymagając jednak niczego w zamian, jak tylko wierności w przysiędze. Niegodnym, już nie mówię żołnierza, ale każdego obywatela byłoby, gdyby zawód mu sprawił, gdyby zawiódł jego

oczekiwania. Wielki Książę darzy nas zaufaniem, będąc przekonanym, że nikt z nas nie da wiary rozsiewanym przez niespokojne umysły pogłoskom, ani nie pójdzie na lep gładkich słówek wrogów ojczyzny... tym niemniej żąda od nas tak prostej rzeczy, jak twarde stanie przy honorze pułku i przysiędze..."

Borek warujący u drzwi usłyszał nagły, zgryźliwy śmiech kilku ludzi, w którym wyróżnił z łatwością basowy głos Jurzyny. Pułkownik widać stropił się tym śmiechem — też pomysł, śmiać się z pułkownika — bo zamilkł. Dalej Borek nie słyszał już tak wyraźnie. Pułkownik poprzez gwar głosów przekładał coś surowym tonem, hałas wzmagał się czasami do wrzaskliwego swaru. — „Jesteśmy przede wszystkim Polakami, pułkowniku. Tak, Polakami, do stu diabłów, a nie sługami Moskali. Łaski Konstantego, phi, wiemy co znaczą" — krzyczano zapalczywie. Borek dziwił się coraz bardziej.

Jakże to przeciwko pułkownikowi powstawać, głos podnosić na pana pułkownika, gadać „Konstanty", jakby to nie był Wielki Książę, cesarzowy brat? W krzykliwych zdaniach gubił się Mateusz, jak po raz pierwszy w Warszawie, przyjechawszy do niej ze swoich Lipek Małych. Kiedy wrzaski panów oficerów zlały się w jeden bezładny krzyk, otworzyły się drzwi, pułkownik wyszedł, spozierając na stojącego obok Mateusza swymi jasnymi, przenikliwymi oczyma, aż do kości świdrującymi ciało. Pozostali oficerowie przestali wykrzykiwać, kłócąc się jeszcze chwilę, wymyślając na Moskali. Poswarka ta nie trwała jednak długo. Pierwszy wylazł z izby Łubiszewski, trąc zaczerwienione oczy szczupłą, wąską dłonią. Mateuszowi przypomniał się, nie wiadomo czemu, ksiądz biskup, który bierzmował go we wsi a upodobawszy sobie młodego chłopaka, obdarzył hojnie, przykazując rodzicom przysłanie go na swój dwór. Jakże przytłumione wydają się wspomnienia głodnego o marszu kilkuset chłopstwa na Warszawę, żołnierzy wyganiających z chałup biedny naród, pierwszego pobytu w mieście.

Wówczas, kiedy setki chłopów lipkowskich dotarły do stolicy a policja warszawska kilku z nich aresztowała, między innymi również starego Jakuba Mroza — Mateusz głodny, zziębnięty wypytał się na ulicy o biskupa i zgłosił się do jego zarządcy. Od razu też pochłonięty przez swój świat zerwał kontakt ze wsią rad, że pozbył się zmory ciężkiej pracy, niedostatku i głodu. Trzy lata bez mała zleciało, jak z bicza strzelił, lata dobre, tłuste, ciekawe.

Ksiądz biskup, światowy człowiek, założył był dla swej służby szkółkę domową, którą prowadził wierszopis nadworny, stary pan, pełen mądrości i cierpliwości. Mateusz pojął czytanie i pisanie, nawet do mszy służyć umiał, a jakże, gorliwie garnął się do wszystkiego, co mówiło o innym, lepszym świecie.

Nagle po trzech latach zjawił się u biskupa pan Anzelm Królikowski, daleki zdaje się krewniak i zoczywszy na przedpokojach Mateusza, podówczas już pod wąsem chłopaka, rzekł słówko księdzu biskupowi, zabierając swoją duszę do siebie, do Lipek Małych. Ojciec Mateusza pomarł na chałupnictwie, nie mogąc podołać pańszczyźnie sprzężajnej we dworze tak, że Mateuszowi z dziedzictwa ojcowego nie pozostało nic, okrom obowiązku harowania na pańskim. Poszedł więc na parobka.

Chłopi nie wygrali z panem. Zgodzili się przed trzema laty na nowe warunki, ale dziedzic postawił takie, że ich przyjąć nie było sposobu. Zrujnowani,

bez sprzętu gospodarskiego, bez narzędzi, mieli zaraz przystąpić do odrabiania. Jak? Czym? Nic nie pomogło, przegnał ich pan jeszcze dalej, rozszerzając swój folwark, no i pańszczyznę. Osiem lat, osiem złych, chudych lat pracował Mateusz na pańskim majątku, jako fornal. Chłopi we wsi mizernieli z dnia na dzień, z roku na rok. Najbogatsi paromorgowi gospodarze zdychali za 6 groszy dziennie. Nawet te mizerne morgi dzielono pomiędzy dzieci, więc z każdym pokoleniem trudniej było wyżyć. Ciężary gnębiły naród do reszty. Młody Mróz ożenił się i poszedł robić do huty; jakoś wiodło mu się niezgorzej, ale reszta... Dobrze, że wreszcie wzięto Mateusza do wojska. Znowu cieszył się innym, odmiennym życiem, ale nie na długo, rychło mu obrzydło.

Gdy stoi się na posterunku, zawsze jest czas myśleć o tym i owym. A było o czym myśleć za cały miesiąc musztry, kompanijnych ćwiczeń, obrotów i parad na przeklętym Placu Saskim, od których chciało się czasem zwiać gdzie ku Wiśle, wleźć między flisaków i popłynąć, gdzie oczy poniosą, choćby do tej Ameryki, o której nasłuchał się u biskupa. Mateusz nie dawał się jednak tym złym myślom. Nie był babą, nie mazgaił się nad tym wszystkim, choć dokuczało takie życie. Sierżant Mucha, znany w pułku gawędziarz, umiał owe niepogody przepędzać z szeregowych bajaniem o wojaczce, o Napoleonie, co to największym cesarzem był i nawet Moskali nie bał się.

Wszystkie znaki na ziemi i na niebie mówiły o zbliżającej się wojnie, nie wiedzieć tylko z kim. Przecież nie z Moskalami, bo są pod Moskalem. Z Prusakiem — o, Moskal i Prusak, to dwa przyjaciele. Któż był jeszcze prócz nich, poza nimi. Poza nimi był olbrzymi świat, inni królowie, cesarze, inna mowa, inne góry, doliny i wsie. Ten świat przemierzony nogami Muchy, wabiący jak świeże siano lub pełne piersi dziewczyn. „Panie Jezu — mówił do siebie Mateusz — Panie Jezu wyciągże mnie stąd i pchnij, gdzie chcesz, ale żebym nie zmarniał w mustrze i koszarach". Czuł przypływ nagłej siły, mógł teraz samiutki chwycić karabin i pójść prościutko na cały batalion Moskali czy kogokolwiek. Przez przymrużone oczy patrzał na szeptających ze sobą podporuczników Jurzynę i malutkiego Brajera. A jakby tak podejść do nich i poprosić, żeby go wysłali gdzie na jaką wojnę? Może by usłuchali. „Znowu radzą, zawsze radzą i nic, żeby raz wreszcie coś uradzili przeciw... przeciw..." przeciw czemu Borek nie wiedział. Od tego są panowie oficerowie, żeby wiedzieli.

IV.

Mroźna, pogodna noc 29 listopada 1830 roku nad Warszawą. W kawiarniach „Honoratce", „Dorotce" i innych, wśród dymu fajek rozpalone młode twarze. Podporucznicy 4 pułku liniowego łykają szybko ostatnią filiżankę gorącej kawy spiesząc do pułku. Tu już są wszyscy. Jurzyna spokojny, opanowany — przynajmniej na pozór — kręci się wszędzie, aby jakoś zabić czas. Mateusz nie jest ślepy. Czuje, że coś się święci, że coś czai się w powietrzu nieuchwytne, drapieżne a dobre. Napewno dobre. Tylu oficerów na apelu jeszcze nigdy nie było, przebąkiwano, że przyjedzie sam pan pułkownik Bogusławski, ba, nawet do-

wódca dywizji generał Blumer był już podobno w koszarach. Ptasia, ospowata twarz Domagały nachylonego nad przetartym rzemieniem karabinu oblekła się tajemnicą.

— Co ty na to Borek?

— Niby na co — odpowiedział Mateusz oderwany od swych myśli.

— No przecie coś się szykuje... ostre ładunki, tylu oficerów, służba garnizonowa... Ty gdzie stoisz?

— Pod Bernardynami w czterdzieści chłopa. Z Jurzyną. A ty?

— Ja pod Arsenałem razem z Pyzą i Kobylarzem. Chyba — myślę alarm będzie albo patrol generalny...

— Chyba... — potwierdził Borek. — Tak mi się widzi.

Po odprawieniu wart w koszarach zapanował pozorny spokój. Północ Warszawy otuliła się w mroźny zmierzch, długie cienie leżały po wąskich ulicach, z okien sączyło się żółtawe, ciepłe światło. W koszarach Sapieżyńskich przygotowywano się do apelu. Wybiła piąta godzina. Sierżant Mucha, nie mający służby garnizonowej, stał w szeregu wyprężony przed generałem Blumerem, pułkownikiem i panami oficerami, przechodzącymi przed frontem.

Wiatr przynosił do szeregów każde słowo wypowiedziane w błyszczącej orderami gromadzie. Kiedy ustał, nie dało się niczego posłyszeć okrom parokrotnego „...ostrzegam... ostrzegam, proszę usilnie..." wypowiedzianego przez dowódcę dywizji.

Tam przed frontem stali panowie oficerowie, z których większość nie wąchała prochu. Mucha poczuł się raptem osamotniony, pozbawiony bliskości podporuczników Jurzyny, Dobrakowskiego i Bielickiego, dowodzących wartami. Bał się prawie, że pod surowym wzrokiem generalskim i pułkownikowym załamią się te gołowąse podporuczniki, przykazujący mu czekać i być gotowym na wszystko. Był. Wiedział, że za niecałą godzinę podchorążowie dadzą sygnał ogniem wznieconym na Solcu. Mimowoli rozejrzał się czy nie widać już łuny, bo kto tam wie tych podchorążych, w gorącej wodzie to kąpane, jeszcze pospieszą się. Niebo było spokojne, szare, martwe.

Po apelu żołnierze rozeszli się do pawilonów, wyżsi oficerowie odjechali, młodzi zebrali się w izbie służbowego oficera. Mucha obchodził sale jak przykazano, pytając szeregowych: „kolacja smakowała? Jak tam, ciepło macie chłopaki?" Po tym dodawał: „może być patrol generalny" albo... „kroi się na alarm". Oficerowie kompanijni wchodzili do izb zarządzając pogotowie. Mucha wypadł z koszar biegając po szynkowniach i kwaterach, odciągając szeregowych oraz podoficerów od kufli czy tęgich pośladków białogłowskich wołając do koszar, na alarm. — „Do koszar flejtuchy — lada chwila będzie alarm albo i kontrapel". Innym opowiadał o generalnym patrolu kwartalnym w płaszczach, lederwerkach i kaszkietach z ceratą.

Kiedy powracał do koszar natknął się w bramie na podporucznika Brajera, z którym spotykał się często ostatniego tygodnia a raz spotkał go u Szydłowskiego.

— Co słychać Mucha?

— Dobrze, panie poruczniku. Pościągałem co się dało do koszar.

— Będzie dobrze. Czwartacy to 1600 bagnetów, pewnych bagnetów. Nie? My już pokażemy co rewolucja. Kto nie z nami, ten będzie dyndał. Za moment wybuchnie pożar, sierżancie. Idę na warty przypomnieć o sygnale, po którym mają oficerowie według planu ściągnąć warty i maszerować na Arsenał. W salach niech się ubierają, mogą leżeć na pryczach, ale z karabinami.

Podporucznik dosiadł konia i popędził na objazd wart. Na odwachu pod Bernardynami spotkał zniecierpliwionego Jurzynę, gawędzącego z żołnierzami. Ten usłyszawszy tętent konia wybiegł na spotkanie jeźdźca.

— O szóstej ruszamy. Co nowego? — zapytał na tyle głośno, aby słyszeli go szeregowi odwachu.

— Jak zobaczysz pożar na Solcu, schodź ze stanowiska i wal na Arsenał. Pułkownik będzie zawiadomiony już po wszystkim. Liczymy na wiarusów.

Wiarusy siedzieli na pryczach odwachu jakby zawstydzeni tym nagłym zaufaniem, krzątaniną panów oficerów i całą rewolucją, o której gadał przed chwilą Jurzyna. Feldfebel siąkał głośno w czerwoną chustkę. Jurzyna raz po raz rozkładał plan miasta popstrzony czarnymi plamami w miejscu, na którym znajdowały się koszary Sapieżyńskie i sąsiednie Sierakowskie (gdzie stał 4 pułk liniowy), arsenał, Belweder i koszary rosyjskie. Na marginesie mapy wysokie cyfry — liczby wojsk, rachunek krawca i wielka wymalowana czerwonym ołówkiem szóstka. Zegar na odwachu metalicznie cykał. Chciało się spać w cieple odwachu.

Mateusz Borek chodząc przed nim z mocno do piersi przyciśniętym karabinem wybałuszał oczy w kierunku Solca. I jemu udzielał się ogólny nastrój zimnego wieczoru, w którym coś się działo. Tak samo czuł się kiedyś, dawno temu w Lipkach, kiedy matce urodzić się miał chłopak, tak potrzebny do roboty. Zamknięta była w izbie ze starą Ignacową, Mateusz wówczas sześć coś roków mający, sromotnie przepędzony z chałupy, włóczył się po pastwisku, złoszcząc się, że nie może być przy matce, przy której coś się działo.

Teraz odczuwał instynktem zwierzęcym jakąś katastrofę. Rewolucja — przecież mówił Jurzyna — to jak powódź, jak burza, wyrywa wszystko złe, zalewa i niszczy, aby użyźnić ziemię. Mądry ten porucznik, choć taki dziewczyński.

Czy to nie łuna? Nie, to tylko zwidziało się Mateuszowi.

— ooo?... To porucznik stanął znienacka obok Mateusza trzymając w ręku zegarek.

— Nic nie widać — rzekł sam do siebie.

O ten ma stracha, pomyślał Mateusz, że coś się nie uda. Gdyby tu był kapitan, ten to by się nawet czarta nie zląkł. Swoją drogą ciekawość, jak stawią się te wszystkie „kozaki", ci oficerowie, podchorążowie i akademiki, o których mówił dzisiaj Jurzyna.

A co powie pan pułkownik? Jurzyna gadał, że to obowiązek, ale Mateusz nie w ciemię bity: gdyby to był obowiązek, to nie trza byłoby tak się chować, kryć ze wszystkim. Pułkownik stanąłby sobie przed frontem pułku, krzyknąłby po swojemu: „Dzieci będziemy się bić". I już. A nie tak cichcem za plecami pułkownika. Choć to sprawa oficerów, niech sami łamią sobie głowy. Mateusz wie, że tu chodzi o przepędzenie Moskali, którzy mają wybić wszystkich Po-

laków. Niedoczekanie ich. Mateusz mocniej przycisnął do piersi karabin. Tylko poco po nocy takie rzeczy robić. Nie lepiej byłoby za dnia... Już chciał spytać porucznika, dlaczego ta cała rewolucja musi być właśnie po nocy, kiedy ten westchnąwszy cicho powiedział trąc oczy: wszystko stracone. Już siódma godzina...

V.

W koszarach 4 pułku półtorej godziny, jakie upłynęło od nieudałego alarmu na Solcu wydawało się całym wiekiem sierżantowi Musze. Bladzi ze zdenerwowania oficerowie związkowi nie mogli usiedzieć na miejscu, w izbie oficera służbowego panowała martwa cisza. Ściągnięci z miasta żołnierze siedzieli, nie rozbierając się, na korytarzu. Mikołaj Taszniuk stał oparty o drzwi sali mając być posyłką do dowódcy pułku.

Godzina 7,30. Na dziedziniec koszar wpadá jakiś jeździec na ułańskim koniu. Sierżant Mucha wartujący u okna pierwszy go spostrzega. Krzyczy: wiadomość od panów podchorążych! Oficerowie wybiegają z izby, trzeba pchnąć okno z całej siły, aby przez nie móc coś zobaczyć. „Koszary sierakowskie gotują się... Moskale naszych rżną w Łazienkach!" Mucha biega już po salach budząc żołnierzy. Przyzwyczajeni do alarmów szybko wstawali z prycz, chwytali karabiny, zamieniali skałki rogowe na krzemienne i przyciągali pasy. Podporucznik Brajer staje przed kotłującą się gromadą:

— Gotowe? Moskale biją naszych! Szybko wiara, polecimy bronić Arsenału, żeby nam nie zrabowali broni. Zrzucimy jarzmo! Nie będziecie już uciskani!

Łabudziakowi dziwnym wydaje się ten alarm. Do Arsenału. Phi, to nie byle co. Pewno Moskale chcą ukraść broń. Jak pan porucznik mówi to pewno prawda. — Nie damy się Moskalom, co — woła jeszcze oficer. Kilku żołnierzy wykrzykuje cicho — nie damy panie poruczniku, reszta w milczeniu wychodzi z izby. Ogarnia wszystkich chłodny powiew i gromki jak z kazalnicy głos nieznanego oficera:

— Do broni bracia... Kto w Boga wierzy... Na Moskala...

Łabudziak poszukał wzrokiem swych towarzyszy. Tęgi Kuczaba rozdygotanymi palcami przekładał skałkę w karabinie.

— Co, boisz się?

— Trochę — odpowiedział niechętnie Kuczaba. Łabudziak pchnął go naprzód głośno rechocąc.

— Łeb do góry chłopie. Słyszałeś? Jest rewolucja — i wspominając dobre czasy, kiedy to z fuzją skradał się w lesie pańskim czyhając na zwierzynę, powiedział: łowy to chłopie, łowy.

Mikołaj Taszniuk odbierał w tej chwili list. Wykręciwszy się na pięcie wybiegł na dziedziniec. Wszystko tak prędko się działo, tak wirowało jak na jakiejś olbrzymiej karuzeli. Żołnierze stali już na pierwszym dziedzińcu, słuchając podporucznika Brajera przykazującego posłuszeństwo tylko oficerom kompanijnym, nie dowódcy pułku, bo ten o niczym jeszcze nie wie. — My tylko wiemy, że jest rewolucja i mamy prowadzić was pod Arsenał!

Było ciemno. Posłyszano z dala kilka suchych wystrzałów trzaskających niby łamane gałęzie. Od sąsiednich koszar Sierakowskich niósł się rozgwar i stłumiona przeciwnym wiatrem pieśń. Oficerowie odeszli na naradę. W tym momencie przed frontem zjawił się pułkownik Bogusławski: — Co się tu dzieje? Z czyjego rozkazu wyszliście?

Bogusławski stał naprzeciw Kuczaby, któremu zrobiło się słabo, zaczął dygotać jak w febrze i myśląc, że jego właśnie pytają wyjąkał: z rozkazu... z rozkazu oficerów kompanijnych...

Pułkownik nie mógł wydobyć głosu ze ściśniętej krtani. Po raz pierwszy w swej wojskowej karierze miał do czynienia z buntem. Ukochany jego pułk miałby zwrócić się przeciwko niemu? Przenigdy nie należało dopuścić do tej ostateczności. Rozkazał żołnierzom powrócić do sal. Szeregi rozłaziły się, dziedziniec napełniał się półgłosem prowadzonymi rozmowami. Łabudziak w ciemności wpadł na sierżanta Muchę klnącego ze złości.

— Uważaj smrodzie, rewolucję chcesz robić a o krok przed sobą nie widzisz... Łabudziak mruknął: gówno mnie rewolucja obchodzi, budzenie po próżnicy i tyle... O, wracają panowie oficerowie, niech sobie robią rewolucję z pułkownikiem...

W izbie oficera służbowego wyładowywał swój gniew na młodych oficerach pułkownik Bogusławski, sam będąc spośród starszyzny. Mucha kręcił się czujnie w pobliżu, łowiąc uchem każdy głos, nie tracąc nadziei. Przyszedł przyjęty z radością przez pułkownika kapitan Krupski pogarszając jeszcze nastrój dowódcy wiadomością o burzeniu się oddziału czwartego pułku w koszarach Sierakowskich. Oficerowie młodsi korzystając z zamieszania, jakie sprawiło przybycie kapitana Krupskiego, wypadli z izby, doganiając wchodzących już na sale żołnierzy, wyprowadzając ich z powrotem na dziedziniec a stamtąd na następny, ku wyjściu. Ci mieli dość tej zabawy w chowanego. „Jak już wstaliśmy, to chodźmy pod ten Arsenał" — mówili.

Oficerowie i podoficerowie ustawili bataliony na dziedzińcu. Kuczaba przestał się bać ufając, że jednak powrócą na prycze w ciepło i spokój. Łabudziak zaś ożywił się tymi manewrami, zdając sobie sprawę, iż nie jest widocznie byle czym, skoro tak o niego zabiegają i tak wokół niego tańczą. Z jednej strony pułkownik, z drugiej kompanijni. Taszniuk powróciwszy z posyłki zdążył już mu powiedzieć, że na Nowym Mieście biją się, a fizylierzy pułku występują jak jeden mąż. Trochę pokpiwał z oficerów, ale na ogół było mu przyjemnie, jak człowiekowi po raz pierwszy próbującemu tańczyć. Trochę miał pietra, trochę wstydził się a dumny był w istocie rzeczy jak najpiękniejsza dziewczyna na zabawie. Niechby mu kto przeszkodził... Znowu usłyszał głos pułkownika rozkazujący wysłać pikietę ogniową. Ktoś wzbraniał się. Grupa oficerów przysunęła się ku szeregom.

— Potrzeba występować — upierał się malutki podporucznik Brajer.

— Nie. Zabraniam kategorycznie i rozkazuję wysłać tylko pikietę ogniową — brzmiał głos pułkownika.

— Poco, kiedy inne oddziały uczyniły już to dawno.

— No więc co pan chcesz właściwie, tu nie sejm aby dyskutować...

— Ja nie dyskutuję pułkowniku, ja domagam się wystąpienia, ja muszę wystąpić, a pan jako prawy Polak nie powinien przynajmniej przeszkadzać skoro lęk panem ogarnął, pułkowniku!

— Więc pan odmawia posłuszeństwa. Aresztuję pana, poruczniku.

— Nie przyjmuję aresztu!

Dwóch podporuczników zbliżyło się do pułkownika jakby chcąc obronić Brajera. — Panie pułkowniku, pułk ma istotnie inne zadanie, jak stać tu i przyglądać się bezczynnie. Chcemy wystąpić.

— A ja aresztuję panów... Sierżancie Mucha!... — zwrócił się pułkownik do stojącego najbliżej, znanego mu dobrze wiarusa. Zanim jednak Mucha miał czas wystąpić stało się coś co rozstrzygnęło za niego, za kim ma pójść. Podporucznik Brajer uderzył pułkownika gifesem w piersi z siłą nieprawdopodobną u takiego malca, tak, że rosły Bogusławski zachwiał się i upadł na ziemię. Z tą chwilą żołnierze przestali się wahać. Oficerowie kompanijni bili, więc mieli rację. Brajer wzburzony do głębi rozłażeniem się całej sprawy, czekaniem, zawodem sprawionym przez spiskowych, nieudałym pożarem na Solcu, krzyknął do swej grenadierskiej kompanii: Grenadierzy w prawo marsz, marsz!

Grenadierzy wyszli, trzy kompanie ruszyły ku swemu przeznaczeniu, oficerowie błyskawicznie doskoczyli do swych oddziałów.

— Zostać, na Boga, zostać! Czekajcie panowie przynajmniej wyższych rozkazów — biadał pułkownik ciężko podnosząc się z ziemi.

Było jednak za późno na przedkładanie i perswazje. Ulica ożywiła się, wśród szeregów wołali co najgoręts: naszych rżną, naprzód, naprzód, nie słuchać, naprzód... Kompanie fizylierskie z koszar Sierakowskich maszerowały przed koszarami na oczach batalionów, pchanych naprzód przez oficerów kompanijnych a zatrzymywanych przez swego dowódcę. Fizylierzy ryknęli z całego gardła: Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy... co nam obca...

— Odbierzemy — krzyknął wzruszony Mucha i zapominając, że nie stoi w czworoboku Legii zawołał twardo, nieustępliwie: „wiw Lempeur", podrywając naprzód kompanię. Wybiegli z koszar, a za nimi Bogusławski błagając: Zmiłujcie się dzieci, zostańcie, nie chodźcie.

Ostatnie rzędy na jego głos zawstydziły się swej śmiałości, zatrzymując się na miejscu. Początek kolumny biegł już jednak naprzód. Wtem nadbiegł konno kapitan Krupski dopędzając podwójnym krokiem maszerujących czwartaków. Czuł, że to szaleńcze wystąpienie, tym się jednak nie gorszył, lecz gniewało go wykroczenie przeciw przysiędze, wbrew honorowi. Aby ratować ten honor zakomenderował doścignąwszy batalion czołowy: Batalion stój!

Batalion stanął automatycznie, przywykły słuchać każdej komendy. — Co robicie, co robicie — wołał Krupski — idziecie przeciwko Najjaśniejszemu Panu...

Porucznikom wymykało się wszystko powtórnie z rąk. Jeszcze chwila a żołnierze powrócą spokojnie do koszar. Ci, pierwszy raz będąc objektem sprzecznych ze sobą rozkazów i nalegań niecierpliwili się coraz więcej. — „Cóż jest miły mój — mówił Taszniuk — jakem już tu przylazł to chcę iść dalej". „Wiara

naprzód" rozkazał Brajer, powtórzyli drudzy. „Dacie Moskalom wyrżnąć naszych? Naprzód! Kapitanie nie bałamucić, albo z nami albo spać".

Bataliony znowu ruszyły ulicą Franciszkańską. Kapitan Krupski nie dał za wygraną. Ponownie dopadł batalion wzywając do powrotu. Rozzłoszczony Mucha wyszedł z kolumny i zamachnąwszy się kolbą wycedził przez zęby: Liczę do trzech. Raaz... dwaa...

Ceglasta łuna oświetlała spadziste dachy Warszawskiej ulicy i wyciągnięte szpady oficerów.

VI.

Warta przed Bernardynami o godzinie wpół do ósmej była w pogotowiu. Podporucznik Jurzyna opamiętał się i uspokoił, przejąwszy od żołnierzy ich niezwykły chłód, opanowanie i wstrzemięźliwość. Zgromadziwszy ich wokół siebie wbić im do głów usiłował znaczenie wypadków.

— To jest tak — mówił — jesteśmy niewolnikami cara a naszego króla. Car nie wie nawet o tym, jakie krzywdy dzieją się nam na naszej przecie ziemi, oszukiwany przez swych generałów i swego brata, Wielkiego Księcia, chcącego wyplenić nas z ziemi ojczystej, jakbyśmy byli chwastem czy pokrzywą. Chcą nas wysłać na wojnę, na zachód posłać, na Francję i Belgjum, aby naszymi bagnetami ujarzmić wszystko, co jeszcze wolne i niezaprzedane przemocy. Pokażemy Europie co to są Polacy! Rozbroimy Moskali, wypędzimy z Królestwa, przyłączymy polskie gubernie! Widzicie, to jest tak, jakby ktoś z was żył, powiedzmy, w Warszawie a wszystko, rodzinę, ziemię miał daleko za morzem. Chciał by, żeby to było razem w kupie. Nie?

— Jakże to przecie, my ziemi nie mamy, panie poruczniku?

— Ale ja tak, dla przykładu...

Borek skinął głową. Za dużo waliło się nań, chłopski rozum mówił mu, że trzeba się bić, od tego jest chyba wojsko. Przed tym nie było kogo bić, teraz jednak panowie oficerowie wyszukali tego kogoś. Moskali i rewolucję. Nie, nie rewolucję, rewolucję oni sami robią. Borek chciałby to wszystko pojąć ale nie sposób. Dość, że się coś dzieje a on jest w tym nie jakąś drewnianą figurą ale ważnym, bardzo ważnym, tak ważnym jak sam pan pułkownik. Patrzył uważnie na dziewczyńską twarz Jurzyny zmienioną nie do poznania tym wieczorem wyczekiwania i niepewności.

Zaturkotała dorożka zatrzymując się przed odwachem. Ktoś wywołał Jurzynę, zamienił z nim kilka zaledwie słów i odjechał spiesznie. Jurzyna kazał zadzwonić na alarm. Dobosze z całych sił uderzyli w bębny. Warta wystąpiła pod broń.

— Jesteście Polakami a tam biją Polaków, biją naszych... W Borku i w towarzyszach odezwała się stara nuta solidarności. Alarm bębniony przez doboszów po Krakowskim Przedmieściu poruszył tę część miasta. Gromadki wyrobników, rzemieślników, młodzieży, napływały ze Starego Miasta. Warty schodziły z posterunków. Nad ulicą Dziką jaśniała łuna pożaru wzywając oddziały pod Arsenał.

Podporucznik Jurzyna zebrał wartę i pomaszerował z nią na plac Krasińskich pod teatr Rozmaitości. — No wiara, idziemy szukać wodza!

Borek stojąc chwilę potem przed teatrem nie spuszczał oka z Jurzyny, rozmawiającego z dozorcą policyjnym, a następnie z wywołanym przez tego oficerem polskiej linii. Poszeptawszy ze sobą rozeszli się, wywołany oficer do teatru, Jurzyna do oddziału. Rozprowadził wartę, ustawiając ją przy wyjściach a Borkowi kazał iść za sobą. Przed drzwiami zatrzymał go, sam wchodząc do środka z głośnym okrzykiem: Polacy do broni. Braci naszych w Łazienkach Moskale wyrzynają. Nie czas na zabawy. Damy do domów. Bracia do broni!

Mateusz po raz pierwszy widział teatr. Grano właśnie „Bankructwo partacza" krotochwilę ze śpiewami, „Król migdałowy" komedię z francuskiego i „Drugi rok, kto winny" operę — dalej nie mógł już Mateusz odcyfrować z wiszącego na drzwiach plakatu. Jurzyna wołał do kogoś niedostrzegalnego, zasłoniętego plecami w rosyjskim mundurze:

— Pomagaj nam generale, teraz czas...

Na sali wszczął się ruch. Piękne panie osłaniały białe ramiona, jakby nagle powiał nieprzyjemny chłód od tego młodego oficera stojącego obok Chłopickiego, chłód mroźnej listopadowej ulicy. Był dopiero pierwszy antrakt. Przedstawienie zaczęło się o siódmej, zapowiadało się bardzo dobrze, żal więc było przerywać je dla jakiegoś tam niewychowanego oficera. Borek stojący u wejścia na salę pocił się pod wzrokiem tych pachnących dam i błyszczących orderami oficerów, poczerwieniał niby burak, wycierał mokre ręce o szwy płaszcza, pragnąc, aby się to wszystko jak najprędzej zakończyło. Czemu ten generał nie jest pod arsenałem, skoro wszyscy mieli tam właśnie się zebrać, a nie w teatrze? Wojsko się bije a on sobie sztuczki ogląda za pan brat z Moskalami. Taki piękny generał. Wyniosła postawa, męska twarz o szerokich łukach brwi, na czole kosmyki siwych włosów, długie wąskie usta o opuszczonych na dół kącikach warg, wysunięta naprzód krągła broda, prosty nos, wielkie, błyszczące dumnie oczy usprawiedliwiały ocenę Borka. Siwizna sześćdziesięcioletniego generała nie postarzała go. Stał przecie prosty jak świeca mówiąc popędliwie:

— Zmityguj się pan, zastanów się czego ode mnie żądasz...

— Nie czas się zastanawiać generale. Czas działać! — krzyczy Jurzyna. — No pewno. Siedzą tu te oficery, gały wyłupiają na komediantów, w cieple, w zapachu, od którego w nosie kręci, z babami u boku a chłopy idą na arsenał. Zgrabna dziewczyna w szaroniebieskiej sukni mile szeleszczącej, bufiastej a odkrywającej nagie ramiona przeszła obok. Popatrzył na nią mrucząc: baby do domu. Potem zawstydził się i usunął. Teraz widział lepiej Chłopickiego i Jurzynę rzucających się na siebie jak koguty.

— Dajcie mi spokój. Idę spać. Piątej klepki wam brakuje moi drodzy. W 50 000 szarpać się na największą w Europie potęgę...!

Zachęceni wzgardliwą, pewną siebie postawą Chłopickiego oficerowie rosyjscy dobyli szpad. — Wołaj wartę Borek, rozkazał Jurzyna. Mateusz pobiegł po towarzyszy, którzy według rozkazu obsadzili w mig wszystkie wyjścia i weszli na salę. Kobiety piszczały po francusku. Oficerowie skupili się w gromadki. Jurzyna widząc na co się zanosi, zawołał do Moskali:

— Wszystkich obecnych tu Moskali aresztuję. Schować broń, wszelki opór jest beznadziejny, moi żołnierze zamknęli teatr.

Podchodził kolejno do spokojnie stojących, odbierając im szpady i pałasze. Publiczność korzystając z zamieszania rzuciła się ku wyjściu, tłocząc się, popychając jak ludzie do kościoła. Mateusz powtarzał za feldfeblem: Kto Polak niech wychodzi — i klepał wychodzących po ramieniu, a jeśli to były kobiety, po wypukłych zadkach.

Załatwiwszy się z teatrem pognał oddziałek Mateuszowy na ulicę Miodową do Honoratki Cymermannowej, młodej osoby, prowadzącej popularną w Warszawie kawiarnię. Acha, to tu szukać będziemy wodza, pomyślał Borek, dziwiąc się tym nocnym wędrówkom po mieście za wodzem, który powinien być przecie przy wojsku, a nie tak jak ten Chłopicki na teatrze. Pewno go nie zawiadomili a teraz szukać muszą po całej Warszawie, może zresztą pouciekali do Konstantego generałowie i zabrali ze sobą wodza, kto wie...

Przed kawiarnią pozostawił Jurzyna oddział na ulicy, sam wszedł i nie bawiąc długo, wypadł z ponurą, rozpaloną twarzą, prowadząc tęgiego generała w rosyjskim mundurze. Niesposób było teraz pytać czy to jest właśnie wódz. Feldfebel odprowadził go na odwach, a oddziałek nie zatrzymując się już po drodze pognał pod arsenał. No tam przynajmniej spotkam swoich — cieszył się Borek — tam będzie Domagała, Pyza, Kobylarz i reszta kompanów, których tak brakowało podczas nocnej wędrówki po niespokojnej Warszawie.

Domagała miał ciężki wieczór. Cywile wypełniali burzliwym tłumem ulice prowadzące do Arsenału, napierając na posterunki, rwąc się po broń nagromadzoną tutaj, dziwiąc się oporem, jaki stawiała warta czwartego pułku liniowego. Pyza szermował na języki ze znajomymi czeladnikami, przypętało się kilku wojskowych, namawiając wartę, aby wpuściła lud do Arsenału, stojącego na placu kanciastą, nieprzystępną bryłą, nakrytą spadzistym dachem, mocno okratowaną, kryjącą w sobie nieprzebrane skarby dla chciwych rozprawy rąk.

Zbliżywszy się na odległość strzału do placu wyróżniał Mateusz pojedyńcze gwizdy i okrzyki wśród tłumu. Z trudem przecisnęli się przez masę ludzi, podchodząc pod posterunek. Domagała wzywał pomsty Bożej nad rozpasanymi chłystkami, celnie plującymi na jego mundur. Dostrzegłszy z dala górujące ponad głowami karabiny i kaszkiety czwartaków nabrał pewności siebie, pokrzykując na coraz zawzięciej napierających: a wy smrody francowate, gdzie, przeciwko komu leziesz jeden z drugim, na swojaka nastajesz? Jezusie Nazareński przeciwko królowi, przeciwko królowi, idziesz byku, bo cię skłuję bagnetem. Rozstąp się, rozstąp się...

— Rozstąp się sam — odkrzyknięto z tłumu. — Moskali broni hycel; chcesz dyndać na latarni, prosimy, prosimy, chodźno tu sam...

Domagała wyciągnął z kołnierza płaszcza długą gęsią szyję, upatrując pomocy w zbliżającym się oddziele.

— Co tu się dzieje? Warta?

— Panie poruczniku — zawołał Domagała do Jurzyny — panie poruczniku, nareszcie. Nie damy rady... Zrobiły te dranie ruchawkę, rozdrapią wszystko z Arsenału, a my pójdziem przed Wielkiego Księcia! Nie damy rady...

— Komu?... Toś ty taki Polak... rozstępuj się!

Domaga zbaraniał. Jakże to i porucznik przeciw królowi? Bieda z tymi porucznikami i podchorążymi, pełno ich, a starszyzny, jak nie widać, tak nie widać. Wyrostek z rzeźnickim nożem w ręku trącił go potężnie w bok, ktoś inny pocałował go z uniesieniem w policzek. Obalono go, jak kukłę na ziemię, karabin wytrącono z rąk, tłum runął ku arsenałowi, rąbiąc toporami masywną bramę. Przez wyharataną w odrzwiach dziurę wsunął się do wnętrza mały chłopak, poodsuwał od wewnątrz rygle, zawory i haki... Arsenał stał otworem...

Dowódca warty zawieruszył był się gdzieś, więc Jurzyna polecił Kobylarzowi obejść wokół Arsenał i wołać dowódcę, więcej dla uspokojenia swego sumienia, niż z ufności w możliwość odszukania zaginionego porucznika. Filip Pronobis — „Kobylarz", miast szukać oficera, przecisnął się do samotnie stojącego siwka, pozostawionego tu przez kogoś z panów podchorążych i oglądając dokładnie wierzchowca, nie zapomniał zaglądnąć nawet do pyska.

— Ej, koniku, koniku, przydasz się — szepnął czule. Chodź stary! Wziął konia krótko przy pysku, przeciskając się znowu ku posterunkowi. Żeby nie siwek, zgniotłyby go dwie fale ludzkie, płynące od i do Arsenału. Jedna nieuzbrojona wlewała się do Arsenału, druga wypadała z niego, błyszcząc zabraną bronią, karabinami, karabinkami, pistoletami, lancami, pałaszami, potrząsając halabardami, berdyszami, dzierżąc dumnie stare buzdygany, obosieczne miecze, łuki i czekany. Przez ten szumiący tłum przepychał się wolno Filip, stawiając ostrożnie swe pałąkowate nóżki, poszturkiwany przez gapiów i zbrojny lud. Siwek torował mu drogę szeroką piersią, przestraszony wrzaskami, łuną, lśnieniem broni i opuszczeniem go przez pana. Filipa ściągnięto z siodła, palnięto mu w łeb, potem jakiś młodzik, nie umiejący porządnie wleźć na siodło, dosiadł siwka i pogalopował przez ulice. I ten gdzieś zginął. Teraz obcy trzyma mocno uzdę, mrucząc ustawicznie pieszczotliwe wyrazy, klepiąc i uspokajając.

Czwartacy pogubili się w ciżbie i zamieszaniu. Ludzie włazili do domów, otwierając przemocą pozamykane bramy, wspinali się na dachy, otwierali okna; wszędzie pełno było zbrojnych. Przybyły wreszcie jakieś kompanie. To piąty pułk... powiedział porucznikowi Borek, znający dobrze piątaków. W głowie szumiało mu od tych ciągłych okrzyków, na domiar złego odszukany wreszcie Domagała szeptał pobożnie pacierz, zapatrzony, jak sroka w kość w starożytny muszkiet. Czary, czy jak. Przecież upuścił był karabin, a nie tę rurę. Nie można było z nim gadać. Porucznik... chyba z porucznikiem. Dziewczyńska twarz Jurzyny gorzała od łuny, oczy paliły mu się, jak u wilka. Odpowiadał chętnie na każde pytanie Mateuszowe, znajdując w tej pogwarce pewne odprężenie w straszliwej samotności, jaka męczyła go na placu przed Arsenałem, samotności wynikającej z zagubienia się w całej akcji, z braku wiadomości o jej postępach na innych odcinkach, z braku rozkazów wreszcie.

— No tak, mój drogi, stoimy tu — mówił — bo musimy. Inaczej Moskale zabraliby nam broń, a bez broni to lepiej byłoby spać w koszarach.

— Co będziemy panie poruczniku dalej robić, gdzie są ci Moskale?

— Żebym ja to wiedział. Zaczekamy tu...

— Na Moskali?

— Nie, na swoich przecież. Widzisz? Jedzie jakiś podchorąży, pewno z rozkazem. Podporucznik rzucił się w tłum, jak pływak spragniony po zimie wody, torując sobie drogę do nadjeżdżającego. Ten już z daleka wołał: „Wołyniacy podchodzą!" „Gwardia wołyńska idzie ku nam!" — wołali ludzie. Jurzyna zawrócił, pokrzykując na ludzi swym melodyjnym basem. Przerzedziło się już znacznie. Ustała wrzawa. Uzbrojeni rozeszli się na dorywczo wybrane stanowiska. W pogłosie kopyt gwardii rosyjskiej zbliżał się los. Szeregowi skupili się, opatrując ostatni raz broń, próbując skałek, wyciągając kule.

W tej chwili Kobylarz, idący wolno ze swoim siwkiem ku posterunkowi, spojrzał w oświetloną pożarem ulicę. Serce zabiło mu mocniej, kiedy zoczył znajome mundury czwartego pułku, biegnącego podwójnym krokiem, zwartą kolumną, najeżoną bagnetami, na pomoc Arsenałowi.

Warty wstąpiły do oddziałów, sierżant Mucha i podoficerowie liczyli wydawane z pół płaszczy i płacht ładunki.

Borek stanął w linii. Zimne drzewo i żelazo karabinu jeszcze nigdy go nie paliły jak teraz. Wołyniacy byli tuż, tuż.

— Kto idzie? — zawołano z polskich szeregów.

— Swój — odpowiedziano.

— Co za swój?

— Gwardia wołyńska.

— Złóżcie broń! — zawołali prawie jednogłośnie polscy oficerowie.

Na to w szeregach wołyniaków wszczął się ruch. Tyralierzy rosyjscy wystąpili naprzód i otwarli ogień. Pierwsze kule klasnęły dźwięcznie o drzewa ogrodu, w którym stał batalion Mateuszów. Bzyknęło koło nóg. Grenadierzy polscy natychmiast odpowiedzieli ogniem. Pierwsze kule wymieniono. Z dachów posypały się pojedyńcze, suche wystrzały. Borek czuł tylko mocne uderzenie kolby w ramię. Dopiero po paru minutach odjął karabin po oddaniu pierwszego strzału. Ostry zapach prochu bił mu w nozdrza. Strzeliłem, strzeliłem powtarzał sobie, oglądając karabin ciepły jeszcze po wypale. I to mógł czynić. Strzelać. Mógł wiele. Mógł wystąpić z szeregów, pójść w tłum, wejść do jednego z tych pięknych domów, ho, ho, dużo mógł Mateusz Borek. Przede wszystkim zaś czuł się pewnie i mocno w szeregu. Tu nie było nikogo, prócz żołnierzy i innych spraw, prócz żołnierskich. Nie trzeba było na nic czekać, złościć się, tak, jak pan porucznik, chyłkiem wykradać się, łazić po mieście, biegać jak kot z macherzyną. Teraz powinnością było tylko bić się. Nareszcie. Nareszcie skończyło się to wszystko, te szopki z rewolucją, pożarami, które nie wybuchały, szukaniem wodza po teatrach i kawiarniach. Teraz przyjdzie pan kapitan, da rozkazy i wszystko będzie dobrze.

Wołyńcy cofnęli się. Można było odszukać towarzyszy i podzielić się z nimi wiadomościami, wrażeniami z wieczora. Właśnie sierżant Mucha opowiadał o wydarzeniach w koszarach Sapieżyńskich. Było się wśród swoich, wśród żołnierzy. I to było najważniejsze.

Nastrój napięcia szybko opadł. Resztki entuzjazmu przepędziła mroźna, wietrzna noc. Jacyś oficerowie pozatulani w płaszcze podchodzili do szeregów, wzywając do posłuszeństwa Wielkiemu Księciu. Lud tylko niecierpliwił się,

pozostawiony samemu sobie. Szeregi wojska łamały się, kruszyły. Szymon Łabudziak pierwszy wyszedł z szeregów i włóczył się po placu, podsłuchując rozmowy przemarzniętych mieszczan. Opodal kilkunastu ludzi stało przed szynkownią, żywo omawiając możliwość otwarcia zamkniętego szynku. — Panie żołnierz, nie zimno to tak po nocy. — Zimno — podchwycił Łabudziak, domyślając się, o co chodzi. — Możebyśmy tak poprosili szynkarza o baryłkę? Żołnierze marzną, a ten żałuje nam paru kropli, zamykając się, jak przed Moskalami. Chodźno panie żołnierz, razem poradzimy... — Znalazł się nawet żelazny drąg, przy pomocy którego wyważono drzwi. Paru fizylierów uderzyło kolbami, pękły zasuwy, lokajczyk w granatowej liberii wybił zamek pierzastą buławą, wyniesioną z Arsenału.

Po chwili raczono się obficie wódką i piwem. Wałęsająca się po ulicach ludność i grupy żołnierzy rozbijały inne sklepy i szynkownie. Łabudziak mający dobre kłusownickie serce nie zapominał o swoich. Z dwoma pękatymi flaszami powrócił do szeregu, gdzie zastał towarzyszy wesoło gwarzących z akademikami.

— Nie bójcie się — mówili —wygramy na pewno.

W ciemnym kącie placu dopadnięto kapitana z polskiej linii, namawiającego do porzucenia szeregów, rzekomo w imieniu dowódcy pułku. Żołnierze słuchali jego namów, ale za nim nie poszli, nie mając zaufania do ludzi, którzy przychodzą nocą, kryją się, namawiają, starając się przekabacić ich na swoją stronę, takie nocne gacki, to nie dla żołnierzy. Panowie oficerowie łazili bezradnie po placu samotnie lub grupkami. Widok tych zasmuconych, zbitych z nóg ludzi był tak przygnębiający, że Borek odwracał od nich oczy, jak od zapowietrzonych. Wódka przyniesiona przez Łabudziaka zaostrzyła wszystkie jego zmysły, wzrok, słuch, czucie chwili. Mimo głodu nie odczuwał zmęczenia ni znużenia.

Pulchna jak pączek starsza jejmość obchodziła kompanię obdzielając żołnierzy małymi bułeczkami i szkaplerzykami z Matką Boską Częstochowską.

— Dzieci kochane, Święta Panienka niech ma was w swej opiece — prawiła i dawała rękę do pocałowania. Żołnierze brali bułeczki i szkaplerzyki, cmokając głośno miękką rączkę podtykaną skwapliwie pod nos. Grubo żartowano z niewiasty, prześmiechując się z jej tuszy, klepiąc poufale, a nawet szczypiąc zażywne kształty. Jejmość nie broniła się wcale, zadowolona z pobożności żołnierzy i ich ochoty. Taki Domagała wziął nawet dwa szkaplerze. Natomiast pewien młody żołnierz okazał się bardzo niewdzięcznym, nie wziął ani szkaplerzyka, ani bułeczki, ani pożartował, ani pocałował podsuniętej pod nos ręki. Był to Borek. Mateusz patrzał na jaśniejące nocne niebo, myśląc w tej chwili o sobie, widząc się jak przebiega na olbrzymim koniu gęste szeregi wojska i prowadzi je na bataliony moskiewskie. Krew prędzej krążyła na samą myśl o bitce.

Porozbijane sklepy czerniały wybitymi oknami niby wielkimi ślepiami miasta, wieże kościołów poczynały się już świecić. Nad Warszawą wstawał świt 30 listopada 1830 roku. Na Ratuszu przypięto napis:

WITAJ JUTRZENKO WOLNOŚCI

Czwarty pułk stał na Placu Krasińskich czekając dalszych rozkazów, których nie miał kto wydawać. Rankiem przykłusował pułkownik Bogusławski. Ogarnąwszy jednym rzutem oba szeregi kolumn uniósł się w siodle, wołając:

— Coście dzieci zrobili najlepszego, honor pułku splamiliście. Zabiliście generałów, Polaków, dobrych Polaków, przelaliście niewinną krew, zabraliście generałów rosyjskich do niewoli. I co dalej? I co dalej? Wielki Książę stoi gotów z wiernym wojskiem rzucić się na zbuntowanych, pomyślcie, jak sprostacie wszystkim siłom jego, i nie tylko jego. Za nim stoi cała potężna Rosja, przy nim jest zresztą większość wojska polskiego...

— Kto nie z nami ten zdrajca — powiedział twardo Jurzyna. — My jesteśmy tam, gdzie ojczyzna, pułkowniku...

— Panowie, źle rozumiecie obowiązek swój wobec ojczyzny. Dzieci — zwrócił się do żołnierzy — nie dajcie się bałamucić...

Nie dokończył, gdyż rozjuszeni grenadierzy stojącego obok piątego pułku rzucili się nań, grożąc śmiercią — my się nie boimy cara, jak ty — wołano do wycofującego się pułkownika.

Tak, tak, oni nie bali się Moskali. Borek już wiedział: oni szeregowi nie boją się, oni chcą się bić. Oficerowie wstrzymują, oficerowie boją się. Ciekawość, jakby znalazł się teraz pan kapitan Krupski... Krupski zjawił się, jak na zawołanie w parę zaledwie chwil po odjeździe pułkownika, pieszo, przy broni. Oficerowie kompanijni Jurzyna, Brajer, Dobrakowski, Bielicki zaniepokoili się, znając wpływ wywierany przez kapitana na szeregowych, lecz ów nie wypowiedział nawet jednego zbytecznego słowa, jak gdyby nic od ostatniego apelu nie zaszło. Kazał sformować szeregi, złożyć broń w kozły i siadać żołnierzom na tornistrach. Przydał się odpoczynek, gdyż nogi puchły od ciągłego stania.

— Kapitan z nami? — zapytał żywo Jurzyna.

— Z wami? Któż wy jesteście? Kto jest waszym wodzem? Aha — nie wiecie. Nikt nie wie, bo go nie ma. Nie ma i nie będzie, żaden z generałów nie zechce wziąć dowództwa nad zbuntowanym wojskiem.

— Tak kapitan myślisz? A dlaczego pan przyszedł do nas, a nie do Wielkiego Księcia?

— Bo tu jest pułk.

Podporucznicy zamilkli, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Borek podszedł śmiało do kapitana i salutując energicznie, powiedział:

— Panie kapitanie, chciałem prosić o szczyptę tytoniu do fajki. Mój wyszedł.

Kapitan uśmiechnął się, podając Borkowi woreczek z pachnącym tytoniem.

ŚWIAT

(POEMA NAIWNE)

DROGA

Tam, gdzie zielona ściele się dolina
I droga, trawą zarosła na poły,
Przez gaj dębowy, co kwitnąć zaczyna
Dzieci wracają do domu ze szkoły.

W piórniku, który na wskos się otwiera
Chroboczą kredki wśród okruchów bułki
I grosz miedziany, który każde zbiera
Na powitanie wiosennej kukułki.

Berecik siostry i czapeczka brata
Migają między puszystą krzewiną.
Sójka skrzekocząc po gałęziach lata
I długie chmury nad drzewami płyną.

Już dach czerwony widać za zakrętem,
Przed domem ojciec, wsparty na motyce,
Schyla się, trąca listki rozwinięte
I z grządki całą widzi okolicę.

FURTKA

Potem ją całą chmiel gęsty owinie
Ale tymczasem jest tego koloru,
Co liście lilii wodnych na głębinie
Zrywane w świetle letniego wieczoru.

Sztachety z wierzchu malowane biało:
Białe i ostre, zawsze jak płomyki.
Dziwne, że ptakom to nie przeszkadzało,
Raz nawet usiadł na nich gołąb dziki.

Klamka jest z drzewa, gładka tak jak bywa
Drzewo, wytarte ujmowaniem ręką.
Pod klamkę lubi skradać się pokrzywa
A żółty jaśmin jest tu latarenką.

GANEK

Ganek, na zachód drzwiami obrócony,
Ma duże okna. Słońce tutaj grzeje.
Widok szeroki stąd na wszystkie strony,
Na lasy, wody, pola i aleje.

Kiedy już dęby w zieleń się przybiorą
A lipa cieniem zakryje pół grzędy,
Świat ginie w dali za niebieską korą
Pocięty liśćmi w centkowane zęby.

Tutaj brat z siostrą, nad małym stolikiem
Klęczą, rysując wojny i pogonie.
I pomagają różowym językiem
Wielkim okrętom, z których jeden tonie.

JADALNIA

Pokój, gdzie niskie okna, cień brązowy
I gdański zegar milczy w kącie. Niska
Sofa obita skórą, nad nią głowy
Dwóch uśmiechniętych diabłów wyrzeźbione
I miedzianego rondla brzuch połyska.

Na ścianie obraz. Przedstawiona zima:
Między drzewami ślizga się na lodzie
Gromada ludzi, dym idzie z komina
I wrony lecą w pochmurnej pogodzie.

Tuż drugi zegar. Ptak wewnątrz tam siedzi,
Wybiega skrzypiąc i woła trzy razy.
A ledwo zdąży krzyknąć po raz trzeci,
Dymiącą zupę matka bierze z wazy.

SCHODY

Żółte, skrzypiące i pachnące pastą
Stopnie są wąskie — kto idzie przy ścianie
Może bucikiem celować spiczasto,
A przy poręczy, noga ledwo stanie.

Łeb dzika żyje, ogromny na cieniu.
Najpierw kły tylko, potem się wydłuża
I ryjem wodzi, węsząc, po sklepieniu
A światło w drżących rozpływa się kurzach.

Matka w dół płomień migotliwy niesie.
Schodzi wysoka, sznurem przepasana.
Jej cień do cienia dziczej głowy pnie się:
Tak z groźnym zwierzem mocuje się sama.

OBRAZKI

Otwarta książka. Mól rozchwianym lotem
Leci nad mknącym w kurzawie rydwanem.
Dotknięty, spada prusząc pyłem złotym
Na greckie szyki w mieście zdobywanem.

Toczy się rydwan, o kamienne płyty
Uderza głowa, wloką bohatera,
A mól, do karty klaśnięciem przybity,
Na jego ciele, trzepiąc się, umiera.

Tymczasem niebo chmurzy się, grom bije,
Nawy od skały uciekają w morze.
A obok woły gną pod jarzmem szyje
I nagi rolnik grunt na brzegu orze.

OJCIEC W BIBLIOTECE

Wysokie czoło, a nad nim zwichrzone
Włosy, na które słońce z okna pada.
I ojciec jasną ma z puchu koronę,
Gdy wielką księgę przed sobą rozkłada.

Szata wzorzysta jak na czarodzieju,
Zaklęcia głosem przyciszonym mruczy.
Jakie są dziwy co w księdze się dzieją
Dowie się, kogo Bóg czarów nauczy.

ZAKLĘCIA OJCA

„O słodki mędrcze, jakimże spokojem
Pogodna mądrość twoja serce darzy.
Kocham cię, jestem we władaniu twojem
Choć nigdy twojej nie zobaczę twarzy.

Popioły twoje dawno się rozwiały,
Grzechów i szaleństw nikt już nie pamięta.
I już na wieki jesteś doskonały
Jak księga, myślą z nicości wyjęta.

Ty znałeś gorycz i znałeś zwątpienie,
Ale win twoich pamięć zaginęła.
I wiem, dlaczego dzisiaj ciebie cenię:
Mali są ludzie, wielkie są ich dzieła."

Z OKNA

Za polem, lasem i za drugim polem
Ogromna woda białym lustrem lśni się.
A na niej ziemia złotawym podolem
Nurza się w morzu, jak tulipan w misie.

Ojciec powiada, że to Europa.
W dnie jasne całą widać jak na dłoni,
Dymiącą jeszcze po wielu potopach,
Mieszkanie ludzi, psów, kotów i koni.

Miast kolorowych iskrzą się tam wieże,
Jak nitki srebra plotą się strumienie
I gór księżyce, niby gęsie pierze
To tu, to ówdzie zaścielają ziemię.

OJCIEC OBJAŚNIA

„Tam, gdzie ten promień równiny dotyka
I cień ucieka, jakby biegł naprawdę,
Warszawa stoi, ze wszech stron odkryta,
Miasto niestare, ale bardzo sławne.

Dalej, gdzie z chmurki wiszą deszczu struny,
Pod pagórkami z akacjowym gajem,
To Praha. Nad nią zamek widać cudny
Wsparty na górze starym obyczajem.

To, co krainę białą pianą dzieli
To Alpy. Czarność — to są lasy jodły.
Za nimi, w słońca żółtego kąpieli
Italia leży, niby talerz modry.

Z pięknych miast, których wznosi się tam wiele
Rzym rozpoznacie, chrześcijaństwa stolicę,
Po tych okrągłych dachach na kościele
Czyli świętego Piotra bazylice.

A tam, na północ, za morską zatoką,
Gdzie mgły niebieskiej chwieje się równina,
Paryż chce wieży towarzyszyć krokom
I stado mostów ponad rzeką wspina.

I inne miasta Paryżowi wtórzą
Szkłem ozdobione, okute żelazem.
Ale na dzisiaj było by za dużo.
Resztę opowiem kiedyś innym razem.“

PRZYPOWIEŚĆ O MAKU

Na ziarnku maku stoi mały dom,
Pieski szczekają na księżyc makowy
I nigdy jeszcze tym makowym psom,
Że jest świat większy, nie przyszło do głowy.

Ziemia to ziarnko — naprawdę nie więcej.
A inne ziarnka — planety i gwiazdy.
A choć ich będzie chyba sto tysięcy
Domek z ogrodem może stać na każdej.

Wszystko w makówce. Mak rośnie w ogrodzie.
Dzieci biegają i mak się kołysze.
A wieczorami, o księżyca wschodzie,
Psy gdzieś szczekają, to głośniej to ciszej.

PRZY PIWONIACH

Piwonie kwitną, białe i różowe
A w środku każdej, jak w pachnącym dzbanie,
Gromady żuczków prowadzą rozmowę,
Bo kwiat jest dany żuczkom na mieszkanie.

Matka nad klombem z piwoniami staje,
Sięga po jedną i płatki rozchyla
I długo patrzy w piwoniowe kraje,
Dla których rokiem bywa jedna chwila.

Potem kwiat puszcza i co sama myśli
Głośno i dzieciom i sobie powtarza,
A wiatr kołysze zielonymi liśćmi
I cętki światła biegają po twarzach.

WIARA

Wiara jest wtedy, kiedy ktoś zobaczy
Listek na wodzie, albo kroplę rosy
I wie, że one są — bo są konieczne.
Choćby się oczy zamknęło, marzyło,
Na świecie będzie tylko to, co było,
A liść uniosą dalej wody rzeczne.

Wiara jest także, jeżeli ktoś zrani
Nogę kamieniem i wie, że kamienie
Są po to, żeby nogi nam raniły.
Patrzcie, jak drzewo rzuca długie cienie,
I nasz i kwiatów cień pada na ziemię:
Co nie ma cienia, istnieć nie ma siły.

NADZIEJA

Nadzieja bywa jeżeli ktoś wierzy,
Że ziemia nie jest snem, lecz żywym ciałem
I że wzrok, dotyk, ani słuch nie kłamie.
A wszystkie rzeczy, które tutaj znałem,
Są niby ogród, kiedy stoisz w bramie.

Wejść tam nie można. Ale jest na pewno.
Gdybyśmy lepiej i mądrzej patrzyli
Jeszcze kwiat nowy i gwiazdę niejedną
W ogrodzie świata byśmy zobaczyli.

Niektórzy mówią, że nas oko łudzi
I że nic nie ma, tylko się wydaje,
Ale ci właśnie nie mają nadziei.
Myślą, że kiedy człowiek się odwróci
Cały świat za nim zaraz być przestaje
Jakby porwały go ręce złodziei.

MIŁOŚĆ

Miłość, to znaczy popatrzeć na siebie
Tak, jak się patrzy na obce nam rzeczy,
Bo jesteś tylko jedną z rzeczy wielu.
A kto tak patrzy, choć sam o tem nie wie,
Ze zmartwień różnych swoje serce leczy,
Ptak mu i drzewo mówią: przyjacielu.

Wtedy i siebie i rzeczy chce użyć
Żeby stanęły w wypełnienia łunie.
To nic, że czasem nie wie czemu służyć:
Nie ten najlepiej służy, kto rozumie.

WYPRAWA DO LASU

Drzewa ogromne, że nie widać szczytu,
Słońce zachodząc różowo się pali
Na każdym drzewie jakby na świeczniku
A ludzie idą ścieżką, tacy mali.

Zadrzyjmy głowy, weźmy się za ręce,
Żeby nie zgubić się w trawach jak w borze.
Noc już na kwiaty nakłada pieczęcie
I z góry spływa kolor po kolorze.

A tam nad nami uczta. Dzbany złota,
Czerwone wina w osinowej miedzi.
I wiezię dary powietrzna karoca
Dla niewidzialnych królów, czy niedźwiedzi.

KRÓLESTWO PTAKÓW

W wysokim locie ociężałe głuszce
Skrzydłami niebo nad lasami krają
I gołąb wraca w napowietrzną puszczę
I kruk połyska, jak samolot stalą.

Czym dla nich ziemia? Ciemności jeziorem.
Noc ją połknęła na zawsze, a one
Mają nad mrokiem jak nad czarną falą
Domy i wyspy światłem ocalone.

Jeżeli gładząc dziobem długie pióra
Upuszczą jedno — pióro długo spada,
Zanim dna jezior głębokich dosięgnie.
I o policzek trąca — wieść ze świata
Gdzie jasno, ciepło, swobodnie i pięknie.

TRWOGA

„Ojcze, gdzie jesteś? Las ciemny, las dziki,
Od biegu zwierząt kołyszą się haszcze,
Trującym ogniem buchają storczyki,
Pod nogą czają się wilcze przepaście.

Gdzie jesteś, ojcze? Noc nie ma granicy,
Odtąd już zawsze ciemność będzie trwała.
Bezdomni, z głodu umrą podróżnicy,
Chleb nasz jest gorzki, wyschnięty jak skała.

Gorący oddech straszliwego zwierza
Zbliża się, prosto w twarze smrodem zieje.
Dokąd odszedłeś, ojcze, jak ci nie żal
Dzieci, w te głuche zabłąkanych knieje".

ODNALEZIENIE

„Tu jestem. Skądże ten lęk nierozumny?
Noc zaraz minie, dzień wzejdzie niedługo.
Słyszycie: grają już pastusze surmy
I gwiazdy bledną nad różową smugą.

Ścieżka jest prosta. Jesteśmy na skraju.
Tam w dole dzwonek w wiosce się odzywa,
Koguty światło na płotach witają
I dymi ziemia, bujna i szczęśliwa.

Tu jeszcze ciemno. Jak rzeka w powodzi
Mgła czarne kępy borówek otula.
Ale już w wodę świt na szczudłach wchodzi
I dzwoniąc toczy się słoneczna kula."

SŁOŃCE

Barwy ze słońca są. A ono nie ma
Żadnej osobnej barwy, bo ma wszystkie.
I cała ziemia jest niby poemat
A słońce nad nią przedstawia artystę.

Kto chce malować świat w barwnej postaci,
Niechaj nie patrzy nigdy prosto w słońce.
Bo pamięć rzeczy, które widział, straci,
Łzy tylko w oczach zostaną piekące.

Niechaj przyklęknie, twarz ku trawie schyli
I patrzy w promień od ziemi odbity.
Tam znajdzie wszystko, cośmy porzucili:
Gwiazdy i róże i zmierzchy i świty.

1943

PRZEKŁADY

PRZĄDKA

LILIA... NEQUE NENT

W błękicie okna prządka siedzi pochylona.
Ogród za nią faluje w melodii i złocie.
Starego kołowrotka mruczeniem znużona,

upoiła się niebem, i palce w pieszczocie
odpoczęły kądzieli, tak wątłe, umkliwej.
Zasnęła, chyląc głowę jak w południe złocień.

Rozkwitły krzew i powiew tworzą źródło żywe,
zawieszone w promieniach i chylące krużę
z rosą i chłodem kwiatów na ogród leniwej.

Łodyga, gdy wiatr na niej odpoczywa dłużej,
w nadaremnym ukłonie gwiezdną gracją schyla,
przed starym kołowrotkiem składa świetną różę.

Nić samotna się snuje z lekkością motyla...
Tajemniczo się splata, w śpiących palców ruchu,
razem z przędzą cień kruchy i lekki jak chwila.

Sen się mota z anielskim lenistwem w podmuchu
kwietnym i kądziel w słodkiej pieszczocie wrzeciona
ufna, wije się w palcach leciutkich jak z puchu.

Za gęstą ścianą kwiatów niebo wolno kona.
Prządka pierścieniem liści i światła objęta:
więdnie zielone niebo. Ostatni krzak spłonął...

Twa siostra, wielka róża o uśmiechu świętej,
tchnieniem czystym i wonnym nad twym czołem błądzi
chmurnym. Myślisz, że mdlejesz... Oczy masz zamknięte.

Zgasłaś w błękicie okna, tam gdzie snułaś kądziel.

PŁOCHE TANCERKI

Nie dziewczęta, lecz kwiaty w najlżejszym powiewie
przyszły, złote posążki. W ich ciałach, jak w śpiewie,
młody miesiąc się mieni i płynie... To one,
melodyjne, uciekły w gaje prześwietlone.
Na róże, ślaz, irysy, ciemność rosę strząsa,
z kwiatami w powab nocy rozkwita w ich pląsach.
Ileż woni spłynęło z ich złocistych rąk!
Ale lazur rozwija się wolno jak pąk
i na zamarłe drzewa opada płatkami.
W parowie błysnął ruczaj, ogarnięty snami,
jak blady klejnot rosy, płynie w mroku cichy,
spokój w nim jak kwiat wschodzi... Oto znowu one,
melodyjne, uciekły w gaje prześwietlone,
musnąwszy pieszczotliwie palcami kielichy.
Promień jak płatek lilii na ich ustach zasnął,
kiedy sennymi dłońmi zaczęły w noc jasną
wśród mirtów, swych kochanków, rozplatać splątane
gałązki z pieszczotami... A gdy gwiazdy gasną,
z rytmem i harf dalekim śpiewem niezwiązane,
odfrunęły jak ważki nad stawy w oparach,
pić rosę zapomnienia śpiącą w nenufarach.

EPIZOD

W przedwieczerz, który wzniosłe kochają gołębie,
dziewczyna czesze włosy wśród promieni słońca.
Nenufary na fali białą stopą trąca,
lub ramiona zbłąkane i zziębnięte w wodzie,
jak przeźroczyste róże zanurza w zachodzie.
Jeśli niewinne krople spadły na jej ciało
i dreszcz je przejął, to tylko się stało
z winy fletu: młody faun, o zębach z kamienia,

dobył błahą melodię mroku i marzenia,
pocałunkiem zuchwałym, ukrytym wśród lilii.
Lecz obojętna na to, co fujarka kwili,
i nie dając się uwieść kwiatów boskiej mowie,
ciężki wieniec promieni rozplata na głowie.
Złotem splotów swe oczy szczęśliwe olśniewa,
gdy w przeźroczystych palcach ciągle się przelewa
mirra światła, pomiędzy dłońmi przesączona.
...Liść olszyny umiera na nagich ramionach,
kropla, strącona z fletu, mąci spokój rzeki,
biała stopa, spłoszona, pierzcha ruchem lekkim,
jak ptak cieniem pijany...

FRAGMENTY NARCYZA

CUR ALIQUID VIDI?

Błyśnij wreszcie jak diament, biegu mego kresie!
Jeleń, kiedy o zmroku szuka źródła w lesie,
nigdy nie zwolni pędu, nim nie wpadnie w trzciny,
Pragnienie mnie powala nad brzegiem głębiny, —
lecz, by zadość uczynić miłości zwodniczej,
nie będę mącił biegu fali tajemniczej.
Nimfy, jeśli kochacie mnie, śpijcie na wieki!
Wy, które drżycie z lęku, kiedy powiew lekki
jak tchnienie spłynie na was przed księżyca wschodem,
nawet gdy spadnie krążąc na milczącą wodę
liść, uśpionego lasu ciemnościom wyrwany,
wystarczy, żeby prysnął świat zaczarowany...
Nie przebudźcie się Nimfy, bo gdy sen głęboki
ucieknie z waszych oczu, nade mną uroki
rozwieją się jak nikłe mgły w rannym podmuchu.
Wasz sen boi się drżenia lecącego puchu,
pierzcha, gdy dotknie nurtu odbicie motyla.
Niech się nade mną wasza twarz we śnie nachyla,
w niej tylko nieobecność bóstwa nie jest ciemną!
Marzenia Nimf i niebo, czuwajcie nade mną!

Śnijcie o mnie... Bez ciebie, o potoku śpiewny,
nie byłbym swego bólu i swej krasy pewny.
Szukać co ukochałem, na cóżby się zdało?
Obca tkliwość zadziwi tylko moje ciało,
i nie wiedząc o własnych wdziękach, smutne oczy
musiałyby dla innych czyste łzy wytoczyć.

Chciałyście ujrzeć, może, pogodne oblicze,
wy, tak ciche, wy, których prawa tajemnicze
splotły ciała z kwiatami i liśćmi. Was wyże
nieskalane uwodzą. Niech się teraz zbliżę
do was, Nimfy, posłuszny pełnym czarów stokom
i ścieżce, która wiodąc nad wodą głęboką,
nieubłagana ku wam prowadzi mnie skrycie.
Przyjmijcie ludzkich błędów to śliczne odbicie!

Szczęśliwe wasze ciała płynne i szeroki
nurt, o rozległe wody! Jeżeli obłoki,
bogowie, fale, echa i drzewa szelestem
liści dają samotność, sam pośród nich jestem!
Sam, — lecz jest i odbicie, co się do mnie zbliża,
gdy w srebrniejących mrokach twarz do wody zniżam.
Liście brzeg błogosławią. Wiatr oczyścił góry.
Stoją ciche i ciemne. Już i źródeł chóry
zmienią głos, bliski wieczór zapowiedzą śpiewem.
Słucha mnie wielki spokój i ja pod tym drzewem
słucham, jak zioła nocy wschodzą w świętych cieniach.
Księżyc zdrajca podnosi zwierciadło i sieje
światło aż w tajemnicach zgasłego strumienia.
Ciemności przetnie srebrem i mroki rozwieje
nad tajemnicą, której bym z uśpienia
nie odważył się wyrwać. Nawet się przesączy,
gdzie miłości mej własnej sekrety się chronią, —
cisza wieczoru wszystko ogarnie i złączy.
Noc zbliża się i ciała mojego jak dłonią
ciemnościami dotyka, mrokiem się nachyla,
szepcząc mu, że je kocham. Głos jej jak chłód wody
świeży, drży oczekując, kiedy przyjdzie chwila,
gdy z moimi ślubami się złączy i lody
dzielące nas od siebie stopnieją. Dziś w szumie
lekkim wiatru mniej kłamie niż zawsze. Tak drżenie
jego cichej świątyni uwikłać się umie
w tego miejsca ogromne jak przestrzeń milczenie.

O rozkoszy zwycięstwa nad światła przemocą!
Różowy od miłości dzień staje się nocą.
Chwilę jeszcze płonący, syty, choć zmęczony,
i tyloma skarbami czule obarczony.
Gdy wspomnienia śmierć jego utopią w purpurze,
uklęknie pogrążony cały w złotej chmurze,

rozpłynie się, i tracąc swoje winobranie
jako sen zgaśnie, którym i wieczór się stanie.
Jakże łatwo się stracić w spokojnej głębinie,
dusza, szukając Boga, schylona w niej ginie,
prosząc o niego falę samotną, co będzie
godna swym blaskiem przyćmić srebrzyste łabędzie.

. . . . . .
. . . . . .

Przełożył
Julian Rogoziński

* Znakomity poeta francuski Paul de Valéry (ur. 1871 r.) zmarł 20 lipca 1945.

W JAKUCKU

(Ciąg dalszy)

Poza obrębem miasta rósł sobie lasek sosnowy. Wyrąbano w nim aleję i placyki, ustawiono w nim estradę z konchą wzmacniającą akustykę, wzniesiono kioski z książkami i periodykami, z chłodnymi napojami, wyrobami perfumeryjnymi, zabawkami dziecięcymi, zbudowano wysoką podłogę taneczną, w głównych alejach rozwieszono wielkie portrety wszystkich członków rządu, całość ogrodzono białym sztachetowym parkanem, frontowe wejście wyposażono w daszek i kopułkę, — i powstał park, który, jak w wielu innych miastach sowieckich, nazwano Parkiem Kultury i Wypoczynku, i który, jak w wielu innych miastach sowieckich, poświęcono pamięci Gorkija.

Jest wieczór. Po upalnym dniu — chłodny. Park jest pusty, kasjerka zapewnia jednak, że pustka minie.

— Przecie dziś sobota. To wieczór przed dniem wypoczynkowym. Niech tylko zacznie grać orkiestra!

— Będzie orkiestra, to może i tańce będą?

— Będą.

— Jakuci będą tańczyć?

— Będą.

— Będą tańczyć swoje tańce narodowe?

— Oczywiście.

Przed godziną 9-tą parkowicze zaczynają się schodzić. Tu, w parku, — inaczej niż na ulicach — Jakutów jest więcej, niż nie-Jakutów. Nie-Jakuci zmierzają wprost na deski taneczne, Jakuci zajmują miejsca na pobliskich ławkach, lub krążą wokół miejsca tańców. Jeszcze nie ma współżycia między tubylcami a przybyszami. Gdy deski taneczne zapełniają się tanecznikami, nie ma wśród nich Jakutów. W dalszym ciągu krążą dokoła miejsca tańców, ale w tańcach udziału nie biorą. Czy tańczyć nie będą?

Mrok już gęstnieje, gdy dolatują mnie głosy chóralnego śpiewu. Melodia pierwotna. Słyszana z daleka, czyni wrażenie ponurego wycia, rozłożonego na jednostajne rytmy. Jakuci!

Idę w kierunku ich śpiewu. Oddala mnie on coraz bardziej od centrum parku, a sprowadza w jego czysto leśne połacie. W końcu dostaję się na polankę, której

środek zajmuje zbita gromada. Dostrzegam, że na tej polance nie tylko śpiewają, ale i tańczą.

Ująwszy się pod ramię, tanecznicy i tanecznice utworzyli niewielkie kółko i, ruchem powolnym, przestępując z nogi na nogę, przesuwają się w lewo. Ciągle w lewo. Ciągle lewa noga czyni ciężki krok w tym uświęconym kierunku, a prawa jeszcze bardziej ciężko dosuwa się do niej. Innego kroku nie ma. Ramiona nie wykonują żadnego ruchu. Splatają ze sobą sąsiadów nieruchomo. Ten splot trwa nieprzerwanie.

Nie ma w tym tańcu składników erotycznych. W tej kolistej grupie ani na chwilę mężczyźni i kobiety nie są rozmieszczeni na przemian, ciągle jedno półkole utworzone jest z mężczyzn, drugie z kobiet. Tylko w punktach, w których oba półkola schodzą się ze sobą, sąsiaduje mężczyzna z kobietą.

Nie przygrywają grajkowie. Nie akompaniuje żaden instrument muzyczny. Rytm swój czerpie ten taniec ze śpiewu. Śpiew ma swego przewodnika, który za każdym razem wyśpiewuje kilka tylko słów, a reszta powtarza je bez żadnych zmian. Z ośmiu tonów, na które przewodnik nakłada swe słowa, sześć czyni wrażenie identycznych przez swe położenie w gamie, a dwa inne nieznacznie poza to położenie wychodzą. Każdy wiersz ma co najmniej jedno słowo, które powtarza się w zwrotce lub w serii zwrotek. Rytm pogrążony jest w jednorytmii niezłomnej.

Wrażenie ponurej jednostajności. Stopień, w jakim tu powtarzają się składniki śpiewu i tańca, nie ma sobie równego. Ciągle jedna i ta sama ośmiotonowa fraza muzyczna, niemal jeden i ten sam ton; ciągle, nieustannie jeden i ten sam ruch w lewo, jeden i ten sam krok, ciężki i powolny.

Jest w tym wszystkim coś żałobnego, coś pogrzebowego, coś ze smutnego obrzędu. Wyobraźnia widzi w środku koła, utworzonego krążącym korowodem, jakieś dzieło śmierci, zagłady. Może niegdyś leżał tam trup człowieka? Może zwłoki czczonego zwierzęcia? Może bezwartościowa resztka utraconego skarbu? A może coś, co przypomina utraconą słoneczną ojczyznę, którą Jakuci zmuszeni byli opuścić?

A przecie tu, w tym parku, w ten sobotni wieczór, tuż przed dniem wypoczynku i swobody, taniec ten nie powinien być tańcem żałobnym. Więc cóż on znaczy? Jakiż jest jego sens?

Hoho, na twarzy tanecznika i tanecznic rozbłyskują uśmiechy! Więc ten ponury taniec przywodzi w końcu chwile wesołości! Uśmiechy pojawiają się od czasu do czasu, a zawsze rodzą się z jakichś nowych słów przewodnika śpiewu. Pochodzą nie z ruchu ciał, nie z brzmienia śpiewu, ale wyłącznie z treści słów, które wnosi przewodnik.

Przewodnik śpiewa z głową opuszczoną, z oczyma utkwionymi w ziemię. Ani na chwilę nie podnosi głowy. Tylko on jeden tak śpiewa. Gdy inni uśmiechają się lub nawet chichoczą, jego twarz trwa w powadze, naprężeniu, w myślowym wysiłku. Czyżby długotrwała pieśń, wymagająca coraz to nowych zwrotek, skazywała go na mozolne szukanie w pamięci? Czy może ciążą na nim zadania autorskie, obowiązek odświeżania pieśni własnymi wkładkami.

i oto wysila się, aby wkładki wypadły jak najlepiej i aby nie brak w nich było dowcipnych aluzyj do tych, którzy uczestniczą w tańcu na tej właśnie polanie, w ten właśnie wieczór, w tej właśnie chwili?

Z otaczającej gromady coraz to ktoś włącza się w tańczący korowód. Zaczęło się od małego kółeczka, a oto rozrosło się ono w kolisko, które zajmuje połowę polanki.

W samym tańcu nie zmienia się nic. Mija dziesięć minut, dwadzieścia minut, pół godziny, a ciągle ten sam kierunek w lewo, ciągle ten sam krótki, ciężki powolny krok, ciągle bezruch ramion, ciągle pieśń, której słowa nasadzone są na osiem, co najwyżej dziesięć głuchych tonów.

Ten ponury, odrętwiały, tępy taniec trwa i trwa.

Jak długo jeszcze będzie trwał? Co go skończy? Skąd wyjdzie koniec? W widzu zaostrza się ciekawość. Taniec, który już dawno zaczął nudzić swym nieprzytomnym powtarzaniem się, teraz budzi niezwykłą ciekawość tym jednym pytaniem: jak się to skończy? Jak się to w ogóle m o ż e skończyć? Z czego może w y n i k n ą ć koniec?

Ponieważ w tym korowodzie nie zmienia się nic prócz słów, tylko ze słów może wyniknąć koniec. Ale jak z nich wyniknie? Jak słowa położą koniec tańcowi?

Albo przewodnik tylko odśpiewuje pieśni, ewentualnie łączy ze sobą różne pieśni, a w takim razie repertuar musi się w końcu wyczerpać, — albo przewodnik dotwarza nowe zwrotki, a w takim razie jego inwencja musi się wyczerpać. Bywają tańce do upadłego, tańce, których czas trwania zależy od wytrzymałości tanecznikow; czyżby ten taniec zależał w swym czasie trwania od wytrzymałości śpiewaka, od jego inwencji czy pamięci?

Nadchodzi odpowiedź. Tanecznikow coraz to ubywa. Co kilka minut wycofuje się ktoś z koliska. Zajmowało już ono połowę polanki, a teraz kurczy się raptownie. Jest widoczne, że tanecznicy porzucają śpiewaka. Jego pieśń już ich nudzi. Gdy śpiewak wyczuwa, że wkrótce może pozostać bez chóru i bez współtanecznikow, sam nadaje tańcowi koniec: zamilka, przystaje i milcząco wykonuje nogami kilka ruchów odmiennych od dotychczasowych. Koło rozwiązuje się. W ostatnich ruchach przewodnika było jakby nieme zaznaczenie, że należy przejść do innego tańca.

Właśnie takimi ruchami tańczy w innej części polanki inna grupa. Znowu koło, znowu półkole mężczyzn i półkole kobiet, znowu sąsiedzi ujmują się pod ramię. Ale: jest różnica w śpiewie obu płci i nogi wykonują ruchy w górę. Mężczyźni i kobiety śpiewają na przemian, przy czym śpiew kobiet czyni wrażenie odpowiedzi dawanej na śpiew mężczyzn. Może jest w tym flirt, zaczepka i cofanie, przyzyw i dąs, pokusa i przeszkoda, i może temu flirtowi położy koniec — realnie lub symbolicznie — zew lasu.

W każdym razie ten taniec jest z typu tańców znanych. A tamten, ten pierwszy, jest czymś może jedynym, a w każdym razie do tego stopnia wyjątkowym, że narzuca się umysłowi jako zagadka. Cóż on znaczy? Jaki jest jego sens?

W bibliotece zaczepiam Jakuta, który zwrócił moją uwagę pilnym siedze-

niem nad książkami, i stawiam mu moje pytanie. Powiada mi, że jest to taniec narodowy, tańczony od dawna w święto mleka, w „Ysach".

— Dobrze, ale czym tłumaczą się osobliwości tego tańca, jego ponurość, jego żałobność, szczególnie jego jednostajny, niezmordowany ruch nieprzerwanie w jednym kierunku?

— Ruchy jego tłumaczą się pochodzeniem z pracy, z gromadnych czynności wytwórczych.

Nie. Ten pogląd nie odpowiada rzeczywistości. Jest sztuczny, naciągany.

Sięgam po publikacje etnografów przedsowieckich i znajduję w nich twierdzenie, jakoby taniec ten i towarzyszący mu śpiew wielbiły wiosnę. Też nie. Temu twierdzeniu przeczy choćby tylko fakt, że święto „Ysach" obchodzone jest pod koniec wiosny, a nawet z początkiem lata.

Nie ma co, wyjaśnienie musi dać treść pieśni towarzyszącej tańcowi.

Zaprosić śpiewaka i z jego bezpośredniej relacji zrobić sobie przekład tego co śpiewał? Byłoby to najprostsze, gdyby okoliczności nie czyniły tego trudnym. Półgodzinny śpiew przełożyć na język polski, gdy ze śpiewakiem można porozumiewać się tylko poprzez trzeci język, rosyjski, którego ani on ani ja nie znam dobrze, to trudność bez szans pokonania.

Jedna z pracownic czytelnianych jest Jakutką, więc ona może mnie oświeci? Lecz gdy pytam ją o treść pieśni śpiewanych w parku na polanie, wymienia jedno jedyne słowo „hookaj", uśmiecha się przy tym odsłaniając w całości równe rzędy białych, prostokątnych, gęstych zębów. Słowo „hookaj" pochodzi z pieśni śpiewanej w owym drugim tańcu, tym, który zdaje się służyć flirtowi, a mnie chodzi o ten ponury żałobny. O pieśni tego tańca nic powiedzieć nie umie. Niziutkie oczy, wyzierające spod powiek skośnych i jakby obciętych wraz z rzęsami, patrzą na mnie ze zdziwieniem.

Nie pozostaje nic innego jak szukać pieśni w publikacjach. Śpiew, towarzyszący tańcowi na polanie, musi wywodzić się ze starego śpiewu, którego słowa powinny być gdzieś zapisane. Pomoc bibliotecznego bibliografa sprawia, że już nazajutrz siedzę nad jeszcze jedną publikacją E. Piekarskiego, tego zasłużonego spisywacza starych jakuckich opowieści i pieśni.

Pieśń ysachową podaje on w języku jakuckim i w przekładzie rosyjskim, dokonanym przez siebie samego. Z różnych okoliczności wnioskuję, że wprowadził w swój przekład wiele szczegółów obcych oryginałowi, obcych istocie jego poezji. Próbuję przynajmniej początek pieśni uzyskać w przekładzie dosłownym. Zwracam się z tym do Jakuta pracującego przy sąsiednim stole. Po zaznajomieniu się z tekstem oświadcza, że zadanie przerasta jego siły, że zajmuje się sprawami gospodarczymi a nie literaturą. Niosę moją prośbę do Jakutki, pracowniczki czytelnianej. Powiada, że nie rozumie, że nie umie, i, śmiejąc się, odbiega. Okazuje się, że stara pieśń nie jest zrozumiałą dla samych Jakutów i to nie tyle z powodu starości słów, ile z powodu niedochowania się sensu wielu miejsc. U Piekarskiego znajduję, że do roku 1908 nikt tej pieśni nie „odszyfrował", ale jest powód do wyrażenia obawy, że później-

sze odszyfrowania nie we wszystkim były trafne. Zdaje się, że etnografowie, mylnie interpretując taniec, któremu pieśń towarzyszy, mylnie interpretują także samą pieśń i dlatego mylnie przekładają niektóre jej miejsca. Czytelnianą Jakutkę ciągnę z powrotem do stołu, pokazuję palcem pierwsze słowo pieśni i proszę o podanie mi znaczenia tego słowa, o nic więcej. Potem czynię to samo z drugim słowem, trzecim, czwartym. W wyniku otrzymuję zwrotkę o zgoła innym stylu, niż ten, w jakim utrzymany jest przekład tłumacza-etnografa, który za mało czuł nierealistyczne środki ekspresji i jeszcze w dodatku pragnął niejasności tekstu samym przekładem wyjaśniać. Myśl pieśniarska wypowiada się w oryginale bardziej poetycko, niż w przekładzie.

Ale, czyniąc dla własnego użytku przekład polski, nie troszczę się o poetyckie osobliwości oryginału; gdy nie trzymam się ściśle przekładu Piekarskiego, czynię to w celu wyrazistszego wydobycia z pieśni tej jej zawartości, która jest mi potrzebna do zrozumienia zagadkowego tańca.

Pieśń zaczyna się tak:

Zielone wzgórza, soczysta zieleń!
Nowy rok nastał, dobry rok wyjrzał,
świetlisty żar zagrał, mętny żar powiał,
szary liść rozwinął się, gładkie igliwie pozieleniało,
wysoka krąglizna wyrosła, tuman zgęstniał,
trawa na wysokim zagonie skupiła się,
stary rok oddalił się, chłodny rok cofnął się,
lód podniósł się, podwórzowy śnieg zapadł się,
czarny lód rozłamał się, czerwony lód rozdrobnił się,
trawa we wklęskościach zgęstniała.
Czas zabaw, pora wesela...

Okolicznościowo warto zwrócić uwagę na gatunek tej poezji. Mamy tu zdania najprostsze z prostych, każde z nich zawiera nie więcej niż podmiot z przydawką i orzeczenie. Zdania zbierane są w pary, a pary układane po sobie jednakowo, chciało by się powiedzieć: symetrycznie. W takie układy zdań wkładali autorowie to co widzieli; w takich gotowych formach zdaniowych umieszczali każdy szczegół oglądanego świata. Jeszcze dzisiaj lud jakucki tworzy pieśni w ten sam sposób. Gdy śpiewającego Jakuta zapytać o czym śpiewa, odpowiada, że o tym co widzi. Na starą nutę nakłada proste zdania, złożone — jak zdania starej pieśni ysachowej — z dwóch lub trzech słów, i zawiera w nich najzwyklejsze stwierdzenia o tym, co dzieje się przed nim czy wokół niego: koń biegnie, jeździec siedzi; koń parska, jeździec gwiżdże; wiatr wieje, gałąź pada; wiatr wieje, proch leci. Nie-Jakuci mówią nieraz z lekceważeniem o tych pospolitych tworach pieśniarskiej improwizacji, ale niesłusznie. W prymitywnych zdaniach tego śpiewu, podobnie jak w starych pieśniach jakuckich, przyłapujemy najbardziej pierwotną poezję ze wszystkich, jakie znamy. I chyba jedno z pierwszych stadiów poezji w ogóle, bo może wszystkie narody prze-

szły przez tę właśnie postać poezji, jaką znajdujemy w Jakutii, i może mówi nam ona o prapoczątkach wszelkiej poezji i pieśni, jak o praprzeszłości ziemi mówi nam coś niecoś pierścień Saturna. Gdyby tak było, znaczyłoby to, że Jakutia daje nam dla zrozumienia początków poezji przyczynek niezwykłej wartości.

Cóż nam daje ów ustęp pieśni dla naszego pytania o sensie tańca z parkowej polany? Sytuuje on akcję w czasie. Ale nie sytuuje jej jednoznacznie. Wielbi nastanie nowego, dobrego roku, ale na jaki czas jego początek przypada, tego pieśń nie ujmuje. Występuje w niej trawa która zgęstniała, występuje w niej liść który się rozwinął, występuje w niej żar, ale jeszcze występują lody które się załamują, śniegi które się zapadają. Dziwna pora roku. Dziwnie nieokreślona. I dziwnie nieodpowiednia na święto mleka. Nasuwa się myśl o jakiejś komplikacji. Coś tu zaszło, coś się tu pomieszało. I przypomina nam się, że Jakuci przywędrowali na dzisiejsze swe ziemie z ziem południowych, ciepłych. Więc może ten obrzęd w dawnej słonecznej ojczyźnie odbywał się w lecie po dobrych zbiorach, a tutaj, w kraju śniegów i mrozów przeniesiono go na inny czas, na czas, który w tym kraju budzi więcej radości, niż jakikolwiek inny, na czas ocieplania się świata. Z d a w n e j pory radości, z pory lata, i z n o w e j pory radości, z pory wiosny, wyniknął czas pośredni: koniec wiosny lub początek lata. Stąd to obok załamujących się lodów występuje w pieśni rozwinięty już liść. Oddalono się od pory dawnego obrzędu na tyle, aby móc opiewać ustępowanie nienawistnych lodów i śniegów nowej ojczyzny, a równocześnie czuć przekazywane tradycją słońce dawnej ojczyzny. Jest przy tym charakterystyczne, że miejsca, wskazujące na wiosnę, znajdują się po tych, które wskazują na lato — jak gdyby powstały po tamtych, jak gdyby były dodatkiem późniejszym. Czarny człowiek w kraju śniegów odbywa swój obrzęd w taki sposób, że jednoczą się w nim myśli o utraconej ojczyźnie i myśli o nowej. Już to samo wystarczyłoby, aby tańcowi, który niegdyś był radosnym, odebrać radosność.

Ukazują się nam ceremonialne czynności związane z obrzędem. Kumys, kobyle mleko, odgrywa w nim dominującą rolę:

Wystawiwszy kumyśne wiadro,
rozścieliwszy białą skórę końską,
nakarmiwszy cały lud,
wetknąwszy żółtawe brzózki,
trzymając kumyśne garnce,
wznosząc w górę garnuszki,
naciągnąwszy sznurek
z dziesiątkami kołków,
trzymając na uwięzi źrebięta
okrągłe jak szyszki,
rozmieściwszy futra,
zakwasiwszy kumys siwej kobyły,

rozcieńczywszy go wodą ostatniego lodu,
urządziwszy ysach,
nakarmiwszy cały lud,
wziąwszy się za skórzany czań,
skierowawszy ku Stwórcy garniec
obwiązany końską grzywą,
wzniósłszy ku niebu garnuszek...

Tu długa seria zdań imiesłowowych urywa się, zdania głównego nie ma. Gdyby nie przewidywać żadnych komplikacyj, można by przyjąć, że wyliczenie wszystkich obrzędowych czynności wielbiących dobre wyniki pracy, obfitość, hojność, kończyło się wezwaniem: teraz pijmy, weselmy się, bawmy się, tańczmy! Niezwykłe urwanie zdania, zaznaczone głębokim wyłomem w składni zdaniowej, ma jednak wszystkie cechy dramatycznego urwania. Nasuwa się myśl, że to zamilknięcie dokonało się w nowym kraju Jakutów. Jak długo żyli w dawnej słonecznej ojczyźnie, kończyli zapewne opiewanie symbolicznych czynności obrzędowych tym, co je naturalnie kończy: wezwaniem do radości, do zabaw. W srogim kraju śniegów roztoczyli nad tą częścią zdania milczenie. Głosi ono, że nie ma powodu do wesela, że raczej jest powód do wspominań żałobnych. I te to żałobne wspominania wziął w siebie — taniec.

Pojawia się niezwykła dolina:

W dolinie rzeki-babuni
z wzorzystymi polami
na których rośnie gęsto
pastewna chwoszczka,
z cyplami pod którymi
rozkłada się łupek,
ze zboczami południowymi
porosłymi jodłą,
ze żwirem jak perły,
z piaskiem jak ziarna,
w takiej dolinie nastał
czas zabaw, obrzęd mów, udział w rozmowach.

Jakaż to dolina? Piekarski odnosi ją do doliny rzeki Leny, a więc tej, w której powstało pierwsze osiedle Jakutów w nowej ojczyźnie. Ale obraz tej doliny zgoła nie odpowiada krajobrazowi tej ziemi. Raczej należy przyjąć, że jest tu mowa o dolinie dawnej ojczyzny Jakutów. I oto w związku z tą doliną temat zabaw pojawia się w sposób pełny. Podczas gdy w pierwszym ustępie, w tym który opiewa wielbioną porę roku, czas zabaw występuje tylko jako możliwość, jest zaznaczony bez stwierdzenia, że rzeczywiście nadszedł, podczas gdy w drugim ustępie, tym który podaje najistotniejszą część obrzędu, temat radości w ogóle nie pojawia się i urwane raptownie zdanie pogrąża go w milczenie

pełne ekspresji, — tutaj inaczej, tutaj temat zabaw podany jest w pełnym zdaniu jako rzeczywistość, jako fakt. Tak, ale tej doliny radości już nie ma; została w dawnej ojczyźnie, a wraz z nią zostały tam radosne zabawy. Ze wspominań takiej doliny mógł taniec wziąć w siebie tylko smutek i ból.

Tak to słowa i milczenia trzech ustępów pieśni skomentowały mi żałobność jakuckiego tańca narodowego. Inne ustępy pośrednio potwierdzają ten komentarz albo nie przeczą mu.

Gdy obserwowałem gromadę tańczącą w parku na polanie, jej ponure kręcenie się w jednym, wciąż jednym kierunku, to jej na pół przytomne kołowanie, miałem wrażenie, że w środku koliska leży jakiś skarb utracony. Tak, leży tam utracony skarb, a jest nim utracona ojczyzna. Taniec przechował najwierniej uczucia czarnego człowieka zagnanego w kraj śniegów i mrozów.

W pierwszej połowie XVII w. jenisejscy Kozacy wtargnęli na ziemię jakucką i część jej podbili. Długo z powodu tej klęski cierpiała duma Jakutów. Jeszcze dzisiaj etnograficzne muzeum w Jakucku wyborem eksponatów i sposobem ich rozmieszczenia stara się uczynić tę klęskę zrozumiałą. Jest salka, która ukazuje uzbrojenie najeźdźców i najechanych z czasu walk, które zadecydowały o losie Jakutii: z jednej strony łuki i oszczepy, z drugiej pistolety, strzelby, działka. Wynik starcia przesądziła broń palna. Niższość uzbrojenia, a nie dzielności, to była przyczyna klęski — głosi niemo salka muzealna.

Podbijając Jakutię i starając się podbój utrwalić, mieli Kozacy na oku głównie łupy w postaci futer. Nałożywszy na Jakutów obowiązek płacenia naturalnej daniny, „jasaku", pobierali ją przeważnie we futrach. Właśnie dla ich zbierania założyli Jakuck. Do dzisiejszego dnia zachowała się baszta fortecy, którą tu wznieśli. Misternie zbudowana z drzewa, narzuca wrażenie mocy i tajemniczości.

Gdy w Jakutii rosyjskie panowanie umocniło się, daninę zaczął pobierać rząd rosyjski. Łupiestwo, zapoczątkowane przez Kozaków, przybrało charakter wyuzdanej eksploatacji Wszystkie organa czynownicze, pośredniczące między skarbem rządowym a opodatkowanymi, szukały nasycenia. Wartość cennych futer, sobolowych, lisich, niedźwiedzich, podniecała wszystkie hieny chciwości. Szły futra z Jakutii do Rosji, jakby podszyte niewidzialnie skórą zdzieraną z samych Jakutów.

Fakciki, ilustrujące formy jasakowej eksploatacji, zanotował już Józef Kopeć w swym „Dzienniku podróży". Stwierdziwszy, że podatek opłaca się w Jakucku sobolami, zauważa, że przy wybieraniu z kilkudziesięciu sztuk sobolowych tej, która ma przypaść skarbowi, komendant „bardzo wiele profituje". Opowiada też, że zaprasza on często jakuckich naczelników rzekomo dla zakomunikowania im jakiegoś carskiego rozporządzenia, przy czym w rzeczywistości chodzi mu o co innego: zaproszonych naczelników raczy suto wódką, jadłem gotowanym w kotłach, za co każdy z nich odwdzięcza mu się kilkunastu najczarniejszymi sobolami. Władze carskie dobrze wiedziały

kogo na stanowisko komendanta miasta do Jakucka wysłały; szeroki rozgłos zyskały jego rabunki, popełnione poprzednio na ziemi Mińskiej.

Nie tylko przy pobieraniu danin, — we wszystkich innych dziedzinach życia stosunek ludzi carskich do Jakutów był panoszeniem się, uciskiem, gwałtem.

Karawana, z którą Kopeć jechał przez Jakutię, była karawaną kupiecką. Wioząc liczne towary, kupcy z Irkucka przybyli do Jakucka jedyną drogą, która umożliwiała transport: rzeką Leną. Z Jakucka mieli udać się do Ochocka. Wynajęli Jakutów z kilku tysiącami koni, każdego konia objuczyli towarami i przedmiotami przeznaczonymi na ich osobisty użytek. Jakuci wieźli żywność odrębną i skromną: mleko w skórzanych worach, trochę mięsa wędzonego, nadzieję na mięso koni, zagryzionych przez niedźwiedzie, a zamiast chleba wieźli gomółki z kory listwinicy, drzewa podobnego do jodły. Z karawaną jechał także kniaź rosyjski. Zdążał także do Ochocka, gdzie miał objąć post komendanta. Nie miał żadnej władzy nad karawaną, ale przywłaszczył ją sobie. Wszyscy w karawanie skazani byli na przygniatające mozoły, Jakuci, konie, kupcy, ale przyszły komendant unikał mozołów i wymigując się od jazdy konnej, kazał Jakutom sporządzić coś w rodzaju lektyki i w niej to władczo odbywał podróż. W miejscach, gdzie przejście było trudne, kazał sobie przebijać drogi. Raz w przystępie złego humoru kilku Jakutów pałaszem porąbał.

Samowolił dlatego, że kniaź? Nie, dlatego, że już czuł się komendantem. Komendancki post wśród upokarzanego narodu wyzwalał w nim zuchwałość. Kopeć nie miał powodu piętnować w nim nieposkromionego kniaziostwa. Sam pochodził z rodu książęcego i koligacącego się książęco; jeden z jego przodków ożenił się z włoską księżną Strozzi, wdową po Radziwille, jedna z cór jego rodu była za Sapiehą. Kniaziostwo nie mogło go korcić. Krytycznie usposabiał go jego własny los. Gdy po zaborze ziem i wojsk polskich, dokonanym przez Katarzynę, jego litewska brygada stała na Ukrainie i gdy nadeszła wieść o powstaniu kościuszkowskim, Kopeć przedarł się ku powstańcom. W bitwie pod Maciejowicami ranny i wzięty do niewoli, był potem oskarżony o udział w „buncie" i zasądzony na zesłanie na Kamczatkę. Ten to los uczynił go wrażliwym na bezprawia caryzmu. W zachowaniu się zuchwałego uczestnika karawany widział nie kniazia, lecz carskiego czynownika, opętanego duchem samowoli.

Podobno „Dziennikiem podróży" dostarczył Kopeć materiału do obrazów Sybiru w „Anhellim". Do tego materiału odnosi się jednak Słowacki ze swobodą, jaka mu była potrzebna do osiągnięcia zamierzonego celu. Prawo poetyckiej przesady kieruje wszechwładnie jego ręką, gdy maluje swe obrazy. Całe niemal dzieło topi w zimie i nocy. Jego Sybir to ziemia biała, ziemia śniegu i gwiazd. W niewielki tylko skrawek dzieła wprowadza światło dzienne, ale czyni to tak, że przeraża ono jeszcze bardziej, niż obrazy poprzednie; gdy pojawia się letni dzień sybirski, jest on jeszcze okropniejszy, niż zimowa ciemność: przynosi „słońce zatracenia". Wody sybirskiej ziemi są w „Anhellim"

wodami bez ruchu, wodami stojącymi, martwymi, a zaludniają je tylko „małe rybki". Człowiek sybirski ma przy sobie tylko renifery i psy. Jego sadyby, to puste chaty, wykute w lodzie: lodowe są sklepienia, lodowe są drzwi.

Jakutia, opisywana później przez naszych politycznych zesłańców, nie ma w sobie wprawdzie owej śmiertelnej bieli, w jakiej nurza ją Słowacki, jest jednak w dalszym ciągu ziemią potępioną, niezdolną do wydobycia ze siebie żadnych dostatków życiowych, żadnych zadowoleń. Mickiewicz w wykładach o literaturach słowiańskich powiedział, że w naszej literaturze Syberia zastępuje Tartar starożytny lub piekło wieków średnich. I tym jest ciągle jeszcze w polskich wyobraźniach.

A to... całą swoją zawartością przeszkadza rozumieniu teraźniejszości i przyszłości Jakutii.

W r. 1940, we Lwowie, w celi więzienia zamarstynowskiego, wśród więźniów-Polaków znalazł się pan K., obywatel sowiecki pochodzenia polskiego. Władał jeszcze językiem polskim, co ułatwiało konwersację. Korzystali z tego Polacy, aby informować się o sprawach Związku Sowieckiego. Niezwykłego współwięźnia zarzucano pytaniami. On odpowiadał, opowiadał. Tworzył się obraz zgoła różny od tego, jaki tkwił w głowach więźniów, a który zrodził się z fałszywych wieści, podawanych przez prasę z metodycznością i pomysłowością, niespotykaną u nas na innych odcinkach informacji prasowej. Oczywiście nie wierzono obrazowi pana K. Po kątach szeptano sobie, że haftuje. Postanowiono przyłapać go. Przyłapać go na upiększaniu czegoś co upiększenia nie dopuszcza, co bezsporną oczywistością ujawnia swoje zło. Uplanowano temat: Sybir!

— A Sybir? — pyta ktoś tonem wróżącym triumf. — Czy Sybir też produkuje?

— Produkuje!

— Co? Śnieg? Lód?

— Produkuje coraz obficiej zboże, ziemniaki, pomidory...

Od grupy słuchaczy odskoczył najmniej cierpliwy, rzucił się w kąt między tych, którzy w ogóle nie chcieli słuchać i gniewnie komentował:

— Duby smalone. Myśli, że my nic nie wiemy. Syberia! Błoto i tundry. A jeśli już są kawałki ziemi uprawnej, to przecie wiemy, co o tym mówili nasi zesłańcy.

Ale pan K. mówi o nowym organizowaniu rybołóstwa, o przemyśle rybnym, o górnictwie, o bogactwach mineralnych, o złożach złota, o...

To wywołuje już po kątach chichot. Rozstrzygają:

— Blagier!

— Agitator!

I opowiadają sobie wzajemnie to, co wiedzą o Syberii z literatury zesłańczej, z poezji martyrologicznej. Cień Anhellego stanął w celi i rozpostarł nad głowami poły swego płaszcza.

Rzeczywistość Syberii, rzeczywistość Jakutii dociera już do opinii światowej. Niedawno zwiedzili te ziemie wybitni przedstawiciele St. Zjednoczonych, tacy,

jak wiceprezydent Willkie, jak prezes Izby Handlowej Johnston, i wnieśli ważne poprawki w wyobrażenia, jakie o możliwościach tych ziem panowały za granicą. W Polsce rozpaczliwy obraz utrzymuje się z większą, niż gdzie indziej, bezwładnością — z powodu miejsca, jakie zajmuje w literaturze epoki niewoli i z powodu wpływu, jaki ta literatura wywiera na umysły.

Jerzy Brandes zaliczył „Anhellego" do najgłębszych utworów literatury światowej. My przypiszemy temu utworowi jeszcze bohaterską śmiałość w ocenie ówczesnej polskiej emigracji i genialną przenikliwość w ujęciu ówczesnego stanu sprawy polskiej. Przypiszemy mu jeszcze oczywiście zachwycające piękno. Ale jest już czas, by utwór ten przestał być inspiratorem syberyjskich obrazów. Niech cień pięknego rycerza nie podtrzymuje obrazu ziemi, przez którą przeszedł, a która nigdy nie była taką, jaką on ją widział, dzisiaj zaś kłóci się z tamtą — kłótnią bujnych słów i czynów.

Nie, — pójdę inaczej. O: tędy!

Tak wracam z Archiwum inną drogą, niż zwykle. Gruby proch pokrywa jezdnię i — wzburzany wiatrem — unosi się wysoko w powietrze. W nieregularnych uliczkach tej dzielnicy błąkam się nieco, ale temu właśnie zawdzięczam, że u jednego z ulicznych wylotów widzę to, czego dotąd w Jakucku nie widziałem: płat zieleni rolnej. W następnym wylocie rozpada mi się on na zagony ziemniaków i kapusty.

Idę ku nim i krótką przecznicą wydostaję się na ulicę najczyściej peryferyjną, bo od strony pól całkowicie niezabudowaną. Biegnąc poziomem znacznie wyższym od poziomu, na którym rozpostarły się rozległe pola, czyni wrażenie nabrzeżnej nad morzem zieleni. Powierzchnia tego morza marszczy się grzędami, jej piany układają się w grzywy z warzywnych liści. Więc grunt, na którym usadowił się Jakuck, to nie tylko zeschłe błota rodzące wyłącznie proch — jak mi się początkowo wydawało — ten grunt rodzi także zieleń, zieleń rolną, zieleń ziemi-karmicielki.

I to nie tylko poza peryferią miasta. Za powrotem w ulicę, którą szedłem, poprzez wrota wysokich płotów dostrzegam podwórza, których ustronia zamienione są w uprawne półka. Liśćmi ziemniaków i kapusty głoszą one, że i tu jest ziemia, która karmi. Umieszczenie półek uprawnych na podwórzach za wysokimi płotami, musi wydać się osobliwym. Może jest w tym pozostałość po dawnych zagrodach, utrzymująca się jako przejaw wsiowego charakteru Jakucka; a może jest to świadectwo cenności, jaką posiada tu każdy urodzajny kawałek ziemi.

W głębi ulicy widzę kobiety z siatkowymi torbami, w których marchew, cebula, pomidory i ogórki skupiają się w różnobarwny blask. Soczyste barwy tych warzyw tutaj, w kraju śniegów i mrozów, wydają się przybyszami z zagadkowego świata. W małych siatkach płomienieje, iskrzy się wielka sprawa Jakutii: czy tutejsza ziemia może wyżywić swych mieszkańców?

Trzeba by stwierdzić, skąd pochodzą płody ziemi, które pod pięściami kobiet

błyszczą tylu świetnościami. Kobiety wychodzą z troistego zbiegu ulic. Tam więc jest miejsce, gdzie zaopatrują się w zagadkę, w warzywa. Tam idę.

Wiele wskazuje na to, że zbliżam się do rynku, do miejsca, na którym spotykają się ze sobą poszukujące oczy i wyciągnięte ręce. W tej części ulica ukazuje resztki dawnej epoki, niespotykane już na europejskich ziemiach Związku Sowieckiego: ludzie o mało określonych fizjognomiach i zapewne o nieustalonych zawodach; na jakichś schodkach stara żebraczka z oczyma zmatowiałymi od zalewów wódki, z wykrojem bluzki bezładnie przesuniętym w bok i opadającym zbyt nisko; nad rynsztokiem pijak z rozwianą grzywą, wsparty, położonymi obok siebie dłońmi o sterczący kamień; fotograf uliczny pod płócienną dekoracją, na której odmalowany jest fragment pałacowego parku; a wśród tych statystów ulicznych przechodnie z oczyma poszukiwaczy klejnotów. Dochodzę do rynku.

Rynki sowieckie nie są placami otwartymi. Obwiedzione płotem, posiadają w środku dwie lub trzy długie budowle, w których sprzedawcy płody swych gospodarstw wystawiają na sprzedaż na długich otwartych ladach, lub wydają je kupującemu z budek. Niezabudowana powierzchnia rynku zastawiona jest straganami. W małych miastach pozostaje jeszcze dość miejsca dla zaprzężonych w konie wozów, dokoła których też odbywa się sprzedaż i kupno. W ramach upaństwowionego handlu są rynki terenem handlu kołchoźnego i indywidualnego. Kołchoz — po oddaniu państwu oznaczonej ilości płodów rolnych — swój nadmiar ma prawo sprzedawać na rzecz poszczególnych kołchoźników; sprzedaż odbywa się albo indywidualnie, albo częściej przez wysyłanie na rynek pełnomocników. To, co sprzedaje się na rynku, pochodzi — z natury rzeczy — z pobliskich okolic i dlatego daje wyobrażenie o tym, co produkują najbliższe wiejskie gospodarstwa.

W Jakucku wystarczy przejść przez bramę rynkową, aby ujrzeć wozy naładowane ogórkami, na straganach marchew, rzepę, kapustę, cebulę, pomidory. Barwy wspaniałe. Rzepa w górnej połowie pokryta jest złocistością słoneczną, pomidor blaskiem barwy nie ustępuje hiszpańskim, marchew kształtna i pięknie rumiana. Więc stąd to siatki kobiet czerpią swe blaski. Lecz jaka ziemia te blaski — rodzi? Podchodzę do straganu i pytam. Wszystko, co jest na straganach i wozach, pochodzi z niedaleka, z kołchozów oddalonych od Jakucka o 7 km., o 15 km., najdalej o 20 km. Taki jest obecnie okrąg tego miasta. Pierwsze wrażenia, jakie odniosłem z Jakucka, wrażenia niepłodnych błot, rozwiewają się ostatecznie.

Przed kwadransem, w archiwum, siedziałem nad nazwiskami ludzi, którzy zrozpaczonymi oczyma patrzyli na ziemię Jakutii. Była ona dla nich ziemią beznadziejnej pracy. Przez myśl im nie przechodziło, że kiedyś wydobędzie z niej człowiek to, co teraz wydobywa, i że to, co teraz wydobywa, jest tylko zaczątkiem przyszłych, bez porównania bogatszych plonów.

Były wśród posieleńców nieliczne jednostki, które — dzięki różnym danym wyjątkowym — mogły w upartej walce z glebą jakucką przedsiębrać metodyczne doświadczenia agronomiczne. Jeden z nich, choć osiedlony daleko na północy, w regionie Wierchojańska, ujął swe wnioski w wywodzie, który zadziwia optymizmem. Postawił on śmiałe na owe czasy twierdzenie, że w jego regionie rolnictwo jest możliwe, i dowodził, że w uprawie tak ważnych płodów ziemnych, jak ziemniaki, kapusta, konopie, osiągnął wyniki, wobec których ugiąć się musi nawet — pisał — najzawziętszy przeciwnik rozwijania rolnictwa w kraju podbiegunowym. I w zakresie uprawy zbóż nie odstępował uparty eksperymentator od swego optymizmu. Zaznaczał, że dodatnie wyniki uzyskiwał przy najprymitywniejszych metodach obróbki ziemi, bez należytego wyboru miejsca uprawy i bez przedsiębrania jakichkolwiek środków ochronnych przeciw nocnym mrozom. Ten zesłaniec to pionier nowych ustosunkowań agronomicznych do Jakutii.

W końcu nowe ustosunkowania zarysowały się także w carskich kołach rządowych. Przemyśliwano nad sposobami podniesienia wydajności jakuckiego rolnictwa. Członkowie administracji wszystkich stopni, od najniższych do najwyższych, zachęcali posieleńców do pilnej uprawy roli, do wzmożenia wysiłków nad podniesieniem wydajności ich działek; nie cofali się przy tym przed wskazaniami, które musiały wywoływać na twarze skazańców śmiech sardoniczny: wskazywali na korzyści, jakie ich skazańcza praca może przynieść krajowi. Hr. Witte zainicjował nawet system oficjalnych podziękowań za szczególne wyniki pracy rolnej. W rządzie carskim kiełkowała myśl, że posieleńcy mogą stać się pierwszymi kolonizatorami ziem jakuckich. Tylko na taką myśl umiano się zdobyć. O tym, aby podnieść jakuckie rolnictwo poprzez podniesienie Jakutów, nie myślano. I nie mogło być inaczej. Polityka narodowościowa, społeczna i gospodarcza reżimu carskiego nie dopuszczała ujęcia sprawy we właściwy sposób.

Inaczej jakucka republika, obdarzona autonomią.

Działa w Jakucku agronomiczna stacja doświadczalna, która prowadzi prace z uwzględnieniem szczególnych warunków Jakutii. Wypróbowuje się tu: odporność na jakucki mróz różnych odmian warzyw i zbóż; głębokość, jaką należy nadawać ornej ziemi ze względu na przemrożenie jakuckiego gruntu; substancje chemiczne, które przyspieszają wzrost i dojrzewanie ze względu na nieliczność w Jakutii ciepłych miesięcy. Nie gardzi się środkami bardzo prostymi. Przeciwko zamrozkom stosuje się rozścielanie słomianych pokryw lub rozpalanie ognisk, których dym, pędzony wiatrem nad polami, roznosi nad nimi ciepło. Nie gardzi się tymi prostymi środkami, ale ulepsza się je coraz bardziej. Wyniki doświadczeń przekazuje się troskliwie wszystkim punktom rolnym kraju. Działa specjalna agronomiczna służba, która za pośrednictwem radia rozpowszechnia zalecenia, nawołujące do wczesnego przygotowywania wszystkich zabiegów, jakich wymaga każdy przewidywany moment meteorologiczny, ważny dla rolnictwa. Takim to pracom zawdzięcza Jakutia niezwykłe już dzisiaj wyniki rolnicze. Ich ilustracją są nie tylko stragany rynkowe.

Warto zanotować, że jest już region, w którym wyhodowano — jabłka, co prawda na razie jeszcze maleńkie, jak włoskie orzechy. Aby docenić tę zdobycz, trzeba zapomnieć o jabłoni z „Anhellego", uginającej się pod ulewą owoców.

Metodyczną walkę z glebą prowadzi się nie tylko na gruntach uprawnych. Interesującym przykładem tego jest pryncypalna ulica stolicy, ul. Października. Cienkie, niskie brzózki jej szpalerów, czyniące zaraz na pierwszy rzut oka wrażenie jednorocznych, są rzeczywiście jednoroczne, ale już przed nimi zasadzano tu inne, również jednoroczne. Rok rocznie trzeba brzózki sadzić na nowo, bo nie przyjmują się. Za każdym razem sadzi się inną odmianę i inaczej. Szuka się, eksperymentuje się.

Walkę z gruntem prowadzi się metodycznie nawet w dziedzinie budownictwa. Jakuck jest drewniany m. in. z dosłownie głębokich przyczyn. Fundamenty budynków ceglanych nastręczają budownictwu niezwykłe trudności na skutek zlodowacenia gruntu do głębokości 100 i 200 metrów. Jak trwałe bywa ono czasem nawet nie głęboko pod powierzchnią, o tym świadczą niektóre cmentarne groby, gdzie zwłoki nie rozkładają się i zachowują, jak mumie, postać niezmienną. Fundamentom ceglanym zlodowacenie gruntu odbiera stałość, bo latem — gdy w wierzchniej warstwie ziemi lód taje — zalewa je woda. Pochodzący z czasów carskich budynek Sownarkomu, a więc siedziba najwyższej władzy krajowej, utracił już poziom, i jednym swym bokiem obniża się dostrzegalnie dla oka. W poszukiwaniu środków zaradczych przeciw niebezpiecznym właściwościom gruntu budowlanego, utworzono specjalną placówkę badań, która daje zalecenia co do każdego nowo wznoszonego budynku kamiennego. Każdy buduje się na innym fundamencie. Wypróbowuje się fundamenty słupowe: szkołę ustawiono na słupach ceglanych, łaźnie na słupach drewnianych.

W hotelu, nad izbą jadalną, rozpościerają władzę swej zieleni chińskie róże. Trzy gęste krzewy, osadzone w drewnianych skrzyneczkach, unoszą się ze stojaków. Wyprężone, napięte liście błyszczą metalicznie.

W kącie bufet, z ladą, na której białą narzutę, twór domowej roboty, niepowszednio ułożył niewybredny gust. Karafki z sowieckim portweinem, pełne naturalnego wdzięku. Waga, której wskazówka odmierza dokładnie ciężar wydawanego na kartki chleba. Chleb tylko biały. Wargi i paznokcie bufetowej, kelnerek i klientek tylko czerwone.

Niedaleko bufetu stolik, jeden z pięciu, które się w tej jadalni znajdują, a który od innych różni się tym tylko, że jada przy nim personel hotelowy. W tej chwili posila się przy nim dyżurna korytarzowa, pracowniczka buchalterii i sprzątaczka pokojowa. Paznokcie wszystkich ubarwione, wargi — dotknięciem łyżek — odbarwione.

Obiad składa się z 2-ch dań, wybór niewielki, w menu dwie zupy, trzy mięsa. Garnirunek dzisiaj taki sam, jaki był wczoraj, przedwczoraj i tydzień temu: ryż i wermiszel. Ogórek, który leży przed talerzem mojego sąsiada, jest

jego własnym nabytkiem, osobiście przyniesionym z rynku. Zmuszony już po upływie jednego tygodnia — z braku surowizn, a z nadmiaru białego chleba — uwzględniać krnąbrne sprzeciwy przewodu pokarmowego, patrzę z dobrotliwą zawiścią na ogórek mojego sąsiada i decyduję się w końcu wypowiedzieć moje uczucie na głos. Odsyłają mnie na rynek:

— Na rynku możecie dostać, ile chcecie.

— Więc dlaczego wy nie dajecie?

— My dajemy tylko to, co otrzymujemy z magazynu centralnego. My nie możemy kupować na rynku. U nas gospodarka państwowa.

Z tego wynika, że jadalnia hotelu „Inturist", jadalnia hotelu przeznaczonego przede wszystkim dla turystów zagranicznych, bynajmniej nie otrzymuje wszystkiego, co zdobiona nim miejscowość może dać na stół. Z tego też wynika, że jadalnie „Inturista", na podstawie których cudzoziemiec chciałby sądzić o płodach ziem sowieckich i odżywianiu się ludności sowieckiej, nie dają jego obserwacjom materiału wystarczającego.

Gdy poczta główna znajduje się na krańcu miasta, w dzielnicy krętych niby-uliczek i gdy z pierwszą sprawą zdąża się ku niej późnym wieczorem, nie łatwo znaleźć drogę. Jedno wskazanie orientacyjne, otrzymane na ulicy pryncypalnej, nie wystarcza, a niby-uliczki są puste. Potrzebne są palce przewodnicze, które by podwiodły do tego punktu drogi, z którego cel byłby już niezawodnie widoczny.

Właśnie z zaułka wychodzi dziewczyna. Jakutianka. To znaczy: nie Jakutka, a stała mieszkanka Jakutii. Zrozumiawszy położenie niepewnego podróżnika, bierze na siebie uprzejmość prowadzenia go.

Jest absolwentką Instytutu poświęconego wiedzy o rybołóstwie i właśnie oczekuje mianowania na posadę w jednym z krajowych zakładów przemysłu rybnego. Zwierzając się ze sposobu, w jaki planuje swą przyszłość, daje wyobrażenie o szerokiej skali, na jaką rybołóstwo i przemysł rybny zakrojone są obecnie w Jakutii. Syberia „Anhellego" z jej nieruchomemi wodami, z jej „małymi rybkami", nie istniała nigdy, ale w epoce caratu mogła spełniać rolę symbolicznej wizji poetyckiej. Dla dzisiejszej Syberii jest bezużyteczna: rzeki i morskie wody Jakutii pulsują tętnem intensywnego życia.

Wojna zaznaczyła się w tym mocnymi bodźcami. U biurka hotelowej dyżurnej opowiada ktoś o wyspie położonej daleko na północy. Jeszcze niedawno była ona pustym martwym kawałkiem ziemi. Cztery liche baraki stanowiły całe jej bogactwo mieszkalne, kilka rodzin rybackich tępo zapatrzonych w głębie wód, przeżywało tu srogie ciosy polarnej krainy. Wymogi wojny skierowały tam ludzi z nowymi zadaniami. Zdobywali tundrę. Budowali. Łowili. Na pustej martwej wyspie powstała gwarna ruchliwa osada. Posiada już poważny zakład rybny z licznymi budowlami, z licznymi przedsiębiorstwami. Posiada stację radiową, szkołę, lecznicę. Rozwój pracy na wyspie postępuje tak szybko, że nie może mu nadążyć budownictwo i wiele rodzin rybackich żyje jeszcze w barakach, namiotach, a nawet lepiankach. Przezwyciężanie przeszkód, jakie

stawia natura krain polarnych, jest ambicją tych nowoczesnych rybaków. Jakby pragnąc zwalczyć przesąd o sezonowości rybołóstwa łowią przez cały rok bez przerwy, bez względu na porę roku.

W menu obiadowym znajduję znowu rybę omyl. Wczoraj była nielma. Przedwczoraj omyl... Pochodzą z jakuckiego przemysłu rybnego. Nie jadam ich. Nie smakują mi. Ale nie smakuje mi w nich nie przemysł i nie ryba, a tylko przyprawa.

U wozu naładowanego piaskiem, który ma być powieziony na wyrównane już podłoże przyszłej jezdni, stoi koń, malutki, krępy, o wąskich nogach, a szerokiej, nisko opadającej piersi. Wzrok — otępiały, smutny. Jakby mieszkaniec niezmierzonych przestrzeni nie pogodził się jeszcze ze swym miejscem u dyszla, jakby odczuwał je jako niewolę, jakby pamiętał i wspominał bezkresne stepy, na których wprawdzie służył już człowiekowi, ale bez takich ograniczeń, jakie narzuca dyszel i miasto.

W hotelu, na wspólnej sali, mieszka człowiek, który wyszukuje konie dla „złotych przemysłów", położonych w okolicach górskich, których przeszkody terenowe najlepiej pokonuje właśnie czworonożny piechur. Koniarz nie potwierdza moich przypuszczeń co do niewolnika u dyszla i zapewne jako znawca ma słuszność. W każdym razie to, co potem opowiada, przynosi jeden fakt, który może mimo wszystko nie jest bez znaczenia dla oczu tutejszych koni: jeszcze do niedawnych czasów nie posługiwali się Jakuci wozami, a w ich typowych wsiach dotąd wozów nie ma. Koń nie był dla nich i w pewnym stopniu nadal nie jest zwierzęciem pociągowym.

Koniarz informuje mnie, że koń jakucki jest najczystszej rasy, że nie jest mieszany z żadnym innym gatunkiem, że nie jest zmetysowany. Kilkadziesiąt lat temu pewien uczony odkrył na ziemiach jakuckich nawet gatunek konia dzikiego, takiego, jakim był przed oswojeniem go przez człowieka.

W podaniu o pochodzeniu Jakutów synowie Omogona jadą na spotkanie nieznanego przybysza — konno. W starodawnej pieśni, stanowiącej składową część narodowej uroczystości „ysachu", długi ustęp, wymieniający rytualne czynności obrzędu, notuje zakwaszanie kobylego mleka, wznoszenie ku bogu garnca obwiązanego końską grzywą, rozścielanie białej skóry końskiej, trzymanie źrebiąt na uwięzi. Ciągle koń, koń. Koń był dla Jakutów zwierzęciem wybranym.

Hodowla koni była od zamierzchłych czasów głównym ich zajęciem. Była nim na ziemiach dawnej ojczyzny, którą niegdyś zmuszeni byli porzucić, pozostała nim na ziemiach nowych, a w sowieckiej Jakutii, choć utraciła swą wyjątkowość, nie przestała być ważną funkcją życia.

Właśnie jego związanie z najdawniejszą i to jeszcze religijną tradycją hamuje jego racjonalny rozwój, podtrzymuje konserwatyzm hodowców, sprzyja hodowli dzikiej. Oczywiście przeszkody te nie we wszystkich częściach Jakutii działają z jednakową siłą. Srogi mróz okazuje się czasem wpływowym wrogiem tradycji i rytuałów, a znakomitym sprzymierzeńcem propagatora nowych sposobów pracy. Obił mi się o uszy interesujący szczególik. Jeśli dobrze rzecz

zrozumiałem, było tak: W północnych regionach jesienią dokonują kołchozy oddzielania źrebiąt od klaczy, w południowych nie czynią tego. Dzięki jesiennemu oddzielaniu źrebiąt północne kołchozy uzyskują dla klaczy lepsze warunki dla zniesienia zimy, a po dobrym jej przebyciu lepszą ich tuczność i płodność, nie powodując przy tym żadnych złych następstw dla rozwoju źrebiąt, w południowych regionach nie mają kołchozy takich wyników.

Zapewne tradycyjny stosunek do konia jest także jednym z hamulców wstrzymujących rozwój zootechniki, a nawet weterynarii. Wystarczy zanotować, że ich pracownicy nie zdołali wykonać planu zaleconego przez najwyższe organy Republiki, co — w stosunkach sowieckich, przy tutejszym wyścigu pracy, przy gorączkowej pogoni za ciągłym przewyższaniem planowanych wyników — jest tu poczytywane za czarny wyjątek.

W hotelowej jadalni Kirgiz mieszkający na wspólnej sali przekazuje komuś swe wrażenia o napotkanym gdzieś koniu i zachwyca się nim tak:

— Morda mała, mała, maleńka, a pierś, o taka! — i rozkłada ręce szerzej własnej piersi.

Ta szeroka pierś ma być świadectwem szczególnego rozwinięcia płuc, to zaś gwarancją szczególnej wytrzymałości. Koniarz ze wspólnej sali pouczył mnie, że koń jakucki, choć malutki, odznacza się niezwykłą siłą nóg, co pozwala mu wydobywać je z łatwością z głębokich błot jakuckich. Taki koń jest niewątpliwie swojego rodzaju bogactwem komunikacyjnym, ale dla dystansów, w jakie wciąga Jakutię państwo sowieckie, znaczy niewiele.

Z kwestyj komunikacyjnych, wiążących się z pokonywaniem wielkich odległości, najtrudniej rozwiązać w Jakutii kwestię dróg żelaznych. Państwo carskie nie zbudowało tu ani jednej linii kolejowej. Ani jednej. A państwo sowieckie nie miało dotąd możności podjęcia sprawy. Ciągle jeszcze ostatnią linią kolejową, służącą za odskocznię do Jakutii, jest linia Irkuck—Krasnojarsk.

W zimie, kiedy zamarzają rzeki i błota, otwiera się pole dla komunikacji samochodowej. Na razie nie jest ona stała i odbywa się tylko od wypadku do wypadku, ale już dziś słyszy się płomienne przepowiednie na czas powojenny. Sowiecka produkcja samochodowa poczyniła w czasie wojny i dla jej celów tak niezwykłe postępy, że w warunkach pokojowych będzie mogła swymi produktami szczodrze Jakutię obdzielić. Samochód wniesie nieznany ruch w kraj, w którym koń jest jeszcze ciągle głównym pośrednikiem między odległościami.

To samo dotyczy samolotu. Już obecnie, w czasie wojny, choć jego śmiga odgarnia powietrze tylko na trasach nielicznych, bierze on w siebie często ten rodzaj pasażerów, który w innych krajach nie otarł się jeszcze o niego. W kabinie latającej nad Jakutią spotyka się w znacznej ilości ludzi prostych, najprostszych, takich jak robotnicy rolni, urzędnicy niskich stopni, a w kącie bagażowym widzi się ich worki i skrzynie. Kabina nie różni się wiele od wagonów III-ej klasy w pociągach podmiejskich. Bo na pewnych trasach jest samolot w Jakutii jedynym środkiem komunikacyjnym. Po wojnie tutejsza sieć awiacyjna rozgałęzi się proporcjonalnie do gigantycznych osiągnięć, uzyskanych w produkcji samolotowej przez Zw. Sowiecki. Jakutia, podobnie zresztą

jak wiele innych ziem sowieckich, ma szczególne dane dla najbardziej racjonalnego rozplanowania tras samolotowych, bo jej niebo rozpościera się nad najrzadziej rozmieszczonymi osiedlami i miastami. Zacofana, nieruchliwa Jakutia otrzyma kiedyś wzorową sieć podniebną, może najbardziej nowoczesne awiostrady. To, co jest dzisiaj jej brakiem, jej ubóstwem, stanie się kiedyś podstawą osiągnięć najbardziej okazałych.

Na razie wysiłki państwowe zmierzają głównie w kierunku rozwinięcia komunikacji rzecznej. Z jakimiż trudnościami, choćby tylko w zakresie odległości, przychodzi tu walczyć! Aby parowcem odbyć podróż od ujścia Leny do Jakucka, trzeba zużyć 20 dni! A jednak rzeki na razie najłatwiej i najproduktywniej dają się użyć dla celów komunikacji i z nimi to wiążą się obecnie naczelne plany komunikacyjne. Wśród gości hotelowych przeważają ludzie, którzy uczestniczą w pracach transportowych basenu Leny. Prace te wchodzą w zakres działalności wydziału, który jest częścią składową departamentu komunikacji północno-morskich, na którego czele stoi sławny Papanin, kierownik pierwszej ekspedycji sowieckiej na biegun północny. Już to samo świadczy o znaczniu, jakie przypisuje się tym pracom.

Już rano zapowiedziano mi dwóch nowych współlokatorów. Przekraczają próg dwaj marynarze. Ściślej: dwaj ludzie w uniformach marynarskich. Okazuje się, że są pracownikami departamentu komunikacyj północno-morskich.

Jedna z bluz marynarskich ma na wysokości lewej kieszonki książkę i blok zapiskowy. Książka — to poezje Jesienina, blok zapiskowy bierze w siebie sprawozdania z lotów czy też skoków poetyckich właściciela. Wiersze osobiste, odczytywane na głos, szybko rozgrzewają autorów i ich najbliższych przyjaciół. Marynarskie bluzy przestają opinać piersi, odkrywają się serca. Nazajutrz obaj moi współlokatorowie rozwijają przede mną etiudy psychologiczne, nocą poczynione przez nich w towarzystwie dwu kobiet. Nawiasem mówiąc: ich etiudy nie różnią się wcale od tych, jakie przeprowadzają mężczyźni innych krajów; te same kwestie i te same drogi rozwiązań. Ale nie o to teraz chodzi.

Departament komunikacji, w którym pracują moi nowi współlokatorowie, obejmuje zakresem swej działalności m. in. baseny rzek wpadających do Oceanu Lodowatego, a więc także basen Leny, nad której brzegiem leży Jakuck. W tym to basenie rzecznym przewozem pasażerów i towarów zajmuje się podlegające ich departamentowi przedsiębiorstwo, noszące nazwę SIARP. W granicach własnego zarządu założyło ono dwa gospodarstwa rolne, które zaopatrują w środki żywnościowe stołówki przedsiębiorstwa w różnych punktach jego arktycznej i podarktycznej działalności. Jeden z moich nowych współlokatorów wyjaśnia:

— Chodzi o to, aby od państwa mniej brać bezpośrednio. U nas państwo mówi tak: Ja wam w czasie wojny normuję ilość otrzymywanych przez was środków żywnościowych. Masło? Zapewniam wam normę w ilości 1 kg 200. Chcecie jeść więcej? Doskonale: zróbcie! Od was zależy, aby mieć więcej. W ra-

mach waszych przedsiębiorstw inicjujcie, zakładajcie, organizujcie, a wtedy możecie mieć dla siebie tyle, ile chcecie.

Jakucka stołówka SIARP'a czerpie z dwu gospodarstw rolnych, z których jedno znajduje się 16 km od Jakucka, a drugie 50 km. Można stanowczo o niej powiedzieć, że daje pracownikom SIARP'a znacznie więcej, niż oni mogą skonsumować.

Wygląda na razie ubogo. Zanim znajdzie siedzibę w budującym się dopiero lokalu, mieści się w ubożuchnym domku, jednym z takich, jakie stanowią większość Jakucka. Właściwiej byłoby powiedzieć, że mieści się w chałupie. A izbą chałupną jest sama stołówka. Drewniane ściany i piec z cegły — pokryte pobielonym tynkiem; na oknach firaneczki z najprostszego muślinu, też białego; krzesła ograniczone do minimum swej krzesłowatości; zegar z lakierowanej blachy, ze zwisającym na zewnątrz wahadłem i ciężarkiem.

Za stołami ludzie w marynarskich uniformach, urzędniczki, robotnicy, robotnice, dzieci nawet bez towarzystwa starszych. Zwraca na siebie uwagę interesująca głowa pół-Jakuta, robotnika z oczyma o wilczym blasku.

Na stołach — talerze wypełnione po brzegi zupą ziemniaczaną lub jarzynową, których środek bieli się kolistą powierzchnią śmietany; gołąbki z mięsem i ryżem; krokiety; różne rodzaje mięsa; ziemniaczki w różnych postaciach, spośród których barwnością wyróżnia się zapiekanka; wielka szklana kompotu; wielka szklana mleka; szklanka śmietany; biały ser w różnych fazach przemian; placki, serowniki. Jakość potraw przypomina jadło sławnej „Mleczarni Higienicznej" z ul. św. Anny w Krakowie, lokal, w którym tak tłumnie schodziła się krakowska inteligencja. Menu zawiera conajmniej tuzin potraw. Ceny tak niskie, że mój obiad, w który włączyłem dodatkową porcję śmietany zabraną do hotelu, kosztował mnie nie więcej niż 10 rubli.

Można zamawiać w dowolnej ilości. Wielu, napełniwszy się do granic wytrzymałości żołądka, zabiera ze sobą do domu to, co może wziąć w siebie gazeta lub specjalnie przyniesiona menażka czy butelka. Taka obfitość, taka taniość — po kilku latach wojny — i to w Jakutii, która aż do czasów sowieckich uchodziła za kraj, gdzie gospodarka rolna ma niemal takie szanse powodzenia, jak siew na lodzie.

Przodkowie Jakutów nie cenili złota, nie widzieli w nim nic pięknego. Podobnie zresztą, jak pierwotni mieszkańcy Ameryki w epoce zetknięcia się z Kolumbem i jego następcami.

Państwo carskie nie miało dość mocy, aby złoto eksploatować, więc nie umiało, a nawet nie chciało go szukać. Jest charakterystyczne, że trud wydobywania złota przerzuciło w znacznej mierze na sybirskich zesłańców.

Ludzie sowieccy bynajmniej nie uważają złota za największe bogactwo ziemne Jakutii.

— Ma ona większe bogactwa, niż złoto — mówi mi mój współlokator.

— Na przykład?

— Choćby miedź, choćby naftę.

— A co jeszcze? Lecz może to tajemnica? Proszę o odpowiedź tylko w zakresie dozwolonym.

— Cokolwiek napiszecie, że Jakutia ma, traficie, bo ona ma wszystko. Oto zgoła nowy obraz tej ziemi.

W tym zmienionym obrazie zupełnie inaczej ukazują się teraz sami Jakuci. Niedawno miejscowy dziennik „Socjalistyczna Jakutia" zamieścił znamienny artykuł pt. „Stworzyć prawdziwą historję narodu jakuckiego". Czytamy w nim:

> Szerokim masom Jakutii są niemal nieznane sławne stronice przeszłości swego narodu, nieznane są im imiona wybitnych ludzi, którzy niepodzielnie oddali swej ojczyźnie wszystkie swe siły i całe swe życie.
>
> Narodom północy, których przodkowie byli pionierami kultury w tajdze, tundrze i na brzegach arktycznych, carska nauka odmawiała prawa do samodzielnego tworzenia historii, zaliczając ich do narodów „pozahistorycznych", skazanych na śmierć i wymarcie. Historia narodów Jakutii powinna naocznie ukazać fałszywość tych twierdzeń. Powinna też ona zdemaskować nikczemność „teorii" niemieckich faszystów, dzielącej narody na wyższą i niższą rasę.

Słowa te jasno ilustrują nowe samopoczucie narodowe Jakutów. Z narodu „pozahistorycznego" stają się narodem historycznym; z narodu, który rasiści chcieliby zepchnąć na stopień niższej rasy, stają się narodem, który chce realizować wszystkie swe możliwości; z narodu, który nie znał własnej przeszłości, stają się narodem, który chce ukazać swe pionierskie zasługi w otwarciu dróg poprzez nieprzebyte ziemie i wody i który pragnie odświeżyć pamięć wybitnych swych przedstawicieli.

Uzasadniając wezwanie do opracowania dzieła historycznego, poświęconego Jakutii, powołuje się artykuł na interesującą opinię, jaką o szkolnych podręcznikach historii wydało w r. 1937 jury komisji ogólno-państwowej:

> Ani jeden z autorów nie rozwiązał zadania, polegającego na tym, aby w charakterze podmiotów historii wprowadzić także inne narody, te, które carska monarchia zepchnęła w niewolę, a Wielka Socjalistyczna Rewolucja wyzwoliła z narodowego ucisku.

Owa instrukcja, jaką historykom dały władze ogólno-państwowe, owa instrukcja, zalecająca ukazywanie wszystkich narodów Zw. Sowieckiego jako p o d m i o t ó w historii, dobrze wyjaśnia nową postawę dziejową Jakutów i ich nowe pragnienia w dziedzinie własnej historii.

Ich kraj, pozyskany przez carów podbojem, a rządzony gwałtem, teraz jest autonomiczną republiką z własnym rządem. W jego skład wchodzą Jakuci. Przewodniczącym Sownarkomu jest Jakut, jednym z wiceprzewodniczących, tym, któremu podlegają sprawy kultury, jest Jakut.

Autonomiczna republika wciąga Jakuta w życie publiczne, wydobywa go z dawnej posępnej bierności, oswaja z dniem ruchliwym, nastawia oczy na widnokrąg dalszy od tego, jaki zakreśla skłon nieba na jego surowej ziemi.

Cudzoziemcowi najłatwiej stwierdzić te przemiany na sprawach kultury. Własna republika pobudza Jakutów do czerpania ze źródeł, jakie im w tej dziedzinie otwiera. I Jakuci garną się do kultury. W sali czytelnianej stanowią o wiele większy procent, niż na ulicy, sięgają czasem połowy czytelników.

W teatrze, siedząca obok mnie Ukrainka, nauczycielka języka angielskiego, mówi mi o uczniach i uczennicach:

— Bardzo zdolni. Szczególnie dziewczynki. Wprawdzie istnieje teoria o ich niezdolności, ale moje doświadczenia nauczycielskie mówią mi co innego. Można tylko powiedzieć, że jeśli im się co nie podoba, to nie chcą się uczyć i wtedy nie ma sposobu skłonienia ich do nauki. Są uparci. Ale jeśli im się co podoba, to uczą się pilnie i mają dobre wyniki.

Jakuci otrzymali w państwie sowieckim możność swobodnego pielęgnowania swej narodowej tradycji i — co niemniej ważne — możność uzupełnienia luk kulturalnych, które ich tradycja konserwowała ze źle pojętego, a przez carskich gnębicieli podtrzymywanego przywiązania nawet do hamulców przekazanych przez tradycję.

Nie mieli Jakuci pisma. Państwo sowieckie dało im je. Nie dało im jednak alfabetu rosyjskiego, lecz łaciński, co uczyniło też w innych podobnych wypadkach, aby uniknąć podejrzeń, że poprzez rosyjski alfabet narzuca rosyjski język, rosyjskie publikacje. Tak daleko idące liczenie się z podejrzliwością miało następstwa niepożądane. Różnica alfabetów stwarza między narodami przegrodę o wiele poważniejszą, niż różnica języków. Różnica alfabetów utrudniała różnonarodowym mieszkańcom Jakutii (Jakutianom) opanowywanie języka jakuckiego, a Jakutom opanowywanie języka rosyjskiego czy ukraińskiego. Cierpiało na tym wzajemne poznawanie się, wzajemne rozumienie się, cierpiała na tym współpraca. Najbardziej dolegało to samym Jakutom, których hamowało w zdobywaniu oświaty i w korzystaniu z dóbr kulturalnych, wypracowywanych przez przodujące narody Zw. Sowieckiego. Ostatnio — podobno na życzenie samych Jakutów — zarzucono alfabet łaciński, i np. miejscowy dziennik, pisany w języku jakuckim, posługuje się już alfabetem rosyjskim.

Nie mieli Jakuci teatru. Otrzymali go. Otrzymali go wcale nie dla pozorów. Czynniki centralne darzą go wielostronnym poparciem, a rząd republiki udziela mu subwencji, przewyższającej kilkakroć subwencję udzielaną miejscowemu teatrowi rosyjskiemu.

Literatura jakucka w znaczeniu nowoczesnym stawiała wprawdzie pierwsze kroki już w latach ulg, jakie carat zmuszony był dać narodom po rewolucji z 1905 r., jednak dopiero za czasów sowieckich stała się normalną funkcją narodową.

Dyrektora Muzeum zapytałem o pochodzenie nazwy Jakutów.

— To nie nazwa jakucka. To tak nas nazwano w czasie zawojowywania naszej ziemi.

— A jak Jakuci nazywali samych siebie?

— Sacha.

— Co to słowo znaczy?

— Nic nie znaczy.

— A jak stało się nazwą Jakutów?

— Co do tego jest kilka różnych teoryj.

Żadnej z tych teoryj nie wymienia. Milczy. Z wyrazu twarzy, jaki towarzyszy milczeniu, widzę, że nie chce mówić dalej. Biorę to albo za znudzenie tematem, który zbyt często musiał w rozmowach z przybyszami rozwijać, albo za niechęć uczonego do szybkiego i powierzchownego wykładania sprawy zbyt poważnej.

Ale nie, to było co innego. Słowo „sacha" oznacza... nawóz. Przez długie stulecia i aż do czasów bardzo niedawnych spełniał nawóz w życiu Jakutów, tych tradycyjnych hodowców koni, funkcje nieprawdopodobne, był ważnym materiałem budowlanym przy budowie lepianek mieszkalnych, do końca XIX stulecia służył do ulepiania naczyń gospodarskich. Jeśli Jakuci sami nazwali siebie słowem „sacha", to zapewne uczynili to w epoce, w której w swej hodowli koni i umiejętności wykorzystania nawozu końskiego widzieli oznakę swej wyższości nad sąsiadującymi z nimi plemionami. Dzisiaj na słowo, które dało im nazwę, patrzą innymi oczyma. Nie chcą o nim pamiętać. Nie chcą o nim mówić. Jest to przejaw odwrotu od niektórych składników tradycji, odwrotu dokonywanego w imię kultury, w której świat wchodzą.

Moja sąsiadka z krzeseł teatralnych, nauczycielka angielskiego, powiedziała mi jeszcze:

— Najlepsze wyniki osiągają w nauce języków. I uczą się ich chętnie, chętniej, niż innych przedmiotów.

Niewątpliwie pociąg młodzieży jakuckiej do języków jest przejawem zaciekawienia dla spraw cudzoziemskich, jest przejawem żywiołowego wybiegania myślą poza widnokrąg sioła, miasta, kraju, więc równocześnie jest przejawem instynktownego odwracania się od braków własnej tradycji kulturalnej, od niewystarczalności zacofanej ojczyzny jakuckiej. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem, charakteryzującym wchodzenie ludu zacofanego w świat kultury.

O tańcach jakuckich, które odbywają się nocą w parku na polanie, pewien jakucki młodzieniec mówi mi tak:

— Dobrze, że nasze tańce tańczą się w parku. Ale to nie wystarcza. My tańczymy na polanie, na gołej ziemi, a inni? Inni tańczą na „tancpłoszczadce", na drewnianej podłodze, za wysokim parkanem, za bramą wejściową, jest kasa biletowa i bileterka. Tam nie każdy może wejść jak chce, a tu na polanę każdy wchodzi bez ograniczenia, byle pijak może wmieszać się między tańczących

i zakłócić porządek. A przecie Jakuci rodzą się tak samo, jak ruscy ludzie, i dla swoich tańców powinni mieć to samo, co oni.

Charakterystyczne. Państwo sowieckie, pragnąc zapewnić Jakutom możność pielęnowania tradycji, oddało im na ich tańce miejsce w parku najbardziej odpowiadające tradycyjnemu stylowi tych tańców, dało im w lasku parkowym polanę, mającą być odpowiednikiem pól, na których ich przodkowie tańczyli te tańce, a oto wśród Jakutów dają się słyszeć głosy, które to właśnie konserwowanie prymitywu uważają za... niesprawiedliwość. Ów młody Jakut chce, aby tradycyjne tańce narodowe tańczyły się na drewnianej podłodze i wewnątrz oparkanionego pawilonu, dostępnego za biletami, chce tego samego, co mają „ludzie rosyjscy", gdy tańczą foxtroty, tanga i walce, chce pogodzenia tradycji z upodobaniami, do jakich doszły inne wyżej stojące narody. Dziwacznie ludy zacofane wrastają w kulturę.

Za czasów carskich narodowe święto kobylego mleka, ysach, zamarło. Przestano je obchodzić. Zniknęło z jakuckiego roku. Jeśli raz na kilkadziesiąt lat wracano do niego, to bodziec pochodził z zewnątrz i był natury muzealnej. Tak urządzono ysach w r. 1902 po 40-tu latach przerwy, urządzono go na życzenie wysłannika muzeum new-yorskiego, który podróżował po Jakutii i, skupując różne wyroby jakuckiego przemysłu ludowego dla etnograficznej kolekcji swego muzeum, pragnął ułatwić sobie pracę skupywacza.

W autonomicznej republice jakuckiej dawna uroczystość odżyła. Ale nie dla świata muzealnego i nie dla niewolniczego konserwowania przeszłości. Wskrzeszenie nie jest tu z rzędu tych, z których zmarły wychodzi takim samym, jakim był. Powracając do życia, zastaje je głęboko zmienionym, więc bierze kąpiel w jego wodach i wychodzi z nich odświeżony. Czerpie z życia i ze swej strony na nie oddziaływa.

Widać to na wielu szczegółach.

Z dawien dawna w skład rytuału, wyznaczającego uroczystości jej przebieg, wchodziły słupy drewniane, u których trzymano konie na uwięzi. Na szczycie słupów umieszczano ozdoby, które wywodziły się z wierzeń ludów pierwotnych, z gloryfikowania czczonych zwierząt. Koń, którego Jakuci otaczali szczególnym kultem, oraz różne ptaki reprezentowane były podobiznami głów. Święto wskrzeszone nie eliminuje tych ozdób, mimo że niezupełnie odpowiadają teraźniejszym wiarom Jakutów, nie eliminuje ich, aby nie szarpać węzłami rodzimości. Pojawiają się jednak ozdoby, w których — obok państwowych emblematów — znajdują wyraz teraźniejsze przeżycia Jakutów. Jeden z posiołków umieścił na słupie ysachowym... globus! Wyobrażenie świata w małym posiołku odciętym od świata! Wyraża się w tym ciekawość wybiegająca poza obręb posiołka, poza obręb kraju ojczystego, poza obręb państwa, poza obręb kontynentu, wyraża się w tym myśl ulatująca za lądy, za morza, za oceany, pragnąca współżycia, współpracy i współtworzenia ze wszystkimi narodami, ze wszystkimi państwami, z całym, z całym światem.

W dawnych ysachach słupy uwięzi zajmowały centralne miejsce. Uwiązywano

u nich najdorodniejsze konie z najpiękniej ozdobionymi czaprakami. Było to honorowanie najlepszych wyników pracy. Teraz wyniki te dochodzą do głosu inaczej. Na trybunie. W niej to otrzymuje uroczystość centrum przestrzenne. Na niej to święci triumfy płodna praca, święci je w postaci sprawozdawczych mów.

Niemniej wyrazistą modernizację przechodzi pieśń towarzysząca owemu ponuremu tańcowi, który stanowi jeden z najbardziej ceremonialnych składników ysachu. Dawna pieśń opiewała ustępujące lody, zgęstniałą trawę, liść rozwinięty i żar, opiewała obrzędowe czynności święta mleka, opiewała dolinę rzeki-babuni o wzorzystych polach i perlistym żwirze, dzisiejsza wchłania najświeższe życie. Przewodnik chóru śpiewa o ziemi jakuckiej jaką ona jest obecnie, ukazuje źródła radości w orce, siewie i zbiórce, teraz, w czasie wojny, uświadamia obowiązki wobec frontu, rozgłasza sławę Czerwonej Armii, rozśpiewuje wdzięczność dla niej. Inklinacje Jakuta do improwizowania, do „śpiewania o tym, co widzi" prowadzą w najbardziej naturalny sposób do wnoszenia w pieśń nowości otaczającego życia, a gatunek pieśni jakuckiej, jej budowa poetycka, ułatwia autorom pracę. Dawna pieśń przejawiała ból z powodu utracenia słonecznej ojczyzny i niechęć do nowej zimnej, w której widziała przyczynę nędzy swego ludu; pieśń dzisiejsza opiewa jakby trzecią ojczyznę, tę, której klimat łagodnieje od ciepła nowego życia.

Pieśń zmieniła się, a taniec, któremu ona towarzyszy, trwa w swej ponurości. Nawet w parku, na polanie, ma on ciągle jeszcze swe rytualne odrętwienie. Istnieje wroga prawom życia sprzeczność między nim a śpiewanymi słowami. Czy ta sprzeczność może się utrzymać? Chyba nie. Taniec przejdzie ewolucję analogiczną do życia i pieśni. Ponury taniec jakucki zmieni się, bo zmienił się i zmienia się Jakut.

Najbardziej zmienili się na tej ziemi inni ludzie. Ci, których przysyłają tu zwierzchnie władze państwowe. Nie są to już gubernatorowie spod ciemnej gwiazdy, patrzący na Jakutię, jako na kraj podbity, i przemyśliwujący nad najskuteczniejszymi sposobami ucisku, ani czynownicy, którym władzę nad sybirskimi „przestępcami" oddawały ich własne przestępstwa. Przybywają tu teraz ludzie inni.

Nie są obłudni, więc nie udają, że w tę odległą i trudną do przetrzymania krainę przybywają ochoczo. Początkowo wszystkich ogarnia przygnębienie. Ale już po jakichś dziesięciu dniach dostrzegają w sobie nowe nastroje i wyznają je sobie wzajemnie.

— A jednak ten Jakuck nie jest taki straszny. Priwykajesz.

Ci, którym tu przychodzi żyć lata — szczególnie, jeśli poprzednio mieszkali w Moskwie, Leningradzie lub choćby w Krasnojarsku, — tym jest nieraz ciężko. Do niedawna starało się państwo złagodzić ich warunki bytowania różnymi faworami: otrzymywali uposażenie wyjątkowo wysokie, a po upływie dwóchletniego pobytu urlop 8-mio miesięczny, który mogli spędzać gdzie indziej i — dzięki oszczędnościom poczynionym z wysokich zarobków — lepiej.

Jeszcze obecnie, w czasie wojny, kiedy to obowiązują normy żywnościowe, otrzymują Jakutianie normy wyższe, niż pracownicy innych republik sowieckich. Mimo to pragnienie wydostania się z Jakutii nie mija. Szczególnie u kobiet.

Przeważnie wcale na tym nie cierpi ich praca. Przybywają tu agronomowie, pracownicy działu żeglugi rzecznej i morskiej, budowniczowie, inżynierowie, nauczyciele, lekarze, pracownicy naukowi, przybywają ożywieni ideami, w których ich wychowano, przybywają zdyscyplinowani, zapatrzeni w zadanie, które mają spełnić, ogarnięci gorączką rywalizacji, nastawieni na osiągnięcie wyników wyższych od planowanych.

Pod korytarzowym głośnikiem stolik, przy nim dwa foteliki, w jednym ja, w drugim młody wojskowy. Mój sąsiad to człowiek z kołchozu, prosty człowiek, który ukończył szkołę 7-mio klasową i zaczął wojnę jako rekrut, a dzisiaj jest starszym lejtnantem. Ma zadziwiającą zdolność przyczynowego myślenia i niezwykłą rytmiczność w wypowiadaniu fraz zdaniowych. Deklaruje:

— Niemcy mówią, że nauczyli nas wojować. My mówimy, że my ich o d u c z y m y wojować. A oduczymy ich wojować nie tylko dlatego, że jesteśmy silniejsi od nich. Także dlatego, że jesteśmy sprawiedliwi w naszych stosunkach z innymi narodami. Oni mówią, że ich naród ma panować nad wszystkimi innymi, my mówimy, że narody są równouprawnione, że żaden nie ma prawa gnębić, krzywdzić lub choćby poniżać drugich.

Tak myśli prosty człowiek sowiecki. Z tym idzie na wojnę. W tym widzi siłę wojenną swego państwa. Ale z tym żyje też w e w n ą t r z swego państwa. Z tym podchodzi też do innych narodów, które je zamieszkują. Z tym podchodzi też do Jakutów.

W tutejszym teatrze r o s y j s k i m idzie spektakl, który ma w sobie coś ze spraw jakuckich: wystawiają „Otella", ukazują bohatera o czarnej skórze.

Przy wielu brakach, przy wielu ułomnościach spektakl ten, wystawiony w syberyjskiej dziurze, w drewnianym skromnym budynku, budzi szacunek. Nie ma w nim nic z tego, co u nas nazywa się małomiasteczkową szmirą. Wysoki poziom rosyjskiej sztuki teatralnej, jej głębokie teoretyczne podstawy oraz gruntownie przemyślany i w ścisłe zasady ujęty system teatralnego nauczania podciągnęły wzwyż najbardziej peryferyjne placówki sceniczne. Na scenie jakuckiej model wielkiego artysty zdaje się stąpać przed każdym aktorem, który działa jakby zapatrzony w niewidzialną postać, ciągle przed nim kroczącą. Naśladownictwo zdaje się iść tak daleko, jak gdyby dotyczyło nie tylko ogólnych sposobów aktorskich, lecz przyjmowało dla poszczególnych momentów dramatu konkretne sposoby mimiki, gestu, noszenia ciała. Gdyby w dziedzinie sztuki teatralnej możliwa była kopia tego typu, jaki praktykuje się w malarstwie, Jakuck otrzymałby — myślimy — popularyzatorską kopię wzorowych spektakli moskiewskich. Takie jest pierwsze wrażenie. Dzięki reżyserowi, który przez jakiś czas jest moim współlokatorem, poznaję ten teatr bliżej i przekony-

wuję się, że chwalebny wynik jego pracy pochodzi nie z naśladownictwa, lecz z dobrej szkoły przemyśleń i ćwiczeń teatralnych.

Tu, w Jakucku, najciekawszy jest dla mnie s c e n i c z n y los bohatera o czarnej skórze — w ujęciu scenicznym. Otóż: wszystko, co w jego cierpieniu pochodzi z odmienności rasy, przytłumia się, zamazuje. Tragizm Otella wyprowadza się ze sprzeczności m o r a l n y c h, dzielących ludzi.

Gdy Jago budzi w nim podejrzenia co do żony, i wśród motywów niewierności o jaką fałszywie ją oskarża, wymienia jego wygląd, jego murzyńskość, czyni to ze zawrotną szybkością słowa, nie kładzie na to żadnego nacisku, nie podkreśla tego ani gestem, ani mimiką, chodzi po scenie niemal obojętnie. Otello zaś słuchając tej rasistycznej argumentacji, wcale na nią nie reaguje. Sprawa mija niemal niezauważona przez widza. Z całej intryganckiej argumentacji działa silnie na Otella tylko wskazywanie na zręczność, z jaką Desdemona oszukiwała ojca, w czasie gdy chciała przed nim ukryć swą miłość do czarnego cudzoziemca. To, że jego ukochana kobieta umiała kłamać, to — sądząc z jego zachowania się na scenie — działa w nim przeciwko niej najsilniej.

Gdy w samotności rozważa przyczyny, które mogłyby skłonić Desdemonę do zdrady małżeńskiej, umieszcza wśród tych przyczyn także pytanie: „Czy dlatego, żem czarny?" — Wypowiada je ze spokojną powagą, ale bez zatrzymywania się nad nim, bez przywiązywania do niego większej wagi. I tu rasowy składnik Otellowego cierpienia uczyniono jak najmniej dostrzegalnym.

Otello wraca z bitwy zwycięzcą. W teatrach innych krajów nadaje się wejściu zwycięskiego wodza-obcoplemieńca cechy chłodnej pompy, powitanie nie wychodzi poza ceremonialne formy poddawania się autorytetowi wodza. Tutaj inaczej. Wejście czarnego zwycięzcy poprzedzone jest długotrwałą salwą armatnią, długo nie milkną huraganowe okrzyki na jego cześć, słowo „sława! sława!" wielokrotnie wznosi się w powietrze, mężczyźni wydobywają szpady, i uniósłszy je ponad głowy, nadają im ruchy żywiołowego, serdecznego, gorącego powitania, a twarze kobiet promieniują uwielbiającymi uśmiechami. Wielki, wartościowy dla kraju czyn obcoplemieńca o czarnej skórze narzucono oczom i uszom. Teatralną optyką i akustyką wyniesiono go ponad wszystko co robi nie tylko Jago, ale i otoczenie.

Niemniej nowe w ludziach, którzy tu przybywają: ich wiara w Jakutię, wiara w jej wielką przyszłość. Srogi klimat? Oni już twierdzą, że on złagodniał. Oporność gleby? Już mówią, że w okręgu Jakucka gleba jest zupełnie dobra i że nie trzeba jej nic więcej, prócz nawozu. Niedomagania hodowli bydła? Głoszą, że usunie je oświata, propaganda i organizacja. Ubóstwo środków komunikacyjnych? Oni już zapowiadają, że zniknie w ciągu 20-tu lat, a tymczasem czynią z dróg rzecznych coraz bardziej usłużne drogi ruchu. No, i wierzą w dno Jakutii, w skarby tego dna.

Główny brak widzą w nieliczności mieszkańców:

— Proszę zważyć, że Jakutia to 5 Germanij! Sama tylko Jakutia. Tylko to,

co nazywa się Autonomiczną Republiką Jakucką. Pięć Germanij, a pół miliona mieszkańców! Taką ilością siły roboczej nie można na takim obszarze budować szybko. Gdy Jakutia będzie liczyła 50 milionów mieszkańców, wtedy będzie wyglądała inaczej. Wtedy także Jakuck będzie wyglądał inaczej. W ogóle u nas, w Związku Sowieckim, ilość mieszkańców jest jeszcze za mała w stosunku do wymogów pracy. Nam trzeba ludności pięciokrotnie większej od tej, którą mamy. Miliard mieszkańców — tego nam trzeba.

Jeśli ludzie, którzy tu przybywają, są inni, niż ci, którzy przybywali za czasów carskich, to m. in. także dlatego, że ich stosunek do swego państwa jest inny. Wierzą w nie.

W magazynie stary 60-letni człowiek, mówiąc ze mną o zwycięskich operacjach wojennych, które armia sowiecka rozwinęła zwycięsko na ziemiach polskich, w głębokim zamyśleniu rzuca, jakby na podłogę, takie słowa:

— Cuda! Cuda! My rzeczywiście tworzymy cuda! I nie tylko na froncie wojennym, w całym naszym życiu. Cuda!

Kręci przy tym głową łukowato, jak człowiek, który chce własne wątpliwości odegnać ostatecznie; jak człowiek, który chce zatrzymać w sobie ostateczny swój wniosek.

Stary człowiek z magazynu pamięta doskonale czasy carskie, pamięta ówczesny zastój, brał udział w pierwszej wojnie światowej, wraz ze swą armią zaszedł daleko w głąb Małopolski, wycofał się z niej potem, przeżył upadek reżimu, aż tu nagle staje przed gromami zwycięstw. Są dla niego tak nieoczekiwane, że patrzy na nie jak na zrodzone ze źródeł niepojętych, że znajduje dla nich tylko jedno określenie: cuda! Wkłada w to słowo uznanie dla niezwykłości faktów, ale także wyznanie niepojmowania ich. I kręci głową łukowato, utwierdzając tym siebie w nieprędko wyciągniętym wniosku.

Młodzi — wszystkie sukcesy państwa sowieckiego przyjmują jako zupełnie naturalne. Za niezwykłe uważają te tylko sukcesy, które przychodzą znacznie wcześniej, niż je przewidywali.

Rozmawia ze mną pułkownik, człowiek lat może pięćdziesięciu i jego młody przyjaciel, inżynier kierujący wyrąbem drzew w tajgach. Rozmowa schodzi na Związek Sowiecki. Pułkownik:

— My jesteśmy biedni.

Choćby tylko z obowiązku uprzejmości, jaki ciąży na gościu, przeczę:

— Jesteście bogaci w przyszłość.

W ciągu rozmowy wypada mi stwierdzić:

— A jednak u was po trzech latach wojny wszyscy jedzą!

Młody inżynier parsknął śmiechem. Dosłownie parsknął. Odbiegł od stołu i odśpiewał pierwszy wiersz starej piosenki: „Naprazno starucha ždiot syna domoj", poczem ciągnął pieśń bezsłownie.

Jego intencja zawierała się w pierwszych słowach wiersza: „na próżno!" Było oczywiste, że piosenką chciał powiedzieć towarzyszowi: „Na próżno z nim gadasz, on nic nie rozumie". Dopatrywanie się zasługi państwowej w za-

pobieżeniu głodowi wojennemu wydawało mu się pochwałą śmieszną, bo w owym zapobieżeniu nie widział żadnej szczególnej zasługi państwowej. Wydawało mu się ono zupełnie naturalne. Musiałem przypominać głód rosyjski z czasu pierwszej wojny światowej, musiałem z wojny obecnej wydobyć fakt długotrwałej utraty najbardziej spichrzowych ziem sowieckich, musiałem przytaczać złośliwe sądy wrogów Związku Sowieckiego, którzy oczekiwali w nim katastrofalnego głodu, dopiero wtedy młody inżynier zamilkł. Tylko zamilkł. Pochwały mojej nie potwierdził.

Inny młody człowiek, pracownik SIARPa, twierdzi:

— My już nie rozumiemy, jak moglibyśmy pracować, jak moglibyśmy żyć przy innej organizacji pracy, niż nasza, przy innym systemie gospodarczym, niż nasz, przy innym pojmowaniu życia, niż nasze. I nie sądźcie, że myślą tak tylko ci, którzy w naszym państwie doszli do szczególnych wyników osobistych. Myśli tak całe młode pokolenie, także młode pokolenie wiejskie. Jakikolwiek inny ustrój byłby dla nas nie do zniesienia.

Wyjechałem z Moskwy 28 lipca, tj. 6 dni po ogłoszeniu manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Tego to dnia czytałem ostatni dziennik z daty jego ukazania się. Odtąd boleśnie oddalałem się od wiadomości dostępnych tym, których los był inny.

Wprawdzie w drodze, na stacjach większych miast, rozdawano ulotki z komunikatami wojennymi, wprawdzie w czasie postojów trafiłem raz czy dwa razy na minuty radiowego nadawania komunikatów, wprawdzie na największych stacjach rozwieszone na głównym peronie wielkie mapy ukazywały najświeższą linię frontu, ale to wszystko powiadamiało mnie tylko o stałym i szybkim posuwaniu się wojsk sowieckich poprzez nasze ziemie, a nie mówiło mi nic o zdarzeniach politycznych.

Z dnia na dzień oczekiwałem wiadomości o usunięciu Niemców z Warszawy i Krakowa. Oczekiwali tego także ludzie sowieccy. Jeden z moich współpasażerów zapowiadał jeszcze na dworcu w Moskwie, że Warszawa będzie wzięta za 3 dni.

— Za 3 dni! — powtarzał takim tonem, jakby swą zapowiedź wyczytał z kalendarza.

Pięć dni jechałem do Krasnojarska, sześć dni czekałem w nim na samolot, i cały ten czas nie dał mi nawet pyłu oczekiwanych wiadomości bo przyjechałem tu szybciej, niż dzienniki. Gdy wreszcie nadeszły nieznane mi numery „Izwiestij", przyniosły mi tylko zapewnienie, że kraj powitał z uznaniem powołanie Komitetu.

W Jakucku cały pierwszy dzień wyczerpał się na spełnianiu obowiązków wynikających z przybycia i dopiero nocą oswobodziwszy się od spraw i ludzi, mogłem pójść do czytelni w poszukiwaniu prasy. Na skłonie nieba błyszczał świetlistym srebrem księżyc półpełni. Prawy jego brzeg, zawsze tak zamazany, tak zagadkowy, miał tu kontur zgoła inny, najściślej wykreślony, w całym swym przebiegu mocno zarysowany. I wcale nie prosty. Niższa jego połowa

zdecydowanie wybiegała w prawo. Powstał profil nieszczęśliwie zniekształconej twarzy; jakby czoło i nasada nosa cofnęły się w głąb pod ciosami napastniczej pięści. Chyba podobną twarz miałem i ja, gdy... stając pod bramą budynku bibliotecznego, ujrzałem drzwi zamknięte na kłódkę.

W następne dni codziennie byłem w sali bibliotecznej, ale cóż! Ostatnie „Izwiestia", które biblioteka otrzymała, nosiły datę 19 lipca, a więc o 20 dni spóźnioną. Podawały one sytuację strategiczną i polityczną z czasu, kiedy komunikaty sowieckiego biura informacyjnego mówiły o posuwaniu się wojsk sowieckich w kierunku na Lwów i Brześć, a przecie teraz podchodziły już one pod Warszawę. Nazajutrz, i dwa dni potem, i dziesięć dni potem, i dwa tygodnie potem — nie było zmiany. Dopiero 25 sierpnia nadeszła nowa porcja dzienników i to naraz z datami od 21 lipca do 5 sierpnia. Najświeższy dziennik spaźniał się więc znowu o dni 20!

Słońce wschodzi w Jakucku 6 godzin wcześniej niż w stolicy, więc jej gazeta wschodzi tutaj 20 dni później. Oto następstwa przeogromnych odległości sowieckich.

— Nie zapominajcie — mówi mi w korytarzu nerwowy Kirgiz — że, aby odbyć podróż z Moskwy do Jakucka, i to częściowo samolotem, musieliście zużyć 11 dni.

— Owszem, owszem, droga z Krakowa do Jakucka wymagała moich 5 lat!

W czasie pokoju odległość prasowa Jakucka od Moskwy skracała się dzięki dostawie samolotowej.

Mój głód najświeższych wiadomości nie pozostaje jednak bez żadnego zaspokojenia.

Miejscowy dziennik „Socjalistyczna Jakutia" przynosi w każdym numerze kilka telegramów z polityki zagranicznej, wśród których telegramy dotyczące spraw Polski zajmują poczesne miejsce.

Oczywiście radio przynosi wiadomości najszybciej. Podaje je radiostacja miejscowa, a co dwie godziny także moskiewska. „Ostatnie Wiadomości", których w Moskwie słuchałem o północy, tutaj przypadają na 5½ rano. To nic, wstawałbym o tej godzinie i słuchał, gdyby hotelowy odbiornik nie miał klusek w ustach.

Zainteresowanie, z jakim ludzie sowieccy śledzą sprawy polskie, i uprzejmość, z jaką komunikują mi radiowe wiadomości, zastępują mi ułomny odbiornik. Liczność uprzejmych informatorów pozwala mi nawet poprawiać zawodność nieścisłych.

Znakomitemu głośnikowi ulicznemu, umieszczonemu w pobliżu budynku bibliotecznego, zawdzięczam pierwszą wiadomość o tragicznych wypadkach warszawskich. Wychodziłem z bramy, gdy nagle w ciszy nocnej dosłyszałem słowo „Warszawa". Komunikat relacjonował o rozkazie, który wezwał Warszawę do powstania zbrojnego. Nazajutrz „Socjalistyczna Jakutia" przyniosła w tej sprawie telegramy.

Ludzie sowieccy szukają u mnie wyjaśnień tego, co zaszło. Zatrzymują mnie na korytarzu, szukają pretekstu, aby zachodzić do mojego pokoju.

Z pobliskiego pokoju dolatują brzęki bałabajki i śpiew. Z siły, wkładanej w koncert, należałoby wnioskować, że wesołe towarzystwo liczy co najmniej cztery lub pięć osób i że tę liczbę powiększa liczba butelek. Z brzmienia głosów wynika, że w wesołym towarzystwie nie ma kobiet. Może dlatego tekst każdej pieśni doznaje uszczupleń, redukujących go do pierwszej strofy i do bezsłownego mruczenia dalszych. Korzysta z tego refren, otrzymując aż nazbyt wyrazistą pełnię słów i skupiając na sobie cały ferwor śpiewackiego animuszu. W końcu z pełnią słów rozlega się pieśń inna i ta powtarza się już bez przerwy, ciągle cała, ciągle od początku do końca, ciągle na nowo. W tę pieśń zdają się śpiewacy wlewać wraz ze strumieniami uczucia strugi gorącego napoju.

Wychodzę na korytarz w poszukiwaniu papierosa. Otwierają się drzwi rozśpiewanego pokoju i wychodzi z nich młody człowiek, który już raz wybawił mnie z tytoniowego kłopotu. Ledwie zdążyłem wypowiedzieć prośbę, wprowadza mnie w otwarte drzwi.

Towarzystwo zgoła nieliczne, prócz młodego człowieka: pułkownik, bałabajkowy muzyk i karafka z czerwonym winem. Głowy rozgrzane, ale trzeźwe.

Krzesło dostawiają mi do szklanki, a w szklankę wlewają treść chwili.

— My lubimy Polaków — zaczyna pułkownik. — Na pewno wszędzie to zauważacie.

W dawnym kraju zsyłek taka deklaracja uczuć! Ileż to się zmieniło od owej epoki!

Zmieniło się, zmieniło się:

— My — mówi potem Rosjanin — pomagamy teraz polskiemu narodowi w jego walce o wyzwolenie, ale Polska powinna wystawić silną armię dla walki z Niemcami. Myśmy ponieśli dosyć ofiar, aby mieć prawo żądać ich także od innych. Myśmy mieli wiele strat, wiele. Nas trzeba rozumieć.

Ja, wysłany na Sybir z zadaniem historyka, słucham tych wynurzeń trochę jak historyk.

Powstańcy styczniowi pozostawili w jakuckim tomie archiwalnym ślady o wiele bardziej interesujące, niż mi to przedstawił kierownik Archiwum. Mówił: są to spisy policyjne, tylko papiery kancelaryjne, sporządzane dla ewidencji urzędowej, a wszystko razem skąpe w treści i bez żadnego ogólniejszego znaczenia.

A jednak ocena wartości tego materiału była przesadnie ujemna. Pochodziła ona z niedostatecznej znajomości tomu, który na pewno nie przeszedł jeszcze przez gruntowniejsze badanie. Stosunki polityczne między Polską, a Związkiem Sowieckim nie sprzyjały wciągnięciu go w krąg badaczy polskich, a badacze sowieccy odnosili się do niego z obojętnością w mylnym przekonaniu, że przechowuje on w sobie ślady ruchu czysto szlacheckiego. Pomyłka silnie działać musiała, skoro historyk jakuckiej zsyłki, Krotow, wcale w swej książce nie poświę-

cił miejsca zesłańcom zapędzonym do Jakutii za powstanie styczniowe. Zresztą pracowniczka Archiwum, odczytująca mi teksty tomu, zaraz pierwszego dnia przy interpretowaniu jakiejś niejasności urzędowego stylu, powoływała się na „znany fakt", że powstańcy wywodzili się ze szlachciców, z rycerzy. Archiwariusze nie zajęli się więc tomem gruntownie, przeglądali go tylko orientacyjnie, a to utrzymywało ich w pomyłce, bo rubryki, jakie w spisach są potworzone, nie zawierają oddzielnej rubryki o pochodzeniu społecznym i szczegół ten należy wydobywać z zawiłego tekstu podającego inne o zesłańcach dane.

Jeśli ocenę kierownika Archiwum należy uznać za przesadnie ujemną, nie znaczy to bynajmniej, aby historiograficznej wartości tomu należało przypisywać znaczenie wyjątkowe. Jedno można o nim powiedzieć bez wahania: sybirski epilog styczniowego powstania pozostawił w nim ślad najbardziej całkowity.

Pragnę z tego śladu wydobyć wszystko, co można z niego wydobyć opisem i wnioskowaniem. W serdeczne z nim obcowanie wnoszą szczególny węzeł niezwykłe okoliczności mojego przebywania w kraju zesłań.

Niestety ciągle napotykam w pracy na trudności. Lekturę tomu doprowadziliśmy do połowy, gdy nagle moja współpracowniczka zaczęła ją przerywać kaszlem. Potem przyszło pociąganie nosem i chusteczkowanie:

— Czy nie boicie się zarażenia?

— Przedsięwezmę środki ochronne.

Następnego dnia przecierała dłonią czoło, potem skarżyła się na łamanie w kościach.

— Grypa. Nie boicie się zarażenia?

— Gdy wiem, że grypa mi grozi, umiem się przeciw niej zabezpieczyć.

— A może jednak lepiej pracę przerwać? To pewniejsze niż środki ochronne.

— Zależy mi na pośpiesznym tempie. Ze względu na samą pracę, a także z ciekawości, co nastąpi po jej ukończeniu...

— A gdybym ja, ze względu na samą siebie, zmuszona była pracę przerwać?

— Przerywamy.

— Dziękuję.

— Proszę leczyć się i jak najszybciej wyleczyć. Dobrą nowinę przyniesie słuchawka telefoniczna, dobrze?

— Obowiązkowo.

Mijały dni, minął tydzień, dwa, a telefonu nie ma. Idę do Archiwum.

Przeprasza, usprawiedliwia się. Nie telefonowała, bo wkrótce wyjeżdża na kilkanaście dni z brygadą, która ma zająć się wyrąbem drzewa dla przygotowania zimowego opału.

— Nie opłacało się wznawiać pracy, skoro wkrótce ma być przerwana — mówi skręcając usta niewykłutym uśmiechem.

Jest dzisiaj smutna. Z poprzednich rozmów znam ją już nieco. W latach dziewczęcych marzyła o sukcesach tancerki, chodziła do tancerskiej szkoły, nic z tego nie wyszło. Oklaski, jakie zbiera na scenie jej koleżanka i przyjaciółka, nie osładzają niepowodzenia. Miała męża, zmarł na wojnie. Przyszłość gnębi

jej wyobraźnię, przyszłość, w której nie tylko nie będzie nurzania się w falach muzyki, w toniach świateł i barw, w tryskach iskrzących się spojrzeń, ale w której może nie będzie nawet męża. Pożółkłe papiery archiwalne, zapisane kolejami ludzi, których już nie ma, dnie spędzane wśród nieboszczyków, nie, to nie dla niej. Praca, w którą ja ją wciągnąłem, nie interesowała jej początkowo ani trochę bardziej od innych prac archiwalnych; gdy ją zapytywałem, czy lekturą, którą na nią nałożyłem, nie przeszkadzam innym jej zajęciom, odpowiadała, że jej wszystko jedno, czy pracuje nad tym, czy nad czym innym. Z czasem coraz częściej o niektórych szczegółach tekstów mówiła, że interesujące, lecz oczywiście nie na tyle, aby ją pogodzić ze światem umarłych. Jest niezadowolona z pobytu w Jakucku, chciałaby wydostać się z niego, ale — mówi — nie puszczają. Pragnęłaby otrzymać posadę przy radiostacji lub na poczcie, gdzieś, dokąd dociera życie.

Dzisiaj smutek jej jest bardziej uporczywy. Myśl odbiega od tomu.

— Cóż to z wami? — pytam głosem sztucznie podniesionym, który, jak zenitka, ma odpędzić nalot złych myśli.

— Nic. Przejdzie.

— Lecz co? Jeśli nie jest śmiałością chcieć wiedzieć.

— Cóż wam na tym zależy?

— Taki już ciekawski ze mnie.

— Ach!

Za oknem ciągną się krańce Jakucka. Najuboższe domki, bagniste murawy, jakaś szeroko rozlana woda, która nie wiadomo czym jest, kanałem, jeziorem, rzeką. Czuć nadciąganie zimy. Woda, ziemia, niebo, mają jedną barwę: barwę smutku. Wodę, ziemię i niebo wiąże ze sobą żerujący jastrząb, który — to bijąc skrzydłami, to rozpinając je skośnie — zatacza w powietrzu pochyłe koła.

— No?

— Czyż trzeba mówić? Przecie to zupełnie jasne.

— Gdybym powiedział, że nic nie jest jasne, nie powiedziałbym prawdy, ale może skłoniłbym was do mówienia.

— I bez tego mogę powiedzieć. Bo to przecie proste: cóż mnie czeka?

— Pocieszcie się: to samo, co mnie.

— To samo?

— Ślęczenie nad archiwalnymi papierami.

— Wy ukończycie pracę i pojedziecie.

— Wcale nie wiadomo.

— Nie mówcie. Wiadomo.

— Wcale nie wiadomo. Wcale nie jestem tego pewien.

— Ale ja jestem pewna. Tak, jak jestem pewna, że mnie już nic nie czeka. Właściwie powinnabym skończyć z życiem.

Uśmiecham się:

— Zaczekajcie, zaczekajcie, zrobimy to razem. Razem zwiedzimy głąb jeziora Sajsary.

Nie otrzymałem od niej wiadomości o ukończeniu robót drwalnych. Znowu nieproszony zaszedłem do Archiwum. Nie zastałem jej.

Próbowałem wciągnąć we współpracę jej koleżankę, próba nie udała się.

Wobec takich przeszkód postanowiłem poprzestać na przeczytanej połowie tomu i o niej napisać relację. Gdy zaszedłem do Archiwum, tom nie leżał na dawnym miejscu, był zamknięty w biurku kierownika.

Wobec nowej przeszkody postanawiam pisać relację w domu. Znaczy to: pisać z pamięci. Całkowicie z pamięci, bo rozporządzenie kierownika zobowiązywało mnie do pozostawiania w Archiwum wszystkich czynionych przy lekturze notatek. Przy domowym pisaniu będę więc pozbawiony dziesięcio-arkuszowych stronic, na których skrótami, sprowadzającymi słowa nieraz do jednej litery, natłoczyłem wszystko, co miałem uwzględnić. Będę pisał, rozporządzając uszczuplonym materiałem połowy tomu.

Sucha relacja:

Arkusze formatu kancelaryjnego zawierają spisy zesłańców, sporządzone według okręgów, w których przebywali w r. 1881, tj. w roku, z którego pochodzą pisma tomu. Do każdego okręgu odnoszą się dwa spisy, ułożone z dwu różnych punktów widzenia. Pierwszy, pospolity, zawiera rubryki podające nazwisko i imię zesłańca, jego wiek i określenie „przestępstwa" i kary. Drugi dzieli zesłańców na grupy, przy czym podstawa podziału wynika z rozmaitych potrzeb policyjnych; jedną z nich jest kwestia czy zesłaniec po odbyciu kary pragnął wyjechać z kraju zesłań, ze Sybiru, czy też nie.

Wkładki wszyte w tom pochodzą z korespondencji między różnymi organami policyjnymi. Korespondencja ta jest natury czysto formalnej: wyższa władza poleca niższej wykonanie spisu, niższa czyni zastrzeżenia co do swych zapodań w spisie itp. W wypadkach, w których korespondencja wychodzi poza ramy czystej formalności, jest zbyt szczupła, aby zaspokoić nasuwające się pytania.

Pism pisanych przez samych zesłańców w tomie nie ma. W kilku wypadkach niektóre oświadczenia zesłańców podane są w najkrótszym streszczeniu dokonanym przez urząd policyjny, który przekazuje je innemu.

O personaliach zesłańców niewiele spisy mówią. Nie podają ani ich zawodów ani szkół jakie przeszli, ani głównych miejsc przebywania, ani miejsc urodzenia, ani danych o rodzicach. Charakterystycznym wyjątkiem jest sposób w jaki — zresztą tylko przygodnie — podany jest zawód Szymańskiego: poskąpiono mu miana literata, a ograniczono się do wymienienia jego literackich działań.

Skrupulatnie jednak przy każdym zesłańcu zaznaczony jest — choć nie w oddzielnej rubryce — stan społeczny, z którego pochodził: szlachcic, mieszczanin, chłop, co tłumaczy się tym, że różnice społeczne wpływały na różnicę kar.

Przy każdym zesłańcu wymieniony jest jego wiek. Czy dla zwrócenia uwagi na stopień jego możliwości ucieczkowych i dla otrzymania wskaźnika co do

warunków, w jakich powinien być osiedlony? czy dla zorientowania się jaki materiał roboczy przedstawia sobą każdy z zesłańców? Niezmiernie ciekawy jest fakt, że przy zesłańcach w wieku od lat 30 do 40, wiek ich podawany jest w sposób nieustalony np. 22/32 lat, 25/31 lat. Widać w tym tendencję pomładzania — może w związku z planami kolonizacyjnymi.

Zwraca na siebie uwagę kilka nazwisk nie polskiego brzmienia; są nazwiska niemieckie, są też rosyjskie. O Wilhelmie Grossmanie dowiadujemy się z alegatu, że zaliczono go do szlachciców nie na podstawie dokumentu osobistego, lecz na podstawie jego własnego zaświadczenia ustnego. Jakie względy grały rolę w tej dziwnej sprawie, tego na podstawie materiału zawartego w tomie rozstrzygnąć nie można.

Wszystkie spisy notują w nagłówku, że obejmują polskich zesłańców skazanych za udział w „buncie" z r. 1863. Ale z zapodań spisów wynika, że bezpośrednia przyczyna zesłania ich na Sybir była inna. U każdego przebieg sprawy miał dwie fazy: pierwsza — udział w powstaniu i kara za ten udział; druga — nowe „przestępstwo" i nowa kara: Sybir.

Taki przebieg sprawy spowodował, że wszystkie zapodania zaczynają się od drugiego „przestępstwa" jako tego, które było bezpośrednią przyczyną zesłania na Sybir; że tylko gdzieś w zdaniu pobocznym znajduje się wiadomość o uczestniczeniu w powstaniu; że wiadomość taka nie mówi nic o rodzaju uczestniczenia w powstaniu, o działaniach w jakich się owo uczestniczenie przejawiło; jest tylko stwierdzenie faktu uczestniczenia, poza tym nic więcej. Od tej ogólnej reguły odstępują zapodania tylko w tych wypadkach, w których chodziło zapewne o zwrócenie uwagi na szczególne „niebezpieczeństwo osobnika".

Karą za powstanie nie był Sybir. Sybir miał przyjść później za „przestępstwo" późniejsze. Na razie za udział w powstaniu kara jest inna: skazanie na służbę wojskową w randze szeregowego w którymś z pułków garnizonowych poza Królestwem Polskim lub wcielenie w t. zw. roty aresztanckie.

Kara ta nie spełniła swych celów „poprawczych". Nie złamała oporu. Opór wybuchał rozmaicie. O kilku „szeregowych" dowiadujemy się, że w „kościołach katolickich śpiewali hymny o treści rewolucyjnej".

U większości tych szeregowców-więźniów drugim „przestępstwem" była po prostu ucieczka z oddziałów, w których ich uwięziono. O niektórych podane jest, że uciekali z zamiarem dostania się za granicę. Uciekający — dla ułatwienia sobie sprawy — niszczyli uniformy lub pozbywali się ich w inny sposób; w kilku wypadkach — dla zaopatrzenia się w potrzebne środki pieniężne — posługiwali się drobnymi kwotami swych towarzyszy; jeden odbywszy pomyślnie ucieczkę do Warszawy, przywłaszczył sobie — dla zamaskowania swej osobowości — kapelusz i zarzutkę, które wisiały w przedpokoju warszawskiego notariusza. W takich wypadkach obok oskarżenia o ucieczkę pojawiają się oskarżenia charakteru kryminalnego, więc oskarżenie o „utratę kazionnych wieszczej", o „kradzież 150 rubli", o „kradzież kapelusza i zarzutki".

Kara za te drugie przestępstwa zaczynała się w pewnych wypadkach od

kary cielesnej, od bicia rózgami. Zapodania spisów wymieniają dokładnie ilość ciosów. Niemal regułą jest wymierzanie kar cielesnych — chłopom, przy czym ilość wymierzanych im rózg jest zawsze największa.

Zasadniczą karę ujmują spisy w taką formułę: pozbawienie tytułu wojskowego, pozbawienie praw i majątku, zesłanie w najbardziej oddalone miejsca Sybiru. Pozbawienie tytułu wojskowego było w związku z faktem, że „przestępstw" dopuszczali się szeregowcy. Zesłanie w najbardziej oddalone miejsca Sybiru oznaczało zesłanie do obłaści jakuckiej.

Większość skazańców przybyła tu w r. 1867, a więc w cztery lata po powstaniu. Upływ tylu lat od czasu udziału w powstaniu tłomaczy się przebiegiem sprawy: zesłanie na Sybir było karą za drugą fazę „przestępstw" powstańczych.

Spisy nie podają żadnych zdarzeń życiowych, które by zarysowały obraz życia zesłańców. W tej dziedzinie panuje w nich pustka zupełna. Ten ze spisów, który obejmuje zesłańców pracujących w rejonie t. zw. złotych przemysłów, zaznacza przy każdym nazwisku: „żadnych ulg nie otrzymał". Tylko tyle z zakresu warunków życia.

W spisach, które dzielą zesłańców na grupy, jest rubryka dotycząca prowadzenia się i błagonadjożności, ale wypełnia ją jedna i ta sama pochlebna dla skazańców opinia. Jest ona tak niewzruszenie stała, że otrzymuje w spisach postać globalną, co znajduje swój wyraz w sposobie wpisywania jej w rubrykę: wpisywana jest pionowo poprzez całą długość stronicy wspólnie dla wszystkich nazwisk tej stronicy. Nasuwa się przypuszczenie, że tę pochlebną ocenę organa policyjne wystawiały nie tyle skazańcom, ile samym sobie.

Po prawidłowym odbyciu kilku lat pod nadzorem odzyskiwali niektórzy skazańcy część swych dawnych praw: uwalniano ich spod nadzoru, a nawet wpisywano na miejscowe listy tego stanu społecznego, z którego pochodzili, a więc szlachciców na listę szlachecką, mieszczan na mieszczańską, chłopów na chłopską.

Niektórzy uzyskiwali prawo osiedlenia się w Rosji europejskiej, a nawet prawo powrotu do kraju. Ze spisów grupowanych dowiadujemy się, że pewna ilość nie skorzystała z owego prawa. Przyczyna odmowy nie jest podawana. Raz dowiadujemy się, że zesłaniec odmówił z powodu braku środków pieniężnych na powrót i prosił o możność pracowania na „złotych przemysłach". Innym razem znajdujemy list, w którym generał-gubernator poleca jak najszybsze odesłanie do kraju jednego z zesłańców, ale co do motywów tego dziwnego polecenia można snuć tylko przypuszczenia, bo list żadnych uzasadnień nie podaje.

Nasuwa się pytanie jaki jest cel owych spisów. Gdyby one były z rzędu corocznych sprawozdań lub odpowiadały potrzebom powtarzającym się okresowo, zachowałyby się z różnych lat. Jeśli dane spisy są pod względem ujęcia jedynymi, to należy przyjąć, że odpowiadały jakimś potrzebom ściśle związanym z rokiem ich sporządzenia, t. j. z r. 1881.

W r. 1881 wstąpił na tron Aleksander III. W tym czasie polecono przepro-

wadzić wśród zesłańców przysięgi na wierność nowemu carowi. Może od sposobu odniesienia się do przysięgi miano uzależnić pewne ulgi lub nawet amnestię i w związku z tym sporządzono spisy.

Następnie: rok 1881 kończy wyraźnie jeden z okresów w dziejach zesłaństwa jakuckiego. Już następnego roku ukazuje się ustawa, która reguluje wypadki podlegające zesłaniu do obłaści jakuckiej, która ujmuje w prawidła warunki bytowania zesłańców. Również w rok po dacie spisów zaczyna się osiedlanie w obłaści jakuckiej byłych katorżników, uwolnionych od przymusowych robót w więzieniach Zabajkalskich. Spisy mogły służyć planowanym zmianom.

Wreszcie: rok 1881 jest rokiem ważnym w rozwoju projektu kolonizacji obłaści jakuckiej. W tym to roku gubernator jakucki przypomina wyższym władzom przesłany im przed blisko trzema laty projekt dotyczący założenia na ziemiach jakuckich kolonij, w których kolonizatorami mieliby być zesłańcy. Może spisy sporządzono w związku z tym projektem.

Można więc chyba przyjąć, że spisy miały być materiałem dla jakichś nowych decyzyj rządu carskiego. I może w tym znajduje się wyjaśnienie, że są one takie, jakie są.

Po spisaniu relacji postanawiam jeszcze raz podjąć próbę skorzystania z notatek zatrzymanych w Archiwum na skutek rozporządzeń kierownika; pragnę uzupełnić je szczegółami, które utrwaliłem w notatkach, a więc których pamięć nie przechowała w postaci ścisłej.

Natykam się na nową przeszkodę. Kierownik czyni zastrzeżenia. Długo nie mogę zrozumieć ich treści. W końcu udaje mi się: moje notatki mają być przełożone na język rosyjski, poddane jego przejrzeniu, i tylko to, co uzyska jego zgodę na opublikowanie, może być opublikowane; aż do decyzji nie mogę z nich korzystać.

Z takiego postawienia sprawy mogę wyciągnąć tylko jeden wniosek: kierownik nie życzy sobie mojej pracy nad tomem. Inaczej jego żądań rozumieć nie można.

— Wobec tego może najwłaściwszym będzie...

Zdanie miało kończyć się słowami: zaniechać pracy. Ale zmieniam bieg myśli:

— Chyba przerwę pracę i tylko poproszę, aby wasza pracowniczka, która uprzejmie czytała mi teksty, poczyniła z tomu wypisy według dokładnego kwestionariusza, który pozostawię.

— Właśnie, właśnie, to będzie najlepiej.

I błogi uśmiech zagarnia całą twarz kierownika. Jeszcze przyrzeka, że rzecz wykonana będzie pod jego kierownictwem, że elaborat będzie starannie przepisany na maszynie, że skrypt będzie dostarczony mi do hotelu, a gdyby mnie już w Jakucku nie było, pod wskazanym przeze mnie adresem.

W czasie opracowywania kwestionariusza współpracowniczka i jej koleżanka mają miny zażenowania. Daje się słyszeć niedokończone zdanie:

— Wiecie, nasz kierownik...

Dopiero po dobrym przetrzymaniu pauzy obie na przemian wypowiadają zgodne myśli: że nie nadaje się on na swe stanowisko, że za mało jest pracownikiem naukowym. I ze zgodnym zadowoleniem podają wiadomość, że wkrótce nastąpi zmiana na tym stanowisku, że z Moskwy jedzie już nowy kierownik, z należytym przygotowaniem zawodowym.

Skądinąd dowiaduję się, że Krotow, autor książki o jakuckiej zsyłce, powziął zamiar opracowania nowego wydania, w którym uwzględni dokładnie polskich powstańców styczniowych, pominiętych całkowicie w pierwszym.

Czyżby te wiadomości wyjaśniały stosunek kierownika do mojej pracy w jego archiwum? Czyżby dzięki mojemu zajęciu się bagatelizowanym tutaj tomem poznano pomyłkę w ujmowaniu socjalnego charakteru powstania styczniowego i postanowiono tę pomyłkę naprawić?

No i moje zadanie jakuckie — załatwione. Mógłbym z Jakucka wyjechać.

Jakiś czas temu z innego powodu przedłożyłem prezydium Związku Polskich Patriotów prośbę o odwołanie mnie stąd. Spadły pierwsze śniegi, jeszcze nie gęste, jeszcze nie grube, ale tym bardziej podstępne. Poprzez okna, już podwójne i szczelnie oklejone papierem, widzę cieślę, jak hebluje deskę okryty ciepłą fufajką i czapką opadającą na uszy. Kobiety, zatrudnione w gospodarstwie hotelowym, choć już w zimowych walonkach, przebywają dziedziniec biegiem. Moja zarzutka letnia przestała być ochroną już nawet przeciw pierwszym jakuckim chłodom. Przyszła grypa, opuchem nadęło się dziąsło trawione wojenną awitaminozą. Wysłałem do Z. P. P. telegram. Odpowiedzi nie było. Wysłałem drugi. Odpowiedzi nie było.

Wysyłam telegram z zawiadomieniem, że moje prace tutejsze — zakończone.

Jaka będzie odpowiedź?

Wiatr tłucze w szyby okien, zły, wrogi. Jego tłuki są jak ciosy pięści.

Płytki, miękki śnieg miejscami podżarty błotem rozmoklizn, dźwiga na sobie odrętwiały świat. Deski płotów kreślą się w nim martwymi gnatami W powietrzu, szarym szarością nieba, roznoszą wrony czerń swych lotów.

Wtem biały gołąb:

Telegram.

Wzywa do natychmiastowego powrotu.

Czy znajdą się skrzydła, które wezmą mnie na siebie... bez biletu?

Myślę, że w ślad za gołębim telegramem nadejdą telegraficznie... pieniądze.

Nie nadchodzą.

Biuro aeroportu:

— Samolot poleci za 3 dni.

Już ma lecieć za 2 dni, a nie mam pieniędzy nie tylko na koszty podróży, nawet na opłacenie hotelowych zaległości.

Zarówno hotel, jak aeroport, załatwiam operując prestiżem jakim Z. P. P. cieszy się w Związku Sowieckim: uzyskuję kredyt.

---

27 września 1944

Jutro odlot.

Gdy pakuję walizki, gdy selekcjonuję i porządkuję papiery, opada mnie, jak zawsze w takich chwilach, myśl bilansująca. Jakież owoce pobytu, który jutro się kończy?

Główne zadanie, zadanie badacza śladów powstańczych, spełnione tylko częściowo. Wina cząstkowości — nie we mnie.

Jakutię w ciągu sześciotygodniowego pobytu ujrzałem w drobinach i pobieżnie. Jej teraźniejszość ukazała mi się tylko w nielicznych dziedzinach życia i to poprzez luźne spostrzeżenia i skrawki rozmów, jej przeszłość pozostała mi nieznaną niemal zupełnie i kwestie, które mi nasunęła, otrzymały odemnie odpowiedzi nie sprawdzone.

A cóż zdziałałem drogą moją, tą drogą która zagnała mnie do Jakucka? Wyjaśnią to najbliższe tygodnie, może miesiące. Cóż mi one przyniosą?

O LAICKIM TRAGIZMIE

TRAGIZM I MASKI TRAGIZMU

Niezmiernie rzadko nawet u bardzo wielkich pisarzy odkryć możemy poszczególne zdania, których by nikt inny poza nimi nie mógł napisać. Zdania, które wyrwane z tekstu, nie definiują wcale autora czy dzieła, ale w przeciwieństwie do abstrakcyjnych formuł dają nam jak gdyby bryłę ziemi ze świata pisarza. Zdaniem takim, które wszyscy ci, którzy dłużej czytywali Conrada, z nieomylną pewnością i bez cienia wahania jemu, i tylko jemu przypiszą, mogłyby być słowa, wyjęte z ostatnich rozdziałów „Lorda Jima": „Oboje z dziewczyną opanowali swój los. Byli tragiczni." Trudno o większą zwięzłość, o potężniejszą sugestię, płynącą z niedomówień i przemilczeń; zdanie to, które odsłania nam jedno z naczelnych zagadnień conradowskich — tragizm płynący z przyjęcia odpowiedzialności za los — nie od razu odsłonić nam może swój pełny i złożony sens.

W przedmowie do „Czasów Pogardy" André Malraux pisze o swojej książce: „świat takiego utworu jak ten, świat tragedii, to zawsze świat antyczny, człowiek, tłum, żywioły, kobieta, przeznaczenie. Sprowadza się do dwóch osób działających, bohatera i sensu jaki on nadaje życiu". Zbieżność tych dwóch zdań, a może jeszcze bardziej uderzająca trafność formuły Malraux, która obejmuje nie tylko „Lorda Jima", ale prawie całą twórczość Conrada, nie była i nie mogła być przypadkowa. Zbieżność ta uchodziła jednak niemal całkowicie uwadze. Nazywano co prawda niejednokrotnie tragiczną zarówno twórczość Conrada, jak i Malraux, ale w obu wypadkach określenia te zawierały odmienny sens i nie obejmowały istotnej wspólności postaw obu pisarzy. Potrzeba było dopiero lat grozy i walki, aby dramat moralny człowieka, dramat odpowiedzialności za los, dramat świadomego wyboru losu, stał się dla nas jasny, zrozumiały i przejmujący.

Wiara w istnienie naturalnego ładu, która dramatom ludzkim przydawała sankcję przyrodniczej konieczności, a dzieje człowieka zmieniała w etap historii naturalnej, wykluczała konflikt tragiczny, którego istotą była zawsze sprzeczność dwóch współistniejących porządków moralnych, bunt moralisty przeciwko

historii. Jeżeli prawem każdego rozwoju nie jest walka przeciwieństw, jeżeli człowiek jest istotą harmonijną i posłuszną prawom przyrody, wewnętrzny konflikt moralny jest przypadkiem, dramat ludzki — błędem poznania, omyłką w rachunku. Dobro i zło przemienia się w prawdę i fałsz, problematyka moralna utożsamia z doświadczeniem laboratoryjnym lub dyskusją logiczną. Powstają wtedy moraliści typu Gide'a, poszukujący po wszystkich częściach świata dziesięciorga przykazań, aby nazajutrz obalać je zarzutem nieprawdy.

Wolter, kiedy dowiedział się o trzęsieniu ziemi w Lizbonie, nie posiadał się z oburzenia i twierdził, że sprzeczne jest z elementarnym poczuciem zdrowego rozsądku. Mniej naiwny był już wiek dziewiętnasty, ale starał się najlepiej, jak umiał, zasypać przepaść dzielącą człowieka od natury. Czyniono to na dwa sposoby: racjonalność przypisywano nie tylko człowiekowi, ale i przyrodzie, lub też na odwrót widziano w człowieku jedynie istotę naturalną. Optymistyczny naturalizm ufał człowiekowi i naturze; wierzył w naukę, która potrafi uchronić ludzkość od większości nieszczęść, jakie dotychczas cierpiała, w zbawczy wpływ urządzeń społecznych, które poskromią i opanują krnąbrne instynkty człowieka i wreszcie w wartość biologicznej walki o byt, która najzdrowsze, a więc i najlepsze jednostki pozostawia przy życiu. Wierzono naprzód za Leibnitzem, że nasz świat jest najlepszym z istniejących, a potem za Heglem, że wszystko co racjonalne jest i rzeczywiste.

W tym uporządkowanym świecie, podobnym do dobrze funkcjonującego mechanizmu, mit postępu zajął miejsce Boga, sprawując rządy i nadając sens przemianom. Nowocześni chiliaści łudzili nadzieją mechanicznego raju, który zawdzięczać będziemy, niezależnie od naszej woli i naszego działania, automatyzmowi postępu. W świecie tym nie było miejsca na tragizm.

Stąd nawet ci nieliczni pisarze, których niepokoiło obumieranie tragizmu w literaturze europejskiej naszych czasów, zdawali się przewidywać możliwość odrodzenia tragedii jedynie w powrocie do postawy religijnej. Obok optymistycznego katolicyzmu istniał przecież zawsze pesymizm chrześcijański. Obok świętego Franciszka z Assyżu, dla którego cała natura wraz z człowiekiem śpiewa hymn radości na cześć Stworzyciela, Pascal ukazywał człowieka rozdartego wewnętrzną sprzecznością między potrzebą świętości a naturalną skłonnością do grzechu.

Przez dwa wieki jansenizm był niemal jedynym źródłem, jedyną w każdym razie tradycją literacką w kulturze europejskiej, skąd podskórny nurt pesymizmu chrześcijańskiego odzywał się tonem tragicznym. Baudelaire najpiękniejsze i najgłębsze karty zawdzięcza szamotaniom się Pascala o granicę łaski i miarę skażenia natury ludzkiej przez grzech pierworodny. Czyż spośród pisarzy współczesnych istotą twórczości Mauriaca nie było nadanie jakiejś możliwej dla niewierzących interpretacji psychologicznej słynnemu zdaniu Baudelaire'a z „Dzienników intymnych": „W każdym człowieku tkwi w każdej chwili równoczesny pociąg z jednej strony do Boga, z drugiej do Szatana". Czyż książki Bernanosa nie są tylko złagodzeniem innej myśli Baudelaire'a: „Istotą

prawdziwej cywilizacji nie jest gaz, ani para, ani stoliki wirujące. Tkwi ona w zmniejszaniu się śladów grzechu pierworodnego".

Jeżeli może nadejść czas królestwa bożego na ziemi, dola człowieka nie jest tragiczna. W dogmatycznym katolicyzmie wszechmoc Boga ogranicza panowanie zła; pesymizm chrześcijański, tak długo póki nie popada w herezję, powiększać może tylko skłonność do grzechu, tkwiącą w naturze ludzkiej, ograniczać działanie łaski, utrudniać walkę o zbawienie, powtarzać za Eklezjastą, że próżne są marzenia człowieka o osiągnięciu szczęścia na ziemi. Końcowy rozrachunek nigdy nie jest tragiczny, rozstrzygnięcie dramatu przynosi Sąd Ostateczny.

Ale pisarzom, urzeczonym przez mit wygnania z raju, ujarzmionym przez powszechność grzechu, nie łatwo było ustrzec się herezji. Pozostawali w świecie chrześcijańskim, ale obalali hierarchię, demonom przyznawali władztwo nad światem. Koniec dziewiętnastego wieku przyniósł nowy rodzaj literackiego katolicyzmu, który... straszył, ożywiał śpiące dotąd maszkary na dachach gotyckich kościołów, ukazywał jak szatan czai się za postępkami ludzkimi. Oczywiście, ten łudzący pozorami tragizmu demonizm „fin de siècle'u" robiony był, jeżeli pominąć nawet olbrzymi wkład świadomych mistyfikacyj, tylko przez pół na serio. Dziś już wiemy, że owe „czarne msze" literackie były jedynie nałożeniem masek symbolów chrześcijańskich na świeżo obudzoną wiarę w twórczą moc instynktów, w grę irracjonalnych sił, które stanowić miały o niepochwytnej a jedynie rzeczywistej prawdzie życia.

Zarówno „litanie do szatana", jak i „naga chuć rządząca światem", zarówno „kosmiczna wola zniszczenia", co zdanie Gide'a, że „nie ma prawdziwego dzieła sztuki bez współpracy demona", były pierwszym groźnym objawem w kulturze europejskiej, rozbudzonej przez filozofów niewiary w świat obiektywnych wartości, w świat stworzony i kierowany przez rozum. Były to oczywiście jeszcze wtedy marginesy literatury, ale świadczyły dostatecznie wyraźnie o bliskim już załamaniu się dotychczasowego modelu człowieka. Na dobry dziesiątek lat przed „Wstępem do psychoanalizy" Freuda, literatura odkryła i uwielbiła „podświadome". Zawiodła jedynie próba jego ochrzczenia, po raz ostatni zwyciężył naturalizm; szatan, który straszył w otchłaniach duszy ludzkiej, ustąpić musiał kompleksom o pięknych nazwach bohaterów greckiej tragedii.

W kilkanaście lat później, niemal że bezpośrednio po wojnie, zyskiwać sobie zaczął popularność nowy rodzaj tragizmu, który tym razem odsłonił od razu swoje polityczne oblicze. Zawdzięczał on swoje powstanie dziwnemu aliażowi intuicyjnej filozofii Bergsona z egzystencjonalistami szkoły Heideggera, nowemu i niespodziewanemu przymierzu wszelkiej maści irracjonalistów typu Spenglera, wróżących zagładę kulturze zachodniej, z katolikami jak Massis, z mistykami jak Bierdiajew, ukazującymi drogę ocalenia w powrocie do średniowiecza. Pierwszy obraz tych nowych dążeń odnaleźć możemy w postaci jezuity Naphty z „Czarodziejskiej Góry" Tomasza Manna. Tylko nieliczni, w dyskusjach, prowadzonych w zacisznym szwajcarskim sanatorium, dostrzec

umieli groźne prolegomena historii Europy naszych dni, pierwsze starcie dwóch koncepcyj życia i człowieka, dwóch postaw moralnych. Nad mieszczańskim *homine oeconomico*, zadufanym w sprawiedliwość naturalnego porządku, pogodzonym z życiem i w pogodzeniu tym widzącym ideał szczęścia, górował zdobywczą pasją augustiański *homo Dei*, rozdarty wewnętrzną sprzecznością między światem zmysłowym a nadzmysłowym, pomiędzy Bogiem a naturą, walczący o zbawienie duszy. Ale nowa ewangelia, jaką głosił Naphta, nie była ewangelią miłości. „Tajemnicą i nakazem czasu" — syczał w ucho Settembriniemu garbaty jezuita — „nie jest wyzwolenie i rozwój jednostki. Ona żąda, ona chce, ona pragnie sobie stworzyć terror".

Mit postępu okazał się złudzeniem. Nowi nauczyciele Europy „głodu, faszyzmu i wojny" szukać musieli winnych. Ktoś musiał ponieść odpowiedzialność za zło. Szatanowi, który krył się dotąd w pożądliwościach ciała i otchłaniach duszy, przypisano teraz, jako jego diabelski twór — kulturę. Nowi nauczyciele obarczyli winą rozum, który na miejsce jedynej prawdy samego życia postawił abstrakcyjny i sztywny świat wartości i norm. Przyznano teraz niewinność pierwotnej naturze człowieka, po raz drugi od czasów Russa proces wytoczono cywilizacji. W imię nowych mitów krwi i rasy zaufać należało tylko instynktom, zawierzyć się falom życia, odnaleźć w sobie więź wspólnoty plemiennej i sławić wyzwalającą moc czynu, który tworzy i stanowi o wszelkiej wartości. Ubóstwić za Blakem „energię, która jest jedynym życiem; energię, która jest wieczną rozkoszą!"

Tymczasem Naphta coraz namiętniej krzyczał — „wszelki sąd kary i krwi, nieusprawiedliwiony wiarą w zaświat, jest bydlęcą niedorzecznością". Jeszcze tylko miecza kościoła wojującego i mistycznego aparatu inkwizycji brakowało apologetom idących czasów zniszczenia. Nie wiedział zapewne Naphta, że powtarza jedynie słowa Baudelaire'a: „Kara śmierci jest wynikiem idei mistycznej, zgoła dziś niezrozumiałej. Kara śmierci nie ma na celu zbawienia społeczeństwa, materialnie przynajmniej. Ma na celu zbawienie duchowe społeczeństwa i przestępcy. Żeby odkupienie było doskonałe, konieczne jest przyzwolenie i radość ze strony ofiary..."

Wiara w moc pierwotnych sił, drzemiących w naturze ludzkiej, nie mogła na długo wystarczyć. Kiedy nadszedł czas wielkiej rzezi przywołano jako ostateczne i końcowe usprawiedliwienie — Boga, Boga zastępów germańskich. Na posiedzeniu Reichstagu, Hitler, zdając sprawę ze zwycięstwa nad Polską, powiedział: „Ich habe sie geschlagen mit Mann und Ross und Wagen". Cytat ten ze Starego Testamentu przyjęto śmiechem. Zbyt długo szydzono z Pisma Świętego, aby nawet ci, którzy uznali się za wodzów nowej krucjaty, zrozumieć mogli konieczność odwołania się do sprawiedliwości pozaludzkiej, do wiary w zaświat.

Tylko poeci zdawali sobie z tego sprawę. Na parę lat przed wojną znalazła swój wyraz w literaturze nowa postawa duchowa, która omamiła nas wszystkich pozorami tragizmu. Był nią katastrofizm. W przyrodzie dojrzano ten sam obraz chaosu, jaki opanował świat człowieka. W rozbitym na wrażenia

i odartym z sensu świecie natury umieszczono bezradną jednostkę ludzką. Roztaczano przed naszymi oczyma apokaliptyczne wizje nowego potopu, samowolnie wiązano ze sobą kształty, barwy i dźwięki, abyśmy w świecie wyzwolonym z praw rozciągłości i ciążenia nie mogli znaleźć żadnego oparcia dla myśli. Tragizm jednostki, która przeżywała dramat dziejów, rezygnując z jego zrozumienia i opanowania, znalazł swoje ujście w tęsknocie, w przyzywaniu niemal chwili ostatecznej zagłady i pełnego rozkładu wszystkiego, co żywe i trwałe. Po filozofach, którzy wyszydzili świat, uporządkowany przez rozum, poeci podjęli się, użyjmy słów Conrada — „znieprawiać wyobraźnię, która buduje ostateczne pojęcie życia i śmierci!"

W przeciwieństwie do pisarzy, ratujących się wiarą w zaświat, świat Conrada i Malraux jest światem rzeczywistym, światem jedynym, w którym całą odpowiedzialność za zło i dobro ponieść musi człowiek. „...Natchnienie" — pisał Conrad w tomie „Ze wspomnień" — „przychodzi od ziemi, która ma przeszłość, historię, przyszłość, nie zaś od zimnych i niewzruszonych niebios". I dalej: „sumienie i głębsze wyczucie rzeczy sprawiedliwych i niesprawiedliwych określają postawę pisarza wobec świata". Dążenie do „wymierzania sprawiedliwości widzialnemu światu", branie odpowiedzialności za życie, ukazywanie wielkości człowieka w świadomym wyborze losu, w walce z naporem ślepych namiętności i żywiołów, wyróżnia może najbardziej postawę Conrada i Malraux spośród pisarzy im współczesnych, którzy w jedynej trosce o wierność wobec mechanizmów psychicznych, rezygnowali z moralnej oceny czynów ludzkich.

Jeżeli w czasie długich nocy wojennych, kiedy „ostatnie szczątki wiary, nadziei i miłości, a nawet samego rozumu, wydawały się bliskie zaniku", sięgaliśmy po książki Conrada, po „Dolę człowieczą" i „Nadzieję" Malraux, to przecież nie tylko po to, aby szukać zapomnienia i dać się urzec wizjom, „budzącym grozę, uwielbienie lub nienawiść". Conrad, Malraux — niewątpliwą wielkość, wzrastające coraz bardziej znaczenie pośród pisarzy zachodu zawdzięczają przecież nie tylko darowi narracji, potędze wizji, czy choćby nawet pogłębieniu naszej wiedzy o życiu. Na gruzach pozytywistycznych wierzeń w sensowność świata, Conrad — ostatni moralista mieszczaństwa, Malraux — może pierwszy pisarz naprawdę współczesny, próbowali ocalić pojęcie człowieka, szukali rozpaczliwie wartości ostatecznych, które by usprawiedliwiały i nadały godność życiu ludzkiemu. Szukali rozpaczliwie... czymżeż był bowiem innym tragizm laicki, jak niemożnością wyrażenia pełnej zgody na rzeczywistość, zawierzeniu historii, moralnego przyjęcia świata takim, jakim jest.

Świat ten jest jednak jedyny. Jeżeli konflikt obowiązków moralnych jest nieunikniony, jeżeli „dla człowieka, który myśli" — jak pisze Malraux — „życie jest sprawą tragiczną", a „żyć w imię moralności jest zawsze dramatem", jeżeli „splot przeciwieństw w naturze ludzkiej samej miłości" — jak pisze Conrad — „nadaje niekiedy rozpaczliwy wygląd zdrady", a „najbardziej gorzkie sprzeczności i najokropniejsze powikłania lęgną się w każdej piersi zdolnej

do uczucia i namiętności" — w imię jakich wartości bronić się można przeciwko zwątpieniu i rezygnacji?

Jeżeli jakakolwiek postawa, jaką przyjmie człowiek, prowadzić musi do klęski, jeżeli mądrzy gorzką mądrością doświadczenia Heyst i Jim, ścigający bohaterską wizję życia, o jakiej zamarzył w dzieciństwie, i odważny, a tak romantyczny kapitan Lingard — przegrać muszą walkę z losem, jakżeż wierzyć w sens porządku ludzkiego i przystać na dolę człowieczą?

I teraz dopiero nowego, pełniejszego sensu nabiorą dla nas, przytoczone na wstępie, słowa Conrada z Lorda Jima: „Oboje z dziewczyną opanowali swój los. Byli tragiczni" i słowa Malraux: „Świat tragedii, to zawsze świat antyczny — człowiek, tłum, żywioły, kobieta, przeznaczenie. Sprowadza się do dwóch osób działających — bohatera i sensu, jaki on nadaje życiu".

W pojęciu losu, ślepego, bezlitosnego i zwycięskiego, z którym Conrad każe daremnie zmagać się swym bohaterom, trudno nie dostrzec przeniesionego w dziedzinę pojęć etycznych przekonania o zasadniczej irracjonalności świata. Wszelki akt wyboru staje się wtedy tragiczny. Walka w obronie wartości moralnych toczy się nie tylko z pełną świadomością nieuniknionej klęski, ale również w głębokim przeświadczeniu, że dla wartości tych próżno szukać uzasadnień w prawach rozwoju społecznego. Postawa ta prowadzić musi nieuchronnie do przyjęcia, jak u Conrada, heroizmu śmierci, jako najwyższej wartości życia i do oceny wszystkich czynów ludzkich, jak to czynił wielokrotnie Malraux — miarą gotowości przyjęcia śmierci. Bohaterowie Conrada działają, aby żyć, umierają, aby usprawiedliwić życie.

W czasie pierwszych lat okupacji, kiedy wróg zaczął zabierać nam bliskich, postawa ta często wydawała nam się najsłuszniejszą. Stopniowo jednak wszyscy zostaliśmy spoufaleni ze śmiercią. Każdy z nas nie jeden raz umierał, nie jeden raz oczekiwał śmierci. Nauczyliśmy się nią gardzić. Zrozumieliśmy, że nie każda śmierć jest sobie równa — nie każda śmierć godna szacunku. Nauczyliśmy się zamiast oceniać życie miarą śmierci, oceniać śmierć miarą życia, miarą postępu i wtedy odeszliśmy od Conrada. Poza heroizmem śmierci istnieje heroizm czynu i myśli, heroizm czynu, który zwycięża, który zmienia oblicze świata, heroizm myśli, która nim kieruje, która nigdy nie zgodzi się przystać na rezygnację z pełni poznania.

Wymierzenie „najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu" możliwe jest tylko wtedy, kiedy zamiast biologicznego świata narodzin i śmierci, zamiast samotnej ludzkiej jednostki, poddanej niezmiennym prawom naturalnego porządku, dojrzymy świat historii, świat wartości, w którym i którym naprawdę żyje człowiek. Świat wartości jest światem społecznym. Świat społeczny jest dostępny poznaniu. Nie rządzi nim mściwy i nieubłagany los. Stworzony został przez ludzi i od woli ludzkiej zawisł. Obrona świata wartości przestaje być wtedy heroicznym aktem arbitralnego wyboru, staje się zrozumieniem i przystaniem na prawa zbiorowości, do której się należy, do której chce się należeć.

Czymżeż jest wtedy wolność człowieka? „Właściwą mądrością" — pisał Con-

rad — „jest pragnąć tego, czego chcą bogowie, nie wiedząc może nawet, czego oni chcą, czy mają w ogóle jakie pragnienia". Ale owa przyrodnicza, pozaludzka konieczność nie rządzi światem historii, światem społecznym. „Czymżeż jest wolność człowieka" — czytamy u Malraux — „jeśli nie świadomością i zorganizowaniem jego przeznaczeń?" Człowiek tworzy historię, człowiek może ją tworzyć świadomie. I dlatego ostateczną konsekwencją postawy laickiej musi być uznanie wyroku historii za jedyną miarę życia i śmierci, za jedyną miarę czynów ludzkich.

TRAGICZNE WIDOWISKO

La chair est triste! hélas! et j'ai lu tous les livres,
Fuir! Là-bas fuir! Je sens que les oiseaux sont ivres
D'être parmi l'écume inconnue et les cieux...

Ciało jest smutne, biadaż! A wszystkiem przeczytał
Książki. Uciec! Daleko uciec! Czuć do syta
Jak pijane są ptaki wśród nieba i wody!
I nic — ni stare w oczach odbite ogrody —
Nie wstrzyma tego serca, co morzem oddycha.
O nocel Ani lampy mojej światłość cicha
Nad pustą kartą, której strzeże biel okrutna,
Ani karmiąca dziecię młoda żona smutna.
Odjadę! Łódź o żaglach, co na wietrze grają,
Już podnosi kotwicę ku dalekim krajom!
Smętek cierpkich nadziei trapiony zalewem
Wzrasta jeszcze z ostatnim chusteczek powiewem!
I może właśnie maszty, prące w odmęt burzy,
Są z tych, którym wiatr znaczy rychły kres podróży,
Zagubionym, bez masztów, żyznych wysp miraży....
Lecz, o me serce, słuchaj śpiewu marynarzy![1]

Tęsknotę do ucieczki w kraje dalekie i nieznane, której tak przejmujący wyraz daje Mallarmé, przejmować i powtarzać się zdaje każda epoka znużenia cywilizacją. Dwa wieki przed Russem formować się poczęła na zachodzie wiara w przyrodzoną dobroć człowieka, niezepsutego przez błędy cywilizacji, żyjącego na łonie natury zgodnie z jej odwiecznymi prawami, nieznającego ani grzechu, ani własności, ani władzy. Mit o cudownych i szczęśliwych wyspach, ślady którego odnajdujemy jeszcze w średniowiecznych bajkach i opowieściach, odżył w okresie renesansu. Przydały mu nowych

[1] Przekład Ryszarda Matuszewskiego.

barw wierzenia starożytnych w pierwszy złoty wiek ludzkości. Odnaleziono prawdziwe, szczęśliwe wyspy. Kiedy misjonarze, korsarze i wszelkiego rodzaju awanturnicy wyruszyli do świeżo odkrytych Indii Zachodnich i Wschodnich, ujrzeli ku swemu nieopisanemu zdumieniu zamiast dzikich i okrutnych pogan gromadki łagodnych krajowców, żyjących jakby w stanie naturalnej szczęśliwości. W pamiętnikach i opisach przygód siedemnastowiecznych eksploratorów i zakonników, w „Listach budujących", które wydawały misje, propagując dzieło nawróceń, plączą się antyczne i chrześcijańskie mity. Łacińskim i greckim eklogom o szczęśliwym wieku ludzkości wtórują echem wersety Pisma Świętego o utraconym raju, o człowieku, który nie pożywał jeszcze owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego, o naturze nieskażonej przez grzech pierworodny.

Naiwni braciszkowie z zakonu Jezuitów i Franciszka nie przypuszczali, że ich szczere zachwyty nad przyrodzoną dobrocią instynktów pierwotnego człowieka wykorzystane zostaną przez niedobrych filozofów dla udowodnienia naturalnego pochodzenia wszystkich religii. Nie spodziewali się cenzorowie królewscy, że w opisach szczęśliwego życia krajowców południowych wysp, gdzie wszyscy są sobie równi i nieznane są przywileje urodzenia i majątku, mieszczańscy reformatorzy dojrzą nagle wzór naprawy dla „najbardziej chrześcijańskiego królestwa". Kiedy trzeci stan wystąpił do walki o nowy porządek świata, mit o szczęśliwych wyspach i przyrodzonych prawach człowieka stał się jednym z głównych filozoficznych argumentów, prowadzących do wykazania sztuczności i niezgodności z naturą więzów feudalnych.

Mit ten zagłuszony na przeciąg stu lat pojawił się z nową gwałtownością dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku, kiedy „nowy wspaniały świat" mieszczaństwa nie tylko, że zawiódł ludzkie nadzieje, ale po raz pierwszy został od wewnątrz poważnie zagrożony. Pierwsi kolonizatorzy byli purytanami, uznawali konieczność więzów moralnych, ograniczeń i wyrzeczenia, wierzyli w potęgę techniki, w wyższość cywilizacji. Imperializm XX-go wieku stał się bezwstydny, zrezygnował z wszelkich usprawiedliwień, żądał uwielbienia dla siły, energii i mocy. Mit pierwotności zwracał się tym razem przeciwko rozumowi i etyce, przeciwko wszelkim ograniczeniom i więzom, toteż kształt, w którym się ukazał, ulec musiał także zmianie. Zejście do piekieł duszy ludzkiej i podróż na szczęśliwe wyspy pozornie są tylko odległe od siebie. Mit o nieodkrytych i szczęśliwych wyspach, na których porządek moralny i społeczny opiera się na naturalnym prawie, gdzie ocalona została jakaś przedustawna harmonia między człowiekiem a przyrodą, odpowiada ściśle wierze w istnienie niezbadanych jeszcze głębin psychiki ludzkiej, świata instynktów i popędów, stłumionych przez rozum, których ostateczne wyzwolenie przywrócić może stan utraconej harmonii. Kult pierwotności w swej pierwszej i gwałtownej postaci prowadził do „podróży do piekieł", formą jego łagodną i na pół przysłoniętą była wyprawa na szczęśliwe wyspy.

Przywykliśmy patrzyć na Conrada jak na zjawisko artystyczne odosobnione

i nie wiążące się z epoką, która je wydała. Tragiczny kształt, jaki przybierały w jego utworach sprawy ludzkie, wyodrębniał go od współczesnych, ale twórczość Conrada, tak jak i wszystkich wielkich pisarzy jego pokolenia, wyrastała z załamania się wartości, w które wierzył wiek dziewiętnasty. W tym samym czasie, kiedy Conrad pisał swoje „Szaleństwo Almayera", młody Gide odbywał pierwszą podróż po Afryce. „Ziemskie pokarmy", które przywiózł ze swoich wędrówek, głosiły nową moralność — „życia" jako najwyższej wartości. Szło w tej książce o sprawy znacznie groźniejsze niż o znalezienie naturalnej sankcji dla nonkonformizmu seksualnego. Wołanie Gide'a „pójdź ze mną Nathanielu", na które odpowiedziało tylu młodych, było nową ewangelią absolutnej wierności wobec samego siebie, poddawania się wszystkim zmiennym porywom i przemijającym pragnieniom. Pełne rozwijanie własnej osobowości było jedynie zamaskowanym prawem do wyżycia się, wyżycia za wszelką cenę wbrew wszelkim ograniczeniom i więzom.

W tym samym czasie na dalekie wyspy Polinezji wyruszył malować Gauguin. Wystarczy przeczytać jego listy, umieć spojrzeć na obrazy, aby zrozumieć, że to jeszcze jeden marnotrawny syn cywilizacji zwątpił o jej wartości. Niebo nasycone mocnym granatem, ciepłe plamy słońca na czerwonych sarongach Malajek, wielkie, białe, baśniowe konie wśród soczystej zieleni traw ukazują nam świat niespłowiały jeszcze od spojrzeń, w siódmym dniu stworzenia, dniu narodzin, kiedy człowiek ujrzał go po raz pierwszy. Nie szukał Gauguin nowej harmonii ciepłych barw, ani jarmarcznej egzotyki pocztówek, lecz bajki o młodości człowieka, jaką snują pokolenia znużone cywilizacją. Świat, który ujrzał na dalekich wyspach, czyż nie był „widzianą w promieniach słońca powierzchnią życia, otwartą dla zwycięskiego pochodu nieokiełznanej woli", o której tylokrotnie pisał Conrad.

Ze wszystkich książek Conrada „Ocalenie" jest najpiękniejszą i zarazem najbardziej tragiczną próbą ucieczki na szczęśliwe wyspy, w świat młodości człowieka. Czyż w postaci króla Morza — kapitana Lingarda nie przejawia się tęsknota za utraconą w cywilizowanym świecie pełnią życia, czyż nie odżywa w niej romantyczny mit zbójcy czy korsarza naprawiającego na własną rękę niesprawiedliwości świata. „Urok życia poza prawem rozciągał się nad nim" — pisze Conrad — „jak niebo nad morzem, zbiegając się ze wszech stron w jednolity widnokrąg. W kole tym krążył samotny, niebezpieczny i romantyczny. Był zdolny do przestępstw, poświęceń, uwielbienia, tkliwości i skupionego szaleństwa".

Podróż na szczęśliwe wyspy jak i zstąpienie do piekieł odbywa się w pogoni za pełnią życia. Podróże te odbywają tylko zdobywcy. Mit czynu obu przyświeca podróżom. Stąd może za Conradowskim Lingardem, który na pytanie, o co mu idzie, odpowiada „o królestwo", powtórzy któryś z bohaterów „Drogi Królewskiej" Malraux — „Być królem — to głupstwo, stworzyć królestwo — to coś znaczy!" Dzieje straconego królestwa Hassima i Immady i niezmordowanych wędrówek najwierniejszego z posłańców Dżeriffa z pierścieniem — symbolem przyjaźni — są przecież jedynie pełną wielkiego czaru, poezji i odro-

biny niedorzeczności baśnią z czasów młodości człowieka, wschodnią baśnią, przeniesioną nagle i niespodziewanie w świat rzeczywistych okrętów, prawdziwych armat i niezmiennych praw nawigacji. Conrad nadaje tymczasem przedsięwzięciom Lingarda cechy heroicznej opowieści: „Żadna wizja podbitego świata nie mogła być bardziej porywająca dla najznakomitszego ze zdobywców znanych w historii... Ślepa gwałtowność, z jaką dążył do celu, nadawała niejasnemu planowi podboju proporcje wielkiego przedsięwzięcia... Cóż z tego, że opowiadający był tylko błędnym marynarzem, królestwo — dżunglą, a ludzie — mieszkańcami lasów, o których nikt nie słyszał. Wielkość idei opanowała prostą duszę tego człowieka". Baśń o wygnanej malajskiej królewnie, bracie jej królewiczu i ich wiernym słudze dzieje się w świecie rzeczywistym. Kiedy na mieliźnie wiodącej na Wybrzeże Zbiegów osiada okręt, wiozący białych ludzi w podróż dookoła świata, zmierzą się ze sobą — świat cywilizowany i baśń z czasów młodości człowieka.

I oto w narastającym konflikcie uczuć świat baśni okazuje się niespodziewanie bardziej prawdziwy, bardziej rzeczywisty, bliższy „nagiej prawdzie bytu". Conrad idealizował Lingarda i jego malajskich przyjaciół, ale dla naszych rozważań obojętny jest stopień etnograficznej wierności. Świat malajski był przecież dla autora „Szaleństwa Almayera" jedynie ucieleśnieniem marzeń o zagubionej mocy, prostocie i pełni ludzkich wzruszeń, był wyrazem tęsknoty za utraconą bezpowrotnie głębią i czystością uczuć. Dopiero z chwilą pojawienia się Lingarda i jego przyjaciół przed bohaterką „Ocalenia" panią Travers odsłania się prawdziwa istota życia. „Wypadki popołudnia" — czytamy — „uwypukliły się w pamięci pani Travers jak nieśmiertelna legenda. Wyglądały tajemniczo, ale czuła niezbicie, że są na wskróś prawdziwe. Były przejawem uczuć prostych i potężnych, jakie zapewne targały ludzkością w młodzieńczych, naiwnych jej dniach. Pani Travers pozazdrościła na chwilę losu tej siostrze skromnej i nieznanej. Nic nie stało między tą dziewczyną a prawdą jej uczuć. Mogła być z całą szczerością odważną, i tkliwą, i namiętną — i nawet okrutną. Dlaczegóżby nie okrutną? Mogła przeniknąć całą prawdę zgrozy — i miłości — do dna, bez sztucznych pęt, nie narzucając sobie dotkliwego przymusu... Serce jej rozszerzyło się na chwilę tęsknotą za nagą prawdą rzeczy, nagą prawdą życia i namiętności, przywaloną ciężarem stuleci".

Mit naturalnego człowieka za czasów Russa broni uczuć prostych, łagodnych i tkliwych, mit pierwotności w początkach naszego wieku był pierwszą, jeszcze niezupełnie świadomą apologią nieokiełznanej mocy i jawnego gwałtu. „Niech pan ich zostawi" — woła pani Travers parę kart dalej w „Ocaleniu" — „niech pan się nie wtrąca. Ach! to coś prawdziwego — to gniew! Nareszcie coś co jest istotne!"

Któż w opanowanym Conradzie podejrzewać mógłby istnienie tęsknot bliskich Przybyszewskiemu, który karłowatemu światu uczuć w niewoli rozumu przeciwstawiał prawdę o „nagiej duszy" człowieka. A jednak pozornie odległe zjawiska artystyczne tej samej epoki upływ lat upodabnia do siebie i pozwala w nich dojrzeć odblask tych samych zwątpień. „Pani Travers" — czytamy —

„rozpatrywała Lingarda poza nawiasem społecznej organizacji. Odkryła, że nie ma tam dla niego miejsca. Jakież to zachwycające. Oto ma przed sobą ludzką istotę, a naga prawda bytu nie jest tak od niej odległa pomimo nalotu wieków". Bogowie noszą różne nazwy: nadczłowieka, nagiej duszy, nagiej prawdy bytu, nieokiełznanej woli, — mitologia jest tylko jedna.

Z tragicznego świata Conrada nie ma jednak ucieczki nawet i na szczęśliwe wyspy. Baśń Lingarda z czasów młodości człowieka osądzona zostaje tak jak przedtem podróż do piekieł z „Jądra Ciemności". W zapasach kruchego świata wartości moralnych z niszczącym naporem żywiołów i namiętności, w chwili, kiedy wielkość i intensywność przeżyć stają się miarą i celem życia, runąć musi porządek wartości. W zawrotnej chwili pełni, o której doznaniu marzył Gide w „Ziemskich pokarmach", dojrzy Conrad klęskę człowieka, poddanie się prawu natury, zwycięstwo ślepego losu. Do tych granic ludzkiego doświadczenia prowadzi Conrad Lingarda: „Usiłował odzyskać władzę nad sobą, nad sobą, jakim był przedtem, kiedy miał w życiu coś do zrobienia, kiedy mówił do ludzi i słuchał ich słów. Ale to było za trudno. Urzekło go potężne poczucie egzystencji, o wiele wyższej nad zwykłą świadomość życia, egzystencji, której niepodobna było udźwignąć — ogromu przeciwieństw, rozkoszy, zgrozy, radosnych uniesień i rozpaczy — a której uniknąć się nie dało. Nie było w tym wszystkim spokoju, ale któż pragnie spokoju? Lepszym jest poddanie się losowi — boska pustka w duszy i straszliwa błogość opieszałego ciała, zagarniętego przez olbrzymią falę. Jeżeli to jest istnieniem, wówczas Lingard wie, że istnieje. I wie, że ta kobieta istnieje również, porwana tym samym prądem, istnieje bez słowa, bez ruchu, bez zapału. Niezniszczalna — i może nieśmiertelna". Po nocy, podczas której Lingard przeżył zawrotną chwilę pełni, wczesnym świtem bryg wylatując w powietrze unosi ze sobą świat przyjaciół Lingarda, świat wartości — honoru, poświęcenia, miłości i walki, świat, którym żył dotychczas. Baśń z czasów młodości człowieka przestaje istnieć i ziemia przestaje być „widzialną w promieniach słońca powierzchnią życia, otwartą dla zwycięskiego pochodu nieokiełznanej woli". W świecie rzeczywistym zostaje tylko samotny okręt i równie samotny jego dowódca, który już nigdy nie będzie wiedział dokąd i po co ma płynąć.

Morskiej trylogii złożonej z „Szaleństwa Almayera", „Wyrzutka" i „Ocalenia", którą spaja w całość postać Lingarda, odpowiada wśród utworów, w których akcja rozgrywa się na stałym lądzie, najdłuższa z powieści Conrada „Nostromo". Osnuta jest na tle przemian politycznych i gospodarczych południowoamerykańskiej Republiki Costaguana. Dzieje „pięćdziesięciu lat nierządu" opowiada Conrad z taką zaciekłością i wewnętrzną pasją, jakby rozprawiał się z widmem bliskiej mu przeszłości, jakby załatwiał jakiś osobisty porachunek, a nie beznamiętnie i sucho kreślił historię półfantastycznego państwa za Oceanem. Jest rzeczą zastanawiającą, że krytycy, badający zagadnienia polskości Conrada, nie zwrócili dotąd uwagi na Republikę Costaguana, której „polityczne przemiany były dla normalnego Europejczyka niezrozumiałą, na przemian straszliwą

i groteskową farsą, której brać niepodobna na serio". Pomińmy jednak milczeniem możliwość tej czy innej genezy „Nostromo".

Jest to może najtrudniejsza, może najbardziej nieudana, ale na pewno najbardziej ambitna spośród wszystkich powieści Conrada. Zdumiewa szerokością horyzontów, kłębi się od postaci i zagadnień. Akcja powieściowa u Conrada zwykle tak dramatyczna, skupiona i jednolita, tutaj rozlewa się szeroką falą, zatraca się chwilami, potem z trudnością odnajduje; powieść rozrasta się niby olbrzymi fresk, obejmuje jak w „Komedii ludzkiej" sprawy wszystkich warstw i stanów, odtwarza machinacje polityczne, uroszczenia arystokracji, dążenia ludu, grę interesów materialnych. Są w tej powieści, napisanej w roku 1904, karty nie ustępuje Balzakowi, poczęte w jakimś wizjonerskim realizmie, nie wiadomo z jakich doświadczeń, karty wyprzedzające rzeczywistość, których modelem mogłyby być jedynie dzieje międzywojennych lat Europy.

Myślę przede wszystkim o stronach poświęconych budzeniu się zapędów dyktatorskich u jednego z drugorzędnych generałów ludowego stronnictwa Costaguany, o przywileju chamstwa przyznanym jednogłośnie wybitnym ludziom czynu. Zacytujmy: „Nieokrzesany bohater wojskowy stronnictwa poddawał się wprawdzie w głębi duszy potędze wrażeń, jaką mu przyniosła nagła nowość i dostojeństwo jego stanowiska (nie był przedtem nigdy na pokładzie okrętu a morze widywał tylko z daleka), ale instynktownie wyczuwał korzyści, jakie zapewniała mu prostacka, pewna siebie postawa dzikiego wojownika wśród tych wytwornych arystokratów. Lecz co to znaczyło, że nikt nie patrzał na niego? Dziwił się. Dziwił się i gniewał. Toć umiał czytać i wiedział z dzienników, że dokonał największego czynu wojennego naszych czasów..." Niestety zbyt długo i zbyt blisko oglądaliśmy żywą postać dyktatora z conradowskiej Costaguany: „Generał Montero podniósł się, brzękając stalową pochwą i błyskając pozłotą swej wygalowanej piersi. Rękojeść potężnego szabliska wyjrzała spod stołu u jego boku. W swym wspaniałym mundurze, ze swym byczym karkiem, haczykowatym, przypłaszczonym na końcu nosem i obwisłymi wąsami, wyglądał jak przebrany, złowrogi Roquero. Gromki jego głos miał dziwnie szorstkie i bezduszne brzmienie. Wyjąkał ponuro kilka zdawkowych frazesów, podźwignął nagle swój wielki łeb i huknął opryskliwie na cały głos: — „Honor ojczyzny spoczywa w rękach armii".

Prezydent tego dalekiego państewka, liberał i demokrata, podzielać będzie także jedno ze złudzeń, z których ocknęliśmy się wszyscy zbyt późno. „Don Vincento, doktór filozofii uniwersytetu w Cordobie zdawał się mieć wygórowane poszanowanie dla uzdolnień wojskowych, których zagadkowość na pozór zupełnie niezależna od intelektu, oddziaływała na jego wyobraźnię". Może jeszcze dla pełni obrazu, dla ukazania jak ów fresk realistyczny raz po raz przeistacza się w groteskę, jak tryumfuje nagi bezsens porządku społecznego, warto przytoczyć obraz polityka i agitatora wojskowego stronnictwa: „Kiedy spostrzegł, że wszystkie oczy zawisły na jego ustach, jął wykrzykiwać jakby katalog wszelkich doskonałości: wielkoduszny, waleczny, ludzki, głęboki (wywijał kapeluszem entuzjastycznie) — mąż stanu, niezwyciężony wódz po-

wstańców... Po czym jakby szarpnięciem stłumił swój głos i nadając mu głębokie brzmienie, zakończył — i dentysta!"

Wiemy, że jednym z najgłębszych przeświadczeń Conrada była niewiara w zmienność natury ludzkiej. Stąd płynęła jego trwała niechęć dla wszelkich usiłowań naprawy porządku społecznego, wrogość wobec socjalizmu, wstręt do rewolucjonistów, i nieukrywana odraza wobec ufających w postęp wiedzy proroków naukowej utopii. W przytoczonym za książką Ujejskiego fragmencie listu Conrada z okresu pisania „Nostromo" czytamy: „G. B. S. (Shaw) z H. G. W. (Wells) kopią grób dla indywidualnych temperamentów z pełną nadziei gorliwością. Mogą oni wiele zdziałać w tym kierunku, ale ja wierzę jeszcze w ocalenie świata, pokładając wiarę w potędze głupoty". I trudno może znaleźć ostrzejsze przeciwstawienie dwóch poglądów na świat, jak porównanie zdania Lenina: (cytuję na wiarę i odpowiedzialność autorów „Małego Słownika Nadrealizmu"): „Nadejdzie czas, że publiczne ubikacje budować będziemy ze złota" z innym fragmentem tego samego listu Conrada o utopii socjalistycznej, która stanie się „nudnym światem doskonałych municypalności i W. C. sans peur et sans reproche".

W „Nostromo" wytacza Conrad proces wszystkim wierzeniom optymistycznym. Ukazuje nam na chwilę świat, jakby przeniesiony żywcem z jakiejś wczesno pozytywistycznej powieści, aby go potem zdruzgotać i dowieść jego zasadniczego fałszu. Zakończeniem powieści są dzieje kopalni srebra, której odbudowa przy pomocy międzynarodowego kapitału zapewnić ma nieszczęsnej Costaguanie erę dobrobytu, bezpieczeństwa, sprawiedliwości i pokoju. Jedna z naczelnych postaci Charles Gould wierzy w dobroczynne skutki porządku materialnego, inni pokładają ufność w dobroci i szlachetności ludu, lub przypisują moralną wartość walce o niezawisłość narodową. I oto cały ten świat szlachetnych pragnień, rozsądnych dążeń i praktycznej działalności przemienia się w niezrozumiałe widowisko, w którym grający aktorzy nie zdają sobie sprawy z próżności ludzkich wysiłków wobec nieodpartego zła porządku naturalnego.

„Nie ma spokoju ni nie ma wytchnienia" — pisze Conrad w zakończeniu powieści — „w rozwoju interesów materialnych. Mają one swe prawa i swą sprawiedliwość. Ale opierają się na pozorach i są nieludzkie. Są pozbawione prawości, ciągłości i siły, które można znaleźć tylko w zasadzie moralnej. Nadchodzi czas, że wszystko, co przedstawia koncesja Gouldów zaciąży na ludzie równie nieznośnie, jak barbarzyństwo, okrucieństwo i nierząd sprzed kilku lat..." W tym prymacie materialnego świata nad światem ludzkich wartości odnaleźć by można pozornie odbicie myśli marksistowskiej o bycie organizującym świadomość. Ale to także jest tylko złudzeniem. „Nostromo" nie dorasta do epopei, w której jak w „Komedii ludzkiej", zasadniczy sens porządku społecznego zostaje ocalony. Bohaterowie powieści ulegają nieodpartej zdradzie świata zewnętrznego, nieuniknionemu fatalizmowi zła, które ciąży nad każdym ludzkim czynem. „Było coś swoistego w koniecznościach pomyślnego działania" — mówi żona właściciela kopalni — „co pociągało za sobą moralne obni-

żenie idei". „Widziała górę San Tomé, która zawisła nad Campo, nad całym krajem, bogata, szerząca postrach, znienawidzona, bezduszniejsza od każdego tyrana, bezlitośniejsza i bardziej samowładna od najgorszego rządu, gotowa do zmiażdżenia nieprzeliczonych istnień dla rozprzestrzenienia swej potęgi".

Przegrywa Charles Gould, „niepoprawny w swej twardej, nieustępliwej służbie interesom materialnym, z którymi zespolił się wiarą w triumf ładu i sprawiedliwości". Przegrywa i Decoud, „świetny Costaguero bulwarowy", który nie potrafił utrzymać się w swej pogardzie dla świata, i uwikławszy się w bieg spraw ludzkich „zginął skutkiem samotności oraz niewiary w siebie i w innych". Przegrywa wreszcie i „człowiek z ludu", tytułowy bohater Nostromo, jeszcze jeden z legionu tych, którzy w „poszukiwaniu pełni życia" zaufali optymistycznym pozorom świata, przekonaniu o swej dobrej gwieździe i niezwalczonej własnej potędze, i oto umierają „w obłędnym przeświadczeniu, że zostali oszukani, nie wiadomo przez co, czy przez kogo".

Wydaje się chwilami, jakby powieści Conrada wskrzeszały dawną tragedię, z tą tylko różnicą, że rozgrywa się ona wśród realistycznych dekoracyj współczesnego teatru. Zadaniem pasjonującym dla krytyka, dla którego literatura jest czymś więcej, niż przemianą form, byłoby zbadanie przyczyn, które pojęcie winy tragicznej, winy niezawinionej, tak zrozumiałe dla Racine'a, Szekspira czy Pascala, uczyniło zupełnie obcym umysłowości europejskiej XVIII-go i XIX-go wieku. Tematem, który porywa zawsze Conrada, jest sens walki człowieka z losem, ale poza realistyczną motywacją czynów ludzkich przeziera obraz świata, w którym jak u wielkich tragików fatalizm losu jest nieunikniony. „Miałem wrażenie" — mówi narrator w „Lordzie Jimie" — „że odsłonięto przede mną mechanizm nieubłaganego losu, którego jesteśmy ofiarą i narzędziem".

Wielką tajemnicą artyzmu Conrada jest umiejętność niemal niedostrzegalnych przejść od realizmu szczegółów, od precyzyjnej konstrukcji faktów do kreacji widowiska, gdzie wokół bohaterów, ustawionych na niedostrzegalnych koturnach, roztacza się skłębiony świat dobrych i złych mocy. Niejednokrotnie zarzucano Conradowi, że dla udramatyzowania akcji powieściowej, dla doprowadzenia do zguby swoich bohaterów, posługuje się postaciami, na których niesprawiedliwie skupia całe zło natury ludzkiej. Zarzut ten jednak tylko wtedy byłby słuszny, gdyby „czarne charaktery" w utworach Conrada odgrywały tę samą rolę, co w naiwnej powieści realistycznej początków XIX-go wieku. Poczęta w jakimś rzadkim natchnieniu wyobraźni upiorna trójca ze „Zwycięstwa" — dystyngowany pan Jones, prostoduszny Ricardo i zwierzęcy Pedro, lub nierównie skromniejsi Cornelius i kapitan Brown z „Lorda Jima" są dla Conrada jedynie uosobieniem i narzędziem ślepego losu, należą, można by powiedzieć, w tej samej mierze do świata natury, co mgły, orkany i cisze morskie.

Niejednokrotnie Conrad przyznaje to wyraźnie. Powie na przykład o kapitanie Brownie, że „dążąc po wyznaczonym sobie szlaku, wplątał się w historię Jima, ślepy wspólnik Ciemnych Potęg". Podobną rolę odgrywa i Cornelius,

któremu w tym fascynującym widowisku naznacza Conrad zupełnie świadomie rolę dawnego diabła. „Nie znajduje się on" — czytamy — „ani na pierwszym, ani na ostatnim planie tego opowiadania, widać go po prostu jak snuje się chyłkiem gdzieś po jego krańcach, zagadkowy i nieczysty, mącąc wonny zapach młodości i prostoty". Albo parę stron dalej: „Cornelius wypadł jak robak z wysokiej trawy rosnącej na zaklęśniętym gruncie... żadna z jego min nie mogła ukryć wrodzonej, niezatartej nikczemności jego postawy, tak jak żaden ubiór nie może zasłonić jakiegoś potwornego zniekształcenia ciała".

Pisarze generacji Conrada, wystarczy wymienić Gide'a, Joyce'a, Prousta i Tomasza Manna, zrezygnowali z sądzenia czynów ludzkich. Skoro obrazy, ukazujące się na wąskim brzegu naszej świadomości, dostępnej poznaniu, są jedynie cieniem zmagań, toczących się w nieznanej głębi, cóż pozostaje poza śledzeniem naturalnych praw psychiki? Natury sądzić nie wolno, można tylko powtórzyć za Hartmannem, że nie jest „ani dobra, ani zła, jest tylko naturalna i nic więcej". W tragicznym widowisku, w które przemieniają się wszystkie powieści Conrada, osądzona zostaje walka człowieka z losem. W walce tej natura jest manichejska, jest jak gdyby wspólniczką ciemnych potęg. „Charakterystyczne było" — czytamy w „Lordzie Jimie" — „dla groteskowej nikczemności cechującej ową katastrofę, że między ludźmi tymi nie doszło do bójki. Wszystko polegało tylko na groźbach, na straszliwie skutecznym fałszu, na oszustwie — uknutym od początku do końca przez bezgraniczną pogardę ciemnych sił. Lecz realne próby mrocznych potęg, gotowych w każdej chwili zatryumfować nad człowiekiem — są stale odpierane przez ludzką nieugiętość."

„Lord Jim" jest tylko pozornie opowiadaniem o losach człowieka, który stracił swoje miejsce w szeregach, ponieważ nie sprostał wymaganiom zawodowej etyki pewnej grupy społecznej. W rzeczywistości Conrad podejmuje w tej powieści, podobnie jak Dostojewski, spór o „prawdziwą istotę życia", o „możność wymierzenia sprawiedliwości widzialnemu światu", rozwikłania i osądzenia „splotu sprzeczności w naturze ludzkiej, która naszej miłości nadaje rozpaczliwy wygląd zdrady".

Kiedy na sąd nad sprawą Jima przybywają widzowie, „spodziewając się jakiejś zasadniczej rewelacji co do siły, potęgi, grozy ludzkich wzruszeń", narrator wyjaśnia, że „oczywiście nic podobnego nie mogło się ujawnić". Spór o prawdziwą istotę życia wydaje się niemożliwy do rozsądzenia, gdyż nie podobna było wymierzyć sprawiedliwości wszystkim zjawom, gnieżdżącym się w duszy Jima — i szlachetnym, które miały swoje prawa, i niegodnym, które stawiały swoje wymagania. Całkowita prawda o drugiej jaźni zakryta jest nawet przed opowiadającym. „Nie twierdzę, że go zrozumiałem" — przyznaje narrator. — „Chwile, w których mi się objawiał, były podobne do spojrzeń, rzucanych przez szpary w gęstej, sunącej mgle — kiedy się spostrzega fragmenty wyrazistych i znikających szybko szczegółów, nie dających pojęcia o ogólnym wyglądzie kraju."

Kiedy francuski krytyk Lenormand podczas wizyty u Conrada usiłował podsunąć mu psychoanalityczną interpretację Lorda Jima i innych jego postaci,

Conrad oburzył się. „Jestem tylko narratorem" — powiedział. — „Nie chcę docierać do głębi. Patrzeć chcę na rzeczywistość, jak na rzecz twardą i chropowatą, po której przesuwam swoje palce. Nic więcej!"

Często utwory Conrada pisane są w formie opowiadania zmyślonego narratora Marlowa. Czasem narratorem jest on sam, ale forma pośredniej relacji zostaje prawie zawsze zachowana. Na postaci jego powieści patrzymy zawsze oczami drugiego człowieka. Charakterystyka postaci jest więc zawsze charakterystyką z zewnątrz, świat myśli, świat przeżyć ukazany jest tylko w tej mierze, w jakiej zostać może zaobserwowany, w jakiej ujawnia się w czynach i rozmowach. Nie uzurpuje sobie nigdy Conrad prawa oglądania wnętrza duszy, podsłuchiwania wewnętrznego monologu myśli, śledzenia przeżyć od wnętrza. Za cenę tej rezygnacji Conrad, jedyny spośród wielkich pisarzy swego pokolenia, ratuje indywidualność swoich postaci, jeżeli przez pojęcie to będziemy rozumieć odrębny kształt życia psychicznego, niesprowadzalny do innych, i nie dający się rozłożyć na drobiny czuć. Dlatego postaci jego powieści są bohaterami w klasycznym znaczeniu tego słowa i ponieść mogą moralną odpowiedzialność za swoje czyny.

Conrad pozwala nam domyślać się mroków, kryjących się w głębinach duszy, narzuca nam nawet przekonanie o ich istnieniu, ale sam wspomni o nich krótko i jakby na marginesach opowiadania. „Żaden człowiek" — powie — „nie jest bezpieczny przed jakąś słabością nieznaną, choć może podejrzewaną, jak w niektórych częściach świata podejrzewamy, że każdy gąszcz kryje jadowitego węża; przed słabością, która się może przyczaić w ukryciu, czy ją śledzimy, czy nie, którą się dogania modlitwą, albo pogardza się nią po męsku, którą się tłumi, lub też nie wie się o niej przez więcej niż pół życia." Rzadko niezmiernie spojrzy Conrad wprost w otchłań namiętności i instynktów, ukaże nam przez chwilę ich grozę i potęgę, w świetle błyskawic, lub podczas wycia wichrów, potem cofnie się zaraz, ponieważ „widok spraw ludzkich zasługuje na podziw, litość i szacunek", a dłuższe spojrzenie sprzeczne byłoby z „opanowaniem, które jest bardziej potrzebne dla naszej duchowej przyzwoitości, niż odzienie dla ciała".

Temu może należy przypisać, że tak drażniło Conrada, kiedy porównywano go z Dostojewskim. Kiedy autor „Biesów" dobrowolnie zanurza swe postacie w mroczny świat instynktów i namiętności, aby znaleźli w nich prawdę, oczyszczenie i wyzwolenie, Conrad nie rezygnuje nigdy z obrony świata moralnego. Nie rezygnuje, chociaż wie, że świat wartości stworzony przez człowieka raz po raz okazuje się złudzeniem, osłaniającym bezkształtne kłębowisko niszczących się wzajemnie sił. „Zgroza wytrąciła mię z mego pojęcia o życiu" — wyzna narrator w „Lordzie Jimie" — „z tego schronienia, które każdy z nas tworzy sobie, aby wczołgać się doń w chwili niebezpieczeństwa, jak żółw się chowa pod swoją skorupę. Przez chwilę stanęła mi w oczach rozległa i ponura wizja świata, pogrążonego jak gdyby w bezwładzie — podczas gdy świat — dzięki naszym niezmordowanym wysiłkom jest w istocie tak pogodnym układem drobnych udogodnień jak sobie tylko można wyobrazić. Jednak była to

chwila: wróciłem wnet do swej skorupy. Człowiek wrócić musi, rozumiecie?..."

Czyż spór ten o prawdziwą istotę życia, wszczęty przez Dostojewskiego, podjęty przez Conrada, przeprowadzony dalej przez Malraux nigdy w świecie laickiego tragizmu nie zostanie rozstrzygnięty? Czyż na pytanie: jak żyć? — otrzymamy tylko jedną z dwu odpowiedzi, zawartych w „Lordzie Jimie": „Iść za marzeniem i znowu iść za marzeniem — i tak — *ewig — usque ad finem*" lub też „zanurzyć się w niszczącym żywiole". Świat byłby wtedy jedynie groźnym i wspaniałym przedstawieniem, któremu próżno jest przypisywać jakiś sens, wysnuty z ludzkich doświadczeń. I oto ten obraz świata pojętego jako widowisko powraca wielokrotnie w listach Conrada do przyjaciół, w przedmowach do książek, w osobistych wyznaniach, powraca jak stały i natrętny motyw.

„Nawet pisarz" — czytamy w tomie Conrada „Ze wspomnień" — „ma swoje miejsce wśród królów, demagogów, księży, szarlatanów, książąt, żyraf, ministrów, socjalistów, murarzy, apostołów, mrówek, uczonych, kafrów, żołnierzy, marynarzy, słoni, prawników, dandysów, mikrobów i konstelacyj wszechświata, którego zdumiewające widowisko jest samo w sobie moralnym celem..." I dalej: „Nie chodzi mi wcale o usprawiedliwienie swego życia. Podobny zamiar byłby nie tylko niepotrzebny i bezsensowny, lecz prawie niezrozumiały we wszechświecie pojętym tylko jako widowisko."

Obraz ten rozrasta się parę wierszy dalej do jednej z najbardziej charakterystycznych kart conradowskich. „Etyczny widok świata" — pisze autor „Zwycięstwa" — „wplątuje nas w końcu w tak wiele okrutnych i bezsensownych sprzeczności, gdzie ostatnie szczątki wiary, nadziei i miłości i nawet samego rozumu wydają się bliskie zaniku. Skłaniam się raczej do przekonania, że świat ma być tylko widowiskiem, mającym budzić —jeśli wam tak się podoba — grozę, miłość, uwielbienie lub nienawiść, ale z takiego stanowiska nigdy rozpacz. Te wizje rozkoszne czy bolesne są celem moralnym same dla siebie. Reszta jest naszą sprawą... Wielkim celem jest pozostać wiernym wzruszeniom z otchłani objętej firmamentem gwiazd, których nieskończona liczba i przerażająca odległość może pobudzić was do śmiechu lub łez, albo też dla serca należycie opancerzonego nie mieć żadnego znaczenia."

Wielokrotnie cytowano te zdania, próbując odnaleźć w nich zrąb conradowskiego poglądu na świat. Wypowiedzi pisarzy nie wolno jednak nigdy brać zbyt dosłownie. W uparcie powtarzającym się obrazie świata jako widowiska, wobec którego jedyną godną i rozsądną postawą jest spokojna rezygnacja, ukrywać się zdaje, jeśli nie wewnętrzny dramat pisarza, to przynajmniej jakaś niezmiernie ważna sprawa, którą artystyczna powściągliwość kazała Conradowi zataić lub przynajmniej przesłonić. W tragicznym świecie Conrada jest coś więcej ponad spokojną wierność wzruszeniom, płynącym z kontemplacji rozgwieżdżonego nieba. Odległe są wizje Conrada od zastygłego, niewzruszonego i uporządkowanego świata kantowskiej maksymy — „niebo gwiaździste nade mną, prawo moralne we mnie". Któryż z jego boha-

terów poza Heystem ze „Zwycięstwa", i to jakżeż na krótko, umiał wytrwać w spojrzeniu na świat jak na widowisko?

Wydaje się, jak gdyby w przytoczonych zdaniach artysta spowiadał się bezosobowo z własnej twórczości, dla której całą prawdą życia — „chwila wizji, westchnienie, uśmiech i powrót do wieczystej ciszy". We wszystkich powieściach Conrada odnajdujemy jednak chwilę, w której narrator beznamiętnie patrzący na życie, które jest mniej realne od wizji Cejlonu, majaczącego gdzieś na horyzoncie, oddaje głos tragikowi, który bada i ocenia czyny ludzkie miarą wartości ostatecznych. W laickim świecie Conrada jest jakaś istotna i głęboka rysa pomiędzy porządkiem naturalnym i światem wartości, które jedynie usprawiedliwić mogą życie ludzkie. Optymistyczny świat naturalizmu był mónistyczny, jednorodny, pod względem moralnym jak gdyby jednowymiarowy. Conrad ratuje dualizm moralny świata. Karol Kraus pisał, że „urządzenia ludzkie powinny być tak doskonałe, aby można się było zastanawiać nad niedoskonałością urządzeń boskich". Z przeświadczenia o „niedoskonałości urządzeń boskich", z przekonania o niedorzeczności porządku naturalnego wyrasta laicki tragizm Conrada, w którym świat wartości jest światem walki, światem wyboru, światem zdobywanym przez człowieka. „Po wszystkie czasy ci, którzy walczyli z niesprawiedliwością niebios, zdobywali tajny podziw i miłość ludzi" — przeczytamy w „Ocaleniu". Niemożność znalezienia żadnych uzasadnień w bezsensownym biegu spraw ludzkich dla wartości moralnych, w imię których ludzie żyją, walczą i umierają, odróżnia najbardziej postawę Conrada od optymistycznych stanowisk dziewiętnastego wieku.

Dwa zastanawiające sądy znajdujemy u Conrada o Szekspirze. Jakiś nie wymieniony dramat szekspirowski nazwie Conrad — „opowiadaniem, tak jak życie, pełnym hałasów i wiatru, lecz które nic nie oznacza". W „Lordzie Jimie" narrator znajduje na Patusanie, wśród niewielu rzeczy Jima, gruby złoty tom — tanie wydanie Szekspira. Kiedy pyta Jima, czy to czyta? dostaje odpowiedź — „Aha, nic tak człowieka nie krzepi". „Uderzyła mię ta ocena" — dodaje autor — „ale nie było czasu na rozmowę o Szekspirze".

Dwa te urywki ukazują nam niespodziewane powikłanie, jakie ukrywa conradowskie ujęcie życia jako widowiska. Nic nie znaczące opowiadania „pełne hałasów i wiatru", rozgrywając się w świecie ludzkich wartości, uczą nas jednak w jakiś sposób, jak żyć i umierać. Pesymistyczna wizja świata ludzkiego roztacza się w utworach Conrada jak groźba, która w każdej chwili zostać może spełniona; świat moralny, świat wartości zachowuje swoją władzę, ale niszczący napór ślepych żywiołów i mrocznych instynktów grozi mu stale obaleniem. Jest to jak gdyby świat z epilogu „Burzy" Szekspira, kiedy na skinienie pałeczki Prospera uspokajają się żywioły, dobre i złe moce opuszczają ludzi, aby dalszy bieg zdarzeń pozostawić naturalnym kolejom losu. Wiemy jednak, że Ariel i Kaliban mogą powrócić, że ponad „zdumiewającym widowiskiem", które jest „samo w sobie moralnym celem" pozostał świat wartości.

Czytając powieści Conrada uczestniczymy w jakiejś rozpaczliwej walce o przyznanie wartościom moralnym cech rzeczywistego istnienia, wydaje się nam, jak gdyby ocalenie świata wartości zawisło od ostatniego wysiłku woli bohaterów, jak gdyby w każdej chwili pełny bezsens widowiska ukazać się mógł w całej swej rozpaczliwej nagości i pozostawić nas sam na sam z „ponurą wizją świata pogrążonego w bezwładzie". Stałe zagrożenie porządku moralnego przez mściwy i nieubłagany los, przez napór żywiołów i instynktów, przez nieznane prawa widowiska jest może najbardziej istotną cechą laickiego tragizmu Conrada.

Uderzające jest, jak temu prawu widowiska podlega budowa powieści. Stałość dekoracji, pejzaż, który pisarz pozostawia niezmieniony przez cały czas trwania dramatu, pogłębia przeświadczenie nieodwołalności losu bohaterów. Obraz Patusanu z „Lorda Jima" wiązać się będzie na zawsze w naszej pamięci ze wspomnieniem „wielkiego wzgórza, odcinającego się podwójnym wierzchołkiem na bladożółtej jasności wschodzącego księżyca, rzucającym cień na teren przygotowany do plantacji". W „Zwycięstwie" milczącym świadkiem dramatu Heysta i Leny na Samburanie będzie „leniwy wulkan, który dymił zlekka dzień cały tuż nad północnym horyzontem, a nocami rozniecał wśród jasnych gwiazd tępy, czerwony blask, co rozżarzał się i przygasał kurczowo, jak koniec olbrzymiego cygara, którym raz po raz zaciąga się ktoś w ciemnościach". Podobnie skaliste i zaśnieżone szczyty Hugueroty, u stóp której leżała koncesja Gouldów, przypomną nam Republikę Costaguana z „Nostromo".

Klasyczną jedność czasu i miejsca zachowuje Conrad w niewielkiej liczbie końcowych dramatycznych scen, na które wreszcie patrzymy sami. Poprzedza je długa i zawikłana ekspozycja, relacjonowana nam często przez paru narratorów. Niemal jak w antycznej tragedii jedynym celem ekspozycji jest wpojenie w nas przekonania o nieodwołalności dramatu, który nastąpi. Długie wielostronicowe rozdziały zbierają jedynie materiał dowodowy, uzbrajają niszczące żywioły, z którymi w ostatnim akcie widowiska, w czasie krótkiej, nagle zapadającej nocy podzwrotnikowej zmierzyć się będzie musiał bohater. Będzie to noc, z której zwycięzcą wyszedł Lord Jim, załamał się Lingard, Lena ocaliła życie Heystowi. Wynik sporu, jak w tragedii klasycznej, dawno był przesądzony. Wiedzieliśmy, że bohater zginie i ślepy los okaże się silniejszy. Nieznany jednak pozostaje do końca wynik dramatu, nieznana wielkość, jaką bohater zdoła przeciwstawić uderzeniu ciemnych mocy. Śmierć jego może ocalić świat wartości lub też pozwolić, aby zatriumfował duch widowiska. „Bo jeżeli życie" — pisze Conrad — „ma swoje walory — warte, żeby o nie walczyć, to i śmierć ma w sobie coś takiego, co może jej dawać wartość lub nie."

PRZECIWKO HEROIZMOWI

„Pesymistyczna rezygnacja?" — pisał Ujejski o Conradzie — „Nie! Pesymistyczny heroizm". Przekładaliśmy dotąd świat pojęć moralnych Conrada na język artystycznej wizji, próbowaliśmy ukazać, jak elementy laickiego tragi-

zmu przekształcają realistyczne opowiadanie w widowisko o strukturze antycznej tragedii. Teraz postąpić musimy odwrotnie. Jeżeli w conradowskiej postawie znaleźć chcemy wzór życia, obrona lub oskarżenie heroizmu toczyć się musi w języku wartości społecznych. Odpaść muszą koturny, na których Conrad stawiał swoich bohaterów. Spojrzeć musimy na nich jak na żywych ludzi, ocenić motywy ich czynów, przyznać lub odmówić im racji.

Oto jedna z postaci conradowskich — kapitan Mac Whirr z „Tajfunu". „Nieobdarzony wyobraźnią, mając jej tylko tyle, ile trzeba na przeżycie jednego dnia, był zupełnie spokojny i pewny siebie; z tego też powodu nie było w nim ani krzty zarozumiałości". Kiedy jako młody chłopiec uciekł z domu, po ośmiu miesiącach napisał do rodziców list z jednego z południowych portów Oceanu Indyjskiego „bardzo krótki i zawierający informacje o stanie pogody". Do żony pisał często, ale prawdopodobnie także o pogodzie, wszystkie listy zaczynał od słów „moja droga żono", a kończył „twój kochający mąż". Kapitan Mac Whirr nie wierzył w nic, co wykracza poza normalność, „wróżby dlań nie istniały, a zły czy dobry omen był stracony, póki nie stanął w oko z przewidzianym faktem. Gdyby chociaż tylko nie wierzył we wróżby..., nie wierzył również w barometr, o ile zbyt raptownie spadał, nie wierzył w podręcznik nawigacji, jeśli mówił o specjalnie ciężkich wypadkach, a przede wszystkim nie wierzył w tajfuny. I oto wpędził swój okręt w sam środek jednej z najgwałtowniejszych burz, jakie kiedykolwiek szalały na morzu. Wolał narazić życie załogi, życie swoje i statek, byle tylko nie zboczyć z drogi i nie usłyszeć przygany właścicieli — „przypuśćmy, że przyszedłbym z dwudniowym opóźnieniem i spytaliby mnie — gdzie pan byłeś przez cały ten czas, kapitanie? Co na to mógłbym odpowiedzieć? Wykręcałem, by uniknąć burzy, odpowiedziałbym. — Musiała to być wściekła burza — oni na to. A ja — nie wiem, okrążyłem ją".

Pesymistyczny heroizm? Nie! Heroizm głupoty. Heroizm osła, ciągnącego wóz po podminowanym moście. Heroizm bez słów, bez pozy, nawet bez wewnętrznej świadomości, heroizm, który jest tylko wiernością. Wiernością? Dobrze, ale komu i czemu? Właścicielom? Moralności zawodowej, która graniczy tutaj ze ślepym automatyzmem rutyny? Conrad odpowiedziałby — wierności samemu sobie. I Conrad staje po stronie kapitana, któremu huragan „czyniąc wszystko, na co mógł się zdobyć, zdołał wyrwać zaledwie słów parę". Mamy tutaj niewątpliwie świadomą degradację heroizmu, odsłonięcie go z wszelkich obsłonek, odjęcie mu wszelkich uzasadnień, wszelkich — oprócz jednej — potwierdzenia wewnętrznego hartu człowieka. I żąda od nas Conrad, abyśmy uwierzyli w wielkość tego starego głupca, który „na niczyje barki nie mógł zrzucić poczucia odpowiedzialności, bo taka jest samotność dowództwa", a kiedy zbuntował mu się i oszalał drugi oficer, zdobył się w odpowiedzi tylko na jedno zdanie — „nie jest on na służbie". Wielkim niebezpieczeństwem heroizmu jest łatwość poklasku, jaki budzi. Jeżeli nie potrafimy się oprzeć nawet heroizmowi głupoty, o ile tylko świadczy o niezłomności człowieka, jakżeż po-

trafimy odważyć się na krytykę heroizmu, za którym przemawia poczucie honoru i wierności.

W opowiadaniu „Młodość", podczas burzy na płonącym statku, obandażowani, obdarci i poranieni marynarze wchodzą na maszty i narażając życie, zwijają żagle „po portowemu". Okręt za chwilę zatonie, dla umożliwienia bezpiecznego wyładunku starczyłoby proste zwinięcie żagli, marynarze zwijają je jak na uroczystą paradę. „Ludzie ci" — pisze Conrad — „nie mieli za sobą karności wdrożonej przez musztrę, nie mieli zawodowej ambicji, nie oczekiwali pochwał, nie przemawiało przez nich poczucie obowiązku..." Oto ponownie podejmuje Conrad obronę heroizmu, który do niczego nie prowadzi, którego nic nie usprawiedliwia, który jest sam dla siebie najwyższą wartością. „Przyczyną zachowania marynarzy" — czytamy — „było coś, co tkwiło w nich samych, coś, co jest wrodzone, subtelne i wieczne... Była w tym jakaś skończoność, coś, co równie jest mocne jak zasada, równie potężne jak instynkt — ujawnienie czegoś tajnego, ukrytego, tego daru dobra czy zła, który stanowi o rasie, który kształtuje los narodów". Trudno się oprzeć patosowi tych słów, a jednak jest w nich jakiś oczywisty, społeczny fałsz. Pamiętam jak w ostatnich dniach września, w czasie obrony Warszawy, kazano nam, wykorzystując parę wolnych godzin, ćwiczyć musztrę formalną i salutowanie na odkrytym placu. W pewnej chwili, kiedy przerabialiśmy oddawanie wojskowych honorów, zaczęły rozrywać się nad nami szrapnele. Musztra trwała dalej, tak długo, póki paru z nas nie zostało zranionych. Pamiętam, żeśmy się nie bali i nie protestowali, ogarnął nas tylko nagle wielki wybuch śmiechu. W ciągu paru chwil wszystko stało się jasne i oczywiste. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, że dni Warszawy są policzone, salutowanie pod szrapnelami stało się potwierdzeniem powszechnego bezsensu i prosiliśmy, aby dalej uczono nas zwrotu w tył i defiladowego kroku.

Społeczna ocena bohaterstwa mierzy zawsze wartość ofiary pożytkiem czynu. Bezinteresowny heroizm uważa okup śmierci za dostateczne usprawiedliwienie działania. Na dziobie statku, którego katastrofę opisuje Conrad w „Młodości" widniał napis — „Czyń lub giń". Oto jedno jeszcze z uwodzących zawołań heroizmu, który zawsze dąży do narzucenia nam przekonania, że dane są tylko dwie drogi wyboru, a z pomiędzy nich jedną jest śmierć. W każdej obronie bezinteresownego heroizmu jest postawienie piękna pozorów na miejsce surowej prawdy życia, nad przemianę rzeczywistości przekłada się rozwiązanie wewnętrznego dramatu. Heroizm, który sam dla siebie staje się celem życia, staje się metodą śmierci. Kiedy sięgnąć aż do głębi tej postawy, okaże się, że na dnie jej spoczywa głęboka pogarda dla rzeczywistego świata.

Heroizm taki oburzać musi tych wszystkich, którzy lekceważąc wewnętrzne usprawiedliwienia, sądzić chcą czyny według ich społecznych skutków. W jednej z nowel Somerset Maughama takie czytamy zdanie o Conradzie: „Ach ten Polak! Jak wy, Anglicy mogliście się wziąć na lep tego gadatliwego szarlatana. Posiada on płytkość swoich ziomków. Ten potok słów, te zawiłe zdania, ta retoryka na pokaz i afektacja udająca głębię, a gdy się przebrnie przez to

wszystko do myśli, tkwiącej na dnie, cóż się tam znajdzie, poza zwyczajnymi komunałami? Conrad jest dla mnie jak drugorzędny aktor, który wdział na siebie romantyczny kostium i deklamuje sztuki Victora Hugo. Przez pięć minut wydaje się to wszystko komiczne, a potem cała dusza buntuje się i krzyczy, że to fałsz, fałsz, fałsz!"

Oczywiście nie można przywiązywać zbyt wielkiej wagi do tej niewątpliwie niesprawiedliwej oceny Conrada, którą drugorzędny współczesny pisarz wkłada na dobitek w usta bohaterce noweli Rosjance, nie chcąc widocznie, aby sąd ten szedł całkowicie na jego rachunek. W tej namiętnej filipice jest jednak wiele prawdy. Za heroicznym patosem, w jakim Conrad nurza swe postacie, ukrywa się prawie zawsze brak społecznych usprawiedliwień czynu. Patrząc na bohaterskich marynarzy zapominamy o akcjonariuszach przedsiębiorstw przewozowych, którzy czerpią zyski z cudzej pogardy dla śmierci. „Kapitan" — czytamy w tym opowiadaniu Conrada — „upominał nas w swój łagodny i nieugięty sposób, aby ocalić ze sprzętów okrętowych, ile tylko się da — dla akcjonariuszów... Stary barometr kosztował mię prawie życie... Chciał zabrać do szalupy kawał łańcucha od zapasowej kotwicy..."

Niewątpliwie Conrad na zarzut, że heroizm marynarzy nie jest dostatecznie społecznie usprawiedliwiony, że byłoby rozsądniej i słuszniej nie narażać życia dla paru sprzętów właścicieli, odpowiedziałby: „Precz z ideami, to są włóczęgi, łaziki, dobijające się do tylnych drzwi duszy, aby zabierać po cząstce naszej istoty, aby unosić okruchy tej wiary w parę prostych pojęć, których człowiek musi się trzymać, jeśli chce żyć przyzwoicie i mieć lekką śmierć". Oczywiście, jeżeli postępowanie marynarzy oceniać będziemy miarą wieczną, czy popatrzymy nań z punktu widzenia życia pozagrobowego, mniejsze czy większe zyski akcjonariuszy będą bez znaczenia. Heroizm jest jednak zbyt kosztowną metodą wychowawczą, aby można ją było przyjąć bez zastrzeżeń. Świat wartości nie jest światem przeżyć, ale obiektywnie istniejących norm. W społecznej ocenie heroizmu nie wolno nam pominąć wysokości ceny, jaką trzeba zań płacić. Za drogo kosztowały nas czyny fałszywych bohaterów, którzy gotowi są zawsze poświęcić wszystko i wszystkich, aby ratować wyimaginowaną czystość wewnętrzną.

W książce „Mars albo osądzona wojna", wydanej w roku 1922, filozof francuski, Alain, w takich mniej więcej słowach, cytuję niestety z pamięci, pisze o uczniach swoich, którzy zginęli na wojnie — „Wyście nie chcieli i nie umieli protestować przeciwko własnej śmierci. Sądziliście, że spełniacie obowiązek, byliście z tego dumni i szczęśliwi. Dosyć mieliście przyjemności, krzycząc — „Niech żyje armia" lub „Wiwat Alzacja i Lotaryngia". Za to się płaci. Trzeba umrzeć. Ale prócz was, za waszą zgodę na śmierć, zapłacą jeszcze kiedyś ludzie inni. Za lat dwadzieścia będzie ona kosztować miliony istnień ludzkich".

Obojętny dla naszych rozważań jest sąd o wojnie starego nauczyciela radykalizmu społecznego. Chcemy jedynie dowieść, że w przeciwieństwie do postawy sceptycznej, która nie dowierza wartościom rodzącym się z czynu i radzi powstrzymać się od wiary w niedostatecznie udowodnione sądy, heroizm zaw-

sze wymaga usprawiedliwień. Jeżeli doradza się ludziom, aby byli szczęśliwi, dodatkowa argumentacja jest zbyteczna. Jeżeli mają być bohaterscy, jeżeli mają umrzeć, trzeba podać motywy. Troska o własną wielkość nie może wystarczyć. Heroizm jest zbyt kosztowną metodą laickiego zbawienia duszy.

Teraz powrócić możemy do sporu o prawdziwą wartość życia, jaki Conrad podjął w „Lordzie Jimie". W imię jakich wartości, musimy się spytać — „Jim, nieznany zdobywca sławy, wyrywa się z ramion zazdrosnej miłości na zew wzniosłego heroizmu". Czyżby zapewnieniem bezpieczeństwa i ładu na Patusanie niedostatecznie jeszcze okupił przewinę młodzieńczej słabości? W tragicznym widowisku śmierć jego ocala świat wartości, w życiu społecznym na co i komu jest potrzebna? „Wszystkie jego przygody" — pisze Conrad — „cechowała bezsensowna wzniosłość intencji, nadająca tym błahym zajściom wzruszającą głębię". A w innym miejscu: „Było to uroczyste, a także i nieco śmieszne — jak zwykle walka jednostki, usiłującej ocalić swoje pojęcie o tym, czym być powinna, ten sztuczny wzór postępowania..."

Pamiętamy owe rozpaczliwe zdanie, które wyrywa się którejś z postaci Malraux — „Coś musi być pewnego; musi!" Dla umiejących czytać Conrada, niewątpliwie brzmieć muszą tragicznie powtarzające się uparcie, powtarzające się tylokrotnie, przykazania wierności. „Nie wiem, czy byłem dobrym marynarzem" — pisze w tomie „Ze wspomnień" — „ale wiem, że byłem bardzo wierny". W innym miejscu czytamy — „O wierności, która jest wielkim ograniczeniem wolności, najsilniejszym z więzów, pętającym samowolę ludzi i okrętów, na tym globie z lądu i morza". I wiele, wiele jeszcze cytat podobnych z łatwością można by przytoczyć. Niewątpliwie odsłaniają, a zarazem ukrywają one wielki wewnętrzny dramat człowieka, którego prawdopodobnie nigdy nie potrafimy całkowicie wyjaśnić. Ale jeżeli w książkach Conrada szukamy odpowiedzi na pytanie jak mamy żyć, nie mogą nam wystarczyć proste przykazania wierności.

Pamiętamy owego francuskiego porucznika marynarki z „Lorda Jima", „którego dojrzały i niewzruszony spokój upodobniał do eksperta, który owładnął ludzkimi faktami i dla którego ludzkie kłopoty są poprostu dziecinną igraszką". Porucznik ten wypowiada conradowskie wyznanie wiary: „Człowiek urodził się tchórzem. W tym cała trudność, inaczej parbleu! byłoby zbyt łatwo. Ale przyzwyczajenie, konieczność, oczy innych ludzi, voilà, człowiek sobie daje z tym radę... Ale honor, honor... to istnieje naprawdę. A co życie może być warte, jeśli honor jest stracony, ah ça par exemple, ale mogę się co do tego wypowiedzieć, ponieważ, monsieur, nic o tym nie wiem".

Tyle ów Francuz w „Lordzie Jimie". Blisko dwieście lat temu inny Francuz, który owładnął także ludzkimi faktami, podobnie, ale bardziej precyzyjnie mówił o honorze — „Pierwszym z prawideł honoru jest, iż wolno nam dbać o swój los, ale bezwarunkowo nie wolno dbać o życie. Drugim, iż skoro raz zajęliśmy jakieś miejsce, nie godzi się uczynić, ani ścierpieć nic, coby objawiło, iż uważamy się za niedorosłych do tego miejsca..." Zdania te, które z dokładno-

ścią werdyktu sądowego ujmuje oba przestępstwa Jima, wyjęte są z „Ducha Praw" Monteskiusza.

Ale dla filozofa z osiemnastego wieku honor nie był, jak dla Conrada, wartością wieczną, najwyższą, czy ostateczną. Szukając w historii źródeł i uzasadnień praw i zwyczajów, dostrzegł Monteskiusz w honorze naczelną zasadę monarchicznego porządku społecznego. „Prawda, iż mówiąc filozoficznie" — czytamy dalej w „Duchu Praw" — „fałszywy jest ów honor, który spełnia wszystkie sprawy państwa, ale ten fałszywy honor jest użyteczny powszechności..." I dalej — „honor to znaczy przesąd każdej osoby i każdego stanu".

I kiedy w książkach Conrada, jako jedyne uzasadnienie heroizmu, wyczytamy obronę honoru i wierności, spytać musimy za Monteskiuszem o użyteczność postawy tej dla powszechności.

Wewnętrzny dramat moralny rozgrywa się w świecie rzeczywistym, w świecie społecznym i jest zawsze jedynie wyborem jednej z postaw, które narzuca życie zbiorowe, wyborem jednej z określonych form działania. Conradowska wierność samemu sobie jest w rzeczywistości, w konkretnej rzeczywistości społecznej posłuszeństwem prawom świata, którymi się wewnętrznie gardzi, odrzuceniem prawa do buntu. Conradowska wierność samemu sobie jest wiernością niewolników, niewolnikiem jest bowiem ten, kto słucha pana, którym pogardza i troszczy się jedynie o swą wewnętrzną prawość. I myślę, że dlatego właśnie pisał Zygmunt Jarosz — „Kiedy patrzę na bohaterów Conrada, zaczynam rozumieć, jak trudno będzie zbudować społeczeństwo socjalistyczne". Znacznie bowiem społecznie groźniejsze od wewnętrznej pychy i duchowego samotnictwa bohaterów Conrada jest ich ślepe posłuszeństwo wielkim armatorom tego świata.

Z zawodowej moralności kapitanów okrętu nie wolno czynić kodeksu postępowania człowieka wolnego. Ani wierność, ani honor nie są same dla siebie wartościami moralnymi. Osądza je, tak jak i wszystko na tym świecie, historia. Inna jest wielkość Księcia Józefa, a inna Kościuszki. Poniatowski umiał być tylko wierny, Kościuszko był wierny wolności. I my, którzy byliśmy świadkami w ciągu długich lat niemieckiej okupacji, jak w imię honoru i wierności nazywano zdrajcami tych, którzy podjęli walkę o wolność, jak w imię honoru i wierności doprowadzono do całopalenia Warszawy, mamy prawo przypomnieć gorzkie słowa, jakie Kościuszko pisał w r. 1798 w Paryżu, o powstaniu, którym dowodził: „Ponieważ generałowie nasi niektórzy mieli przywiązanie do królów, wszystkiemu zatem byli przeciwni, co stwarzała rewolucja... zamiast zachęcania ludu gardzili bronią i ludem... Życzyłbym aby żadnego nie używać generała do obrony wolności, który do niej przywiązanym nie jest; nie spuszczam się na wierność, ta cnota jest wspólna niewolnikom i służalcom".

TRZY STOLICE

SZKICE PIÓRKIEM

„Je vous prie de remarquer, Messieurs
que je ne blâme ni n'approuve: je raconte"

Talleyrand.

1 STYCZEŃ 1942

Czy w tym roku skończy się wojna? Albo Rosjanie pobiją Niemców do wiosny i wtedy koniec, albo nie — i wobec tego jeszcze 2 lata.

7 STYCZEŃ

Jeden z „moich" robotników został przyłapany jeszcze w listopadzie z walizką, w której wiózł do Paryża 4 kg szynki i 2 kg słoniny. Protokół — jutro rozprawa sądowa w Senlis, dokąd musi jechać. Przyszedł oczywiście po radę. Jadę z nim jutro na rozprawę, bo on ani słowa po francusku. Wyszukałem mu tłumacza sądowego, adwokata z urzędu i może uda mi się chłopa wyciągnąć z tej sprawy, która w dzisiejszych czasach pachnie dwoma miesiącami więzienia. Tak zwany postęp, kultura, cywilizacja — jednym słowem Nowa Europa. Kiedy przerzucam czasem słownik, to na widok wielu, wielu słów odczuwam coś na kształt wspomnień z lat dziecinnych. A przy słowie „ludzkość" czy „l'humanité" można dostać straszliwych kolek ze śmiechu, można się zaśmiać na śmierć.

8 STYCZEŃ

Wróciłem do domu i jestem cały pod wrażeniem tego dnia w Senlis. Mam uczucie, jakbym cały dzień pływał w letni wieczór po wielkim spokojnym stawie, leżąc w małej łódce, wiosłując od niechcenia i puszczając po gładkiej tafli wody „kaczki" myśli. Myśli sobie podskakiwały, ja sobie pływałem, a czas sobie przemijał.

Cały dzień, wszystkie jego wydarzenia pokryte były s p o k o j e m, regularną monotonią i tym s o b i e życia małego miasteczka francuskiego.

Wyszedłem z domu wcześnie rano. Na wpół śpiąc zeszedłem do metra, zupełnie odruchowo przesiadłem się na „République" i drzemiąc zajechałem na Gare du Nord. Oskarżony czekał już na mnie. Kupiliśmy bilety i wsiedli do pustego jeszcze pociągu. Wszędzie ciemno i wszystkie odgłosy dworcowe dochodziły do przedziału osobno, jak błyski światła. W takich ciemnościach głos jest światłem i najmniejszy dźwięk jest tak brutalny i indywidualny jak promień.

Po chwili ludzie zaczęli się schodzić, wybierać miejsca i siadać. Naprzeciwko nas usiadła jakaś para i zaczęła kończyć w wagonie rozpoczęte jeszcze w łóżku pieszczoty poranne. On wsadził jej rękę pod klapę palta i chwycił krzepko za pierś, co nie przeszkadza mu troszkę drzemać i stukać nosem we własny krawat; ona zdjęła mu kapelusz, przygładziła włosy i pocierała policzkiem o jego ucho, całując w odstępach 30-sekundowych i coś szepcząc mu czule. On na to odmrukiwał jakieś „ehe — hm — ahu", chwytał ją mocniej za pierś, po czym popadał z powrotem w letarg drzemki.

Pociąg ruszył i oczywiście wszyscy wyciągnęli zegarki żeby skontrolować czas. Nie zrobiłem tego, bo miałbym co najwyżej czas Gare du Nord. Ani jeden zegarek we Francji nie chodzi jednakowo, tylko tak, jak mu się podoba. Ja mam swój czas, Gare de Reuilly, i nie odstępuję od niego, bo inaczej musiałbym cały dzień przestawiać wskazówki. Dla Francuzów jest to jednak „une petite occupation", przy której można zamienić kilka słów z nieznajomym, a co najważniejsze skląć jakąś „autorité". Tak więc nawet śpiący kochanek puścił na chwilę ciepłą pierś, przebudził się, spojrzał na zegarek, mlasnął językiem (ça va pas...) i żeby nie męczyć się po raz drugi, położył rękę na jej pulchnym udzie. Ona na to założyła nogę na nogę i przygniotła w ten sposób jego dłoń słodkim ciężarem drugiego uda. W tej czułej i intymnej

pozie poczęli drzemać. — Ja również. Po trzech kwadransach jazdy wysiedliśmy w Chantilly i przesiedliśmy się na boczną linię do Senlis. Zrobiło się już jasno. Pociąg ruszył wolnym krokiem. Po 20-tu minutach wysiedliśmy na malutkim dworcu Senlis. Mały i cichy budynek stacji otoczony wielkimi drzewami, niebo w kolorze lśniąco popielatym, jak sztuczna perła i rysująca się ponad koronami nagich drzew wieża katedry wśród czarnych punkcików krążących wokół niej kawek.

Po zgrzytliwym i tłukliwym jak mycie garnków odjeździe pociągu, poszliśmy w stronę miasta pogrążeni w takiej ciszy, że słyszało się niemal opadanie mgły, powlekającej wszystko lepką błoną. Czasem tylko od strony wieży dolatywały piskliwe głosy kawek, ostre z początku i rozwleczone dalej echem, niknące, jak nagłe postawienie kropki i pociągnięcie od niej coraz to cieńszej kreski.

Wchodzimy do miasta ulicą, przy której jest kilka rozwalonych bombardowaniem domów. Na ulicy snują się ludzie, przystają, żeby porozmawiać i idą dalej. Wchodzimy na Merostwo, szukam konsjerża i pytam, gdzie znajduje się Trybunał.

Wyprowadza mnie za bramę, pokazuje uliczkę i powiada, że Trybunał jest pod katedrą.

Miasteczko jest niewielkie i stare, uliczki wąskie i pokręcone i — jak przeważnie wszędzie we Francji, spotyka się niemal wyłącznie starych mężczyzn i stare kobiety. Wąską uliczką idziemy ku katedrze. Właściwie wszędzie jest spokój i cisza, a cały ten nastrój ogólny, przerywany jest poszczególnymi scenami, oddzielonymi jak sceny w sztuce teatralnej.

Scena I-sza: Spotkanie dwóch staruszek i dialog:

— Bonjour, Madame Duval — ça va?

— Bonjour, Madame Lepont — merçi, ça va — et vous même?

— Oui, merci — ça va tout doucement — Ah! quel vilain temps...

— Oui — il fait froid aujourd'hui... brouillard...

— Et votre mari se porte mieux?

— Oui — le pied est toujours enflé un peu, mais comment voulez vous avec un temps pareil...

Między godziną dziewiątą a dziesiątą, całe miasteczko prowadzi te same dialogi spotykając się na ulicy, z okna do okna, w sklepach. Idąc uliczką, spotykamy wielki wóz na dwóch kołach, do którego dwaj starzy robotnicy wypróżniają wystawione przed każdy dom pudła ze śmieciami. Jeden stoi na wozie i udeptuje śmieci, drugi podaje mu pudła na wóz i odbierając już puste, ustawia je przed domem. Śpiący koń sam rusza i sam zatrzymuje się przed następnym. W tej chwili na wszystkich ulicach wszystkich miast i miasteczek Francji powtarza się to samo, z tą różnicą, że w większych miastach robią to olbrzymie samochody o kształtach chrabąszcza.

Scena II-ga: Zza zakrętu wyszła czarno ubrana staruszka, zatrzymała się koło wozu i powiedziała:

— Bonjour, Monsieur Paul — ça va?

— Merci Madame — odrzekł śmieciarz — et vous même?

— Oui — ça se tasse — quel travail quand même avec boîtes... ale jak tak dalej pójdzie, to ludzie nie będą mieli co wyrzucać...

— Mais oui — i tu dłuższa i zawsze ta sama rozmowa o brakach w wyżywieniu i aprowizacji. Śmieciarz oparł się o koło wozu, ten na wozie przysiadł i gwarzą.

Dochodzimy do placu przed katedrą. Śliczna stara, gotycka katedra — zresztą znana i zwiedzana. Jak cały gotyk francuski, tak i ta katedra pomimo całej swojej powagi, leciwości i masy jest jakaś lekka, żywa, wtopiona w całość miasteczka — jedna z wielu, bez pretensji. Nie otacza jej żadna specjalna cześć, nikt nie wmawia, że to jest „weltberühmt", nikt nie rozparcelowuje jej na kawałki, wnikając w jakieś jej osobne kamienie; — można z nią rozmawiać jak ze spotkanym przed chwilą śmieciarzem, po swojemu.

We Francji jest tyle katedr, tyle zabytków, tyle starych mebli i starych domów, wśród których płynie życie, że nawet zabytki są rzeczą najzwyczajniejszą. Wchodzą w program codzienności. Należąc do wszystkich, tym łatwiej uważać je można za „moje ulubione" i doszukiwać się w nich uroku, którego nikt nie k a ż e znajdować; łatwiej wejść z nimi w intymny kontakt. I nikt nie zapała świętym oburzeniem, jeżeli spodoba mi się np. twierdzić, że Notre-Dame to kicz średniowieczny i że Chimery są w porównaniu z zielonymi końmi Picassa niczym.

Trybunał znajduje się w gotyckim domu obok katedry. Szeroko rozsiadły budynek o grubych murach, sklepieniach, schodach szerokich, wąskich i długich oknach. Robi to na mnie zawsze wrażenie olbrzymiego bloku kamiennego, w którym wykuto dom, drążąc sale i pokoje jakimś wielkim dłutem.

Zasięgnąwszy informacji u konsjerża poszliśmy do pisarza sądowego. Siedział wśród wielkich fortyfikacyj ksiąg, aktów, teczek — wśród czterech ścian pogrubionych murem wielkich foliałów, rozmieszczonych na półkach. Chcąc zaznajomić się np. ze sprawą sądową swoich przodków z r. 1680 możnaby tu prawdopodobnie znaleźć dużo potrzebnych dokumentów. Tu żyją wieki, drzemią na półkach, budzone czasem wydarzeniami, które ich jednak nie zniszczyły. Kto im co zniszczył? Trochę na północy, a poza tym prawie nikt i prawie nic. Najwięcej poniszczyli sobie sami w paroksyzmach wielkiej rewolucji po 10-ciu wiekach równowagi, po 10-ciu wiekach życia prawie nigdzie nieprzerwanego, ciągłego jak nitka nawinięta na szpulkę. Niszczyli „pour changer les idées", mogli sobie pozwolić na ten kaprys.

Czym jest nasze życie? Nawijaniem na kawałek tekturki krótkich kawałków nitki bez możności powiązania ich. Gdzie mam szukać metryki urodzenia mojego dziadka? Gdzie odnaleźć ślad prababki? Do czego przyczepić cofającą się wstecz myśl? Do niczego — do opowiadań, prawie do legend tego kraju, który wynajął sobie w Europie pokój przechodni i przez 10 wieków usiłuje urządzić się w nim z wszelkimi wygodami i ze złudzeniem pokoju z osobnym wejściem, wyczerpując całą swą energię w kłótniach i walkach z przechodzącymi. Jak myśleć o urządzeniu tego pokoju ładnymi meblami, bibelotami, serwantkami, gdy błocą ciągle podłogę, rozbijają i obtłukują przedmioty? To nie jest życie — to ciągła tymczasowość życia motyla i dlatego w charakterze naszym jest może tyle cech przypominających tego owada. Skąd mamy być mrówkami??!!

Pokazałem pisarzowi pozew do sądu, wytłumaczyłem o co chodzi i poprosiłem o przydzielenie tłumacza sądowego, ponieważ oskarżony nie umie po francusku.

— Mais parfaitement, Monsieur; jest dzisiaj kilka spraw innych Polaków, dla których tłumacz został już wezwany, więc tylko na akcie tego pana dopiszę, że i on ma być sądzony z tłumaczem. Wyszukał „dossier" S..., zapisał i odłożył. Ponieważ był bardzo grzeczny, więc zapytałem z kolei o możliwość dostania adwokata z urzędu, gdyż mój oskarżony jest bezrobotnym i pomimo braku pieniędzy chciałby skorzystać z prawa obrony. „Ależ oczywiście". — Od razu wziął pozew, zaświadczenie bezrobocia i poszedł do prezesa sądu. (Monsieur le Président). Po chwili wrócił z nazwiskiem adwokata, wyznaczonego przez pana prezesa. Adwokat nazywa się Mr B. i mieszka tam i tam. Idziemy.

Znowu uliczki i okna niskich domków. Przechodząc zaglądam: — tonące w półmroku pokoje, zastawione starymi, dziedzicznymi meblami, dywany, portiery, zegary na kominkach — atmosfera zasiedziałości, spadku i dostatku. Czuje się stałość, ma się pewność, że ci ludzie urządzili się i żyją, nizając równe, okrągłe i gładkie dni na nitkę życia... Spokój malgré tout.

Otwieramy bramkę żelazną, przechodzimy przez ogródek i pukamy do adwokata. Otworzył nam sam. Jeszcze młody, pulchny, okrągły i miły, jak puszek do pudru. Taki, o którym można od razu powiedzieć, urodził się, wykarmili go, wykształcili, dali pieniądze, ożenili i osiedlili. A jemu dobrze. Jest uprzejmy, prowadzi nas do gabinetu, siadamy, mówię mu o co chodzi. Opowiadam mu całą historię naszej fabryki, życie naszych byłych robotników po zawieszeniu broni — maluję sepią nasz los we Francji, z której Niemcy nie chcą nas wypuścić, a w której znalezienie pracy jest prawie niemożliwe (lekka przesada), gdy się nie jest Francuzem. Mój kolega np. (oskarżony) mieszka z trzema innymi w hotelu, z których jeden pracując u Niemców dobrze zarabia i pomaga innym, mają wspólną kasę i jeden gotuje — etc. etc. Co pięć słów mówię mu „mon cher maître" układam ładne zdania, wtrącając jakieś wyszukane wyrazy; udaje mi się go zainteresować nami i naszym wypadkiem. W rezultacie oświadcza, że wątpi, czy jego obrona przyczyni się w znaczniejszym stopniu do ominięcia przykrych następstw wykroczenia, bo od 15-go listopada 1941 r. zniesione zostały kary z zawieszeniem, jeżeli chodzi o przestępstwa w dziedzinie żywnościowej. Do tego prokurator jest bardzo ostry i formalizujący — no ale postara się faire tout ce qui est humainement possible, szczególniej że widzi, iż ma do czynienia z ludźmi qui ne sont pas, enfin, quelqu'un..... Poznał się na nas! Uśmiechnąłem się i rzuciłem kilka sentencjonalnych zdań o ludzkiej hipokryzji.

— Przecież jestem pewny, że ci sami sędziowie, ten sam prokurator zasądzą tego człowieka i setki innych za niesienie w walizce szynki i słoniny, sami będąc po dobrym obiedzie, składającym się w połowie z produktów, kupionych na „czarnym rynku"...

Adwokat zaśmiał się: — Na pewno nie prokurator — znam go; to człowiek zdolny umrzeć z głodu, gdyby istniała taka ustawa. On na pewno nie tknie nic, co jest nielegalne!

— Aa, to taki Katon Starszy — caeterum censeo Carthaginam delendam esse — ale co było dobre dla Kartaginy, to nie koniecznie może odnosić się do czarnego handlu — powiadam ironicznie.

Zdaje mi się, że nigdzie nie można sprzedać drożej i z większym efektem własnej inteligen-

cji i wyższego wykształcenia, aniżeli we Francji. W tym kraju jednego i wielkiego poziomu, dosięgającego świadectwa ukończenia szkoły powszechnej oraz takiego czy innego kursu zawodowego (8000 matur w r. 1938 we Francji — 36.000 matur w tym samym roku w Polsce) wszystko co wskazuje ponad tę przeciętność, liczy się jako wyjątkowe, zwraca uwagę, wywołuje coś, jakby cień szacunku.

Na mój cytat łaciński, wypowiedziany zresztą akcentem nienagannie francuskim (seterom senseo Cartażinám...) adwokat spojrzał na mnie inaczej. A ja ciągnąłem dalej: — Nic się nie zmieniło; zawsze ta sama hipokryzja; oburzająca jak oburzającą jest dla mnie zawsze śmierć Lucjana Rubempré...

Oczarowałem go. Pomimo, że się spieszył na obiad, opowiedział mi, że studiował w Paryżu (a pan gdzie?), że jego ojciec jest notariuszem miejscowym i że idzie do rodziców na obiad, że to jest jego dom — rozgadaliśmy się. Przedstawił mi w skrócie plan obrony: — „Będę kładł nacisk na to, że kolega pański znalazł się we Francji nie dobrowolnie, że pracował tu w obronie tych samych interesów, jak my wszyscy, że wskutek wypadków został skazany na pobyt z dala od ojczyzny; nie zna języka, nie ma nikogo kto by mu pomógł, że musiał szukać sposobów nabycia żywności tą drogą, nie mając znajomych i długoletnich „swoich" dostawców w swoim quartier, etc. etc. W końcu jest jedną z wielu ofiar naszego rządu (we Francji zawsze jest winien wszystkiemu rząd — kozioł ofiarny, na którego można zwalić swobodnie wszystko), który angażował go do pracy, wtedy, gdy go potrzebował, a teraz pozostawił prawie bez środków do życia i bez możności powrotu do rodziny".

Świetnie — podziękowałem mu uprzejmie i gorąco — do zobaczenia na rozprawie. Mój S... uspokoił się — załatwiłem mu wszystko, jak najlepsza niańka. Poszliśmy poszukać restauracji.

Jakaś kobieta dała nam adres „oú vous déjeunerez pas cher et convenablement". Wchodzimy.

Duża jasna sala — pusto, bo nie ma jeszcze 12-tej. Nastrój francuskiej oberży — zacisznie, zamożnie, smacznie — czuje się, że jedzenie jest tu rytuałem. Na środku wielki, żelazny piec, trzaskający wesoło, pod ścianą pianino. Usiadłem i zacząłem coś brzdąkać. Z kuchni wyszła patronka i powiedziała tonem dobrodusznej cioci: „Ne vous génez pas, Monsieur, jouez, jouez...". O 12-tej zaczęli się schodzić goście. Widać, że są to ludzie, jedzący tutaj codziennie, może od lat — zżyci z domem. Rentierzy i emeryci, dobiegający swych dni z dala od kotła paryskiego na cichej prowincji. Kelnerka podsuwa każdemu kartę. Wszyscy czytają uważnie — Mademoiselle przywoływana jest to tu, to tam na krótką naradę. Po ustaleniu co kto będzie jadł, zapada chwila ciszy. Niemal przy każdym stoliku ktoś wyjmuje jakieś lekarstwa i zażywa przed jedzeniem. Starszy pan, czysto i elegancko ubrany, wyłuskuje pedantycznie jedną pastylkę z tubki, wrzuca do szklanki, nalewa trochę wody, miesza — po czym długo patrzy pod światło, czy dobrze się rozpuściła. W skupieniu, jak ksiądz, wypijający wino przy ołtarzu, połyka zawartość. Starsza pani, ubrana zasobnie, ale trochę *á la 1900* odlicza nabożnie krople lekarstwa, ruszając przy tym milcząco wargami, jak przy odmawianiu różańca. Inny staruszek nalewa na łyżkę jakiś syrop. Ręka mu drży i szyjka butelki stukając o metal wydaje cichy dźwięk.

Patrzę i słucham, widzę i odczuwam coś, co możnaby porównać do tego momentu, w którym człowiek już prawie usypia. Cisza, spokój, rozprężenie — trzeba poruszyć nogą, albo ręką, żeby poczuć siebie. Przebudziłem się dopiero, gdy kelnerka postawiła przed nami wino, chleb i sałatę z buraków. Jemy obiad — niestety w niczym nie przypominający dawnych czasów. 3 lata temu zjadłoby się tu za 20 fr. tyle dobrych rzeczy — teraz sałatka, mały kawałek mięsa, pomarańcza, ćwiartka wina i kawałek chleba 18 fr. I na wszystko drogocenne kartki. Przy kawie z koniakiem (extra 4 fr.) przeglądam grubą książkę, zawierającą spis wszystkich miejscowości departamentu Oise z pewnymi informacjami o nich. Wyszukuję Senlis, a więc: 2 apteki, 1 dom dla starców (maison de retraite), przytułek dla ubogich gminy, 3 adwokatów, 3 lekarzy, 2 notariuszy itd. itd. — w końcu spis towarzystw i stowarzyszeń miejscowych. Przetarłem okulary, w tej małej mieścinie było ich ze 30: Stowarzyszenie łuczników, kuszarzy (nie mieszać: co innego łuk a co innego kusza), myśliwych, wędkarzy, szachistów, przyjaciół belotki, byłych kombatantów, kilka towarzystw dobroczynnych pod zarządem jakichś pań z nazwiskami „Madame de" i „Madame de la" (noblese oblige); trudno wszystko zapamiętać. Przyznam się, że mi to zaimponowało. Można wątpić w żywotność tych stowarzyszeń i ich celowość, ale uderza ich ilość, a przede wszystkim apolityczność. — Nie — po prostu jedni lubią s o b i e strzelać z łuku, inni z kuszy, jeszcze inni grać w belotkę i wszyscy są wolni. Stowarzyzają się, bo mają czas, robią to dla przyjemności i znowu to, co mnie napawa zazdrością: S t a ć i c h n a t o. Dostatek... marzenie 98% Polaków,

żyjących we własnym kraju życiem koczowniczym, w pogoni za większym kawałkiem chleba, bez poczucia stałości, z głową pełną pomysłów, ideałów, kombinatorstwa, Bóg wie czego, pretensji do innych, do całego świata, wykształconych, inteligentów bez przynależności, snobów, artystów z talentem i bez — wszyscy wiecznie z pustą kieszenią, skazani w dodatku na wieczne cierpienie za ojczyznę. Jeżeli człowiek nieraz sobie tak mówi, to nie przez pogardę dla Polski — po prostu przez wściekłość na nasz los, na tego pecha, przez zazdrość, gdy patrzy się na innych jakże często mniej godnych. Nic nie robią, nie poświęcają się, nie cierpią i los się do nich uśmiecha. Co robić!... Nic dziwnego, że w rezultacie pozostaje nam jako jedyna ucieczka i pocieszenie — narodowy mistycyzm. Serce, myśl, uczucia, oceany nigdy niedocenionego bohaterstwa — przeciwko woreczkowi ze złotem. Walka nierówna, w której ciągle ulegając, jesteśmy ciągle przekonani o naszej wyższości. Ale trzeba się pocieszać, żeby nie bluźnić.

Wychodzimy z oberży i wolno idziemy do sądu. Na podwórzu już ruch; ludzie przystają i rozmawiają, wchodząc grupkami do budynku. Szerokimi schodkami idziemy do sali sądowej. W środku schodów wisi na ścianie wielki obraz: Maria Antonina na wózku w drodze na gilotynę. Obraz malowany techniką oficjalnych obrazów — powiększenie z fotografii. Pomimo tego robi jednak wrażenie — właśnie tutaj w tym półmroku gotyckim tak bardzo przypominającym Conciergerie. Pchający się po schodach tłumek jest ten sam, co na obrazie; wydziela tę samą atmosferę tępoty, zazdrości, okrucieństwa przytłamszonego bezczelnym tchórzostwem — jednym słowem wszystkie właściwości masy. Czuje się, że są jakieś tajemne nici, łączące ten obraz i przedstawioną na nim scenę z rzeczywistością obecną. We Francji do dziś dnia przeżyło coś nieuchwytnego z tej epoki. Zapatrzyłem się. Dopiero ktoś klepnął mnie po ramieniu: „Dis donc, mon vieux, serres un peu à droite — on peut pas passer". Pomyślałem sobie: — O — to właśnie to — mówią ci per „ty". Spojrzał na mnie, zaśmiał się i kiwnąwszy głową w stronę obrazu: — pauvre fille...

W sali sądowej jest zimno — publiczność jednakowa: okoliczni fermerzy, w ogóle LUD — francuski ludek, w którym znajdzie się zawsze po kawałku jakiejś warstwy społecznej, które razem wzięte tworzą jedną warstwę. Trochę bourgeois, trochę podmiejska lub miejska hołota, trochę chłop, gdzie niegdzie „coś lepszego", co wtapia się w całość — wszystko pomieszane i przemieszane. Społeczny groch z kapustą.

Obok mnie siedzi jakichś dwóch starych obywateli, cuchnących winem i machorką. Przyszli do sądu rozerwać się i posłuchać. Dyskutują fachowo — z całą znajomością prawa, wrodzoną każdemu Francuzowi. Sąd jeszcze nie wszedł, więc wszyscy gadają, palą papierosy — nie zdejmując oczywiście kapeluszy. Nastrój familijno-karczemny. Przez tłum przepycha się jakiś człowiek, niosąc na plecach drugiego bez nóg. Tułów i ręce — w klapie marynarki zrudziałe wstążeczki orderów i rozetka Legii honorowej. Znajomi witają go hałaśliwie i usadzają przede mną. Moi sąsiedzi klepią go po ramieniu.

— Bon jour, mon vieux — jak się tu dostałeś?

— W każdym razie nie na piechotę (á pieds) — odpowiada z rzeźliwym śmiechem, zadowolony z dowcipu. Inni śmieją się również.

Nagle wszedł woźny i zawołał: „Le Tribunal"!! Od razu uciszyło się, pogaszono papierosy i zdjęto kapelusze. Przewodniczący i dwóch sędziów w togach i biretach zasiadło za stołem, prokurator z jednej strony, pisarz z drugiej; — adwokat w ławkach razem z oskarżonymi. Sprawy zaczęły się sypać jedna za drugą, szybko, seryjnie.

Jakieś dwie dziewczyny o powierzchowności, którą jedynie Balzac byłby w stanie dobrze opisać. Ludzkie pomyje, — rude, poplamione, okropne. Oskarżone o kradzież ubrań z willi zarekwirowanej przez Niemców. Bogata przeszłość kryminalna, wypomniana figlarnie i złośliwie przez przewodniczącego. Coś w rodzaju: „No — no znamy się mes enfants; w r. 1937 zbroiliśmy to, potem włóczęgostwo, potem znowu wyrok..." Dziewczyny uśmiechają się cynicznie.

— No jak to było ostatnim razem? W tej willi tylko parter był zarekwirowany przez Niemców, a mademoiselle wzięła ubranie z szafy w ścianie, z kuchni na pierwszym piętrze?

Dziewczyna milczy — wtrąca się adwokat:

— Tak, one spały z Niemcami na parterze, ale w nocy elle est montée dans la cuisine pour, pour...

Przewodniczący: Oui — elle est montée au prémier étage pour se remonter aprés les émotions de rez-de-chaussé... kończy „spirituellement" (śmiechy).

Adwokat: (śmiejąc się) — C'est ça — była trochę wyczerpana i chciała się napić wody — vous comprenez...

Przewodniczący: — Et au lieu de prendre de l'eau fraiche, elle a pris un manteau, deux robes, des draps et quelques cuillers d'argent comme souvenir... (śmiechy).

Adwokat nie sili się nawet na obronę; wyrok: dwa lata więzienia. Sprawa drugiej. Adwokat starszy, gruby i łysy wygłasza przemówienie obronne bardzo patetyczne i piękne. Jest w nim mowa o św. Magdalenie, o kapłankach Astarty... Przewodniczący słucha z zainteresowaniem; widać, że go to bawi i ciekawi. Adwokat brnie dalej w patos, w cytaty z Pisma św., nie krępuje się. Tutaj patos jest przyjęty, jak każda inna forma wypowiedzenia się. Bo we Francji nie jest ważne to, c o się mówi ale nieskończenie ważne jest to, j a k się mówi. Dlatego można tutaj tak wiele powiedzieć — byleby zachować formę. Podziw i uznanie dla formy jest tak głębokie i wrodzone, że kapitulują przed nią i treść i nawet sprzeczne z tą treścią uczucia. Jeżeli umiesz mówić, to wolno ci powiedzieć wszystko.

„Przewodniczący, ubawiony dostatecznie, przerwał adwokatowi: — O ile znam historię, to św. Magdalena istotnie była swawolną wykwintnisią (une femme galante), ale nie kradła — idzie pan za daleko, mon cher maître. — Kiwnął ręką, przeczytał wyrok: — Półtora roku więzienia.

Sprawy sypią się jedna za drugą, żywo, z temperamentem. Drobne kradzieże, przywłaszczenia, przestępstwa z dziedziny „czarnego handlu", zaledwie tylko jedno pobicie. Uderza mnie to, bo u nas większość tych drobnych spraw, to bójki kończące się w sądzie. Nie wiem, co lepsze. Przed Trybunałem staje jakiś dozorca magazynów kolejowych — ojciec 4-ga dzieci, nigdy nie karany, 18 lat nienagannej służby na kolei. Został złapany gdzieś na wsi przez żandarmów, gdy niósł kilkanaście rzemieni skórzanych w walizce. Popełnił tę nieostrożność, iż przyznał się w protokole, że rzemienie te wziął z oddanego mu pod nadzór magazynu. Adwokat wygłasza mocne przemówienie: — Sąd wie, że obecnie nie można na wsi nic kupić, jeżeli nie da się czegoś w zamian. Ten człowiek ma 4-ro dzieci i wszyscy wiemy, że racje kartkowe są niewystarczające. Chcąc kupić trochę jedzenia, wziął z magazynu kilka rzemyków skórzanych, poszedł na wieś i przy pomocy tej „premii" usiłował wydobyć coś od fermerów. A zresztą, oto zaświadczenie jego władz przełożonych, które od razu zrobiły kontrolę magazynu i stwierdzają tu, tym oto papierem, że w magazynie niczego nie było brak i kolej nie zgłasza do niego żadnych pretensyj. Ten człowiek nie jest złodziejem!!! 18 lat nieposzlakowanej służby na kolei, nigdy nie karany, 4-ro dzieci... !!

Wśród sędziów szepty. Wyrok: 1 miesiąc więzienia. Na sali rozległ się gwar, niezadowolenie i oburzenie buchnęło nagle, jak płomień. Tłum się poruszył. Jakto? Kolej stwierdza, że nie została okradziona, a dają mu miesiąc więzienia; do tego automatycznie traci pracę, bo wyrzucą go z posady jako karanego. Przewodniczący ucisza publiczność, ale zewsząd słychać krzyki: „Ah — non, quand même — c'est honteux — huuuuu — merde — une bande des salauds..." Jest coś porywającego w tym głośnym, śmiałym i wolnym ujęciu się za krzywdą biednego człowieka i otwartym skrytykowaniu Trybunału. Miałoby się ochotę wskoczyć na ławkę i krzyknąwszy: „Aux armes, citoyens...!" podpalić sąd, powiesić sędziów. W tym momencie rozumiem trochę ten tłum, odprowadzający z nienawiścią „charette" Marii Antoniny. Przewodniczący wali suszką w stół i krzyczy „silence", ale tłum ciągle bulgota. A ja mam w oczach pomnik Kamila Desmoulins w Palais Royal i aż mnie rozpiera od wewnętrznego krzyku, aż dusi w gardle.

Sala w końcu ucichła. Przed Trybunał wzywają beznogiego. Teraz już nikt go nie niesie. Przy pomocy rąk ześlizguje się zwinnie z ławki i ruchem pająka z poobrywanymi łapami, potoczył się między nogami uskakujących w bok ludzi. Przewodniczący aż przechylił się przez stół, żeby go dojrzeć. Nie dosłyszałem, o co tam chodziło. W każdym razie człowiek-tułów śmiało i bezczelnie odparowywał ciosy, uzbrojony w wojnę, Legię Honorową i potworne inwalidztwo. Są to argumenty, wobec których każdy we Francji skłania głowę. Nic dziwnego — poświęcenie nie jest tu sportem narodowym. Skazują go z zawieszeniem. Toczy się do wyjścia, pogwizdując z cicha — tam czeka na niego tragarz. Tragarz schyla się, ten łapie go za szyję i okręcając się małpim ruchem, lokuje się na plecach.

Sprawa jakiejś Polki: wyskrobanie daty ważności w karcie tożsamości (carte d'identité) i wstawienie innej. 3 miesiące więzienia. Tłumaczem jest jakaś młoda emigrantka, opoliturowana we Francji noga stołowa. Włosy utlenione, kapelusz z piórkiem, futro, niezły akcent francuski (urodzona tutaj) — za to po polsku rąbnęła wprost spod strzechy: „Jak się nazywacie, ile roków macie, gdzieście rodzeni, a to przyznajecie coście szkrybali w papiurach? A nie trza, nie trza — legitymacja to świenta rzecz... za drapanie kreminał..." Ładny tłumacz sądowy..., ale przewodniczący uśmiecha się do niej, mówi: „Madame, ayez la gentillesse..." i Kaśka jest ważna — zaprzysiemgli jom do sundu.

Już pod sam koniec przychodzi sprawa moiego klienta. Ledwo przeczytali mu oskarżenie, tłumaczka wykalikowała mu coś po polsku, ledwo nasz Maître B. zabrał głos, gdy przewodniczący przerwał mu: „Maître — wie pan, że w tej chwili najniższą karą za podobne wykrocze-

nia jest grzywna 1 200 fr." — i ogłasza wyrok: „1 200 fr. grzywny". Doskonale — jesteśmy zadowoleni, bo lepiej się nie dało. Teraz już moja głowa w tym, żeby różnymi podaniami, zaświadczeniami bezrobocia, opóźnić termin wykonania albo i całkiem zanulować. Znam już tak administrację francuską, że wiem jak daną rzecz puścić, żeby pływało przez długie miesiące po morzu papierów i utonęło w odmętach zapomnienia. Może do tego czasu coś się zmieni... Wychodzimy z sądu — jest już po 5-tej. Ostatni pociąg do Chantilly odszedł 5.10. Wobec tego postanawiamy iść na piechotę. Z Senlis do Chantilly jest 10 km. Wychodzimy na szosę. Dzień jest ciągle szary, bezgodzinowy. Równie dobrze może być 9-ta rano, co 1-sza lub 6-ta po południu. W taki dzień zatraca się poczucie czasu. Mijamy pola, domy, czasem jakieś większe skupisko domów czyli tutejszą wieś (commune). Wszystko jest bezbarwne i płaskie. Budynki, las, pagórki są jak wycinanki z szarego papieru. Gdzieś daleko przed nami wychodzą z lasu stare kobiety, niosą na plecach chrust. Idą wolno, pochylone — jak żółwie na dwóch nogach. Ustępujemy czasem z drogi, gdy jedzie samochód, najczęściej niemiecki.

Po półtorej godzinie marszu wchodzimy do Chantilly. Mijamy château nad stawem w rozległym ogrodzie; całość urocza. Wśród drzew przeświecają białe ciała rzeźb, gdzieniegdzie czernią się paszcze sztucznych grot lub gną lekkie mostki stworzone do frywolnych westchnień dam Rokoka. Widok, którego właściwy i prawdziwy opis można by znaleźć u G. Sand — „... des paysages frais et calmes, des prairies d'un vert tendre, des ruisseuax mélancholiques, des massits d'aumes et de frênes, toute une nature suave et pastorale..." *(Valentine)*.

„Toute une nature suave et pastorale" — określenie to obejmuje wszystko i oddaje najlepiej charakter tego, co u Francuzów nazywa się „Natura", a co dla nas jest zawsze trochę salonem pod gołym niebem. Opisy przyrody po francusku brzmią zawsze jak opis dekoracji w sztuce teatralnej. Bo właściwie taką jest ich przyroda, a szczególniej przyroda Ile de France.

Wchodzimy do Chantilly, mijając sławny tor wyścigowy. Chantilly żyło z niego kiedyś — teraz żyje z Niemców i z kapitału. Część wielkich hoteli zamknięta, część zarekwirowana na Kreiskomendy i inne instytucje okupacyjne. Po ulicach snuje się melancholia styczniowego wieczoru.

Wbiegamy na dworzec pędem, bo właśnie zajechał jakiś pociąg. Ale dobroduszny kontroler zapewnił nas, że to tylko dla robotników, wracających z budowy lotnisk. Mrugnął okiem: „Będą mieli Anglicy gdzie lądować..."

Wobec tego poszliśmy do pobliskiego bistra coś przekąsić, bo po lekkim obiedzie i szybkim marszu byliśmy głodni. W bistrze ruch i gwar, godzina aperitiwu. Zamówiliśmy chleb z pasztetem i po szklance wina. Zostawiłem wino na kontuarze i opychając mój chleb, łaziłem z kąta w kąt, oglądając jakieś litografie na ścianach. Nagle jakby mnie zimną wodą oblało. Na szklannej szafce, w drugim końcu kontuaru, przylepiona „złota myśl" po niemiecku. Podszedłem i przeczytałem: „Sei was du willst, aber vor allem weiss was du sein willst". — Schlageter. A niechże ich znudzi!" Wystrzał rewolwerowy w czasie koncertu możnaby spokojniej znieść, niż taką złotą myśl bohatera hitleryzmu we francuskim prowincjonalnym bistrze. Jakież to obce, ponure, sztywne, odpychające. Jest coś w tej tzw. „Deutsche Kultur" czego nie można przełknąć. Ta nahalność w sposobie podawania jej. Nie — nie chcę nic od nich — wolę być, czym mi się podoba i nie koniecznie „plannmässig" wiedzieć, czym chcę być. Chcę żyć, chcę sobie pożyć... jak dzisiaj...

Płacimy i idziemy na dworzec. Zapada mrok, bierze lekki przymrozek. Wtacza się pociąg. Siadam w kącie i usypiam, budząc się na Gare du Nord. Idziemy jeszcze do bistra na grog z sacharyną. Patronka siedzi przy kasie z kotem na kolanach i popędza garsonów, jakieś dwie, wycofane ze śródmiejskiego obiegu „filles" rozmawiają, kaszląc chrapliwie.

Nastawiam kołnierz i wychodzę. Pod nogami dudni metro.

16 STYCZEŃ

K. dał mi dziś 100 dolarów do sprzedania, których sam nie mógł sprzedać, bo są to dolary starej emisji tzw. „wielkie". Postanowiłem spróbować, czy Mr Joseph ich nie kupi i pod wieczór zapadłem w gąszcz uliczek przy rue des Francs-Bourgeois. Wszedłem ostrożnie do bistra i szepnąłem patronce: „Monsieur Joseph"...

Chwilę przypatrywała mi się uważnie i kiedy mój fantazyjny strój paryskiego „loustic" natchnął ją ufnością, pochyliła się i raczej wargami, niż głosem, odpowiedziała krótko i dosadnie: „Il est pincé".

Zrozumiałem od razu i szybko wyszedłem. Zamknęli go. „Il est pincé", doskonałe i obrazowe określenie „fachowe" w tym demi-argot ciemnych sprawek. Coś w rodzaju pieszczotliwego: „on został uszczknięty" — jak źdźbło trawy dziobem kaczki.

Wobec tego zajechałem do antykwarni pana Zygmusia. Było już ciemno i prawie po omacku trafiłem do drzwi sklepu. Wszedłem cicho. Pan Zygmuś siedział przy stole oświetlonym jakąś fantazyjną lampą naftową, przerobioną domowym sposobem na elektryczną i z wysiłkiem wkładał bucik. Na stole stała wielka butla kwasu solnego. Mały, czarny kotek siedział na półce nad stołem i bawił się wahadłem przy empirowym zegarze, który stanął prawdopodobnie na ostatniej godzinie tej epoki i więcej się nie ruszył. Pan Zygmuś sapał, a kotek trącał łapą wahadło obijające się z cichym dźwiękiem o złote kolumienki.

— Dobry wieczór panie Zygmusiu! Pan się chce truć kwasem?

— Aaa, dobry wieczór, cześć — panie, nie ma nic lepszego na nagniotki jak kwas solny. Właśnie sobie — tego — tu właśnie kwasem — cholea z tym butem...

Język mu się plącze, wszystkie „l" wymawia w nieskończoność (najłatwiejsza do wymówienia głoska w mocnym „gazie") — widzę, że jak zwykle zalany, a nawet bardziej, niż zwykle.

— Coś pan dzisiaj nie w formie — powiadam.

— Panie — jezdem pijany w d..ę — dali mi dzisiaj rady — pfff — panie — i tu wznosi palec do góry — ja jak się upiłem 17 września 1901 roku, tak od tego czasu... pan rozumie — cholea z tym butem... pfff...

Kotek, korzystając z wielkiej przestrzeni zgiętych pleców pana Zygmusia, zeskoczył mu na kark i rozpoczął dzikie harce z frendzlami odrzuconego w tył szalika.

— A poszeee, psiakrew — i bezradnie ogania się. Zdjąłem kota i usadziłem go sobie na kolanach w moim kapeluszu.

— Panie Zygmuś — chciałbym sprzedać większą ilość dolarów — może pan coś tego — daję po 140, ale to „wielkie"...

— Poaż pan — to cholea — pijany jestem! przyjechał taki magnat panie, to magnat Polak świniarz z prowincji, to potem koniaczek, winko, likierek brzęk i masz pan — a teraz piję Vichy!...

Przy słowie „Vichy" bardzo mocno mu się czknęło i brzmiało to jak „Vi!" a potem długie „sz sz sz sz sz sz y y y y" uchodzące wraz z gazem z głębin żołądka długo i syczące. — Poaż pan te dolary. — Wyciągam dwie sztuki po 5. Rozłożył na stole, przygładził je palcami, kiwając się na krześle i oglądał uważnie. Zdawało się, że jego oczy pływały w oczodołach, nie umocowane żadnym nerwem. Lewe przewracało się, fikało koziołki i tańczyło — prawe uciekło gdzieś w zewnętrzny kąt i tkwiło nieruchome, przyczajone, jakby chciało wyskoczyć i rzucić się na 5-cio dolarówkę.

— Szszeo sie pan śmieje? — Dobre obrazki — można puścić. Ma pan czas, to pszszeaj pan — zrobi sie. — Dałem mu całą paczkę.

— Panie Zygmuś, może lepiej jutro; pan coś dzisiaj nie tego...

— A skąd pan wiesz, że jutro beee lepiej — dawaj pan! To cholea magnat Polak, świniarz z prowincji — 1000 franków brzęk i pijany jestem, ale pan wie — zaufanie może pan mieć... pffff...

Zdjął kapelusz, wywinął wewnętrzny pasek skórki, podniósł podszewkę i zaczął upychać kapelusz dolarami, wsuwając je pomiędzy podszewkę i filc. Przy tym wszystkim puszczał oczy w tak dziki taniec, że mimowoli odczuwałem w głowie ból i musiałem się powstrzymać, żeby samemu nie zezować.

— Panie Zygmuś — co pan wyprawiasz z tymi oczami?

— Jakbyś pan był pijany przez 40 lat bez przerwy, toby sie panu wszystko obluzowało. Orewuar!

Nałożył kapelusz, zamaszyście zarzucił biały szalik, wziął laseczkę z gałką i wyszedł chwiejnym krokiem. Z kuchni wyszła jego „opiekunka" francuska i zaczęła zabawiać mnie rozmową. Mówiliśmy najpierw o wojnie, potem o jedzeniu, a w końcu o panu Zygmusiu. — „Ci Polacy spod zaboru rosyjskiego — du coté de Varsovie — to wszyscy tacy — powiada. — Co zarobi, to wyda, bawi się, używa — on już chyba dwa razy bankrutował; mógłby mieć wielki majątek, ale co mu tłumaczyć. Już tak 30 lat się z nim męczę..." Poczęstowała mnie białym winem i chlebem z serem. Wspomina zeszłą wojnę, Niemców; wojna zaskoczyła ją wtedy na pograniczu belgijsko-luksemburskim. Mówi z dziwną godnością, z tą kulturą kobiety prostej, która dużo przeszła i dużo widziała. Rozmawiam z nią z przyjemnością o wszystkich tajnikach handlu antykwarskiego. Mówi mi, że teraz w sklepie nic nie mają, bo nie chcą sprzedawać; wszystkie cenne i wartościowe rzeczy przechowują w domu — „kiedy znowu przyjadą do Paryża Anglicy i Amerykanie" — powiada z tęsknotą w głosie.

Po półtorej godzinie zjawił się z powrotem p. Zygmuś. „Sprzedałem po 135 (spodziewałem

się — zarobił 500 fr.). Byłem zaskoczony, bo nikt tych „wielkich" dolarów nie chciał kupić, a ten uwinął się błyskawicznie. Odliczył mi 13.500 fr. K. będzie jeszcze bardziej zdziwiony — dawali mu maximum 85. Pożegnałem się i wpadłem z powrotem w ciemną studnię pokręconych uliczek. Zrewanżowałem się K. doskonale.

31 STYCZEŃ

Hitler miał wczoraj mowę. Od razu kupiłem dzisiaj „Pariser Zeitung" żeby mieć in extenso. Właściwie powiedział to, co zwykle i tylko już nic nie przepowiadał. Wprost przeciwnie — streścił wszystko w „ich weiss nicht". „Ich kann an diesem 30 Januar nur eines versichern: Wie dieses Jahr ausgehen wird, weiss ich nicht. Ob damit der Krieg sein Ende nimmt, weiss ich nicht". Bardzo to ciekawe — to „nie wiem", ma jednak tę magiczną siłę że wszyscy, co to czytają, mówią: „aha — no ten wiem..." Koniec też w tonacji „mol": „Herrgott, gib uns die Kraft, das wir uns die Freiheit erhalten, unserem deutschen Volk, unseren Kindern und Kindeskindern, und nicht nur unserem deutschen Volk, sondern auch den anderen Völkern Europas. Denn es ist ein Krieg für ganz Europa und damit wirklich für die ganze Menschheit". Już tam było by lepiej, żeby o innych ludach mniej myślał i o ludzkość się nie troszczył. Ludzkość nigdy nie jest tak nieszczęśliwa, jak wtedy, gdy ktoś zaczyna się o nią troszczyć. Jeszcze nigdy nic dobrego z tego nie wyszło. Mogliby się raz przestać rodzić ci tzw. Wielcy Ludzie i urządzać wojny „za całą i o całą Ludzkość".

Dużo ciekawsze jest sprawozdanie Banku Francji za rok 1941. Pożyczki, udzielone rządowi przez Bank Francji (po prostu pieniądze wydrukowane i oddane rządowi) wynosiły w r. 1940 80 miliardów franków i wzrosły w r. 1941 do 150 miliardów, czyli w przeciągu dwóch lat Bank Francji dał rządowi zastrzyk w wysokości 230 miliardów — papieru. Obieg banknotów daje obraz jeszcze ciekawszy: 1939 — 151.4 miliardów; 1940 — 218.4 miliardów; 1941 — 266 miliardów. Drukują papier, podczas gdy cały kraj jest gospodarczo martwy. Właściwie Francja weszła już w okres pełnej inflacji i to grubej inflacji. Ceny poszły w górę, ale najdziwniejszym zjawiskiem jest to, że ceny nie poszły w górę proporcjonalnie do zwiększenia się ilości pieniądza i utrzymują się na ogół w większości wypadków na granicy rozsądku. Pomimo inflacji w całym tego słowa znaczeniu, nie odczuwa się jej na zewnątrz. Żadnego porównania z Polską, gdzie poziom cen jest zupełnie niebotyczny. Dlaczego? Dlaczego i pod tym względem spadek wartości pieniądza i jego siły nabywczej ma przebieg, jak dotąd stosunkowo łagodny. Zagadka tkwi po prostu w psychice francuskiej. Od czasu Rewolucji nie było we Francji inflacji. Była dewaluacja, ale inflacja jest dotąd zjawiskiem nieznanym. Frank jest j e s z c z e c i ą g l e czymś i pomimo, że coraz mniej można za niego dostać, to przeciętny Francuz n i e b o i się jeszcze odkładać go i uważać sumę 5 tysięcy franków za „une petite réserve" lub nawet „une petite fortune". Frank leci na łeb, dewaluuje się z dnia na dzień, ale jeszcze ciągle dewaluacja ta nie wgryzła się do duszy. Ludzie wierzą w ten pieniądz i nie mogą się pogodzić z tym, że jeszcze trochę, a z frankiem może zacząć się dziać to, co stało się z marką niemiecką po tamtej wojnie. Mało tego — wierzą we franka do tego stopnia, że nie liczą się z tym, iż po tej wojnie wszystkie waluty europejskie, a z nimi frank, machną strasznego kozła, będąc związane z marką. I wobec tego Francja tradycyjnie oszczędza, tak, jak to robiła dawniej — i wypycha stare pończochy i materace — papierem. Na zdrowie! Moment obecny jest tym momentem przejściowym i zarazem najmilszym w inflacji. Inflacja f i z y c z n a już jest, p s y c h i c z n e j jeszcze nie ma. W obiegu, po kieszeniach, w woreczkach na piersi jest dużo 1000 frankówek, a równocześnie wszyscy przywiązują do każdej z nich dużą wartość, cenią i uważają jeszcze ciągle, że „un billet c'est quand même quelque chose" („un billet" w potocznej mowie oznacza płachtę 1000-frankową). Francuz oszczędza — i to nie w czym innym, a właśnie w banknotach. Lubi on odkładać w banknotach (też pewnego rodzaju cecha narodowa), a wskutek tego jeszcze dziś i jeszcze przez pewien czas będzie wycofywał z obiegu pieniądz, osłabiając tym skutki drukowania papieru czyli inflacji. Z inflacją jest podobnie jak z pewną brzydką chorobą. Można ją podzielić na trzy stadia: (Wagemann: *Wo kommt das viele Geld her?)*

Pierwsze stadium inflacji polega na tworzeniu (czyli na drukowaniu) pieniądza, który służy do pokrycia deficytu budżetowego państwa. Ten rodzaj inflacji odbija się tylko na pewnej części dochodu społecznego i, podobnie jak to bywa z pierwszymi skutkami pewnej choroby, nie jest on niebezpieczny sam w sobie tak długo, jak długo nie pojawią się inne symptomy inflacji.

Choroba pieniądza staje się niebezpieczniejszą, gdy przyłącza się do niej wtórna forma inflacji, podobna do zarazka przenikającego w krew: inflacja kredytu. Polega ona na tworzeniu

pieniądza przy pomocy mechanizmu kredytowego, który rozpętuje spekulację na papierach wartościowych, złocie i walutach oraz towarach.

Trzecią formą i to najgroźniejszą — po prostu trzecim stadium inflacji jest zjawisko polegające na wzrastającej ciągle szybkości obiegu pieniężnego, na „inflacji przez kasę", to znaczy na inflacji, która pojawia się, gdy ludność zamienia natychmiast swój pieniądz, swoją kasę na zakupy. Jednym słowem, natychmiastowa zamiana pieniądza na towar — na byle co, byleby tylko nie trzymać pieniądza.

Te trzy stadia będą miały przebieg znacznie łagodniejszy w gospodarce normalnej tzn. gdy na rynku jest dostateczna ilość towaru. Natomiast dziś przy ogólnym braku i rzadkości produktów wszelkiego rodzaju, każde z tych stadiów ma przebieg przynajmniej o 50% intensywniejszy. Ceny rosną podwójnie — z jednej strony wskutek nadmiaru pieniądza, z drugiej strony wskutek rzadkości wszystkiego. We Francji jeszcze ciągle z jednej strony oszczędza się, czyli przerzedza pieniądz, z drugiej zaś nie ma jeszcze na rynku towarów pustki. Stąd ta łagodność i opóźnienie w reakcji. A w jakim stadium inflacji znajduje się Francja? Zaraz!

Poprzez pierwsze stadium Francja przeszła bardzo szybko i to jeszcze w r. 1939—1940. Pomimo całego jej bogactwa, sumy, które należało zgromadzić celem prowadzenia wojny, przekraczały już nie tylko możliwości podatkowe, ale nawet zdolność absorbcyjną rynku kapitałowego. Toteż Banque de France nie miał innego wyjścia, jak drukować pieniądz i „pożyczać" go państwu. Wypłacał rządowi akonta. Od 1939 r. do 31. 8. 1940 r. wydatki rządu francuskiego wzrosły do 260 miliardów frs. — z czego 180 miliardów na wydatki wojskowe (a nie pokazali w tej wojnie nawet za milion). A przecież roczny dochód społeczny Francji wynosił w tym czasie zaledwie ok. 120 miliardów, czyli, że gdyby każdemu Francuzowi odebrano wszystkie jego dochody roczne, otrzymanoby dopiero 120 miliardów. Podatki dały 67 miliardów; dochodów rocznych nie można było odebrać (zresztą i to nie wystarczyłoby) — wobec tego prasa drukarska poszła w ruch — nie mówiąc o innych sposobach pomnożenia pieniądza (bony skarbowe itd.). Krótko mówiąc, w ciągu niecałego roku tej sławetnej wojny francuskiej, gospodarka pieniężna Francji wyglądała tak, jak w Niemczech w r. 1916/17, w których posługiwano się tymi samymi metodami finansowania wojny. Jest to jeszcze jeden przyczynek do ogólnego obrazu Francji; do tego ogólnego bałaganu, niedołęstwa i nieuctwa, panującego wszędzie. Już w ciągu tego jednego roku „białej wojny" francuskiej, ceny podskoczyły o 25%, a frank zdewaluował się w stosunku do funta o 20—25%. Potem przyszło zawieszenie broni — i polityka pieniężna nie uległa zmianie. Rząd płacił na wszystkie strony i jeszcze ciągle płaci. Z początku były to wszelkiego rodzaju odszkodowania. Potem bezrobocie. Po zawieszeniu broni każdy brał bezrobocie. Następnie przyszły premie za dzieci i dodatki rodzinne, po czym premie za „powrót na rolę", odszkodowania za zniszczenie bombardowaniami — w końcu miliony zasiłków w ramach „Secours National". Francja weszła w drugie stadium inflacji — inflacji kredytu rządowego. Petain płaci wszystko plus 300 milionów fr. dziennie odszkodowań wojennych, które Niemcy wpompowują oczywiście z powrotem na rynek francuski. Bo nie należy mieć złudzeń, co do gospodarki pieniężnej niemieckiej i nie należy jej idealizować. Oni krzyczą, że ich metody finansowania są zupełnie inne w tej wojnie, niż w zeszłej. Zgoda — ale w końcu nic nowego nie wynaleźli i cała różnica polega na tym, że zamiast drukować swoje marki, oni tym razem drukują franki, złote, korony i te tzw. marki okupacyjne. Cały ciężar inflacji i cierpień za nią idących, zwalają na ludy podbite. Francja ze swoimi bogactwami jest kolumną tego systemu. W tym roku obieg banknotów dojdzie na pewno do 300 miliardów. I mam wrażenie, że struna jeszcze nie pęknie. Dlaczego? Po pierwsze Francuz jeszcze ciągle ma poszanowanie dla banknotu 1000 fr. i nie boi się oszczędzać we franku, wycofując tym samym nadmiar pieniądza z obiegu, a po drugie stopień tego oszczędzania jest jeszcze ciągle wysoki. Francuz oszczędza w banknotach. A w jakich proporcjach? W r. 1934 na 80 miliardów franków w banknotach, znajdujących się w obiegu, 24 miliardy były stale tezauryzowane. Tkwiły w pończochach i materacach, zgodnie z zasadami ojca Grandet. (Lewinsohn — *Histoire de la Crise*, str. 209). Można zatem przyjąć, że 1/4 banknotów w obiegu jest wycofywana z obiegu przez tezauryzację. W tym roku więc ok. 75—80 miliardów franków będzie jeszcze tkwiło w siennikach. Kto wie, czy nawet nie więcej, biorąc pod uwagę do jakiego poziomu doszły zarobki rolnictwa wskutek „czarnego handlu". A francuski chłop jest właśnie elementem, który najwięcej oszczędza. Ludzie w miastach, obok zarobków z pracy, ciągną zyski z wszelkiego rodzaju legalnego i nielegalnego handlu. Można zarobić na wszystkim. W rezultacie każdy coś ma. Jeżeli dodać do tego, że Francja była pierwszym krajem na świecie, jeśli chodzi o równomierne rozłożenie majątku narodowego, to łatwo zrozumieć, że przeżywa ten okres stosunkowo dobrze. I jest ruch — pieniądz płynie. Ale to tymczasem. Bo w pewnej chwili dojdzie się na pewno do trze-

ciego stadium, o ile oczywiście Ameryka nie podeprze natychmiast franka dolarem. Jeżeli to się nie stanie, zacznie się katastrofa, jakiej Francja nie widziała od czasu asygnat rewolucyjnych. 80 miliardów tezauryzowanych banknotów rzuci się nagle na rynek w poszukiwaniu najpierw złota i walut, byle czego, byle uciec od pieniądza. Ruina wszystkich małych fortun, co we Francji oznacza ruinę powszechną, ruina rentierów i drobnych posiadaczy. Francja przegra tą wojnę naprawdę dopiero po wojnie — i to pod każdym względem.

1 LUTY

Śnieg i mróz. U nas w pokoju naprawdę trudno wytrzymać. Zimno i brak dostatecznej ilości tłuszczu powoduje paskudne wysychanie i pękanie skóry. Szczególniej na rękach.

3 LUTY

Amerykańskie samoloty zrzucały ulotki. Świetnie zredagowane. Francuzi przełknęli je z zachwytem. Na pierwszej stronie jest rysunek pomnika Wolności, a pod tym podpis: „Daliście nam niepodległość, zwrócimy wam wolność!" Trudno wymyślić coś lepszego, jeżeli tylko zna się Francuzów. Dzisiaj każdy był wojowniczy — cały Paryż roił się od Papkinów. — „Ah — alors — les Américains — vous verrez". Niestety. Nam się zawsze zdawało, że Francuzi, to ci sami, co w bitwie pod Eylau dali się wyrżnąć, a nie ustąpili; że to synowie Cambronne'a. I tę legendę trzeba sobie wybić z głowy. Oni się skończyli. Dziś oni chcą jeść i o niczym nie potrafią myśleć, jak o befsztyku, a niech inni biją się za nich. Byleby tylko dali im święty spokój. Zresztą na świecie jest tylko Francja.

4 LUTY

Odwilż.

5 LUTY

Mróz. Można bzika dostać; — to jedno, co można dostać, bo poza tym nic. Żadnej jarzyny — nawet brukwi. Ani jednego kartofla lub marchwi. Nic! Gdyby nie to, że sprowadziliśmy w grudniu worek kartofli i tę trochę zapasów, to nie miało by się co jeść. Ludzie stali się drażliwi i przysłowiowy humor francuski i familijność znikły. Jeżdżę teraz metrem i autobusem i nie ma dnia, żeby gdzieś nie było awantur. W metrze ludzie kłócą się między sobą, w autobusie wszyscy wrzeszczą na konduktora — niebywałe rzeczy.

11 LUTY

Jeżdżąc teraz metrem, dużo czytam. Zaciekawiony określeniem Goncourtów, zresztą dosadnym, że *Candide* Voltaire'a to po prostu „Lafontaine prozą, Rabelais wymiszkowany" — przeczytałem to. Zgadzam się z Goncourtami. Trudno lepiej określić *Candide* z punktu widzenia literackiego. Ale tylko literackiego. Poza tym smutna książka — wszystko to można by napisać dzisiaj, i byłoby to równie żywe, aktualne i beznadziejne. Może nawet bardziej beznadziejne dzisiaj, niż w swoim czasie. Bo czytając taką satyrę w 18 wieku, można się było łudzić, że jednak ludzkość wydobędzie się z tego barbarzyństwa, że zbliża się wiek oświecenia, że coś się dzieje — było jaśniej na horyzoncie. Człowiek wierzył w swoją siłę, przefilozofowywał wszystko z Bogiem włącznie — czuł, że idzie naprzód — tworzył, upajał się własną siłą, patrzył z radosnym uśmiechem na jasny wschód 19 w. Słowa „Wolność", „Braterstwo", „Równość", „Prawo", „Konstytucja", „Parlament", „Demokracja" były pojęciami żywymi, praktycznymi. Człowiek w i e r z y ł i mógł wierzyć. A dziś? Dziś *Candide* jest po prostu dziecinną satyrą, bo to co podlega satyrze, na czym Voltaire z taką zgryźliwością ostrzy swój dowcip i pióro, to wszystko jest naprawdę bardzo niewinne. To wszystko co Candide w y c i e r p i a ł, co wykraczało wówczas poza normalne warunki życia i istnienia, to jest dzisiaj udziałem każdego człowieka; to po prostu normalne życie człowieka współczesnego. Biedny Candide zostaje siłą wcielony do oddziału gwardii pruskiej i asystuje przy paleniu jednej — nich będzie nawet dziesięciu wsi; widzi jak żołnerze rżną kobiety i dzieci; kilkanaście — niech będzie nawet kilkadziesiąt — trupów wala się po ziemi. Potem jest w Hiszpanii i ogląda wyczyny inkwizycji; jedzie do Ameryki Południowej, gdzie wpada — o zgrozo — w ręce Jezuitów itd. Sielanka — a on się tak oburza, rzucając jadowite pioruny ironii, traktując świat jak jakieś okropne szaleństwo. Mam wrażenie, że gdyby żył dzisiaj, to zabrakłoby mu w ogóle dowcipu. Bo jakże niewinnym był despotyzm i ucisk ówczesnych monarchów i „tyranów" w porównaniu z dzisiejszym niewolnictwem. Ile hałasu o jedną głupią Bastylię, od których

roi się dzisiaj cały świat. Taki Oświęcim bije o sto długości Bastylię. I to wszystko dzieje się w imię kultury i odrodzenia świata. Czy my w ogóle wiemy, co to znaczy WOLNOŚĆ i PRAWO? Już moje pokolenie ma bardzo słabe pojęcie o tym. Jeszcze pokolenie mojego ojca może coś sobie przypomnieć, ale ja?... Niente! Gdyby nie to, że poznałem Francję, jeszcze tę przedwojenną, umarłbym w przekonaniu, że to wszystko czym żyłem, to była wolność. Można na Francję mówić, co się chce — ja sam zmieszam ją z błotem jeszcze nieraz, ale to było jedyne państwo w Europie przedwojennej (1918—1939), które o ile nie dawało wolności naprawdę, to w każdym razie zapewniało jej złudzenie w bardzo szerokim zakresie. A my wszyscy, już przyzwyczajeni myśleć kategoriami niewolników, kategoriami — hm — barbarzyńców, bierzemy im to za złe, widząc jeden jedyny rezultat tego — i c h k l ę s k ę. I z naszego barbarzyńskiego, młodego i prężnego punktu widzenia mamy rację. Klęska Francji — to zbytek wolności; wolności źle pojętej i przypominającej naszą „Złotą Wolność" z okresu przed rozbiorami. France 1939 pod względem moralnym i ideologicznym to Polska Sasów. „Jedz, pij i popuszczaj pasa". Ale cóż? Skosztowałem jej i wiem — i nie mogę zapomnieć. Dziś czuję to, czego nie mogłem zrozumieć po przyjeździe tutaj. W kilka tygodni po wyjściu z pociągu na Gare du Nord byłem tu bardziej wolny jako obcy, niż (o zgrozo!) jako Polak w niepodległej Polsce. Nie przerażała mnie niepewna przyszłość, nie gubiłem się w czarnych myślach o tym, co będzie, bo byłem wolny. Mogłem zmienić mieszkanie, mogłem przenieść się do innego miasta, mogłem robić byle co — i nawet sam pan komisarz policji nie był ciekawy. Voltaire pisał — siedział za to trochę w więzieniu; dziś zgniłby bez sądu w jednej z kilkuset Bastylii. Każda jego myśl i słowo, to bluźnierstwo. Humanitarność, prawo, swoboda, kultura (uf) są przecież synonimem przegnicia, destruktu, braku woli, prężności i „radosnej siły". Nie myśl, lecz pomysł; nie uczucia, lecz instynkty; nie człowiek, lecz stado baranów z Panurgiem na czele. Pewien żyd, z którym rozmawiałem, powiedział mi po prostu: — „Panie, panie — widacz, że pan nie jesteś dzisiejszy..."

15 LUTY

Wobec tego wojna nie skończy się w tym roku. Wczoraj Anglicy wypuścili z Brestu trzy wielkie okręty niemieckie, które zdrowo i cało przedefilowały przez cały La Manche i bezpiecznie zawinęły do jednego z portów niemieckich. I teraz naśmiewają się z Anglików. Mają rację — sam bym się śmiał, żeby mi było po tym do śmiechu. A wieczorem sam Churchill, sam whiskyseliger und besoffener Churchill zawiadomił świat w krótkim przemówieniu przez radio, że Singapur został oddany. Same sukcesy! *Scharnhorst, Gneisenau* i *Prinz Eugen* jeżdżą po La Manche, Japończycy zdobywają „niezdobyty" Singapur, a ty biedny obywatelu Nowej Europy musisz wierzyć. W Paryżu powstał nowy dowcip na ten temat. Jaka jest różnica między Anglikami a Panem Bogiem? Żadna! Bo i Anglicy i Pan Bóg są niewidzialni, lecz trzeba w nich wierzyć.

3 MARZEC (23.20)

Całkiem nieźle! Aż szyby brzęczą! Wróciliśmy właśnie od L. Siedzimy u niej i nagle koło 10-ej jakieś grzmoty. Chwila ciszy i znowu cała gama chromatyczna. Znam się trochę. Przyleciały żydy i masony. Tymczasem huk i łomot zrobił się niemal bezustanny. Poszliśmy na najwyższe piętro „zobaczyć". W zachodniej części Paryża było jasno. Na niebie zapalały się bardzo jasne światła i wisiały długo jak gwiazdy. Tzw. bombardowanie ze świeczką. Słabe odgłosy obrony przeciwlotniczej — podeszli ich. A Anglicy walili i walili bez przerwy. Nie wiem w co, ale taka łaźnia zdarza się po raz pierwszy. Czuło się, że tam wszystko podskakuje. W pewnej chwili jedno ze świateł zapaliło się nad nami i zrobiło się jasno jak w dzień. We mnie na odmianę dusza zaczęła podskakiwać na ramieniu. Do ust napłynęło mi sporo śliny szczególniej, gdy usłyszałem dyskretne, dżentelmeńskie brzęczenie jakiegoś Blenheima, idącego na nas na małym gazie. Wyobraźnia bardzo pracuje w takim momencie. Już widziałem taką pigułę, odrywającą się od kadłuba, jak to było w 1940 w czerwcu. Ale on nadleciał, oglądnął — i odleciał. Widać go było zupełnie wyraźnie. B. o mały włos nie wyleciała z okna z radości i miała ochotę krzyczeć. Wśród tych odgłosów z nad Tamizy wyszliśmy od L. i wracali do domu. Ludzie stali na ulicach, w bramach i w bistrach, komentując dziwny fakt nienadania alarmu. Syreny nie odezwały się zupełnie. Z daleka słychać było trąbki straży ogniowej i dzwonki ambulansów, pędzących gdzieś tam na zachód, w stronę tego piekła. Jeszcze teraz słychać wybuchy. Bombardują od dwóch godzin bez przerwy.

4 MARZEC

Może w żadnym mieście na świecie nie można z taką pewnością powiedzieć, że „wszyscy mówią", jak w Paryżu. Tu rzeczywiście „wszyscy mówią" — i jeszcze jak — do tego wyłącznie o tym, o czym wszyscy. Nie ma innego tematu. Dziś od samego rana wszyscy mówią o wczorajszym bombardowaniu. Na ulicy, na peronach metra, w autobusach nie słyszy się nic innego. Już każdy „coś" wie, już „ktoś" był i widział, już każdy z każdym sprzecza się — i dyskutuje. W gazetach jest tylko krótka notatka o „bestialskim napadzie Anglików na ludność i zabudowania cywilne jednego z przedmieść Paryża". A że w tej dzielnicy nie ma niestety ani kościołów, ani szpitali, więc wszystko skupiło się na biednym muzeum porcelany sewrskiej. A niech... krzywdy nie będzie, jak tam trochę tych olbrzymich i strasznych wazonów pęknie. Ale i tak wszyscy wiedzą, że chodziło o co innego. Alarmu nie było, ludzie nie zdążyli się pochować, są ofiary. Trudno! Na ogół panuje zadowolenie i pomimo szeptów o 2000 zabitych, ogół aprobuje ten krok. Gdzieniegdzie słyszy się ludzi mówiących z oburzeniem, ale są to raczej wyjątki. Poza tym pod wpływem tego pierwszego zdecydowanego posunięcia Anglików obudziły się nadzieje wiosenne. Paryż kipi — wszyscy mówią.

5 MARZEC

Wczoraj przyrządzono gulasz i dziś dostaliśmy wszystkie wiadomości w odpowiednim sosie. Pojutrze odbędzie się pogrzeb ofiar, z którego robi się wielką i niesmaczną komedię. Dzień pogrzebu będzie dniem żałoby narodowej — na Place de la Concorde stawiają symboliczny katafalk, dzień ten będzie wolny od pracy „pour donner la possibilité á tous de manifester leur solidarité et exprimer le dédain" etc. etc.

Dostałem dziś nareszcie nowe opony do roweru. 120 fr. i dwie paczki papierosów. Trzeba teraz grata odnowić, bo ledwie dyszy. Ale koniec z metrem, w którym człowieka apopleksja może tknąć. To najważniejsze.

7 MARZEC

Dziś wieczorem odniosłem Olesiowi paczkę dla Tadzia. Oleś stanął tym razem w hotelu przy Place de la Bastille, w samym centrum miłości; kiedy przyszedłem, Olesia jeszcze nie było. Wobec tego usiadłem w „biurze" patrona i czekałem. Gruba patronka, przypominająca w kształtach główkę maku, siedziała za biurkiem i liczyła pieniądze. Patron leżał na kozetce i głaskał monotonnie wielkiego czarnego kocura. Tymczasem na schodach i na korytarzu panował ruch. Szła para za parą i dwie pokojówki w białych fartuszkach biegały po całym hotelu. Zupełnie jak panienki w kinie, które każdemu wskazują miejsce, tak tu pokojówki odprowadzały każdą parę do łożnicy. Co chwilę któraś wpadała do biurka, porywała z tablicy klucz od pokoju i pędziła zadyszana za parą kochanków. Przed oszklonymi drzwiami biura przesuwały się postacie i przy każdym otwarciu drzwi wpadała do mnie smuga jakichś silnych perfum. Przeważał w tym „Chanel 5", bardzo modny w tym roku wśród upadłych aniołów, Loretek i ladacznic. (Strasznie lubię to określenie „ladacznica"). Po schodach szedł młody chłopak ze straży ogniowej w ciemno niebieskim mundurze — za nim szczupła i skromnie ubrana dziewczyna. Od razu widać, że to „na miłość". Dziewczyna jest nawet trochę zawstydzona, unika wzroku pokojówki i przylepia się do ściany. Chłopak jest czerwony, ale nadrabia miną. Może oni pierwszy raz? Tzn. on z nią, a ona z nim — bo przed tym? To się nie liczy. Maintenant c'est un vrai amour.... I już, następna para: on chudy, nienagannie ubrany w długą marynarkę do pół uda, aferzysta. Ona — skoncentrowana miłość. Jak mleko w puszce! Na utlenionych splotach loczków malutki kapelusik, czarny „tailleur" z olbrzymią białą kamelią w klapie; pantofelki na bardzo wysokim obcasie i nogi — ach takie „szczujące". Takie nogi, co to cały czas poruszają się w ten sposób, jakby mówiły: „a gzz", „a wrr" — „weź mnie, weź mnie!..." Ruch bioder, to poemat, to obietnica kołysania się łodzi na spokojnej fali w upalne południe....

Wpada pokojówka i woła; — „Butelka szampana i dwa kieliszki pod 32". — Patronka leniwie unosi się z krzesła i szuka gdzieś za pasem klucza. Wygrzebuje go i daje pokojówce. Ta wraca z butelką „Mercier" na tacy i oddaje klucz. Zegar tyka, tablica z kluczami opróżnia się. Coraz mniej błyszczących mosiężnych blaszek lśni w mdłym świetle lampki. Znowu wpada pokojówka: — „Nie chcą szampana! Pół butelki musującego. Merde!!!" — Patronka wyciąga klucz jak automat i mruczy pod nosem: ça fait alors 90 frs., tout compris avec la chambre. Psiakość — tanio. I znowu cisza. Nagle zbliża się do biura jakiś brunet już bez marynarki. Z tyłu zwieszają mu się szelki, spodnie trzyma rękami. — „Znowu dostałem ten pokój obok klozetu — całą noc spuszczają wodę i spać nie można". Patronka spojrzała na niego ponad

okularami i tym samym obojętnym głosem przywołała pokojówkę: — „Lucie — changez la chambre — donnez 43".

Hotel zapełnia się i pomimo ciszy czuje się, że tętni i drga, jak wielka fabryka. On y fait l'amour. Przyszedł Oleś i poszedłem do jego pokoju. Posiedziałem z nim chwilę i koło 11-tej wyszedłem. Fabryka była już w ruchu. Z każdych drzwi dochodziły odgłosy i rozpływały się w ciszy wyścielanych dywanem korytarzy. Stąd słychać poklepywanie, tam przyspieszone oddechy i urywane słowa, sylaby rzucane w malignie. Gdzie indziej szepty i nerwowe śmiechy. Jakieś przeciągłe „Nooon" brzmi jak skowyt wilczycy (nie broń się, głupia...). Piętro za piętrem, drzwi w drzwi to samo. A na dole siedziała gruba patronka, licząc banknoty. Patron, drzemiąc na kozetce, głaskał przez sen kota. „Msiedam" i utonąłem w ciemnościach Piace de la Bastille.

12 MARZEC

Rosjanie przebili podobno front pod Kalininem, ale nic z tego nie wynikło. Za to ja przebiłem gumę pod Madeleine (mam szczęście do Madeleine) i szedłem do domu piechotą, bo kleju nie miałem, a nigdzie nie chcieli mi sprzedać bez tubki. Dopiero na République pożyczył mi kleju jakiś „cyclo-Taxi". Pewien Francuz, z którym pracuję, zapytany przeze mnie co myśli o wojnie, odpowiedział mi: — elle ne me gêne pas! Odpowiedź filozoficzna. Noli tangere circulos meos, a reszta? Mój Boże. To głos Francji przemówił przez niego.

17 MARZEC

W Paryżu z powrotem dużo Niemców. Teraz będzie już Anglikom ciepło. Dziś mija trzy lata naszego pobytu tutaj i zaczynamy 4-ty rok. Ciekaw jestem do jakiego stopnia zmieniliśmy się, czy bardzo odbiegliśmy od światopoglądu naszych tam i w jakim stopniu znajdą nas oni kiedyś innymi. Bo że będziemy inni, że często nasz punkt widzenia zetrze się, być może nawet dość zgrzytliwie, z ich punktem widzenia — to więcej jak pewne. W ogóle co będzie? Jedno z pytań, które sobie często zadaję. Czuję już naprzód, ile pracy będzie mnie kosztować powtórne przystosowanie się do naszej mentalności. Dziś wiem, ile jesteśmy warci, bo ciągle porównuję i jest to zawsze problem interesujący mnie najbardziej, ale równocześnie wiem, widzę i otrząsam się na myśl o tych subtelnych i parszywych wadach — tych pechowych i niepotrzebnych, które nam samym wyrządzają tyle zła. Jest w nas coś dziwnego: — jakaś przedziwna mieszanina bohaterstwa, szlachetności, samozaparcia, a równocześnie hołoty. No i dosiadanie wielkiego konia przy byle okazji. Ale cóż — warunki wyrobiły w nas histeryczny patriotyzm, a ponieważ natura ludzka jest silniejsza i ma swoje prawa, więc tam gdzie z patriotyzmem trzeba iść na kompromis, tam wyłazi patriotyczna hipokryzja. Coś, czego nie potrafię znieść. Nasza wieczna tragedia, to brak pieniędzy. Wrodzona inteligencja i bystrość (wprost olśniewające w porównaniu z innymi narodami) — a z drugiej strony brak, wieczny brak pieniędzy i rozpiętość między pragnieniem a możliwością zaspokojenia go, robią z każdego Polaka po prostu „kanciarza". Wysokie poczucie honoru, wrodzone najgorszemu chamowi w stopniu nie spotykanym w Europie (poza Hiszpanią), każe jednak upozorować każdy „kant". I tu wyciąga się ojczyznę. Biedna ojczyzna pokrywa wszystko, a jeżeli ktoś o niej zapomni, jest łajdakiem. Zarabia się — dla ojczyzny; bankrutujesz dla ojczyzny; coś ci zarzucają, mówią żeś złodziej — nie zapomnij krzyknąć, żeś patriota. Wybaczą. Zupełne pomieszanie materii z ideą. Pamiętam jesień 1939. Przyjechała ta banda do Francji i zaczęła urzędowanie. Zamiast pomyśleć o rzeczach podstawowych, zabrali się do organizowania Armii polskiej. Zima: żołnierze bez koców, bez koszar, po stodołach, na gołym betonie. Koce tną na pół, o swetrach mowy nie ma. Ale tworzą Armię. Zgłosiłem się jeden z pierwszych, ale nie powoływali mnie. Dwa razy reklamowałem, w końcu dałem spokój i byłem zadowolony. Nie podobało mi się. A kiedy mnie pytano z ironią: „Pan jeszcze tu?" — odpowiadałem „Na szczęście!" „Dlaczego?" — „Bo można wymagać ofiary z życia, ale nie wolno nabawiać się niepotrzebnego zapalenia płuc dla ojczyzny". I byłem złym patriotą. Bo jak on szedł w Paryżu do burdelu, to za Polskę, jak pani majorowa chodziła pod koszary, to też za Polskę. Dajcie spokój! Trzeba raz skończyć z tym. Zarobkowania nie wolno uważać za zbrodnię; trzeba żądać, ale i trzeba dać; trzeba płacić za godziny nadliczbowe, a nie odrabiać ich dla ojczyzny. I raz skończyć z tym szlacheckim punktem widzenia. Ale te wszystkie myśli na potem. A może się mylę? Może nie mam racji i jestem tylko — Podfilipskim. A zresztą czytaj *Lalkę*. Zawsze aktualne.

20 MARZEC

Pp. P. mieli trochę zobowiązań towarzyskich i musieli zapłacić za nie przyjęciem u siebie. Urządzili podwieczorek. Już na dwa dni przed tym B. poszła do nich pomagać w urządzeniu mieszkania, a raczej czegoś, co przypominając jedynie mieszkanie w dzień powszedni, miało się stać mieszkaniem w dzień podwieczorku. Stojące zwykle w salonie skrzynie, kufry i walizki powędrowały do sypialni jej i jego, a na ich miejsce zniesiono ze wszystkich kątów całej kamienicy wszystkie ruchomości (mobilier), przedstawiające wartość i pieniężną i reprezentacyjną. A więc dywany, makaty, kryształy, obrazy i sztychy z kilkoma meblami — wszystko zabytkowe, stare, cenne. Ze skrzyń w piwnicy wyjęto i przerzucono całą porcelanę, decydując się w końcu na stary angielski serwis, w którym jedna filiżanka ma wartość 500 fr. Salon przystrojono z punktu widzenia „patrz i licz; policz i bądź zazdrosny". Jakiś fotel „Directoire" trącał empirowe krzesło, robiąc mu wyrzuty za zamach stanu; w kącie puszyła się kozetka „ancien regime'u" Louis XVI, a taburet Louis Philippe rozsiadł się szeroko i wygodnie, pamiętając jeszcze te ładne czasy. Stary, podobno b. drogi obrazek, przedstawiający zad konia ze wszystkimi szczegółami (wałach) i wychylającą się zza niego głowę tegoż konia — powieszono obok innego obrazka, na którym z mroków (przyciemnionej jakże wielką przeszłością) farby olejnej wynurza się ciało wielkiej maciory. Pod tym potworna w kształtach (co najmniej w 9-tym miesiącu) waza sewrska, ustawiona na tabetycznym i zmęczonym życiem stoliczku. Gdzie indziej bezcenna makata, a na niej kilka sztychów ze śladami wilgoci po brzegach. Pod ścianami krzesła, każde inne i każde skąd inąd — drogie i zmielone wewnątrz szczękami robaczków antyki. Wszystko razem antykwarnia — setki tysięcy franków nagromadzone na jednym miejscu bez smaku i gustu, żeby tylko świadczyć o zasobności gospodarzy. Bo tu na ogół nie chodzi o to, że się coś ma, lecz ileby się miało, gdyby to spieniężyć. Tu wszystko jest najpierw pieniądzem, a potem dopiero daną rzeczą. Nie „jak" i „co", lecz „ile". Uznaje się artystyczną wartość danej rzeczy, ale kompasem wskazującym drogę do tego uznania jest prawie zawsze cena. Mało który Francuz potrafi patrzyć „bezpieniężnie" na to, co posiada u siebie i co mają inni. Kuzyn Pons jest tu wyjątkiem. Meble, dzieła sztuki, garderoba — wszystko wyraża przede wszystkim pewną ilość franków. Ta strona posiadania dostarcza największych wzruszeń; potem dopiero idą wzruszenia artystyczne, zamiłowania, pasja. Salon pp. P. urządzony był kompletnie i bez zarzutu i został przedstawiony gościom jak weksle do dyskonta. Patrzcie i dyskontujcie: — tyle i tyle po sprzedaży.

Kiedy przyszedłem prosto z pracy, goście siedzieli już w salonie i tylko przez zamknięte drzwi dochodził gwar rozmów. Wynajęta na ten dzień Mme X., jedna z tych „przyjaciółek z ludu", która czasem przychodzi „pomagać" tak, jak B. — grała rolę pokojówki. Czułem się dość głupio, bo zupełnie odwykłem od takich zebrań towarzyskich. Po trzech latach życia „trapera wielkiego miasta, jak przez mgłę przypomniały mi się dawne czasy i zabrałem się do tego z takim samym uczuciem, jak ktoś, co kilka lat nie grając na fortepianie, przysuwa stołek do klawiatury i zaczyna przypominać sobie jakiegoś walca, którego umiał na pamięć. W salonie siedzieli wszyscy kołem (cercle) i rozmawiali. Usiadłem koło Mr F. 74-letniego „dandy" — właściciela wielkiego sklepu sportowo-myśliwskiego na rue L... i udziałowca w fabrykach broni w Belgii. Obecnie rujnuje się na swoją pannę sklepową, będącą jego kochanką. Dalej siedziały żona jednego z wielkich adwokatów paryskich (wziął w ręce sprawy spadku P. i stąd ten podwieczorek) i żona wielkiego przemysłowca z Alzacji, który pracuje obecnie z Niemcami. Miał przyjść, ale zatrzymano go oczywiście na jakiejś konferencji. Pani P. była niepocieszona, bo myślała, że może dzięki niemu uda się mnie wkręcić gdzieś do przemysłu na lepszą posadę. Powiedziałem jej jednak, że n a w e t o n a nie zrobi już ze mnie nigdy urzędnika. Wolę być murarzem albo włóczęgą Trzy lata oddycham pełną piersią, żyję, wyżywam się do „nitki", stałem się w końcu „czymś", a tu chcą koniecznie, abym był „kimś". Ja mam swój świat, tam w głębi serca, całe koncerty uczuć i myśli i SWOBODĘ. I dobrze mi. Wstecz patrzę z niesmakiem — zwierzątko, ambitne, głupie ambitne zwierzątko. — Obydwie panie ubrane były na czarno, bardzo skromnie, ale wykwintnie i drogo — tak drogo, jak drogim może być jedynie skromny wykwint, gdzie sznurek subtelnych pereł jest prawdziwy, schowana w jakimś fałdzie sukienki od Paquin'a broszka jest cała z brylantów, a na wypielęgnowanych palcach jeden lub dwa pierścionki pozwalają jedynie domyślać się ich ceny. Pantofelki od Piner'a, kapelusik-model z rue de la Paix. Na tym tle pani P. wyglądała trochę, jak wódz Indian, gdyż z całą „bezkompromisowością" swojej amerykańskiej natury obwiesiła się całą zawartością swojej kasy pancernej. Wyglądała jak zeschła i osypana choinka, z której nie zdjęto świecidełek. Zacząłem rozmawiać z Mr F., wypytując go o jego sklep itd. Chcąc

mi się odwzajemnić i dowiedziawszy się, że jestem „Polonais", opowiedział mi historię wszystkich zamówień na broń myśliwską, otrzymanych niegdyś od Cara i Wielkich Książąt rosyjskich. To wszystko tonem zadowolonej z siebie kurtuazji: — ty mówisz mi o mnie, więc ja będę ci mówił o tobie. Bardzo ostrożnie, ale dobitnie i jasno tłumaczyłem mu, że „Pologne" to nie „Russie" i że z Warszawy do Carskiego Sioła jest dużo dalej niż z Paryża do Wersalu. Biedny staruszek stracił wątek i obydwaj zaczęliśmy się przysłuchiwać opowiadaniu żony adwokata, która zaopatruje się w rzadkie dzisiaj produkty na sprzedażach dobroczynnych, gdzie tuzin jajek lub kilo masła idą na licytację i osiągają w ten sposób oficjalnie ceny „czarnego rynku". Cała ta licytacja jest legalną sprzedażą po cenach nielegalnych, całość usankcjonowana dobroczynnością. Mąż adwokatowej, znając niemiecki, jest obrońcą we wszystkich procesach, toczących się przed niemieckim sądem wojskowym. Broni tych, którzy już z góry są skazani na śmierć — co nie przeszkadza, że zarówno on jak i ona mają wielki szacunek dla Niemców i podziwiają ich z każdej strony. Ten podziw i szacunek wśród sfer bogatej i średniej burżuazji francuskiej — niemal powszechny — wypływa nie tylko z tego, że tym warstwom najłatwiej udało się zasugerować „czerwone niebezpieczeństwo" i posłannictwo Niemiec w obronie Nowej Europy, ale także z pewnego rodzaju intelektualnego zaskoczenia. Żyjąc dotąd w typowo francuskim zapatrzeniu we własny pępek (i niżej...), w tej intelektualnej ciasnocie poglądów (nieraz na poziomie) ale zamkniętych tradycją wielkości, doskonałości i przekonania tylko do tego co francuskie — z lekkim, mocno snobskim odchyleniem w stronę Anglii co najwyżej — o d k r y w a j ą n a g l e N i e m c y. Rząd Petain'a zapewnia im ciągłość i przekonanie, że Francja nadal trwa, okupacja podwoiła im możliwości zarabiania, niemiecka kokieteria zewnętrznie działa i kaptuje na swoją stronę; pieniądz pozwala im nie odczuwać w tym stopniu braków w wyżywieniu, co w sferach uboższych. Ta najboleśniejsza, jak dotychczas, strona okupacji nie dociera do nich. A równocześnie „Deutsche Kultur" podawana im jest od strony literatury w postaci ukazujących się ciągle nowych tłumaczeń z niemieckiego, występów Opery berlińskiej, odczytów niemieckich sław naukowych itd. itd. Wszystko to dotąd nieznane, podawane zręcznie i smacznie, logicznie tak, jak tylko logicznymi potrafią być perfidia i kłamstwo — trafia na żyzny grunt. Ogląda się Niemców „intelektualnie", nowe myśli i koncepcje ekonomiczno-społeczne nar. socjalizmu są jak świeży powiew i zachwycają; ze snobizmem mówi się o własnych wadach i niedołęstwie, porównywując wszystko z tym, co stworzono „tam"". Moda jest na „kompleks niższości" aż do srania we własne gniazdo włącznie. Przypomina to w dużym stopniu reakcję mieszkańców Mediolanu po wejściu wojsk Napoleona. Byli oni nie tyle zmęczeni, co po prostu znudzeni panowaniem Austriaków. Francja znudziła się — znajduje rozrywkę w okupacji. W Paryżu jest wszystko modą — obecnie jest moda na Niemców. Przejdzie im to — przejdzie... Rozmawiamy o Petain'ie — oczywiście z uznaniem. On jeden trzyma Francję, jest jej symbolem, choć p. P. spiorunowany wzrokiem małżonki, wtrąca także nieśmiało jakiś pasaż o „starym gaga". Mówi się o tym, o owym — p. P. błyska umiejętnością tej typowo francuskiej „causerie". Robi to czarująco. Francuska rozmowa w salonie przypomina często dialog teatralny.

Przebrana w pokojówkę Mme X. obwieszcza podwieczorek. Zasiedliśmy wokoło stołu i zaczęła się dopiero komedia. Wszyscy robili tysiące trudności i sto tysięcy ceremonii z wzięciem każdego ciasteczka, każdej tartinki. „Oh — non — merci — c'est vraiment trop — enfin, j'accepte, pour vous faire plaisir" itp. ceregiele. Każdy kąsek podawany był przez gospodarzy i wmuszany w zaproszonego siłą, zaproszony bronił się z równą siłą, a wszystkim było wiadomo, że pierwszy zwycięży, a drugi ulegnie. A wszystko razem nazywa się „politesse" i „savoir vivre". Zetknąłem się z tym po raz pierwszy tak wyraźnie i miałem wrażenie, że nie znajduję się w tzw. dobrym towarzystwie, ale po prostu w otoczeniu hołotki, którą zaproszono do pańskiego stołu i która robi wszystko, żeby zachować „bon ton" znany jej z brukowych powieści o arystokracji lub z podręcznika o dobrych formach towarzyskich. Jedzenie tego podwieczorku było męką i zadowolony byłem, kiedy się wreszcie skończyło. Cały czas miałem ochotę rozbić jedną filiżankę (za 500 fr.) albo nabrać na talerz pięć tartinek od razu. Jeszcze raz stwierdziłem, że nie znoszę tzw. „dobrego" czy też „wytwornego" towarzystwa. „Są to jednostki bez wartości w ciągłym poszukiwaniu zera, zera, któreby im nadało siłę dziesiątki" — jak to określa wspaniale Gavarni. Hipokryzja w życiu z ludźmi jest rzeczą, która może najbardziej mnie męczy, a atmosfera hipokryzji, panująca w „towarzystwie" czyli w zebraniu ludzi, którzy najczęściej nie mają ze sobą nic wspólnego oprócz zazdrości i chęci wyciągnięcia jakiejś korzyści w momencie zbliżenia się, jest dla mnie okropna. Nie wiem, czy jest coś, czego bym bardziej nie znosił, jak „stosunków" — bywania dla „stosunków", przyjmowania dla „stosunków" lub dlatego, że „trzeba kogoś poznać" itd. A życie jednak tego wymaga — bez tego trudno coś zrobić. Co ja zrobię? Toteż każdy dzień mojego życia tu, tego dziwnego

życia niezmąconego żadnymi „karierami", snobami, bzdurami i tytułami zamykam w sercu, jak najdroższy skarb.

Kiedy skończyliśmy w końcu jeść, a raczej „podziobywać", pani P. wniosła wielkie pudło starannie opakowane i po wyjęciu z niego innego pudła, obwiniętego całymi metrami papieru, zaczęła je odwijać, jak mumię, wyjętą z grobowca. W końcu ukazał się oczom zebranych wielki kufer rozmiarów dużego neseseru, pokryty tłoczoną skórą, złoconą we wgłębieniach. Pani P. uniosła wieko — kufer pełny był czekoladek od Foucher'a. 15 kg czekoladek. Wystarczy na tę wojnę — i na następną. Wszyscy krzyknęli z uznaniem „aaa" i ponieważ całej tej machiny nie można było obnosić ze względu na ciężar, goście ustawili się w ogonek, każdy brał czekoladkę, odsuwał się i wymawiając się od wzięcia następnej, z niecierpliwością czekał na swoją kolejkę. Dalszy ciąg podwieczorku nastąpił wokoło czekoladek — na stojąco. Mme M. przypomniała sobie, że ostatni raz była u pp. P. w r. 1937 na obiedzie i stwierdziła buchalteryjnie, że „au fond je vous dois un dîner" („winna jestem państwu jeden obiad"), a stary Mr. F. mówiąc z dumą, że urodził się już w r. 1868 i chcąc by „spirituel" dodał: á un an j'ai manqué le..." i mrugnął okiem ze starczą frywolnością. Miało to oznaczać, że jeszcze rok, a byłoby 69 i wówczas data jego urodzenia nie byłaby pozbawiona pewnej — hm, pikanterii. Panie udały, o dziwo, że nie rozumieją. Kilka komplementów dla gospodarzy, kilka tych standardowych i rytualnych zwrotów o „miłym podwieczorku" — i goście rozeszli się. A my z całą swobodą rzuciliśmy się na obfite resztki, nie zapominając oczywiście o natychmiastowym usunięciu ze stołu wszystkich cennych i kruchych, 150-letnich filiżanek angielskich i zastąpieniu ich obgryzionymi fajansami „na codzień". Zapytałem p. P. czy taka chińszczyzna przy stole jest tu kanonem dobrego wychowania. Powiedział mi, że tak, że wypada wszystkiego odmawiać, że trzeba nawet mówić, iż nie specjalnie lubi się to lub owo i „que ça ne me dit pas grande chose". Będąc z natury łakomy, jak 99% wszystkich Francuzów, stwierdził na końcu, że to jest okropne, a kiedy mu powiedziałem, jak jest u nas, słuchał z zachwytem. „Alors je viendrai en Pologne".

22 MARZEC

Skończyłem dziś remont roweru. 2 tygodnie, dzień w dzień do 12-tej w nocy przy warsztacie. Patron ma w piwnicy cały warsztat z kompletem narzędzi. Żadna część z tych, które kupiłem, nie pasowała, bo w ogóle brak części i trzeba brać, co się znajduje. Musiałem przegwintowywać nakrętki i pierścienie, pedały i nawet nowy trybik, tylni. Lakierowałem sam na rozprysk i rower wyszedł jak nowy. B. przeklinała mnie, bo przez 2 tygodnie pokój zawalony był śrubkami, kulkami, nitami itp. Wobec tego pojechałem na próbę do lasku Vincennes. Jedna z tych cudownych niedziel wczesnej wiosny. Drzewa lepią się od pączków, cisza, słońce i ciepło. Po południu poszliśmy się włóczyć nad Sekwanę — pić słońce z winem na tarasie jakiegoś bistra, mrużyć oczy, drzemać w jasności i w cieple. Mieliśmy obydwoje miny kotów, wyłażących z piwnicy w ciepłe popołudnie. Długie, drzemliwe przystanki przed skrzynkami bukinistów. Jakaś książka lub komplet reprodukcji budziły nas czasem, po czym zasypialiśmy na nowo. Po tej wściekłej zimie, słońce ogłupiło nas i otumaniło. Sekwana, Notre Dame, bukiniści, ludzie, drzewa — wszystko było malowane nie akwarelą, lecz wodą, w której rozpuściło się trochę farby. Nie kontury, a białe i szare łuki kościoła wyglądają jak szkielet potwora, wykopanego z ziemi. Szukam *Mémoires du Genéral Comte de Marbot* ale nigdzie ich nie ma. Wracając do domu metrem, podsłuchujemy rozmowę dwóch kontrolerów. Rozmawiają przez szyny — jeden z tej, drugi z tamtej strony. Słyszymy ciągle powtarzający się w ich dyspucie wyraz „Chateaubriand". Trącam B. i podchodzimy bliżej zaciekawieni. Na pewno dyskusja literacka — co ludzie tego pokroju mogą mówić o Chateaubriandzie. Jak głęboko jednak przesiąka tu kultura, oczytanie i zainteresowanie. Słuchamy... słuchamy... i obydwoje wybuchamy śmiechem. Bo w tej ożywionej dyspucie chodziło o — befsztyk á la Chateaubriand. Chateaubriand przelatuje z ust do ust w postaci grubego i krwawego befsztyku. A my myśleliśmy, że... a potem taki Wittlin opisuje z zachwytem rozmowę dwóch policjantów o Mauriac'u, a tam pewnie tylko chodziło o dobrą butelkę wina „Montbasillac", a nie o „Mauriac". I tak się tworzy legenda o ich inteligencji. A w rzeczywistości jest im tak samo daleko do Chateaubrianda, jak do befsztyka w tej chwili. B e f s z t y k — mówiąc o Francji, nie można zapominać o tym czynniku, o tym n a j w a ż n i e j s z y m zagadnieniu w życiu Francuzów od dołu do góry. Patriotyzm, wolność, ojczyzna? Nie! — b e f s z t y k. Gruby, krwawy, soczysty i miękki — á la Chateaubriand. Czekają na Amerykanów. Czekają wolności, swobody, niepodległości? Nie. Przede wszystkim „corned beef'u" w puszkach i konfitur... Przesadzam? Nie! T. Gautier w swoich świetnych *Tableaux de siége* (oblężenie Paryża w 1870) pisze z przejęciem: „On a beaucoup vanté le courage, le dévouement, l'abnégation, le patriotisme de Paris... Un seul mot suffit: — Paris se passe de beurre!".

Odwaga, poświęcenie, rezygnacja, patriotyzm osiągają rozmiary apokaliptyczne i nawet masło kapituluje wobec nich. Masła nie mają, a jednak bronią się. Narody klękajcie. A może to i racja? Może nie należy tak lekkomyślnie umierać, jak my — już nie tylko bez masła, ale bez wody i chleba? Byliśmy zawsze tak skorzy do poświęceń (w imię obcych interesów), że np. Francuz przekonany jest iż nam jest łatwiej umierać, niż im. „Vous avez l'habitude". To wcale nie jest powiedziane, że trudno jest umrzeć za ojczyznę. Czasem o wiele trudniej jest żyć dla niej. Np. żyć dla niej bez masła...

Metro dudni i zatrzymuje się na stacjach. Lekkie suknie kobiet wsiadających do wagonu wnoszą strzępki słońca. Tam na górze już wiosna. WIOSNA... ufff...

Jędrzej Bobkowski

SZARA KAMIENICA

W Wiedniu, w X-tym obwodzie, przy małej uliczce Eckertgasse, stoi ponury duży dom, o oknach weneckich ogromnych, lecz ciemnych, zapuszczonych pajęczyną, z szybami zmatowiałymi od kurzu. Dzień w dzień, słońce czy słota, kilkunastu ludzi znikało zawsze w jego bramie i nie długo po tym słychać było odgłos idących maszyn, stuk młotków i chrobot hebli. W odrzwiach wisiała kartka: „Theater Atelier".

Na niskim parterze, którego okna wychodziły wprost na bruk, mieściła się ogromna rozmiarami stolarnia, z maszynami elektrycznymi, kilkoma warsztatami, stosem belek i desek, które świeciły się świeżo wystrugane, z ogromnymi ramami dekoracji rozłożonymi na podłodze czy kozłach, z wałkami płócien przypominającymi zwinięte żagle.

Przez niskie okna stolarni patrzył często młody Hansi, chłopak przybyły z Polski. Patrzył i dumał o swym kraju, o rodzinnych stronach, o krewnych i bliskich sercu — grzejąc klej na maszynce gazowej, paląc papierosy i przypatrując się nogom przechodniów. Gdy padał deszcz, drzewa z przeciwnej strony ulicy, rozłożyste kasztany, chwiały się na wietrze, lśniły oślizgłe liście, opadały kwiaty świeczkowate wraz z kroplami, które pluskały w kałużach. Nogi przechodniów były w kaloszach i botach. Ileż on tych nóg widział? Kobiecych i męskich. Dorożki przejeżdżały ulicą wioząc gości. Stał i dumał, lub wspominał przeżycia z poprzedniego dnia, gdy był w Praterze. W Praterze, który umiał się bawić i szaleć, pełen najrozmaitszych typów mężczyzn i kobiet, pełen zabaw; bud śmiechu, teatrów — variété i teatrów niespodzianek. Przebiegł myślami widziany onegdaj film, z Mariką Rökk, czy inną gwiazdą, z którą tak spoufalił się podczas dwugodzinnej ciemni kinowej, że stawała się niemal przyjaciółką.

Te chwile, gdy grzał klej lub wychodził z pracowni stolarskiej do owej ciupki na papierosa, były odetchnieniem. Mógł być sam z sobą i z myślami swymi.

Na małym kilkumetrowym podwórzu, otoczonym wysokim murem — najeżonym szkłem i odgrodzonym drutem kolczastym, obok stosu koksu, wyrastał młody jesion i piął się ku słońcu. Jesion ten stał się jego niemym przyjacielem. Młody Hansi (tak nazwany przez towarzyszy pracy, którzy nie potrafili wymówić jego prawdziwego imienia) myślał o podobieństwach, jakie ich wiązały. Ciasne podwórko, wyłożone kamieniem, zarzucone śmieciami, schlapane farbą — i chęć pchania się ku słońcu. Nie załamią jej otaczające bloki ścian, ciasnota i jałowizna podłoża.

Wespół z Hansi pracowało też dwóch stolarzy teatralnych, starszych wiekiem, mających około pięćdziesiątki. Jeden zwał się Karl Thurmschmidt. Był z brzuszkiem, lekkim zezem, długim bocianim nosem, fartuchem, jak u kucharki poplamionym klejem, i fajką, którą chował w kieszeni, skoro tylko skrzypnęły drzwi od kancelarii. Drugi zwał się Józef Bauer. Był niski, szczupły, o ciętym, obrotnym języku, wiecznie latających oczkach, przyprószonej szronem głowie, i pajęczastych nogach kawalerzysty. Ten ostatni lubił niezwykle politykować i jak Hansi mógł wynioskować był komunistą.

Praca zajmowała im cały dzień — pomimo to jednak praca ta niosła zadowolenie. Codziennie różna, wymagająca stałego napięcia inteligencji i uwagi. Gdy odstawiono już jedną pracę, przez kilka dni robiono porządek w pracowni, uprzątano odpadki, wywożono wióra. Po tych kilku dniach nadchodził nowy projekt, mały kilkudziesięciocentimetrowy model sceny, z maleńkimi stołeczkami, stołami, i całkowitym wewnętrznym urządzeniem. Wybrzeża portowe, z widokiem na kołyszący się w porcie okręt, gmachy-pałace z giętką, pełną rzeźb architekturą renesansu. Przy takim projekcie, przez pół dnia trójka stolarzy spalała papierosy (Karl

Thurmschmidt pykał fajkę) i czyniła obliczenia, projektując techniczne wykonanie tego drobiazgu, który za kilka tygodni miał zapełnić ogromną scenę Burg- czy innego teatru. Czasem, gdy nie mogli zgodzić się w rozwiązaniu, wołali dyrektora. Schodził też artysta malarz, kierownik malarni pierwszego piętra, zdolny rysownik, w białym kitlu z kropkami i plamami najrozmaitszych kolorów. Dyrektor, wysoki podstarzały Hans Kautsky, typowy wiedeńczyk, o wyglądzie uwodziciela kobiet, z laseczką o białej gałce, w dobrze skrojonym ubraniu, posiadał pomocnika sekretarza, który prowadził buchalterię i wypłacał zarobki. Był to pan otyły, z brzuszkiem i podbródkiem. Tusza przyszła po ożenku, gdyż obrączka ślubna wpiła się silnie w napuchły palec.

Zawsze koło dziesiątej zjawiała się, by pozbierać odpadki drzewne, stróżka—frau Bruckbacher, niska, przysadkowata, o chudych nogach, wyglądała na kurkę. Śmiała się w niebogłosy, gdy dowcipny Bauer szeptał jej jakiś z kawałów andrusów podmiejskich, dotyczący kobiet. Jej apartament mieścił się przy wejściu z ulicy. Był nim duży pokój z podłogą poniżej poziomu ulicy, przedzielony zielonym, wyrudziałym parawanem, oddzielającym „pokój", od „kuchni". W tych drzwiach znikał zawsze koło południa wysoki pan, o przystojnej twarzy, wąsiku huzara cesarskiego, podkręconym do góry, w wiedeńskiej marynarce starego typu, twardym wysokim kołnierzyku z wyłogami i motylkiem. Pan ten swoim wyglądem, a szczególnie twarzą, przypominał lepsze czasy Wiednia. Był niczem wyblakły cień minionej epoki, a naprawdę był to, jak się Hansi dowiedział, drugi mąż „kurki"—frau Bruckbacher.

Nie wiadomo z pierwszego czy drugiego małżeństwa, dostojna stróżka, posiadała syna, wysokiego dzieciaka o bladej twarzy. Nie rozstawał się nigdy z książkami Karola Maya, czytał je nawet na ulicy, po drodze do, i ze szkoły.

Co jakiś czas zajeżdżały przed atelier ogromne platformy teatralne, z dziesiątką robotników. Otwierały się wtedy okna i dekoracje wędrowały na wóz. „Bleitramy", powleczone płótnem i omalowane, „leinwandy", zwinięte płótna, sprzęty, sztuczne okna o stylowych liniach. Od wewnętrznej strony gmatwanina szprosów, listewek, umocnień, główek gwoździ i prążków zaschłego kleju.

Przechodnie przystawali wówczas, podnosili głowy, przyglądając się malowidłom. W pracowni — gdy zabrano ostatnie kawałki, następowało małe święto. Hansi mógł wtedy spoglądać z małej izdebki na nogi przechodniów, mógł spokojnie dumać o jesionie, wspominać filmy, snuć marzenia przez wybitą szybę, rozmawiać z bandą młodych łobuzów ulicznych, czy przypatrywać się życiu w gniazdach jaskółczych zawieszonych licznie pod dachem. Niekiedy pisał.

Cóż on pisał? Ten młody pomocnik stolarski? Starsi koledzy przekonani byli, że listy do domu...

Wśród tych szarych ludzi teatru, którzy w czasie przerw montowali w galopie nowe sceny, poznał Hansi młodzieńca za okularami. Był on młodym komediopisarzem bez chrztu na razie, gdyż sztuki jego leżały tu i tam, po kancelariach dyrektorskich, a autor z braku środków do życia nosił dekoracje. Wyglądał zaś — sympatyczny chłopak o smutnych oczach, które zza okularów wydawały się nieproporcjonalnie duże. Nie zrażał się chwilowymi niepowodzeniami, i by lepiej poznać maszynerię teatru, konstrukcje sztuk, wraz z całą tajemniczą psychologią sceny, uprawiał swój zawód z uśmiechem na ustach i wiecznie próżną kieszenią, wydając ostatnie grosze na książki — bez zwątpienia wierząc w szczęśliwą gwiazdę.

Szara kamienica widziała i inne wizyty. Zajeżdżało auto i wysiadali panowie w modnych garniturach, w białych rękawiczkach, z monoklem w oku lub bogato ubrane damy w futrach. Byli to dyrektorzy teatrów, sławni kompozytorzy, czy gwiazdy ze sceny. Przyjeżdżali, by osobiście z dyrektorem atelier omówić wygląd dekoracji.

Zawsze wtedy Hansi chodził do winiarni „od pana profesora", przynosił kilka flaszek wina o ślicznym kolorze i barwnej nalepce. Drobnostka taka jak wino, szampan, który miał się pienić w kielichach owych panów, dawał Hansi'emu dużo do myślenia, na temat przyszłości, rozkoszy bogactwa, niedoli, nędzy, rozłamu, jaki czyni między ludźmi pieniądz i konieczność intensywnej pracy.

Ach! Nie zapomnijmy! Gdy szedł do pracy i wracał z niej, droga jego stale przecinała się z krokami młodej kobiety, ubranej w dzień pogodny z tyrolska, o zgrabnej figurce i miłej twarzy. Zawsze owa kobietka przez kilka sekund zatrzymywała na nim swój wzrok, a on mimo woli uśmiechał się kącikami ust. Była znajomą, której... nie znał. Raz tylko jeden zamienił z nią kilka słów, gdy wręczył jej mały, w kwieciarni kupiony bukiet konwalii, a ona wzbraniała się przyjąć. Było to w przeddzień jego zniknięcia i pożegnania na zawsze atelier, pracy, towarzyszy, zacisznej uliczki, rozhukanych dzieciaków ulicy, Prateru, Wiednia o milionowej twarzy. Następnego dnia Hansi uciekł. Przyjaźń do kobiety spotykanej dzień

w dzień kazała mu kupić kwiaty. Bo czyż jej jednak nie znał? Widywał ją w niedzielę w świątecznym stroju, w dnie deszczowe pod parasolem. Znał niemal całą jej garderobę. Jej koleżanki, z którymi chodziła. Jej przyjaciół, którzy ją odprowadzali. Urywki z rozmowy, jaką prowadziła. Pragnął ją więc pożegnać małym bukietem pachnących konwalij.

Na drugim piętrze szarej kamienicy pracowały dwie dziewczynki i pomocnik malarski, zeszywając płótno i malując je podkładem. Nie były ładne. Przeciętne, ginące w tłumie, biedne, gdyż zapewne żadna z nich nie krwawiła sobie palców dla ideału przeszywając długie na kilkanaście metrów, twarde płótna lniane. Tu — na drugie piętro lubił zaglądać Bauer z rozpuszczonym językiem. Tu zachodziła trójka stolarzy, znosząc na barach ciężkie nad miarę „leinwandy" do suteren stolarni. Tam wyciągano je na ramach, umacniając tysiącem gwoździków o szerokich pałkach i windując dźwigami na pierwsze piętro, gdzie „babrali" je malarze. Stamtąd wędrowały przez okno do teatru.

W pewien wiosenny dzień przyszła do pracowni jakaś młoda kobieta ubrana z szykiem, o ślicznej, lekko pobladłej twarzyczce, dużych modrych oczach, nóżkach sarenki. Taka była ładna, że nawet zezowaty Thurmschmidt wyjął fajkę, schował nieco swój brzuch, poślinił rękę i pogładził nią szczątki włosów na głowie. Potem dopiero wskazał drogę do „pracowni malarskiej" — pytając się zarazem, do kogo pani przybyła. Ona zaś uśmiechnęła się (Hans i Bauer twierdzili, że do wszystkich trzech) i pobiegła na piętro. Wyjaśniło się niebawem, iż jest córką szefa malarni, poczciwego artysty, i artystką baletu, a przyjechała wprost z Berlina, gdzie występuje. Chciała „uścisnąć tatę".

Lecz owa szara kamienica miała i swój tajemniczy zakątek. Był nim strych, ogromny, jak boisko piłki nożnej, z małymi zagrodami, zawalony po brzegi. Tam utonął pewnego razu Hansi, wgrzebując się w dziesiątki małych projektów dekoracyj, w tysiące szkiców, odbitek, reprodukcyj, obrazów, aktów kobiecych, próbek rzeźb i całego ogromu materiału artystycznego ludzi, którzy tu pracowali od dawien dawna. Było dla niego rozkoszą przerzucanie tych prochem zaniedbania posypanych sztychów. Zdawało mu się, że wkradł się w muzeum Watykanu, gdzie przechowane są tysiące odręcznych rysunków najlepszych malarzy świata, a w szczególności mistrzów odrodzenia. I gdy wreszcie zaczęto go szukać i nawoływać, zlazł usmolony jak kominiarz, przemycając za bluzą i w nogawkach spodni co lepsze szkice.

Podobną ucztę artystyczną miał Hansi, gdy z Bauerem pojechali do śródmieścia. W zapadłej klitce podziemnej, na jednej z ulic mieszkał artysta rzeźbiarz. Wyrabiał puste posągi papierowe, kunsztowne rzeźby i wszelkie bryły lekkości piórka. Sam mistrz zjedzony pracą, o wynędzniałej twarzy, szwedzkiej i zapuszczonej bródce, z fajką w zębach, pokazywał im swoją pracownię-norę zapchaną po brzegi pracami pędzla i dłuta. Nie było gdzie w tym mieszkaniu wstawić łóżka. Właściwie spał na stole, na materacach, a gotował na primusie. Pachniało natchnieniem, boską sztuką, a może tak tylko Hansiemu się zdawało; w istocie może to był odór farb, moczących się pędzli, zapach spalonego tytoniu, smród stygnącego gipsu, odwaru kleju wraz z zapachem kwitnącej na ścianach grzybkami wilgoci.

Do wnętrza szarej kamienicy, gdzie czas płynął na pracy, zaglądała też czasem żywa, podrywająca nogi melodia ulicznej orkiestry, co wędrowała jezdnią. Chłopcy z instrumentami, wpatrzeni w okna domów i śpiewający z zapałem najnowsze melodie...

Praca została ukończona.

Dekoracje do wszystkich aktów odwieziono do Burgteatru.

Personel atelier otrzymał bezpłatne bilety.

Hansi namaścił włosy brylantyną, poprawił krawatkę i poszedł. W cieniu loży rozjarzonej blaskami ze sceny, ukazały się kolejno obrazy z „Cavaleria Rusticana" — Mascagniego. Śnił. Długie dnie pracy, wbijanie gwoździ, ubite palce, pokaleczone ręce, huk maszyn, smród przypalonego kleju. Gdy się zadumał, spoglądając przez okno na nogi przechodniów i kasztany w zieleni — wszystko to przybrało kolorowe barwy dekoracji. Ale zarazem i żal mu się trochę zrobiło, że już nigdy nie będą robić „takich" dekoracyj, i że jutro przyjdzie znów coś nowego. Nadzieję na powrót do Ojczyzny, do domu, do bliskich trzeba odłożyć na pozajutrze, na później, na szary koniec tak samo szarych dni.

Teatr bił brawo. Teatr złożony z wytwornych, beztroskich gości, którzy nie wiedzieli co głód i brak fenigów na papierosa. Z dam pomalowanych, od których biły zapachy perfum, z panów co włóczyli się nocami po kawiarniach, rozbijali się dorożkami, podobni manekinom z wystawy magazynu konfekcji, co w niedzielę i święta wyjeżdżali autami do Baden-Baden, Mayerling, Wienerneustadt, dla polowań, dla miłości...

Teatr bił brawo. Kłaniali się aktorzy. Leciały kwiaty. Bił w nozdrza zapach perfum, pudrów, róż i kwiatów przypiętych do biustów.

Szeptano o aktorach i ich życiu, intrygach, sztuce, autorze, dyrektorze orkiestry i tysiącu drobiazgach. Prócz uwag, że dekoracje „są dobrze zaprojektowane", „możliwe", nikt nie wspomniał głośno, że tam gdzieś w ciszy przedmieścia stoi dom — szara kamienica. Dom, gdzie Hansi, nieznany chłopak z Polski, wespół z bezimiennymi pracownikami przez tyle dni pracował i pracował...

Będzie dziesiąte, setne przedstawienie. Dekoracje odstawią do magazynów, lub każą je przerobić na inne. Jeszcze tu i tam ktoś wspomni o sztuce, znajdzie się niezalepiony afisz „Cavaleria Rusticana", — Mascagni, obsada, autor, orkiestra, kostiumy z firmy, opracowanie... reżyser... dekoracje projektował... O nich nie wspomni nikt, tak o nich jak o robotnikach ze sceny, co wnoszą dekoracje, wynoszą, ustawiają, a z podniesieniem kurtyny znikają jak duchy... Krzywonogi Bauer, Thurmschmidt z fajką, młody Hansi, dwie brzydkie dziewczynki z drugiego piętra, pomocnik malarski, dwóch artystów malarzy, malujących dekoracje. Zawsze pozostaną w cieniu, choć tłum kipiał uniesieniem. Ani jednym oklaskiem nie mógł ucieszyć się Hansi, tak łaknący sławy, — za uznanie dla siebie i tamtych. Podczas przerw, gdy wychodził do palarni, wyciągał z zakupionego pudełka memfisa, zapalał i przystawał przy oknie, przyglądając się szczęśliwym ludziom, obserwując ich twarze, czupryny, gołe pały, różowe policzki, okulary w złotych oprawach, uśmiechy, ruchy, podsłuchując rozmowy. Po galeriach i korytarzach sunęły młode kobiety pod rękę z nadskakującymi im mężczyznami. Wesoła beztroska rozmowa wypływała każdemu z ust. Lecz Hansi miał wrażenie, że to wszystko jest dekoracja życia pełnego smutnych stron, które jemu przypadło w udziale. Wspomniał komediopisarza w ubraniu roboczym. Czy i on, gdy stanie się sławny i wzięty, będzie podobny do jednego z tych? Na pewno! Będzie spijał szampan, będzie przesiadywał w kawiarni w gronie swoich kolegów, papląc na tematy sztuki i wywracając oczy od pochwał... A on? A Hansi?

We Wiedniu w X-tym Bezirku, przy małej uliczce Eckertgasse, stoi ponury, duży dom, o oknach weneckich ogromnych, lecz ciemnych, pozapuszczanych pajęczynami, i szybami zmatowiałymi od kurzu.

Dzień w dzień, słońce czy słota, kilkunastu ludzi znika zawsze w jego drzwiach, lecz między nimi nie ma już Hansi'ego...

Dunaj toczy swe wody, małe statki stoją przycumowane, Prater bije gwarem, w mrokach parków znikają sylwetki ludzi. Wolno obraca się Riesenrad. Kobiety w wagonikach słabną z wrażenia. Place pełne są mrówczego tłumu. Dworce wyrzucają przybyszów. Wieżyca katedry św. Stefana sięga chmur i nocy. W kinach terkoczą aparaty filmowe. Z oświetlonych okien dancingów, café-barów wybiega muzyka. Żar życia bije nad miastem. Odblask czerwieni niebo...

Niebawem będzie noc.

Jan Rosiński

W OBLĘŻONYM BUDAPESZCIE

Budapeszt zamiera powoli. Coraz częściej artyleria radziecka wstrzeliwuje się w śródmieście. Ruch ustaje. Tramwaje już nie kursują. Ludzie śpiesznie podążają do domów. Rozchodzą się z oblężonych sklepów, gdzie załatwiali przedświąteczne sprawunki. Wprawdzie nic już nie można kupić, gdyż „nilaszowcy" (węgierscy naziści) i wprawni złodzieje niemieccy uprzednio systematycznie ogołocili wszystkie składy i zapakowawszy je na ciężarowe auta umykali wiedeńską autostradą w kierunku Austrii, mimo to wszystkich opanował szał kupowania. Rzucano się na wszystko, co tylko można było dostać. Jednak zbliżający się podmuch wojny wymiata ludzi z miasta.

Idę powoli ulicami Budy od Szél Kálmán tér w kierunku Martonhegy. Spotykam jeszcze spóźnionych przekupniów sprzedających pomysłowo z gałązek sosny i świerka zaimprowizowane, miniaturowe choinki i zabawki na drzewko. Jakaś starsza pani kupuje od małego chłopca wazonik z taką właśnie choinką. W oczach ma łzy. Wspomina pewno kogoś, kto w tym roku nie zasiądzie do wieczerzy wigilijnej. Coś mi ściska serce. Jakieś dziwne uczucie niepewności targa mną w tej chwili. Myśli swe kieruję do Polski. Małe drzewko przypomina mi dom rodzinny. Przez chwilę przymykam oczy i czuję, że miękka tkanina wspomnień otula mię szczelnie. Znajduję się nagle w atmosferze polskiego Bożego Narodzenia. Pachną mi świerki i polski barszcz. Nagle z tego kręgu wspomnień wyrywa mię przejmujący głos klak-

sonu. Obok mnie przejeżdża szybko niemieckie auto. Stalowe mundury migają przed oczyma. Zdaję sobie sprawę, że jestem w Budapeszcie, gdzie powietrze nie pachnie bynajmniej jedliną i polskim barszczem, lecz prochem i mdłą mieszanką syntetycznej niemieckiej benzyny. Święta zaczynają się pod znakiem Aresa, a nowonarodzony Chrystus bezsilnie podnosi ze żłóbka wątłą rączkę, by powstrzymać straszliwy kataklizm.

Dowiadujemy się, że pancerne oddziały radzieckie przerwały linie niemieckie między Dunajem a Balatonem i oskrzydlającym manewrem zbliżają się do zachodnich peryferyj miasta. Niemcom grozi okrążenie. Węgrzy łudzą się wciąż, że Niemcy w ostatniej chwili zdołają jeszcze wycofać się szosą wiodącą przez Starą Budę do Wiednia. Z trwogą i zakłopotaniem oczekują wiadomości.

Mój gospodarz z lękiem pyta się:

— Co pan myśli, czy Niemcy wycofają się z miasta?

Pytanie to powtarzają wszyscy jego rodacy. Wyraża ono ich najskrytsze życzenie ocalenia pięknej stolicy. Łudzą się, że ich „sprzymierzeńcy" będą mieli wzgląd dla półtoramilionowego miasta i jego ludności. Pouczony doświadczeniem, tłumaczę mu, że sfanatyzowani hitlerowcy nie będą oszczędzać węgierskiego miasta, gdyż jest ono ostatnią placówką obronną przed bramą prowadzącą do Wiednia. Zresztą utrzymując się nadal w Peszcie, nie zdołają się już wycofać.

Pan F. ze łzami w oczach wskazuje mi na podminowane już od dawna mosty i pyta lękliwie:

— A co będzie z mostami, z tymi przepięknymi mostami Budapesztu, które były zawsze podziwem całego świata?

— Może ocalieją — odpowiadam bez przekonania.

Mój gospodarz opuszcza z rezygnacją głowę. Milczy. Jest zbyt przygnębiony, by dalej prowadzić rozmowę.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia, rano, budzi mię wciąż na sile wzrastająca kanonada. Artyleria radziecka już z bliska ostrzeliwuje miasto. Nad naszą willą, położoną na budziańskich wzgórzach (Martonhegy) coraz częściej słychać świst radzieckich pocisków.

Wychodzę do ogrodu. Świeży śnieg błyszczy w blado przez chmury przebijającym się słońcu. Drzewa i krzewy osypane puchem śnieżnym drżą lekko od wybuchów. Nad Peszten przelatują radzieckie samoloty. Z daleka wyglądają jak klucz żurawi. Z ogrodu wychodzę na ścieżkę, która przez płytki wąwóz biegnie w kierunku ulicy. Wszędzie pusto. Ludzie w ogóle nie wychodzą z domów. Po chwili nadjeżdża wojskowe auto. Wyskakuje z niego kilku węgierskich żandarmów, którzy chowając się komicznie za drzewa, obserwują teren. Scena bardzo groteskowa, ale daje mi do zrozumienia, że radzieckie wojska muszą być już bardzo blisko. Sytuacja wskazuje na to, że Niemcy nie będą bronili tego odcinka.

Wracam do domu. Po drodze spotykam starego ogrodnika. Huber bácsi (węgierska nazwa na starszego człowieka) odświętnie ubrany w garnitur, który ubierał dwa razy do roku z okazji największych świąt, w meloniku na głowie, w kamaszach i z nieodłączną fajką w zębach, szedł uroczyście na Svábegy do kościoła. Ani wojna, ani huk armat nie powstrzymał go od utrzymania starych tradycyj. Ostrzegam go, że wyprawa ta jest bardzo ryzykownym przedsięwzięciem. Z niezakłóconym spokojem oznajmia mi, że nic go nie obchodzą te wojenne „pukania". Wolnym krokiem oddala się, pozdrawiając mię uśmiechem.

Powracam do domu. Pół godziny po mnie wraca również przerażony Huber bácsi. W ręku niesie duży odłamek szrapnela. Jest wybitnie oburzony i klnie po swojemu, narzekając, że nie pozwolą mu iść do kościoła. Oznajmia nam w urywanych słowach, że pocisk rozprysnął się blisko niego, a odłamek, który w ręku trzyma, upadł mu pod nogi. Wśród mieszkańców willi oświadczenie to wywołuje wielkie przerażenie i zamieszanie. Kobiety chcą schodzić do piwnicy, lecz mężczyźni uspakajają je.

Po południu z sąsiedniej willi przybiega jakaś kobieta. Gestykulując żywo, opowiada, że wraca z Zugligetu i na własne oczy widziała radzieckich żołnierzy. W oczach jej maluje się przerażenie. Kobiety znowu zaczynają nalegać, żeby zejść do piwnic. Teraz naocznie przekonuję się o skutkach propagandy niemieckiej. Przeciętny Budapeszteńczyk, prócz zdecydowanych przyjaciół Niemców, niecierpliwie czekał przybycia wojsk radzieckich. Przemęczony już był przejściami ostatnich miesięcy, w których zwyrodniałe bandy „nilaszowców" grasowały bezkarnie, dopuszczając się zbrodni i przestępstw. Teraz jednak, gdy bezpośrednio zetknął się z czerwoną armią, przypomniał sobie wszystkie propagandowe pożywki z kuchni Goebbelsa.

Uspokajam przerażoną Madziarkę. Sam cieszę się skrycie, że może bez walki uda się Rosjanom zdobyć budziańskie wzgórza i w ten sposób wydostanę się spod przemożnej opieki Gestapo i Węgierskiej Policji Politycznej, czule i troskliwie zajmujących się Polakami.

Drugi dzień świąt. Rosjanie jakoś nie przychodzą. Zaczynam się niepokoić. Znajdujemy się na „niczyjej ziemi". Ponad nami jednak coraz gęściej świszczą pociski artyleryjskie a z daleka, gdzieś spoza Jánoshegy bojowo grają katiusze.

Około południa pocisk artyleryjski pada do ogrodu. Szyby z płaczliwym dźwiękiem lecą na ziemię. To już nie żarty, to pierwsze ostrzeżenie. Trzeba schodzić do piwnicy.

Siedzimy wszyscy skuleni, drżąc z zimna w piwnicy. Nic się właściwie jeszcze nie dzieje, tylko ziemia ciągle się trzęsie. Słychać nieprzerwany mamrot kanonady zmieszany z cichą modlitwą żony ogrodnika.

Nad ranem około trzeciej z odrętwienia wyrywa nas brutalne bicie kolbą w żelazne drzwi piwnicy. „Offnen!" — słyszymy gruby, zachrypły głos. „Już źle" — pomyślałem w tej chwili i nieprzyjemny szmer niepokoju połechtał moje serce.

Gospodarz otwiera drzwi. Do piwnicy wchodzi kilku SS-owców. Jeden trzyma w ręku zapaloną świecę i ogląda nas groźnym wzrokiem. „Faule Gesellschaft" mówi ze wściekłością. Potem żąda kwatery, czekanów i łopat i wskazując na mnie i na dwóch młodych Węgrów, oznajmia, że pójdziemy kopać stanowiska.

Wychodzimy z piwnicy. Świat cały pławi się w srebrnym blasku księżyca. Jest uroczo i groźnie. Zza sąsiedniego wzgórza wypryskują ku niebu rakiety sygnalizacyjne, różnobarwnymi kwiatami spadając na ziemię. W ogrodzie wściekle ujada Bukszi, piękny węgierski puli (rasa psa) i wierny stróż naszego domu, a mój wypróbowany przyjaciel. Staram się go uspokoić. Niestety moje zaklęcia i prośby na nic się nie przydają. Ujada coraz głośniej i szamoce się na łańcuchu. Jeden z SS-owców podchodzi do niego z automatem. Chcę go powstrzymać, lecz jest już za późno. Seria strzałów kładzie biednego psa na ziemię. Bukszi to pierwsza ofiara w naszym ogrodzie.

Przez całą noc na skraju ogrodu kopiemy dwa stanowiska. Mimo stałych nawoływań i nagleń ze strony naszych „opiekunów" pracujemy systemem „do pierwszego rozgrzania" — tzn. tak byśmy nie zmarzli. Noc upływa na ogół spokojnie. Dopiero nad ranem pociski z kaemów zaczęły świstać nam koło uszu. Rosjanie są już w sąsiednim wąwozie. Walka zaczyna się na dobre.

Sylwester. Walka trwa już kilka dni. Sytuacja dla nas staje się rozpaczliwa. Znajdujemy się w pierwszej linii frontu. Niemcy z naszego domu urządzili sobie bazę, a w ogrodzie i w sąsiednim wąwozie są ich wysunięte stanowiska. Jesteśmy odcięci od miasta nieprzebytą zaporą ognia artylerii radzieckiej. W piwnicy nastrój coraz bardziej grobowy. Brak światła i wody daje się nam dobrze we znaki, a od spania w pozycji siedzącej czujemy dotkliwie wszystkie kości. Zresztą o spaniu w ogóle nie ma mowy, gdyż na ogród i dom sypie się istny grad pocisków, tak zwanych przez nas „klusek" tj. dwukilowych min wyrzucanych z radzieckich moździerzy.

Żona ogrodnika zachorowała nagle. Panie opiekują się nią troskliwie, lecz brak lekarza i leków utrudnia pielęgnację. Biedna staruszka, leżąc na leżaku, jęczy prawie bez przerwy. W mdłym świetle kaganka mała piwnica wygląda jak jakaś potworna grota skazańców. Nie wiemy co nas czeka. Wewnętrzna sytuacja piwnicy jest bardzo drażliwa. Prócz mnie — Polaka wśród nas znajduje się rodzina żydowska, zbiegła z peszteńskiego ghetta i ukrywająca się od dłuższego czasu w willi. Na szczęście Niemcy nie interesują się zbytnio nami, gdyż nie mają po prostu czasu. Zresztą wykorzystują nas po swojemu. Dwie młode Węgierki cały dzień pracują w kuchni, my mężczyźni stale nosimy amunicję i żywność. Praca ta, ze względu na to, że odbywa się pod stałym obstrzałem artylerii radzieckiej, nie należy do zbyt bezpiecznych i przyjemnych. Posiada jednak i swoje dobre strony, gdyż pozwala nam na komunikowanie się ze światem i otrzymywanie wiadomości. Tak np. w dzień Sylwestra, wracając z takiej wyprawy po amunicję, znajdujemy pierwsze ulotki, nawołujące Niemców do poddania się i oznajmiające, że po zdobyciu Esztergomu Budapeszt został całkowicie okrążony.

Wiadomość ta na Niemcach wywarła przygnębiające wrażenie. Już teraz walka nie toczy się na śmierć i życie — jedynie o śmierć. Rozumieją to dobrze dumni siepacze hitlerowscy. Chodzą ze spuszczonymi głowami, odpruwają wszystkie dystynkcje i piją na umór zrabowane z piwnic węgierskie wino.

Powoli zaczynamy przyzwyczajać się do „jaskiniowego życia" w piwnicy. Nie myjemy się tygodniami. Godzinami potrafimy siedzieć bez najmniejszego ruchu w egipskich niemal ciemnościach. Ograniczamy się do jednorazowej ciepłej strawy, złożonej przeważnie z grochu lub fasoli. Głód zaczyna nam coraz bardziej dokuczać. Dni wloką się niesamowicie i człowiek powoli obojętnieje na wszystkie bodźce fizyczne i moralne. Nie słyszymy już urywanego szczekania niemieckich kaemów, ani „pingpongowej piłki" radzieckiego automatu. Nieczuli jesteśmy na monotonny i nieprzerwany jęk żony ogrodnika, na zimno, na niewygody, na okropność i grozę nowoczesnej wojny, która kilka kroków od nas codziennie pożera liczne ofiary młodego życia. Stajemy się bezzmysłowymi potworkami, czekającymi jedynie na koniec tej strasznej awantury.

Jaki ten koniec ma być — nie wiemy zupełnie. Właściwie nic nas to nie obchodzi — byle nastąpił jak najszybciej.

Na budziańskich wzgórzach walki osłabły na sile. Gdy w połowie stycznia znowu idę po skrzynki z amunicją, przekonuję się, że główne natarcie radzieckie skierowuje się przede wszystkim na Peszt. Peszteńska strona miasta, oddzielona od Budy wstęgą Dunaju, dymi od pożarów. Widzę, jak radzieckie samoloty bez przerwy krążą nad miastem. Zasypują je gradem bomb i prażą ogniem z działek i pokładowych kaemów.

Wieczorem wychodzę ku drzwiom piwnicy, by zaczerpnąć trochę powietrza. U nas na ogół spokój. Automaty przekomarzają się od czasu do czasu. Od strony Pesztu dochodzi ustawiczny mamrot — odgłos gotującej się smoły w olbrzymim kotle. Pożary jasno oświetlają miasto. Pociski świetlne sznurami krwistych korali i żółtymi smugami opasują ołowiane sklepienie nieba. Nad miastem co chwila zakwitają barwne bukiety rakiet. Reflektory w ciemnościach krzyżują swe długie miecze. Dziwnie piękny, a jednak grożą i strachem przejmujący jest ten widok piekielnego cyrku. Nieraz widziałem Budapeszt iluminowany z okazji świąt i uroczystości. Takie święto widzę po raz pierwszy...

---

20 stycznia z ulotek dowiadujemy się, że Peszt 17 stycznia został zdobyty. Wstępuje w nas nadzieja. Może wkrótce i Buda uwolni się od przeklętych „obrońców". Teraz nadchodzą czarne dni Budy. Skoncentrowany atak wojsk radzieckich rusza z niebywałą siłą. Niemcy, opierając się o trójkąt trzech wzgórz. Martonhegy — Sáshegy — Gellerthegy, bronią się fanatycznie i desperacko. Dowództwo ich i główna baza znajduje się na górze zamkowej, gdzie rozporządzają doskonałą siecią podziemnych grot, korytarzy i schronów wykutych w skałach. Nasza willa znajduje się w wysuniętym punkcie niemieckiego systemu obrony. Niżej leży cmentarz Farkasrét łączący nas z sąsiednim wzgórzem Sáshegy. Na cmentarzu trwają najkrwawsze walki. Węgierscy żołnierze opowiadają, że walka toczy się tam o każdą kryptę, o każdy grób i każdą cmentarną ścieżkę. Pewien oficer niemiecki, który był pod Stalingradem, oświadcza, że Budapeszt prześciga go okropnością i natężeniem walk.

Ogród nasz i dom trzęsą się pod deszczem „klusek". Z pięknej willi zostały jedynie ruiny. Piechota jeszcze nie atakuje. Widocznie nie opłaci im się nacierać w tym miejscu. Cały ten cypel powoli okrążają oddziały zdobywając cmentarz, i w ten sposób albo Niemcy będą musieli opuścić wzgórze, albo zostaną okrążeni. Rosjanie jedynie w nocy urządzają wypady i zabierają jeńców.

Życie staje się nie do wytrzymania. Najbardziej dokucza brak wody i głód. Siedząc w ciemnej i wilgotnej piwnicy zdaje mi się, że tracę wzrok i wiecznie tylko myślę o jedzeniu. Moim najśmielszym marzeniem jest kawałek suchego chleba. Grochu i fasoli nie mogę już jeść. Między kobietami stale dochodzi do kłótni. Żona ogrodnika słabnie z dniem każdym. Jej życie gaśnie jak mały kaganek. Nikt nie słyszy jej cichego jęku. Wszyscy stępieli na ból i nędzę ludzką.

Niemcy w ogrodzie padają gęsto. U drzwi piwnicy leży dwóch zabitych żołnierzy. Przyniesiono ich przed chwilą.

Schodzę do piwnicy. Kaganek tli się chwiejnie. Obok chorej żony ogrodnika widzę zebrane kobiety. Ktoś szepce cicho: umiera... Jej woskowo-żółtą twarz marszczy grymas bólu. Na sinych wargach życie igra ze śmiercią. Otwiera na chwilę oczy i cicho szepce:

— Już wreszcie będzie koniec. Dość się nacierpiałam. Po co dożyłam tych okropnych czasów? To przecież piekło nie życie.

Ciało nieszczęśliwej kobiety złożyliśmy do drewnianego cebrzyka do prania. Wynieśliśmy do sieni i złożyli obok dwu Niemców. Wieczorem zwykle sanitariusze zbierali zabitych i odnosili ich za linię frontu.

Myślimy, że zabiorą również żonę ogrodnika. Tym razem sanitariusze przychodzą dopiero późno w nocy. Nie chcą słyszeć o zabraniu zwłok biednej staruszki. Postanawiamy pogrzebać ją w ogrodzie. Wychodzimy, by wykopać grób. Odsypujemy zmarznięty śnieg. Nad nami błyska nagle rakieta i regularnym łukiem spływa na ziemię. Za chwilę radzieckie miny zasypują ogród. Cudem wychodzimy cali. Nie potrafimy urządzić pogrzebu staruszce. Jeszcze kilka dni będzie leżała w drewnianym cebrzyku, zanim doczeka się spokojnego spoczynku.

Dni wloką się upiornie. Jest coraz gorzej. Zabrakło nam tłuszczu do kaganka. W piwnicy panuje nieprzenikniona ciemność. Porcje grochu i fasoli zmniejszają się z dnia na dzień. Chleba już od dłuższego czasu nie widzieliśmy na oczy. Coraz częściej odwiedzają nas Niemcy, prosząc pokornie o łyżkę gorącej strawy. Za talerz nigomaszczonej zupy przynoszą przedmioty zrabowane z opustoszałych will. Mój gospodarz w jednym z takich prezentów poznaje własne buty, potem znowu swój patefon.

Niemcy są zupełnie przygaszeni. Ich dowództwo co chwila zwodzi ich meldunkami o zbliżającej się pancernej odsieczy. Stale słyszymy zdanie: „Jeszcze 2—3 dni, a nasze oddziały pancerne będą w Budzie".

---

2 lutego rano o godz. 6-tej budzi nas nadzwyczaj silna kanonada. Za chwilę granat artyleryjski pada na strop piwnicy. Piwnica podskakuje do góry, jakby chciała wyrwać się z ziemi. Na szczęście strop wytrzymał. Pociski padają coraz częściej. „Kluski" sypią się jak z worka. Kobiety przerażone zaczynają się modlić. Słyszę czyjeś ciche łkanie. Nie wiem kto łka, gdyż panuje zupełna ciemność. W sieni słychać nerwową bieganinę Niemców. Przynoszą rannych i zabitych. Krzyczą głośno i są podnieceni. Nie wyobrażam sobie, jak mogą tam na górze wytrzymać w takim okropnym deszczu ognia. Około 9-tej w piwnicy wyczuwamy swąd spalenizny. Przebiegający przez sień Niemiec krzyczy, że się pali. W piwnicy wybucha popłoch. Wszyscy chcą uciekać. Kobiety, jak oszalałe, pchają się do wyjścia. Powstrzymujemy je, tłumacząc, że opuszczenie piwnicy grozi pewną śmiercią. Trudno opanować panikę wśród wynędzniałych, głodnych i wystraszonych ludzi. Dym coraz silniej gryzie oczy i dusi. Wentylacja jest niewystarczająca. Bierzemy czekany i rozwalamy zapasowe drzwi piwnicy.

Na zewnątrz uspokaja się nagle. Tylko kaemy i automaty szczekają zaciekle, niby sfora rozwścieczonych psów. „Atakują widocznie" — przebiegło mi przez myśl. Po chwili z ogrodu słyszymy bojowy okrzyk Rosjan: *Dawaj!!!*

Przez chwilę znowu cisza. Walka zupełnie ustała. W milczeniu oczekujemy co nam przyniosą najbliższe chwile. W sercu moim radość i otucha wzbiera gorącym prądem.

Nagle u wylotu piwnicy, w rozwalonych drzwiach ukazuje się młody rosyjski żołnierz. Automat trzyma przygotowany do strzału. Ubrany jest w białą, ochronną pelerynę. Na twarzy maluje się zaciętość i zapał bojowy, oczy się iskrzą. Podnieconym głosem woła, czy w piwnicy nie ma Niemców. Podchodzę do niego i tłumaczę mu, że wszyscy jesteśmy cywilami. Na twarzy jego maluje się miłe zdziwienie, że ktoś odzywa się do niego w słowiańskim języku. Potem uśmiecha się do mnie i każe wytłumaczyć Węgrom, żeby wyszli, gdyż ma rozkaz przeszukać piwnicę. Po chwili przychodzi młody oficer rosyjski. Oświadcza mi, że nie możemy pozostać w willi, gdyż może ona być jeszcze długo terenem walki. Zostać i tak byłoby szaleństwem, gdyż piwnica jest zupełnie rozwalona, a dom płonie właśnie.

Oficer wyjmuje rakietnicę i wystrzela w górę kolorową rakietę. Domyślam się, że w ten sposób melduje swojemu dowódcy, że dom, o który tak zacięte i długie trwały walki, został zdobyty.

Wynędzniałych, głodnych i brudnych prowadzi nas żołnierz radziecki przez minowe pola. Jest słoneczny poranek. Oglądam się. Widzę Budapeszt pogrążony w dymach. Zamek budziański płonie. Wszędzie słychać ogłuszające wybuchy i serie strzałów. Nie chce mi się wierzyć, że wreszcie uwolniony zostałem z okropnego pierścienia śmierci. A jednak — to prawda. Tam w dole, w mieście walka trwa jeszcze, lecz powoli kruszy się duma hitlerowskiego żołdaka. Budapeszt za 10 dni będzie całkowicie oswobodzony.

Adam Bahdaj

POZYCJA KRAKOWA

Uprzywilejowana pozycja Krakowa w kulturalnym i artystycznym życiu Polski współczesnej składa się z wielu szczęśliwych przypadków. Ich suma, rok temu jeszcze, kiedy istniała nie spalona Warszawa, całkiem nieprzewidziana, nadała Krakowowi tę pozycję. Ktoś, kto by sądził powierzchownie, powie przeto, że Kraków dla tej pozycji stworzył tylko ramy, podczas kiedy cała treść obrazu napłynęła z innych ośrodków. Zjawisko jest jednak więcej skomplikowane i dopiero jego możliwie dokładny opis pozwoli odpowiedzieć, pokąd rama, odkąd płótno.

Pierwszym i najszczęśliwym w tej sumie przypadkiem jest to, że po letniej ofensywie radzieckiej front przycupnął tak blisko miasta (jak na obecne warunki i przestrzenie wojny), że ofensywa przeskoczyła je w pierwszym swym skoku. Kraków był przygotowany do walk ulicznych i Niemcy gotowi byli go bronić. Kto w styczniu mijał objeżdżające Kraków od zachodu, by przeciąć szlak na Katowice, czołówki pancerne, ten wiedział, że miasto jest ocalone. Ale dopiero później miało się okazać, jakim wyjątkiem w tej części Europy stał się los Krakowa — z miast o dużej przeszłości kulturalnej jedna Praga wyszła podobnie szczęśliwie.

Przeskakując front ocalał również dla Krakowa wkład, który już ubiegłej jesieni został temu miastu wniesiony, chociaż wówczas jeszcze nie owocował: emigracja warszawska. Kraków jest miastem, które najwięcej zyskało kulturalnie na zniszczeniu Warszawy. Powiedzenie emigracja warszawska musi być skonkretyzowane: nie sami artyści rodem z Warszawy stanowili w stolicy jej grupę przodowniczą. Warszawa skupiała co najciekawszą reprezentację wszystkich miast i ta reprezentacja po powstaniu spłynęła na Kraków. Przejął on rolę zastępczej centrali kulturalnej, wnosząc nadto wkład środowiska wprawdzie dosyć powolnego w reakcji, ale za to, gdy raz się przekona, czułego w sposób trwały na każdą wartość prawdziwą.

W niedawnych dziejach Krakowa istniała już podobna sytuacja. Odrzucam analogie z Młodą Polską. Wówczas Warszawa i Kraków działały jako dwa równolegle a odrębnie rozwijające się środowiska. Niewiele było między nimi wymiany personalnej. Jedynie zgrany już w Krakowie Przybyszewski na nowo próbował świecić w Warszawie. Natomiast analogia zachodzi wyraźna z pierwszymi laty po ubiegłej wojnie światowej. Nim Warszawa wokół magnesu skamandrytów ściągnęła do siebie wszystko co najżywsze w Polsce, Kraków w latach 1918 do 1922 i dalej nawet, rywalizował skutecznie. *Flirt z Melpomeną* Boya rozpoczynał się na fotelu recenzenckim krakowskiego *Czasu*, do tego miasta bliżej było wiedeńskiemu sprawozdawcy parlamentarnemu Irzykowskiemu, stąd wypromieniował formizm i futuryzm, tu Chwistek i Witkiewicz, stąd awangarda poetycka. Wszystkie te zadatki rozeszły się później po kościach, Kraków tradycyjnie zadrzemał na laurach dawniejszego chowu, a laury żywe poczęły kwitnąć gdzieindziej. Do tej sytuacji, chociaż powstała ona dzisiaj w wyniku odmiennych okoliczności, analogie są uderzające i pytanie, które staje, też jest podobne: czy tak samo po przejściowym stage'u wszystko się skończy rozejściem po Polsce, z kierunkiem przede wszystkim na Warszawę?

Natychmiast po wyzwoleniu przyszła na Kraków nowa fala napływu — wykute w Lublinie nowe formy organizacji, nowe miejsca dla ludzi. Ta fala też była złożona: jej czoło powracało z długiej wędrówki po Rosji, po dzisiaj nosząc przeważnie mundur żołnierski, czoło zagarnęło i poniosło za sobą wszystkich chętnych i rozumiejących z ziem wyzwolonych na wschód od Wisły. Na przestrzeni pół roku dokonały się zmiany

całkiem niespodziewane. Poeta, do którego na głuchą wieś jeździli latem 1944 roku młodzi krakowscy, w pół roku później powracał, by im i starszym przynosić nowe schematy organizacji, zarysy nowych idei. To zetknięcie było dla Krakowa jednym z najdziwniejszych. Z tej prostej przyczyny, że w przerwie pomiędzy letnią a zimową ofensywą sowiecką bardziej orientowaliśmy się w Krakowie, co wyczyniają amerykańskie czołgi-amfibie na wyspach Oceanu Spokojnego, aniżeli co dzieje się w Lublinie z kulturą polską i jej przyszłym rozwojem.

Te wszystkie warstwy personalne, te całkowicie odrębne wkłady doświadczeń nie padły w Krakowie na ruinę, w której nie zbudujesz na razie środowiska żywego — Warszawa, ani na ugór kulturalny, który użyźnić dopiero należy — Łódź, ale na środowisko zachowane i — przechowane w swoich nawykach. Środowisko, co tu wiele w bawełnę obwijać, najmniej przysposobione do chętnego przyjęcia wszelkich gwałtownych przemian. Dlatego, bo najbardziej przechowane w swoich tradycjach, już przed wojną opóźniające się wobec rytmu kulturalnego i ideowego Warszawy. I w tym jest paradoks główny pozycji Krakowa: w miasto, jak w zbyt ciasne naczynie, wlało się więcej nowej treści i potrzeb, aniżeli zdawało się, że pomieści. A jednak, po pół roku rzec to można, jakoś mieści, paradoks dalszy. Z tylu różnych składników i doświadczeń ma powstać doświadczenie wspólne. Czy powstaje? Tak. Czy już powstało? Na pewno nie.

Ubiegające półrocze można by nazwać okresem konfrontacji i wstępnego pokazu. Objaśnimy te terminy. Po latach stłumienia przez okupację wszystkie związki i instytucje artystyczne uznały w Krakowie za swój pierwszy obowiązek zaprezentować kogo posiadają. Stąd ta fantastyczna, niespotykana w żadnym innym mieście ilość imprez kulturalnych na wszelkich poziomach, od najbardziej wybrednych po całkiem z ducha i dla ducha przedmieścia. Nie tyle pokazano przy tym dzieła na prawdę nowe, ile samych ludzi, co przeżyli. Stąd personalny więcej, a nie rzeczowy charakter pokazu. Zrozumiemy to, porównując ilość imprez z ilością nowych utworów.

Teatry zaprezentowały się dwa: Teatr Miejski im. J. Słowackiego (K. Frycz i E. Bujański) oraz Stary Teatr (J. Ronard-Bujański i A. Pronaszko). Bezwzględnie aktywniejszy i żywszy okazał się Stary Teatr. Po *Mężu doskonałym* Zawieyskiego dał *Teorię Einsteina* Cwojdzińskiego, *Dzień jego powrotu* Nałkowskiej i w formie plenerowego widowiska *Cyda* w parafrazie Wyspiańskiego, nie licząc interesujących imprez na marginesie działalności głównej, jak doskonała „zabawa w bajkę" M. Biliżanki pt. *Beksa*, jak w formie poranku recytacyjnego podany *Akropolis*, jak zabawna parodia *Męża doskonałego* przez uczniów Studia Teatralnego. Zespół, złożony przede wszystkim z aktorów warszawskich, najwyżej stanął w „Mężu doskonałym".

Sztuka Zawieyskiego, wiele dyskutowana i atakowana, lecz reżysersko rozwiązana doskonale, pozostaje jedyną dającą do myślenia prapremierą tego ułamkowego sezonu w całej Polsce. Jednolitość koncepcji reżyserskiej i dekoratorskiej już nigdy w tym stopniu nie została osiągnięta później w Starym Teatrze. Głęboki wydźwięk moralny i ideologiczny sztuki, bez względu jak go oceniać, rósł w miarę jak po *Mężu doskonałym* przychodziły inne widowiska. Fakt ten spełniał tę rolę teatru, o której wiele słyszymy a darmo na wypełnienie czekamy: uświadamiać i zmuszać do myśli o współczesności, o jej sensie. Zawieyski był dotąd jedynym, który o taki sens się pokusił.

Teoria Einsteina długo wabiła publiczność, ale wabik to był dosyć lichy. Całkiem błaho brzmi dzisiaj ta głośna niegdyś komedia. Skrócony mocno, co przedstawieniu wyszło na dobre, *Dzień jego powrotu* (podkreślić warto dekorację T. Kantora), raczej uderzał doskonałą grą całego zespołu oraz opanowaniem rzemiosła scenicznego, niż wagą problemu moralnego, przyblakłą od czasu powstania sztuki.

Stary Teatr pokusił się też o pierwsze widowisko plenerowe, dając na dziedzińcu Kolegium Nowodworskiego *Cyda* w parafrazie Wyspiańskiego. Próba ta od wyboru przekładu poczynając, po wygląd całego widowiska, zmusza do niejednego znaku zapytania. Przede wszystkim ten liryczny i ekspresjonistyczny *Cyd* Wyspiańskiego mąci styl tragedii — wolelibyśmy nawet Morsztyna. Ponadto doskonały w szczegółach i w wielu kostiumach Kantor popełnił duży błąd: deskami chciał poprawić a w istocie zgwałcił piękną architekturę i zieleń dziedzińca. Sprzeczności nie wyrównała gra zespołu. Nastawiona na przeżywanie i ekspresję, do czego przymusza Wyspiański, zamiast na spokój i dobitność, zbyt była nierówna, by mogła uprawnić ten gwałt na naturalnych warunkach środowiska. Nie był to *Cyd*, lecz recytowana opera na stromych schodach.

Bilansując, należy stwierdzić, że Stary Teatr zaczął wysoko i bardzo obiecująco, że był naprawdę ruchliwy i pomysłowy, ale

swego pierwszego akordu już nie powtórzył więcej. Zwłaszcza niespełnione zostały zapowiedzi, że ma być teatrem polskich prapremier. Bardziej był opóźniony na starcie Teatr Miejski im. J. Słowackiego, ale pod koniec sezonu wiele z opóźnienia nadrobił. Długo bowiem trwało, nim uchwycił, i to na krótko, właściwy ton. Jeżeli sztuka nie stawiała wątpliwości, jeżeli nawet powodzenie, jak z *Zemstą*, okazało się ponad wszelkie spodziewanie, obsada, reżyseria i dekoracje szwankowały mocno. *Uciekła mi przepióreczka* i *Zemsta* to ten przypadek. Jeżeli znów nie dostrzegało się braków w wykonaniu, same utwory podważały jednolitość przedstawienia. Tak było z *Dziewczyną z lasu* Szaniawskiego, a już szczególnie ze starą farsą Ruszkowskiego *Mąż z grzeczności*. Na ironiczny paradoks wygląda, że z kilku ról w jakich widzieliśmy Jerzego Leszczyńskiego, najlepszy był szwejkowato-łyczakowski ck. kapitan z tego farsidła. Kiedy nareszcie udało się ciekawą koncepcję reżyserską połączyć z utworem godnym tego wkładu, stało się to tylko raz — *Wilki w nocy* Rittnera. Ponure i nudnawe, jeżeli traktować je na serio, jak dotąd stale czyniono, dramacisko Rittnera ukazało swój sens dopiero, kiedy reżyser (J. Karbowski) postawił je jako demaskatorską komedię obyczajową w guście Zapolskiej i zagrał w podobnym tempie. W jedynej zaś prapremierze polskiej, w *Penelopie* Morstina, zbiegły się wady dotąd rozdzielone. Sztuka nie należy do najlepszych u Morstina, a ujęcie reżyserskie zaciążyło jeszcze mocniej na niedoborze wrażenia. Z intymnego, kameralnego żartu uczyniono widowisko, które w tej proporcji zupełnie się nie trzyma. Dopiero na dalszych przedstawieniach pewne przesunięcie interpretacji ku swobodniejszej stronie wyszło całości na dobre. Doskonała rola Jaroszewskiej jako Penelopy obciążyła konflikt tej sztuki majestatem, jakiego naprawdę on nie posiada.

Jeszcze inny wygląd tego niedosytu, z którym zawsze prawie opuszczało się teatr miejski, zaprezentował *Skiz* Zapolskiej. Kto wie, czy nie najlepsza, w każdym razie najlepiej z jej utworów zbudowana igraszka psychologiczna, odtworzona doskonale, w płynnym, konwersacyjnym, pełnym tempa stylu (Ćwiklińska — Biegański — Wesołowski — Baronówna) — ale wysiłek włożony w próżnię. Ten cynizm od kuchennych schodów ludzkiej psychologii nie jest doprawdy godzien takiej oprawy aktorskiej. Zestawienie zaś Rittnera z Zapolską prowadzi do ciekawego wniosku: oto komedia czasu Młodej Polski wtedy przemawia do nas, kiedy jej pretensje artystyczne obniżyć o jeden stopień. Rittner pragnął dramatu i na pewno w swoim pojęciu napisał dramat — tylko jako komedia ironiczna działa dzisiaj ten rzekomy dramat. Zapolska napisała w swoim pojęciu bardzo przenikliwą komedię psychologiczną, ta wysterczająca w jej tekście pretensja drażni i śmieszy — tylko jako farsa „Skiz" coś znaczy.

Bilansując wspólnie: obydwa teatry Krakowa szły od przypadku do przypadku i mówmy szczerze, bardziej swoje sukcesy zawdzięczają wygłodzeniu publiczności, niż jakości potraw. Lecz głód może się nasycić wcześniej niż przypuszczamy. Rola ich powinna być inna i nie wolno dopuścić, by w przyszłym, już normalnym sezonie wyglądała podobnie jak dotąd. Rozumiemy doskonale, że każdemu teatrowi wolno podsuwać przystawki jak *Skiza* czy *Teorię Einsteina*, spór idzie o dania główne. Rola teatru miejskiego jest jasna: przede wszystkim wielki repertuar polski. Jeżeli licho grana „Zemsta" osiągnęła ilość przedstawień, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają, to ileż przedstawień, zwłaszcza przy widowni inaczej zorganizowanej, nie tylko przez kasę i bilecik indywidualny, osiągnie *Nieboska* i *Śluby panieńskie* wykonane z takim wkładem aktorskim, co np. *Skiz*? Żadnego ryzyka w tym nie ma poza ryzykiem pracy, rozumnego wyboru interpretacji scenicznej, która przemówi do dzisiejszego widza. Rola Starego Teatru niemniej jasna, tylko niechże nareszcie będzie wykonywana: młoda polska dramaturgia ciągle jest jak kwiatek, nad którego bladością wydziwiają, a nałożyli mu szklanny klosz i na szkle zrobili zaciemnienie.

W cieniu tych dwóch wielkich drzew wyrosły ciekawe młodziaki, a wiadomo, że kiełkują inne. Najciekawszy z nich artystycznie to teatr lalki i aktora „Groteska" (kier. Wł. Jarema). Jest to jedyna w Polsce i w pierwszej swej próbie, mimo błahości tekstu nader dowcipna, doskonała technicznie próba teatru kukiełkowego á la Teatro dei Piccoli. Wprowadzając w odgrywanym *Cyrku Tarabumba* żywego aktora między lalki, „Groteska" otwarła sobie nieprzewidziane dotąd możliwości sytuacyjne i psychologiczne. Jeżeli oceniać pewną jednolitość zamiaru i wykonania, te groteskowe laleczki były najlepszym widowiskiem w Krakowie po *Mężu doskonałym*. Niech się żywi zawstydzą.

Społecznie donioślejsze są inne próby. Jest to najpierw „Teatr Rapsodyczny" (kier. M. Kotlarczyk), teatr recytacyjny, który

w swoich premierach, będących zresztą kontynuacją żywej działalności za okupacji, komponuje wyjątki z utworów wielkich romantyków w całości recytacyjne, podając je w pierwszym swoim przedstawieniu (antygermański wątek *Konrada Wallenroda*, *Grażyny* i *Zawiszy Czarnego*) bez dekoracji, gestu czy kostiumu, samym żywym słowem. W dwóch dalszych przedstawieniach — *Pan Tadeusz* oraz *Beniowski* — odstąpiono od tej rygorystycznej zasady, wprowadzając gest i kostium. Wielkie możliwości leżą przed międzyorganizacyjnym teatrem robotniczym im. Ignacego Fika. Z dwóch jego wystąpień widziałem tylko imprezę w rocznicę powstania warszawskiego. Ujęcie jest słuszne, świadczy o zrozumieniu pozycji podobnego teatru.

Najgoręcej w salach teatralnych było w lipcu. Trzeba by założyć specjalny diariusz, by wyliczyć zespoły i doraźne imprezy, które się wówczas przewinęły. Ze *Sprawą Moniki* teatr ruchomy im. Bogusławskiego, z *Jeńcami* Rydla podobnie pojęty Teatr Objazdowy Związku Zachodniego, jak kometa przesunął się Teatr I Armii Polskiej czy Teatr Akademicki (moralitet Czechowicza *Niegodzien i godni)* — używanie, gdyby nie upał. Pocieszające jest w tym powstanie zespołów objazdowych, zwłaszcza kiedy posiadają w repertuarze sztukę dostosowaną do zwiedzanego środowiska. Tak mimo słabego wykonnia jest z *Jeńcami* Rydla.

W teatrach krakowskich było więc co oglądać. Ale sztuk naprawdę nowych? Zawieyski, Morstin. Nazwisk nowych? Zero. Sztuk, które pozostaną w repertuarze? Nawet z *Mężem doskonałym* jest to sprawa niewiadoma. Czyż nie typowy wstępny pokaz i konfrontacja?

Całkiem podobnie w salach koncertowych a nawet kawiarniach Krakowa nasłuchać się można było jak nigdy dotąd w tym mieście. Swoje obecne umuzycznienie zawdzięcza Kraków dwom instytucjom: Państwowej Filharmonii (dyr. Z. Latoszewski) oraz Biuru Koncertowemu przy Związku Zawodowym Muzyków. Koncertów wieczornych, poranków, imprez solowych, latem zaś koncertów na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej było tyle, że niefachowcowi trudno zapanować nad całością materiału, domagającego się syntetycznej uwagi. Ruch muzyczny Krakowa omówi też *Twórczość* w osobnym sprawozdaniu, na razie ograniczymy się do pewnych ramowych uwag.

Orkiestra Filharmonii po początkowych błędach organizacyjnych, na skutek których utraciła wiele dobrych sił, zgranych ze sobą za czasów okupacji, okrzepła personalnie i stanowi zespół naprawdę odpowiedzialny, zwłaszcza kiedy ma ochotę słuchać dyrygenta, a nie zawsze tak bywa. Dyrektora Filharmonii często luzowali przy pulpicie młodzi — Artur Malawski, Kazimierz Wiłkomirski, Andrzej Panufnik, najczęściej Tadeusz Wilczak. Niestety w życiu wewnętrznym Filharmonii nie wszystko jest w porządku, skoro tak utalentowany jak Wilczak dyrygent opuścił Kraków właśnie na tle tego życia. Nie wchodząc w meritum sprawy, wolno rzec, że do meritum należy na pewno i to, czego nie powinna czynić żadna orkiestra na poziomie, a cośmy na przykładzie Wilczaka widzieli sami: wyraźna niesubordynacja wobec intencji dyrygenta w ciągu występu.

Z młodych dyrygentów najbardziej utkwił w pamięci jedyny jak dotąd koncert prowadzony przez Panufnika. Wieczór odbyty z udziałem Umińskiej (koncert skrzypcowy Brahmsa) był bodaj najlepszym z usłyszanych, podobnie jak pierwszy raz wykonana w Krakowie precyzyjna, dokładna i przekorna *Uwertura tragiczna* Panufnika była jedynym utworem młodej muzyki polskiej, który się zapamiętało. Wykonanemu jako nowość zupełna *Grunwaldowi* Maklakiewicza nawet laik nie prorokuje trwałej pamięci w muzyce. Proporcja utworów wykonanych do całkowicie nowych podobna jak w teatrze.

Koncerty solowe Związku Zawodowego Muzyków możliwe były w swoim bogatym programie tylko dzięki zastępczej roli Krakowa. Gros wykonawców to przebywający w Krakowie pianiści i śpiewacy stołeczni, rzadziej goście z Łodzi. Chopina można było porównywać w wielu interpretacjach: recitale Z. Drzewieckiego, J. Ekiera, M. Bilińskiej-Riegerowej, S. Szpinalskiego, H. Sembrat. Szymanowskiego słyszeliśmy w specjalnym koncercie (Drzewiecki, Dubiska, Ekierówna, Wiskida), to znów w programach Filharmonii — *Uwertura koncertowa* — to wreszcie w występie śpiewaczym I. Wiskidy. Powstało stąd cenne dla słuchacza doświadczenie: dostępność muzyki Szymanowskiego. Rozpiętość innych koncertów rzadko spotykana: od *Stabat Mater* po pełen kultury i finezji recital śpiewaczy starych mistrzów w wykonaniu St. Wiśniewskiej, czy doskonałą zapewne (skoro S. Kisielewski tak twierdzi, sam nie słyszałem) audycję polskiej muzyki kameralnej — Szarzyński, Chopin, Załęski, Szymanowski — na Wawelu.

Mówi się dzisiaj dużo o tzw. zamówieniu społecznym. Otóż zamówienie społeczne

w dziedzinie muzyki jest w Krakowie niedwuznaczne: tęsknota za operą. Jeżeli nie udaje się w pełnej oprawie, to przynajmniej na estradzie i przy fortepianie, przynajmniej w wieczorze arii, to wreszcie w dalekim Domu Żołnierza. Publiczność biegnie bez względu na jakość. W ciągu sierpnia opera spłynęła tryumfalnie — *Hrabina* Moniuszki — nawet w mury tearu Słowackiego. Ten objaw należy przypisać nie tylko mnogości bezrobotnych śpiewaków operowych, ale bodaj temu, że po tej wojnie silniej niż po uprzedniej odrodziły się różne smaczki biedermeierowskie i małomieszczańskie. Opera, zwłaszcza na dostępnym w Polsce poziomie, należy na pewno do zespołu tych smaczków.

Po wielu trudnościach udało się nareszcie zapewnić gmach i podstawy działalności Państwowego Konserwatorium (rektor Z. Drzewiecki). Niemniej doniosła społecznie jest zbyt dorywczo i przypadkowo uprawiana w Krakowie działalność pedagogiczna wobec widza dorosłego, przejawiająca się dotąd tylko w takich imprezach, jak koncerty dla młodzieży akademickiej, jak np. koncert muzyki słowiańskiej dla związków zawodowych w dniu 3 maja. Trzeba widzieć, jak ta publiczność chłonie muzykę, by nie przejmować się salą dosyć pustawą na tym czy owym wyrafinowanym występie, i by zapamiętać, że tylko przez konsekwentną i stałą pracę tego typu sale zapełniać się będą w przyszłości.

Rzecz tym ważniejsza, ponieważ podobne doświadczenie wyłoniło się wśród imprez literackich. Kraków przez całe dwudziestolecie, po dwa i trzy razy w tygodniu, namiętnie, w kilkaset osób, dyskutował wszystko, co przynosiło bieżące życie literackie. Było pewnikiem, że sala Kopernika w Uniwersytecie, najczęściej bywająca widownią takich dyskusyj, zapełni się prawie że bez względu na temat i rozogni się też bez względu. Do tego doświadczenia nie udało się nawiązać. Tej publiczności już nie ma. Jest jej wprawdzie w Krakowie dosyć, by odczyt dyskusyjny, odbywający się w Domu Literatów w każdy wtorek, by wieczór autorski powtarzany w każdą środę, gromadził koło setki słuchaczy, ale też liczba taka trwa w miejscu i są to przeważnie te same twarze. Okazuje się, że jeszcze bardziej niż w muzyce nowego słuchacza trzeba dopiero wychować. Okazuje się, że ten chętny a nawet skwapliwie notujący słuchacz znajduje się w salach TURu, Samopomocy Chłopskiej, Szkoły Oficerskiej Piechoty, że znajdzie się na prowincji i tam go trzeba szukać ze zrozumiałym i dostępnym mu tematem.

Inną odmianę tego samego zjawiska wychowawczego — tym razem wychowanie młodego pisarza — stanowi jedyny w Polsce Klub Młodych przy Związku Zawodowym Literatów. Zbierając się co tydzień, klub jest areną, gdzie młodzi pisarze, przeważnie nie będący jeszcze członkami Związku, mogą swobodnie dyskutować, czytać swoje utwory, porozumiewać się czy spierać z pisarzami starszymi, lub z opiekunem klubu (S. Otwinowski) wieść długie rozmowy. Ta próba współżycia okazała się tak pożyteczna, że jesienią uruchomione zostanie przy Związku Studium Literackie, które w formie wykładów, rozbiorów, podejmie próbę całkiem regularnego wprowadzania młodych pisarzy w współczesną problematykę społeczną i literacką.

Czysto personalny charakter konfrontacji wojennego dorobku artystycznego z rzeczywistością dzisiejszą najbardziej był chyba widoczny w cyklu krakowskich imprez literackich. Mało kto z pisarzy miał możność drukowania chociażby fragmentów swego dorobku wojennego. Dla niejednego był to wogóle pierwszy występ w charakterze pisarza. Jako prozaicy uczestniczyli w tym łańcuchu Kazimierz Brandys, Tadeusz Breza, Jerzy Broszkiewicz, Stanisław Dygat, Stefan Kisielewski, Tadeusz Kudliński, Jalu Kurek, Stefan Otwinowski, Stanisław Piętak, Jerzy Zawieyski, jako poeci Zbigniew Bieńkowski, Jerzy Lau, Czesław Miłosz, Julian Przyboś, Artur Sandauer, Anna Świrszczyńska, Helena Wielowieyska, Jerzy Zagórski.

Tylko czasopisma literackie stanowią dotąd w Krakowie zespół najobfitszy i najżywszy w całej Polsce, i to nie tylko w formie tygodników *Odrodzenie* utrwaliło swoją pozycję czołowego pisma, ale w miarę jak od twórczości oryginalnej zaczęło przechodzić ku bieżącej publicystyce literackiej i społecznej, poczęło się ujawniać, jak niesłychanie brak dobrych piór w tych dwóch dziedzinach. Przewlekła i w drobiazgi nieraz schodząca dyskusja o realizmie staje się wymianą życzeń, póki nie popierają jej książki wydawane drukiem. Sam temat dyskusji jest dotąd jedynym, który zdołał się szerzej rozwinąć, i nie wolno dopuścić, by wygasł w sporach o szczegóły. Niespodziankę sprawił *Tygodnik Powszechny*. Po słabych początkach zyskał niejedno dobre pióro, jest coraz żywszy, jeżeli chodzi o stronę redakcyjną, ale i tutaj pozycjom ideologicznym nie dorównuje ich zastosowanie krytyczne do bieżącej i niedawnej twórczości

literackiej. Istnieje widocznie wspólna choroba w tym zaniku zmysłu jakości dla spraw ważnych i mniej ważnych literacko, choroba, której jednym z objawów jest zupełna posucha na młodych krytyków.

Dziennik Polski miał początkowo dwa dodatki literackie. Jeden redagowany był i zapełniany wyłącznie przez młodych: *Walka*, drugi *Literatura i sztuka* przez pisarzy dojrzalszych. *Walka* już nie istnieje, a szkoda. Mimo niedojrzałości nietyle wystąpień teoretycznych i programowych, bo te bywały jeżeli nie słuszne w zupełności, to przynajmniej bardzo znamienne, mimo utworów przewżnie ujawnianych za wcześnie, dodatek ten stanowił jedyny w Polsce manometr wskazujący ciśnienia duchowe młodych. Za to *Literatura i sztuka*, chociaż nie jest tak regularna, jak w swych początkach, stanowi niewątpliwie najżywszy dodatek literacki w gazetach polskich, dodatek, w którym trudno napotkać banalny wiersz, mało ważny artykuł. Jeszcze lepiej pomyślana i dostosowana do swoich popularyzacyjnych zadań w dziedzinie literatury jest *Świetlica Krakowska*, organ wojewódzkiego Domu Kultury. Nie znajdziesz tam efektownych artykułów, ale szarą i wytrwałą pracę nad czytelnikiem, któremu wszystko jeszcze trzeba wyjaśnić, wszystkiego nauczyć, nim stanie się czytelnikiem świadomym. Również dobór audycyj literackich w radio krakowskim, gdyby przeszkody techniczne nie sprawiały, że trudno go usłyszeć poza Krakowem, musiałby każdego doprowadzić do wniosku, że w Krakowie jesteśmy najbliżej przedwojennego poziomu programów literackich.

W tak ruchliwym zespole najmniej uwidaczniają się malarze. Mury Akademii Sztuk Pięknych zapełniły się nowym narybkiem i uczniowskim i nauczycielskim. Powstał Państwowy Instytut Sztuk Plastycznych. Na kapistów teraz przyszła kolej, by stali się pedagogami: rektor Akademii Eibisch, Cybisowa, Rzepiński. Mury Domu Plastyków napełniły się sporami o weryfikacje i różne kategorie członkostwa. Malarze okazali się najbardziej wybredni w dopuszczaniu do swego grona nowych członków i u samego początku przeprowadzili selekcję, mniejsza, czy słuszną w swoim pełnym wykonaniu, dosyć, że uporali się z zagadnieniem, z którym inne związki artystyczne borykają się ciągle. Z wystaw widzieliśmy wiosną wzruszającą, ale tylko okolicznościową wystawę poległych plastyków, głównie ofiar osławionej łapanki w Domu Plastyków w kwietniu roku 1943. Główną ozdobą wystawy były z dorobku malarzy dojrzałych oleje Jana Rubczaka, z młodych Jerzego Makarewicza, poza tym grafika Majchera oraz rzeźby Pugeta i Zbigniewicza. Dwie specjalne wystawy można było oglądać w Domu Literatów: ciekawy pokaz ilustracji książkowej Małkowskiej i Marczyńskiego oraz wystawę najmłodszych malarzy za lata 1940—1945. Był to malarski odpowiednik Klubu Młodych przy Związku Literatów, odpowiednik charakterystyczny w swoim ogólnym wyrazie: młodzi malarze kontynuują, podobnie jak kapiści, problematykę malarską Zachodu, ale w jakże odmiennej od tamtego pokolenia formie. Nie ma u nich śladu radości barwnej, wszystkie elementy impresjonistyczne, które widnieją jeszcze u kapistów, są u nich zniesione. W sam kolor i konstrukcję sięgają ponure przeżycia ostatnich lat.

Bilans obfity. Miasto publicznością swoją obsługuje wiernie ten nawał imprez. Nie było przykładu, by którakolwiek „położyła się" z braku frekwencji. W Warszawie tamtej wojny, po odejściu ustroju carskiego, było podobnie. Po głodzie okupacyjnym to chętne zainteresowanie nie jest dowodem absolutnej wartości tego co się ogląda. Byłoby błędem poddawać się takiemu złudzeniu. Raczej sprawa przedstawia się inaczej: rzecz w tym, by to zainteresowanie sztuką, które na razie jest wynikiem powojennych okoliczności, uczynić zainteresowaniem trwałym, by wszczepić je społeczeństwu również i wtedy, kiedy pierwszy głód przeminie. Sprawa wychowania widza i czytelnika, ta jest najważniejsza, ale jak dotąd rzadko kiedy bywa ujmowana w Krakowie w sposób właściwy.

Powiedzieliśmy, że powstaje wspólne doświadczenie. Jedno jest w nim pewne: Kraków w porównaniu z innymi miastami przechował i odziedziczył najlepszego widza i słuchacza. Kraków musi wychować widza, słuchacza i czytelnika przyszłego. Powiedzieliśmy, że jako całość doświadczenie wspólne jeszcze nie powstało. Okres konfrontacji dorobku z rzeczywistością trwa; jak długo, nikt nie przepowie dokładnie. Dla ludzi zaś, którzy i pochodzeniem i sercem związani są z tym miastem, a pamiętają jak nieruchawy artystycznie był Kraków przed wojną, jak zaś żywy jest obecnie, jedno zadanie górować winno: by ta pozycja, którą szczęśliwy kaprys losu nadał Krakowowi, utrzymała się również wtedy, kiedy kaprys minie, kiedy Warszawa się odbuduje, kiedy artyści poczną z Krakowa odpływać. By analogia wstępna z sytuacją Krakowa po tamtej wojnie nie stała się analogią pełną.

Kazimierz Wyka

TEATRY ŁODZI

Zagadnienie, które w ubiegłych tygodniach najbardziej pasjonowało łódzkie sfery teatralne i artystyczne, to zagadnienie teatru. Pozaartystyczna właściwie kwestja, a mianowicie, komu przydzielony będzie ostatecznie gmach teatru przy ul. Cegielnianej, gdzie obecnie mieści się Teatr Wojska, a w którym według łódzkiej tradycji mieścić się winien łódzki Teatr Miejski, ta właśnie administracyjna sprawa wywołała ożywioną dyskusję, ba, nawet kampanię prasową. Widocznie teatr, to sprawa bardzo ważna. Widocznie zmieniła się Łódź, słynąca dotąd jako miasto obojętne dla spraw sztuki. Spróbujmy zastanowić się najpierw nad sprawą teatru w ogóle po to, by w sposób właściwy ocenić działalność teatrów łódzkich. Piszę teatrów, a myślę właściwie tylko o jednym teatrze: o Teatrze Wojska.

Zapewne nikt z literatów nie medytuje obecnie zbyt długo nad tym, co pisać — tematyka jest tak obfita, materiału osobistego i historycznego mamy zapewne nadmiar. Jeśli nie ukazują się książki, to „zawdzięczać" to możemy brakowi warunków technicznych, jeśli pisarze nie piszą, to zapewne tylko dlatego, że zastanawiają się i medytują przydługo nad zagadnieniem: jak pisać. To znaczy po prostu jak ustosunkować się do realności, do nowopowstających formacyj gospodarczych, politycznych, społecznych. Tzn. dalej, jakich użyć instrumentów, by najdokładniej i najzgodniej ze swoim sumieniem pisarskim określić swoją pozycję. Interesujące dyskusje, które toczą się w prasie literackiej i poza nią, świadczą niewątpliwie o tym, że pisarz trwa w poszukiwaniu metody. Te poszukiwania potrwają zapewne długo.

Inaczej z teatrem. Przed teatrem stoi obecnie tylko jedno zagadnienie: c o g r a ć. Teatr jako organizacja, z założenia swego obliczona na odbiorcę masowego, z większą łatwością przezwycięża wszelkie eksperymentatorstwo i stara się, by obraz świata ujawniony w wycinku sceny nie był pierzchający, ale utrwalony i prawdziwy, tzn. tendencyjny i dydaktyczny.

Tendencyjny i dydaktyczny jest w gruncie rzeczy cały wielki teatr klasyczny. Tendencyjny i dydaktyczny jest wreszcie każdy teatr od chwili, kiedy podnosi się kurtyna do chwili jej zapadnięcia. Potem czar pryska a uczeni krytycy podchodzą ze swoimi instrumentami i stwierdzają takie lub inne „wieczne zagadnienia". Teatr jest tendencyjny, bo ujawnia jakąś akcję a już to, czy ta akcja jest tak czy inaczej przeprowadzona wskazuje na tendencję. *Nie-boska*, podlegając żelaznym prawom dialektyki, świadczy dziś o zupełnie czym innym, niż by to nam zamierzał powiedzieć jej autor. Zamiast wiernie służyć autorowi, dramat go zdradza, demaskuje całą tę warstwę społeczną, która tak efektownie schodziła z historycznej sceny od roku 1848 do dni naszych.

Te skąpe rozważania o teatrze mają na celu pełną akceptację dotychczasowego repertuaru Teatru Wojska. Teatr Wojska, powstały w okresie formowania się Wojska Polskiego w ZSSR, obrał jako siedzibę swoją Łódź. Gromadząc najwybitniejszych aktorów (Broniszówna, Barszczewska, Romanówna, Zelwerowicz, Kreczmar, Brydziński, Woszczerowicz i in.), teatr ten zapewnił sobie jednocześnie współpracę doskonałych reżycerów (Osterwa, gościnnie Zelwerowicz, Jabłonkówna, Kreczmar, Wierciński) — słowem, w połączeniu z dotychczasowym repertuarem, uzyskaliśmy godnego spadkobiercę Teatru Narodowego. Oczywiście, można się sprzeczać z reżyserami o ich intencje reżyserskie, z aktorami o taką czy inną interpretację. Trudno jednak z drugiej strony pominąć tak rewelacyjne kreacje, jak: Kreczmer (Fantazy). Romanówna (Idalia), Krasnowiecki (Major). To, że taki teatr jest właśnie w Łodzi, ma specjalne znaczenie dziś, gdy punkt ciężkości pracy kulturalnej przesuwa się w związku ze zmianami natury gospodarczo-społecznej z klasy mieszczańskiej, dotychczasowego, w niewielkim zresztą zakresie, odbiorcy zręcznych francuskich sztuk i fars, na klasy produktywne, które w niedalekiej przyszłości historycznej będą już nie tylko konsumentami ale i producentami wartości kulturalnych.

Wydaje mi się, że właśnie dziś, gdy książki np. jeszcze się nie ukazują, gdy warunki techniczne wciąż jeszcze nie pozwalają na masową reedycję dzieł klasyków, że właśnie dziś teatr powinien wziąć na siebie trudne i skomplikowane zadanie wprowadzenia mas do wspólnego domu naszej kultury narodowej, stwarzając im jednocześnie perspektywę na naszą przeszłość kulturalną i otwierając horyzonty kultury nowej, właściwej epoce utrwalonej i czujnej demokracji.

Czy tę rolę spełnia Teatr Wojska? Wydaje mi się, że tak. Przede wszystkim nie zaob-

serwowałem dotąd żadnych zamachów eksperymentatorskich ze strony reżyserów. Wydaje mi się, że Teatr Wojska nie zamierza pokazywać widzowi „teatralnej kuchni", tego co nazwałbym laboratorium. Wychodząc z realnych założeń: charakter naszego widza jest określony charakterem rzeczywistości, w której on żyje i pracuje, musimy dać widzowi sztuki o określonych założeniach i podać je musimy w sposób dla niego zrozumiały. A więc realizm. Oczywiście, można grać np. *Hamleta* we frakach. Taki spektakl będzie zapewne czarujący, oryginalny itd. dla dwustu widzów, którzy *Hamleta* znają jak swoje pięć palców. Ale jak poprzez fraki i reżyserskie eksperymenty przebrnie do sedna *Hamleta* widz, który *Hamleta* nigdy nie czytał, a o Szekspirze wie tylko tyle, ile nauczył się w szkole, jeśli w niej był, lub częściej nic o nim nie wie? Teatr Wojska poszedł po słusznej linii i w doborze repertuaru i w sposobie podania sztuk. *Wesele* stawiało rzeczywiście problem stosunku inteligenta do wsi i było bardzo aktualne, mimo wszelkie przezwyciężone już problemy. Dawało rzeczywiście w dramatycznym skrócie obraz minionych konfliktów między inteligencką frazeologią i chłopską rzeczywistością. Postać Szeli, wynurzająca się z nocy narodowej u świtu mniemanej niepodległości, nabierała na scenie Teatru Wojska innego znaczenia, niż dajmy na to na scenie Teatru Narodowego w Warszawie. A przedstawienie *Fantazego*? *Fantazy* wydaje się wielce aktualny, nie tylko z uwagi na rolę Majora, ale przede wszystkim ze względu na ironiczną, ostrą analizę ziemiaństwa kresowego. Ale do *Fantazego* jeszcze wrócimy.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o tym, że klasyczna linia repertuaru Teatru Wojska była niejednokrotnie krytykowana. Mówiono: dajcie nam sztuki współczesne. Mówiono nawet o tym, że należałoby zrezygnować całkowicie z klasycznego repertuaru na rzecz sztuk współczesnych. Jeśli nie mówiono tego głośno, to zapewne wielu tak myślało. Kiedy myślę dziś o dorobku Teatru Wojska, a zwłaszcza o *Weselu* i o *Fantazym*, wydaje mi się, że rola jaką spełniły te sztuki nie mija się z celem, jaki założylibyśmy sztukom współczesnym. Nie znaczy to bynajmniej, bym sugerował, że można doskonale obejść się bez repertuaru współczesnego. I tu znów powracamy do zagadnienia tak ostatnio pasjonującego Łódź, mianowicie do sprawy Teatru Wojska i przyszłego Teatru Miejskiego. Gdy dziś jedni żądają od Teatru Wojska, by przerwał linię żelaznego repertuaru, gdy inni znów obruszają się na sztuki współczesnych autorów, twierdząc, że traktują one o rzeczywistości nazbyt jeszcze bliskiej i wyobrażają sobie teatr jako inscenizowanie spetryfikowanych formacyj historycznych, mnie się wydaje, że cała sprawa zawiera się wyłącznie w rozdzieleniu kompetencji. I gdyby warunki łódzkie były przychylne dla funkcjonowania dwóch teatrów: Teatru Wojska i Teatru Miejskiego, wtedy cała sprawa byłaby rozwiązana. Teatr Wojska pozostałby przy żelaznym repertuarze, stając się Teatrem Narodowym sensu stricto, Teatr Miejski przejąłby na siebie rolę teatru, że użyję warszawskiej paraboli, Polskiego.

Nie znaczy to oczywiście, że podział ten byłby niewzruszalny. W obecnej chwili, o ile mi wiadomo, Teatr Wojska przygotowuje sztukę radzieckiego autora, sztukę, poruszającą aktualne dla nas zagadnienia stosunku inteligenta do rewolucji.

Jak niesłuszne były zastrzeżenia i zwolenników klasycznego repertuaru i tych, którzy twierdzili, że należy grać sztuki aktualne, współczesne, okazało się na premierze *Fantazego*. Słowacki spłatał figla i tym, którzy przypuszczają, że sztuka klasyczna pokazuje nam sprawy nieżywe i ludzi umarłych, i tym, którzy jak ognia boją się sztuk współczesnych, dlatego właśnie, że pokazują nam sprawy żywe i ludzi żywych i działających, nie zawsze może tak, jakby to się podobało zwolennikom klasycznego teatru i klasycznych porządków w rzeczywistości społecznej. Okazało się bowiem, że *Fantazy* niesłychanie pasuje do naszej rzeczywistości, że krytyka ostra i bardzo ironiczna warstwy ziemiańskiej, przeprowadzona jest dużo śmielej i mniej umiarkowanie ze strony Słowackiego w stosunku do arystokracji kresowej z roku 1841 niż np. czyni to w doskonałej swojej sztuce pewien współczesny autor w stosunku do współczesnej nam warstwy ziemiańskiej w latach 1942-4.

Słysząc zarzuty tendencyjności, czynione wymienionej sztuce współczenego autora, pocieszałem się na spektaklu *Fantazego* tym, że Słowackiemu czyniono by zapewne niemniejsze. A istotnie *Fantazy* to bardzo tendencyjna i dydaktyczna sztuka. Więc przede wszystkim ciasnota, kołtuneria Respektów; przy jednoczesnych atrybutach kultury, powierzchownego i właściwego tej warstwie polerunku, wynikającego z jej gospodarczej bazy, straszliwa małoduszność. Hr. Respektowa to późniejsza pani Dulska, o tyle oczywiście różniąca się od swojej następczyni, o ile różne były ekonomiczno-społeczne układy Podola 1841 r. i małomieszczańskiej Galicji z końca XIX w. Fantazy, amoralny, cyniczny frant w romantycznym płaszczu, Ida-

lia, zawieszona między ziemią i niebem pozornie — oboje podróżnicy, goście w kraju, znający lepiej salony rzymskie od tego co się dzieje wokół nich. Słowacki nie bardzo się krępuje w pokazywaniu nam najwstrętniejszych, najbardziej śmiesznych cech współczesnej mu szlachty. Chociażby Rzecznicki, małpa i rajfur Fantazego! Tylko dwie postacie szlachetne znajdziemy w *Fantazym* — to rosyjski major i polski powstaniec, zesłany na Sybir. A major to nie byle jaki — przyjaciel Murawiewa-Apostola i dekabrystów, liberał, opiekun zesłanych przez cara rodaków.

A teraz przypomnijmy sobie, że w roku, w którym napisany został *Fantazy* pół Polski było pod carskim zaborem, że w Polsce panowały stosunki prawie że feodalne, że szlachta była warstwą dominującą. Kto teraz powie jeszcze, że *Fantazy* nie jest sztuką tendencyjną, o wyraźnym bardzo zabarwieniu politycznym? Chciałbym nadto na przykładzie *Fantazego* wskazać na celowość wystawiania repertuaru klasycznego. Przypuszczam, że np. wystawienie dziś *Nieboskiej* dałoby nam nowe i bardzo ciekawe aspekty na zagadnienia społeczne, na zmiany struktur gospodarczych, na to wszystko, czego tak obawiał się Krasiński i co tak nieubłaganie dla obrońców Okopów św. Trójcy realizuje się poprzez Paryską Komunę, rosyjską rewolucję i, nie lekceważąc bynajmniej tego porównania, reformę rolną u nas. I tak, romantyczne, urocze widowisko, jakie zapewne oglądalibyśmy w teatrach TKKT przed rokiem 1939, zmieniłoby się w sztukę bardzo społeczną, bardzo polityczną, bardzo tendencyjną. Tekst *Fantazego* się nie zmienił. Zmieniła się tylko widownia, zmieniła się sytuacja hitoryczna. *Fantazy* odżył, bo odżyły zagadnienia, bo odżyły ostre antynomie, których do niedawna byliśmy świadkami. To podwójne przeświadczenie o przybieraniu nowych wartości przez tzw. stare utwory dramatyczne w nowej rzeczywistości, przeświadczenie, wyniesione ze spektakli *Wesela* i *Fantazego*, każe akceptować dotychczasową linię repertuaru Teatru Wojska. I myślę, że teatr dziś właśnie powinien liczyć się tylko z tym, czy dany utwór leży w polu naszego historycznego widzenia czy też nie. Okaże się wtedy, że większość utworów wielkiego repertuaru zaspokoi te potrzeby. Nie jestem natomiast pewien, czy zapokoi je repertuar współczesny, myślę tu oczywiście o sztukach współczesnych, dotąd tzn. do roku 1939 granych. Wydaje mi się, że Teatr Wojska powinien kroczyć właśnie po linii tzw. wielkiego repertuaru. Tym bardziej, że ma po temu wszystkie warunki.

Istnieje w Łodzi jeszcze jedna, ważna bardzo placówka teatralna, od której należy oczekiwać, po zwalczeniu trudności, że ukonstytuuje się wreszcie w roli łódzkiego Teatru Miejskiego. Placówką tą jest Studio Teatralne, prowadzone przez wybitnych pedagogów teatralnych pod dyrekcją wieloletniego reżysera łódzkiego teatru Henryka Szletyńskiego. Jak mi wiadomo, zamierzenia przyszłego Teatru Miejskiego, do którego aktorów przygotowuje właśnie Studio, są bardzo interesujące. W programie znajduje się bowiem wystawienie współczesnej sztuki francuskiej J. R. Blocha *Tulon* oraz *Cyrulika Sewilskiego*, zsynchronizowanego z *Weselem Figara*. Nie mogę niestety nic bardziej konkretnego o przyszłym Teatrze Miejskim powiedzieć, gdyż prace odbywają się laboratoryjnie i wyników ich jeszcze nie znamy. Życzyć sobie należy, by Teatr Miejski przystąpił jak najprędzej do pracy. W ten sposób Łódź będzie miała dwa teatry, co niewątpliwie jeszcze bardziej zaktywizuje jej życie kulturalne.

Oddzielną pozycją Studia, prócz szkolenia nowych teatralnych kadr, są dostępne dla szerokiej publiczności imprezy. Na imprezy te składają się przeważnie odczyty o zagadnieniach teatralnych. Do ciekawszych zaliczyć należy odczyt Kazimierza Korcellego „Teatr na dziś", J. Żuławskiego „O recenzji teatralnej". Oba te odczyty wywołały ożywioną dyskusję, w której brali udział ludzie teatru, licznie gromadzący się w Studio na odczytach. Dyskusje z natury rzeczy toczą się wokół dość wąskiej platformy czysto-teatralnych rozważań o teatrze. Cennym również wkładem Studia w kulturalne życie Łodzi są wieczory literackie i autorskie. Wieczory autorskie organizowane są przez Związek Zawodowy Lit. Pol. w Łodzi. Dotychczas odbyły się dwa wieczory, m. in. wieczór autorski Przybosia. Poza tym staraniem Studia odbył się, powtórzony potem kilkakrotnie, wieczór poświęcony Warszawie. Były to recytacje utworów literackich, związanych tematycznie z Warszawą, poczynając od ks. Czartoryskiego, kończąc na pięknym wierszu Miłosza. Poza tym wieczór obejmował króciutki niestety recital śpiewaczy Miry Zimińskiej, która śpiewała kilka piosenek związanych z Warszawą lat okupacji i walk z okupantem. Szkoda jednak, że wybrano utwory, których często jedyną zaletą było to, że są efektowne dla recytatora, a brakło np. *Fortepianu Szopena* Norwida.

Przechodząc po kolei teatralne placówki w Łodzi według ich kalibru, chciałbym jeszcze wspomnieć o nowopowstałym teatrzyku rewiowym S y r e n a. Maskując się pod no-

wą nazwą teatru aktualności, Syrena jest po prostu dawnym kabaretem. Zdaje się jednak, że typ rewii mocno się przeżył i nie odpowiada naszym potrzebom, a w każdym razie potrzebom szerokich mas. Nawet jeśli Syrena nie ma ambicji, by służyć jako miejsce rozrywki dla przeciętnego widza, a trzeba pamiętać, że przeciętny widz dziś, to nie przeciętny widz z wczoraj, że jego wymagania i potrzeby są inne, tak, że to, co autorzy i aktorzy powinni mu dać, winno się różnić diametralnie od tego, coś my oglądali w dawnych teatrzykach tego rodzaju. Satyry politycznej nie słyszeliśmy w teatrzyku, obyczajowa szła po linii łagodnego ośmieszania niektórych złych zjawisk wśród warstwy mieszczańsko-inteligenckiej, sceny patetyczne raziły.

Jeśli życie teatralne w Łodzi w tej chwili ma swoje wady i niedostatki, a takim niedostatkiem i wadą zasadniczą nazwałbym istnienie tylko jednego teatru, to zapewne sytuacja ta ulegnie zmianie, w miarę tego, jak podwyższać się będzie jakość odbiorcy. Nie należy zapominać również i o tym, że stale zachodzące w tej chwili zjawisko aktywizowania się coraz to szerszych mas społecznych, doprowadzi w końcu do tego, że i teatr i literatura będzie musiał wziąć pod uwagę t. zw. zamówienie społeczne. I właśnie od teatru i od pisarzy w dużej mierze już dzisiaj zależy w jakim kierunku to zamówienie ze strony mas pójdzie. Zależy to również od szybkości wzrostu dobrobytu gospodarczego. Przypuszczać należy, że właśnie Łódź, miasto robotnicze, jest predystynowana w wypadku pomyślnego wypełnienia tych warunków, do zorganizowania nowego życia kulturalnego. Teatry łódzkie, i ten który istnieje, i te które na pewno powstaną, będą miały w ramach życia kulturalnego miasta ważne role do spełnienia.

Paweł Hertz

NA ŚLĄSKU JUŻ COŚ KIEŁKUJE

Śląsk nigdy nie był ośrodkiem intensywnego życia kulturalnego czy artystycznego. Właściwie trudno tu mówić o całym Śląsku, bo jeżeli gdzie pulsowało tutaj życie kulturalne w jakimś szerszym znaczeniu tego słowa, to tylko w Katowicach. Tak było i tak zostało. Ale i w Katowicach poziom zawsze był niewysoki. Miasto, które pod każdym innym względem chciało konkurować i z powodzeniem konkurowało ze stolicą, pod względem kulturalnym było dość zapadłą prowincją. Nasi pisarze, scentralizowani w ośrodku warszawskim, stronili od śląskiego zaścianka, a jeżeli się nawet tu zjawiali, to zwykle rezultaty tych wizyt były niefortunne.

Nie miał Śląsk muzyki, poza amatorskimi zespołami, a szanujący się aktor uważał pracę w teatrze katowickim za pewnego rodzaju degradację zawodową. Przy najbliższej sposobności wyrywał się choćby do pobliskiego a szanownego Krakowa. Malarze czasami jeszcze ściągali, bo miał tu kto płacić za portrety, byle panie dyrektorowe były na nich „piękne" i „jak żywe". Oczywiście w tej atmosferze największą rewelacją artystyczną i... kasową musiała być wystawa braci Styków.

Śląsk skazany był na własne siły, a sił tych wiele nie posiadał. Polskiej inteligencji, która dopiero powoli się tworzyła, była tu znikoma liczba. Z surowej masy robotniczej zaledwie poczynały się krystalizować jednostki, mogące dać wyraz artystyczny Śląska. Były to jednak wyjątki wyrastające niespodziewanie ponad ogół. Takim wyjątkiem był Morcinek. Przyznać jednakże trzeba, że w ostatnich latach, czy też raczej w ostatnim roku przed wybuchem wojny coś zaczęło fermentować w życiu kulturalnym Śląska. Ferment był twórczy, wyszło z niego kilku poetów już wówczas zapowiadających się doskonale, wśród nich Wilhelm Szewczyk i Edmund Osmańczyk. Wyszło z tego też wydarzenie niezwykłe na Śląsku — pismo literackie o równie niezwykłym tytule „Fantana", które miało swój własny, wcale oryginalny wyraz. Wtedy też powstała szkoła malarska, grupująca wybitnych twórców (Rzepiński, Jarema). Było też paru zdolnych malarzy stojących skromnie na uboczu, unikających reklamy. Słowem coś w tych Katowicach, znajdujących się gdzieś na uboczu od szlaku ogólnopolskiego życia kulturalnego, w tych Katowicach, do których dochodziły tylko odpryski tego życia — poczynało się ruszać i zapowiadać. Potem przyszła wojna...

Dziś, mówiąc o życiu kulturalnym Śląska, trzeba nawiązać do tych dawnych, jakże nikłych, ale do dziś jeszcze niewygasłych tradycji. Czy coś się zmieniło? I tak i nie. Nie łudźmy się, z dawnej atmosfery katowickiej zostało w nowej niepodległości bardzo wiele. Na pewno tona blachy cynkowej czy wagon wiader jest tu tematem bardziej

atrakcyjnym, niż Norwid, Żeromski, o „Odrodzeniu" zaś nawet wśród tych, co czytać powinni, mniej się mówi niż o szabrowaniu czy cenie, za jaką można dostać mieszkanie. Kiedy na przykład w Krakowie każdy dzień natłoczony jest wszelkiego rodzaju imprezami artystycznymi, tu trzeba się dobrze zastanowić i ze wszystkich stron rozważyć zanim się coś urządzi. Bywało i tak, że koncert zdolnego skrzypka nie mógł się odbyć, bo przyszło aż... 39 osób.

Trochę się jednak zmieniło. Napłynęło sporo ludzi spośród rozbitków warszawskich. Warszawa w obecnym swym stanie przestała być centrem atrakcyjnym, do którego dążą wszyscy artyści. W modzie jest Śląsk. Ludzie chętnie przyjeżdżają do stolicy największego i najbogatszego województwa polskiego, do kraju przyszłości; nie tylko paskarze i aferzyści, ale i artyści. Zmieniła się też publiczność. Jest dużo warszawiaków, a ci na pewno zapełnią salę, przynajmniej na takiej imprezie, jak ze wszech miar zresztą udany wieczór „Warszawa w poezji i piosence", urządzony z inicjatywy artystów Teatru Katowickiego. Zmienił się również czy powiedzmy raczej zmienia się pobłażliwy, protekcjonalny stosunek do sztuki. Coraz więcej ludzi zaczyna rozumieć, że nie tylko dymiące kominy, ale i słowo poetyckie w teatrze, czy muzyka w sali koncertowej są dowodami twórczości i żywotności narodu.

Tymczasem literaci, chociaż narzekają, że niektóre miejscowe władze ich lekceważą, nie próżnują. Zgrupowani w Oddziale Śląskim Związku Zawodowego Literatów Polskich, urządzają od czasu do czasu poranki literackie. Pierwszy pt. „Śląsk mówi" był przeglądem twórczości pisarzy śląskich. A więc Wilhelm Szewczyk, który dojrzał w pełni i stał się czołowym poetą śląskim na miarę ogólnopolską; niebawem ma ukazać się drukiem jego zbiorek wierszy jak i poemat „Noc". Zdrowy, pełen tężyzny polskiej i opolskiej talent Edmunda Osmańczyka, wypłynął na fale ogólnopolskie i swój Śląsk zdecydowanie ostatnio zostawia na uboczu. Dalej rozwija się dobrze Zbyszko Bednorz. Z młodych prozaików wyróżnia się zdecydowany talent Wojciecha Żukrowskiego. Są też i starsi z przedwojennego pokolenia — Ludwik Kobiela, Kazimierz Gołba, Włodzimierz Żelechowski, Janina Zabierzowska. Z krytyków jest Zdzisław Hierowski. Wrócił z obozu Paweł Kubisz. Żyje Gustaw Morcinek, ale jeszcze nie powrócił. Nie wiadomo, co się dzieje z Alfredem Jesionowskim. Odnalazł się we Francji Alfred Fierla. Powrócił z obozu młody, dopiero w czasie wojny rozkwitły Aleksander Widera. W czasie okupacji został zabity przez Niemców Paweł Musioł. Są jeszcze inni. Są i najmłodsi, ci jednak, chociaż bardzo liczni, jeszcze nie całkiem wyszli z niemowlęctwa artystycznego.

Drugi poranek poetycki pod hasłem „Nie zginęła" obejmował poezję czasu wojny, okupacji i nowej niepodległości, nie tylko poetów śląskich, ale i ogólnopolskich, z Przybosiem i Miłoszem na czele. Na trzech następnych wieczorach autorskich usłyszeliśmy Przybosia, Szewczyka i Bąka. Również poza Katowicami odbywają się tego rodzaju imprezy — w Gliwicach, Bytomiu, Rudzie. Nawiązuje się w ten sposób kontakt z masami robotniczymi, którego zacieśnienie przewiduje Związek w dalszym programie. Powstał przy Związku Klub Literacki. Wszystko to zastępuje książki a do niedawna czasopisma literackie.

Obecnie Śląsk i Ziemie Zachodnie mają swój dwutygodnik — *Odrę*. Długo na świat przychodziła. Wyłaniały się coraz inne obiekcje. Był czas, że projektowano połączenie tego pisma z tygodnikiem... świetlicowym. *Odra* i to przetrzymała. Pierwsze numery mimo różnych braków przyniosły wiele interesującego materiału.

Odrę stara się uzupełniać prasa codzienna. *Dziennik Zachodni*, jeżeli tylko dysponuje wystarczającą ilością papieru, daje raz na tydzień „kolumnę literacką", starając się, na ogół z powodzeniem, przede wszystkim o wysoki poziom wierszy. Oprócz poetów śląskich czytaliśmy tam utwory Tadeusza Staicha, Stefana Gardy i Mariana Niewiarowskiego. Piszą również poeci z ustalonym imieniem jak J. B. Ożóg, L. Podhorski-Okołów. Szkoda, że na skutek trudności komunikacyjnych i małych nakładów pismo jest ograniczone do sięgającego niewiele poza granice województwa terenu. Pociąga to za sobą nieobecność na łamach kolumny wybitniejszych pisarzy ogólnopolskich, a ich brak odbija się czasem ujemnie, zwłaszcza na prozie i krytyce. Ci pisarze powinni się tutaj znaleźć w większej gromadzie, musimy bowiem pamiętać, że sama grupa śląska nie obsłuży potrzeb swojego terenu, zwłaszcza, kiedy Śląsk Opolski zażąda drukowanego słowa. Dużo miejsca sprawom kultury poświęca również „Gazeta Robotnicza"; pomieszczane w niej artykuły są na bardzo nierównym poziomie.

Teatr w Katowicach — to złożony kompleks zagadnień. Zawsze w jakiś sposób musiał łączyć troskę o poziom repertuaru i wykonania ze staraniem o sukces kasowy.

Sprawa ta istniejąca w każdym teatrze, przy specyficznych warunkach miejscowych jest szczególnie trudna. Teatr katowicki znalazł się pod dyrekcją dwóch prawdziwych ludzi teatru, o nazwiskach ustalonych w polskiej, i to nie tylko teatralnej, kulturze. Ludźmi tymi byli Wilam Horzyca i Karol Adwentowicz. Dobrali zespół aktorski zmontowany wprawdzie dość przypadkowo, ale dobry, grupujący paru znanych aktorów, kierowany przez zdolnych reżyserów. Pracowali z zapałem, mimo to pośród ciągłych trudności. Sztuki szły wprawdzie po miesiącu, robiło się tak zwane przedstawienia sprzedane po zniżonych cenach dla poszczególnych organizacji, ale frekwencja i tak była niewystarczająca. Horzyca nie mógł wyjść z podziwu, jak się to dzieje, że w Krakowie przy dwa razy wyższych cenach w teatrze brakuje miejsca, ba, że w sąsiednim Sosnowcu, gdzie teatr jest dużo słabszy, istnieje podobna sytuacja, a tu trudno koniec z końcem związać. To są właśnie Katowice.

Otwarto sezon według uświęconej już w nowej Polsce tradycji — *Zemstą*. Przedstawienie dawało interesującą inscenizację, wprowadzającą jedność miejsca w komedii, ale aktorsko miało wiele niedociągnięć. Wystawiona za to następnie, ciągle świeża na scenie i aktualna *Moralność pani Dulskiej* była przedstawieniem naprawdę znakomitym, jakiego Katowice dawno nie widziały. Również na innych scenach mogłaby stanowić pierwszorzędny artystyczny sukces (reżyserował R. Zawistowski). Wreszcie trzecia sztuka, prapremiera na terenie Polski, pt. *Zieleni się zboże* angielskiego pisarza E. Williamsa, łączy się tematycznie miejscem akcji w walijskim zagłębiu węglowym z miejscowym śląskim terenem, zarówno jednak nieco zwietrzałą problematyką jak i pewną nieudolnością sceniczną (nieznośne dłużyzny), mimo doskonałego wykonania i udanych fragmentów nie stała się sukcesem teatralnym. Następnie wystawiono widowisko popularne, jako takie mające swoje zalety, K. Gołby *Lonysa*, a na sezon letni dla zrobienia kasy Hemara komedię muzyczną *Jaś u raju bram*. Dyrekcja nie zdążyła jeszcze wybrać linii repertuarowej, odpowiedniej dla miejscowego środowiska, a już ustępuje. Do Katowic przenosi się teatr lwowski pod dyrekcją Wł. Dąbrowskiego, zapowiadając radykalne zmiany. A no, zobaczymy...

Mówiąc o życiu kulturalnym Katowic, nie sposób nie wspomnieć o sprawie uniwersytetu śląskiego. Jak wiadomo Śląsk ma już swoją Politechnikę, na razie znajduje się ona w Krakowie, niewątpliwie kiedyś przeniesie się do Katowic. Niezależnie od tego grupa profesorów uniwersytetów wileńskiego i lwowskiego wraz z miejscowymi przedstawicielami nauki i społeczeństwa zawiązała komitet uniwersytetu śląskiego. Zbadał on możliwości założenia takiej uczelni na terenie centralnego śląskiego okręgu przemysłowego, który połączony siecią tramwajową jest właściwie jednym wielkim miastem. Sporządzono odpowiedni memoriał do władz kompetentnych. Nie trzeba tu wyłuszczać całej litanii przyczyn, dla których właśnie na tym terenie uniwersytet taki byłby bardzo potrzebny. Ludzie z komitetu twierdzili, że znaleźliby się wykładowcy, że są nawet odpowiednie lokale, kliniki, że nie brak pomocy naukowych. Warto przy okazji wspomnieć, że Śląska Biblioteka Publiczna ocalała i mimo pewnych braków jest dzisiaj, przy ogólnej dewastacji księgozbiorów polskich, jedną z największych bibliotek w Polsce.

Słowem wszyscy zacierali ręce i niemal gotowali się na otwarcie. Tymczasem władze wyliczyły swoje sto przyczyn, dla których uniwersytetu w Katowicach, przynajmniej na razie, nie będzie. Jest w Łodzi, będzie w Toruniu, we Wrocławiu, może w Gdańsku, ale w Katowicach nie... W Katowicach zostaną uczelnie na pół wyższe: Studium Ekonomiczno-Administracyjne i Instytut Pedagogiczny, istniejące jeszcze przed wojną. Poza tym istnieje jeszcze instytucja o charakterze specjalnym, Instytut Śląski, który podjął od razu swą działalność, mającą w obecnych warunkach jeszcze szersze i większe znaczenie i wydaje już niektóre wydawnictwa, dotyczące ziem zachodnich. Co środy Instytut urządza dyskusje na aktualne na Śląsku tematy.

Tyle na razie jeżeli idzie o literatów i o naukę. Muzycy za to urządzili formalny najazd na Katowice. Nie mówimy tego w formie wyrzutu. Miasto, które zawsze lubiło muzykę, ale nigdy nie miało swej własnej zawodowej orkiestry, ma ich teraz kilka. Jest przede wszystkim filharmonia państwowa, posiadająca orkiestrę z górą 70-cioosobową. W składzie znajduje się wielu naprawdę znakomitych wirtuozów-solistów, niestety kierownictwo, dobre może pod względem administracyjnym i organizacyjnym, nie stoi na wysokości zadania pod względem artystycznym. Szkoda, bo i materiał jest bardzo dobry i na pewno znalazłby się niejeden, choćby z młodszych dyrygentów, odpowiedni na to stanowisko. Dotychczas dano kilka kon-

certów, powtarzanych również poza Katowicami, poświęconych przeważnie twórczości polskiej od Szopena i Moniuszki do Różyckiego i Kulczyckiego.

Głównym ośrodkiem muzycznym jest Konserwatorium pod dyrekcją F. Kulczyckiego, postawione bardzo wysoko. Wśród jego profesorów są nazwiska o ustalonej sławie, dawny zespół od razu stanął do pracy. Zjechali ponadto Didur, Ludomir Różycki, Dobosz i inni. Konserwatorium urządza również wieczory muzyczne, które mają swój solidny poziom i na których można usłyszeć nie tylko Chopina, ale i muzykę nowszą — po Szymanowskiego. W Gliwicach działa osobny Instytut Muzyczny. Wreszcie Katowice posiadają bardzo dobry zespół orkiestrowy Polskiego Radia, który daje także występy publiczne.

Z Operą na Śląsku było trochę tak jak z uniwersytetem. Naprzód coś przez dwa miesiące mówiło się głośno i dużo o jej utworzeniu. Spierano się nawet, czy ma być w Katowicach, czy w Bytomiu, czy jeszcze gdzie indziej. Montowano zespół, orkiestrę, Didur zabrał się do dzieła z zapałem, władze wojewódzkie pomagały w czym mogły. W końcu przyszła decyzja z ministerstwa: Opery na Śląsku nie będzie, na razie jesteśmy na to za biedni, są pilniejsze i ważniejsze sprawy. Tymczasem jednak *Halkę* przygotowano i ukazała się na gościnnej scenie teatru katowickiego. Rzeczywiście dużą zasługą Didura było, że mimo skromnych, improwizowanych środków nie miała ona charakteru amatorskiego przedstawienia na prowincji, ale przypominała wielką scenę. Halkę śpiewała Wiktoria Calma, której nazwisko warto zanotować, bo ma ono przed sobą na pewno wielką przyszłość. Przedstawienia *Halki* zamieniają się w jedną nieustanną owację, ludzie biją brawo za śpiew, za muzykę, za balet, za dekoracje, za stroje, za wszystko i przymykają oczy na wszelkie niedociągnięcia, bo właśnie tego rodzaju imprez są spragnieni na tym terenie. Takie są Katowice...

Jeżeli literaci i malarze odrazu byli ruchliwi, malarze ruszyli się dopiero ostatnio. W pierwszych tygodniach niepodległości urządzona przez Związek Walki Młodych wystawa miała charakter dorywczy i młodzieńczy. Dopiero w połowie sierpnia ujrzeliśmy wystawę naprawdę poważną: Pieńkowski, Wodyński, Grocholski, Zamiar. Na specjalną uwagę zasługują drzeworyty Mrożewskiego z serii ilustracyj do *Boskiej Komedii*, zamówionych do jej angielskiego wydania: niewątpliwie jedno ze szczytowych osiągnięć grafiki polskiej. Również zapamiętać warto czarujące ilustracje Mroszczaka do bajek dla dzieci.

Tak więc we wszystkich dziedzinach sztuki mniej lub więcej, ale w każdym razie coś na Śląsku zakiełkowało. Jaki i kiedy będzie z tego urodzaj, zobaczymy dopiero w następnych miesiącach.

August Grodzicki

WYKAZ TREŚCI

Str.

WOJCIECH ŻUKROWSKI: Lotna 5

STEFAN KISIELEWSKI: Od Lublina po Bug 30

TADEUSZ HOŁUJ: Noc Listopadowa 64

CZESŁAW MIŁOSZ: Świat 85

PAUL VALÉRY: Prządka, Płoche tancerki, Epizod, Fragmenty Narcyza 94

TADEUSZ PEIPER: W Jakucku (c. d.) 99

JAN KOTT: O laickim tragizmie 137

SPRAWY I TROSKI: TRZY STOLICE

JĘDRZEJ BOBKOWSKI: Szkice piórkiem 161

JAN ROSIŃSKI: Szara kamienica 178

ADAM BAHDAJ: W oblężonym Budapeszcie 181

SPRAWOZDANIA

KAZIMIERZ WYKA: Pozycja Krakowa 186

PAWEŁ HERTZ: Teatry Łodzi 192

AUGUST GRODZICKI: Na Śląsku już coś kiełkuje 195

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Warszawa—Łódź—Kraków
Redaktor naczelny: Kazimierz Wyka. Sekretarz odpowiedzialny: Karol Kuryluk.
Kolegium redakcyjne: Leon Kruczkowski, Jerzy Putrament, Jan Wiktor.
Adres redakcji: Kraków, Basztowa 15, m. 8. Administracji: Wielopole 1.

Cena zeszytu 40 zł. Prenumerata kwartalna 120 zł, półroczna 240 zł.

137468

CZYTELNIK